DOUGLAS PRESTON

KANION TYRANOZAURA

Prószyński i S-ka

PRESTON DOUGLAS

Kanion tyranozaura

DOUGLAS PRESTON

Przełożyła Bogumiła Nawrot

Tytuł oryginału TYRANNOSAUR

CANYON „KB”

Niniejsza powieść jest utworem literackim. Wszystkie postacie wydarzenia w niej przedstawione są wytworem wyobraźni autora.

Mojemu synowi Isaacowi

PROLOG

Grudzień 1972 roku Okolice gór Taurus i krateru Littrow Mare Serenitatis Księżyc

JEDENASTEGO GRUDNIA 1972 roku po raz ostatni w ramach programu załogowych lotów na księżyc Apollo ładownik księżycowy opadł w rejonie gór Taurus i krateru Littrow, w zachwycającej, otoczonej górami dolinie na skraju Morza Jasności. Z okolicami tymi wiązano wielkie nadzieje na to, że staną się prawdziwym eldorado dla geologów, pełno było tu bowiem wzniesień, szczytów, kraterów, rumowisk skalnych i osuwisk. Szczególne zainteresowanie budziło kilka osobliwych kraterów uderzeniowych, które utworzyły głębokie leje w dnie doliny, zasłanej brekcjami i szkliwem. Uczestnicy misji liczyli w duchu na to, że wrócą z bezcennymi próbkami gruntu księżycowego.

Dowódcą wyprawy mianowano Eugene’a Cernana, a pilotem ładownika – Harrisona „Jacka” Schmitta. Obaj mężczyźni idealnie nadawali się do udziału w misji Apollo 17. Cernan, doświadczony astronauta, miał za sobą loty na pokładzie Gemini 9 i Apollo 10; Schmitt natomiast był zdolnym geologiem, który uzyskał tytuł doktora na Uniwersytecie Harvarda i brał udział w

przygotowaniach wcześniejszych wypraw w ramach programu Apollo. Cernan i Schmitt przez trzy dni badali okolice Taurus-Littrow, korzystając z pojazdu księżycowego Rover. Już podczas pierwszego rekonesansu dla wszystkich stało się oczywiste, że wygrali los na loterii. Jednego z najciekawszych odkryć, które pośrednio przyczyniło się do tajemniczego znaleziska w kraterze Van Serga, dokonano drugiego dnia, w małym, głębokim kraterze, nazwanym Mikrus. Kiedy Schmitt wysiadł z Rovera, żeby zbadać krawędź Mikrusa, ze zdumieniem stwierdził, że pod szarym księżycowym pyłem znajduje się warstwa jaskrawopomarańczowego gruntu. Cernan był tak zaskoczony, że podniósł pomarańczowy daszek hełmu, by się upewnić, że to nie złudzenie optyczne.

Schmitt pośpiesznie zrobił wykop i okazało się, że głębiej pomarańczowy grunt przybiera kolor jaskrawoczerwony.

W Centrum Kontroli Lotów Kosmicznych w Houston wywiązała się ożywiona dyskusja nad tym, skąd się wziął ten grunt dziwnej barwy i jakie to może mieć znaczenie. Poproszono astronautów, by pobrali podwójną próbkę rdzeniową. Schmitt wykonał polecenie, po czym obaj astronauci udali się pieszo na krawędź krateru Mikrus, gdzie stwierdzili, że ciało uderzające upadło na identyczną pomarańczową warstwę gruntu, widoczną teraz wzdłuż boków krateru.

W Houston chcieli mieć próbki materii księżycowej również z tego miejsca. I dlatego astronauci uwzględnili w swoim planie badawczym mały, bezimienny krater w pobliżu Mikrusa; zamierzali się do niego udać trzeciego dnia pobytu na Księżycu. Schmitt nadał kraterowi nazwę „Krater Van Serga" na cześć

profesora geologii, poznanego na Harvardzie i publikującego humorystyczne utwory pod pseudonimem „Profesor Van Serg".

–Trudno mi się utrzymać na zakrętach – żartował. – Bardzo trudno utrzymać dobrze biodra.

Cernan przekoziołkował kilka razy w powietrzu i wylądował w głębokiej warstwie pyłu, nie

odnosząc szwanku.

Nim dotarli do Krateru Van Serga, obaj byli wykończeni. Jechali pojazdem księżycowym przez teren pokryty głazami wielkości

piłki nożnej, wyrzuconymi z krateru. Schmitt uznał, że skalne bloki wyglądają jakoś dziwnie.

–Nie jestem pewien, co się tutaj wydarzyło – powiedział. Wszystko pokrywała gruba warstwa pyłu.

Nie było ani śladu pomarańczowego gruntu, którego szukali.

Zatrzymali pojazd księżycowy i przeszli przez rumowisko, by dotrzeć do krawędzi krateru. Schmitt znalazł się tam pierwszy i złożył meldunek Centrum Kontroli Lotów Kosmicznych w Houston:

–To duży krater o masywnej krawędzi. Ale krawędź też pokrywa pył, który częściowo zasypał

również skały. Widzę go także na dnie i na ścianach. W samym środku krateru znajduje się sterta bloków o

średnicy jakichś pięćdziesięciu metrów… Może trochę przesadziłem… O średnicy około trzydziestu

metrów.

Dołączył do niego Cernan.

–Jasna cholera! – wykrzyknął, patrząc na osobliwy krater. Schmitt meldował dalej:

–Skały są tutaj bardzo popękane, podobnie jak ściany krateru. Ale nie zobaczył pomarańczowego gruntu, którego wypatrywał, jedynie szare księżycowe skały, wśród nich wiele impaktytów, powstałych w wyniku eksplozji ciała uderzającego. Wyglądało to na zwykły krater sprzed sześćdziesięciu, siedemdziesięciu milionów lat. Centrum nie kryło swego rozczarowania. Niemniej jednak Schmitt i Cernan zaczęli zbierać próbki i umieszczać je w ponumerowanych torbach.

–Skały są bardzo popękane – powtórzył Schmitt, obracając próbki w rękach. – Łuszczą się. Weźmy tę, będzie najbardziej przydatna dla celów dokumentacji. I może tamtą, która leży koło ciebie.

Cernan wziął próbkę, a Schmitt nabrał na łopatkę próbkę kolejnej skały.

–Masz torbę?

–Torba numer pięćset sześćdziesiąt osiem.

–Wydaje mi się, że to róg bloku opisanego przez Gene'a. Schmitt wyciągnął kolejną pustą torebkę.

–Weźmy jeszcze jedną próbkę ze środka głazu.

–Z łatwością pobiorę ją szczypcami – odparł Cernan. Schmitt omiótł wzrokiem okolice i dostrzegł kolejną skałę, która wzbudziła jego zainteresowanie – dziwny odłamek, długości około dwudziestu pięciu centymetrów, w kształcie tabliczki.

–Powinniśmy wziąć ją w takim stanie, w jakim jest – oświadczył Cernanowi, chociaż widać było,

że ledwo się zmieści w torbie na pojedynczą próbkę. Podnieśli okruch szczypcami.

–Przytrzymam z tej strony – zaproponował Cernan, kiedy próbowali umieścić próbkę w torbie. – A ty nasuń na nią torbę. – Zawahał się, patrząc uważnie. – Widzisz te białe drobinki? – Wskazał kilka białych odłamków, tkwiących w skale.

–Tak – powiedział Schmitt, dokładnie oglądając próbkę. – Wiesz co, to mogą być fragmenty ciała uderzającego. Bo nie wygląda to na… To nie skały podłoża. Dobra. Dawaj to.

Kiedy skała była już w torbie, Schmitt spytał:

–Jaki numer?

–Czterysta osiemdziesiąt – odparł Cernan, odczytując numer wydrukowany z boku. W Centrum Kontroli Lotów w Houston zaczęto się niecierpliwić, że astronauci tyle czasu mitrężą w

Kraterze Van Serga, kiedy się okazało, że nie ma tam pomarańczowego gruntu. Poproszono Cernana, żeby opuścił krater i zrobił kilka zdjęć Masywu Północnego pięćsetmilimetrowym obiektywem. Schmitt miał w tym czasie przeprowadzić oględziny warstwy pouderzeniowej wokół Krateru Van Serga. Obaj astronauci od blisko pięciu godzin spacerowali po Księżycu. Schmitt pracował wolno, złamała mu się łopatka do pobierania próbek gruntu – pył księżycowy znów przypomniał o

swoim istnieniu. Nadeszło polecenie z Houston, by przerwać dalsze oględziny miejsca i przygotować się do opuszczenia krateru. Kiedy dotarli do pojazdu księżycowego, przeprowadzili końcowe pomiary grawimetryczne, pobrali ostatnią próbkę gruntu księżycowego i wrócili do ładownika. Nazajutrz Cernan i Schmitt wystartowali z krateru Littrow w górach Taurus jako ostatni ludzie (przynajmniej jak do tej pory), którzy chodzili po Księżycu. Dziewiętnastego grudnia 1972 roku Apollo 17 szczęśliwie wylądował na Ziemi.

Próbka gruntu księżycowego numer czterysta osiemdziesiąt trafiła do pozostałych trzystu osiemdziesięciu pięciu kilogramów skał księżycowych, przywiezionych na Ziemię w ramach programu Apollo, przechowywanych w Laboratorium Próbek Księżycowych w Ośrodku Kosmicznym imienia Johnsona w Houston w stanie Teksas. Osiem miesięcy później, po zakończeniu programu Apollo, laboratorium zamknięto, a wszystko, co w nim przechowywano, przekazano do nowo wzniesionego, supernowoczesnego Magazynu Próbek i Laboratorium Badawczego na terenie Ośrodka Kosmicznego imienia Johnsona.

W ciągu tych ośmiu miesięcy przed przeniesieniem gruntu księżycowego do nowego laboratorium skała znana jako próbka gruntu księżycowego numer czterysta osiemdziesiąt zniknęła. Mniej więcej w tym samym czasie usunięto z katalogu komputerowego i kartoteki wszelkie wzmianki o tym znalezisku.

Jeśli dziś ktoś uda się do Magazynu Próbek i Laboratorium Badawczego i będzie chciał uzyskać informację w bazie danych rejestru próbek gruntu księżycowego, po wpisaniu hasła „LS480” wyświetli mu się na monitorze następujący komunikat:

ZAPYTANIE: LS480

?›ZŁY NUMER/NIE MA TAKIEGO NUMERU PROSZĘ SPRAWDZIĆ NUMER PRÓBKI GRUNTU KSIĘŻYCOWEGO I SPRÓBOWAĆ PONOWNIE

CZĘŚĆ PIERWSZA

LABIRYNT 1

STEM WEATHERS wgramolił się na szczyt Mesa de los Viejos, przywiązał swego osiołka do suchego jałowca, a sam usiadł na zakurzonym głazie. Oddychając ciężko, otarł bandaną pot z karku. Wiatr, stale wiejący na górze płaskiego wzniesienia, szarpał mu brodę i stanowił przyjemną odmianę po gorącym, nieruchomym powietrzu, zalegającym w kanionach.

Stern wydmuchał nos i schował bandanę z powrotem do kieszeni. Patrząc na znajome, charakterystyczne elementy krajobrazu, w duchu wymieniał ich nazwy. Kanion Daggett, Skały Zachodu Słońca, Krawędź Nawahów, Płaskowyż Sieroty, Mesa del Yeso, Kanion Snajpera, Błękitna Ziemia, La Cuchilla, badlandy Echo, Białe Miejsce, Czerwone Miejsce i Kanion Tyranozaura. Drzemiący w nim artysta rozkoszował się niesamowitą krainą w kolorach złota, różu i fioletu; ale geolog widział szereg płaskowyżów z uskokami tektonicznymi z okresu górnej kredy, nachylonych, popękanych, obnażonych, zniszczonych przez upływ czasu, jakby dawno temu obrócono te okolice w perzynę, zostawiając rumowisko jaskrawo ubarwionych bloków skalnych.

Weathers wyciągnął z zatłuszczonej kieszonki kamizelki paczkę tytoniu Buli Durham i skręcił papierosa sękatymi, czarnymi od brudu palcami; paznokcie miał połamane i pożółkłe. Potarł zapałkę o nogawkę spodni, zapalił skręta i głęboko się zaciągnął. Przez ostatnie dwa tygodnie wydzielał sobie tytoń, ale teraz mógł zaszaleć.

Całe dotychczasowe życie Sterna stanowiło prolog do tego pełnego wrażeń tygodnia.

Jego los w ułamku sekundy się odmieni. Stern pogodzi się ze

swoją córką Robbie, przywiezie ją tutaj i pokaże jej swoje znalezisko. Robbie wybaczy mu jego obsesje, jego brak stabilizacji życiowej, jego wieczne nieobecności. Tym znaleziskiem Stern się zrehabilituje. Nigdy nie mógł dać Robbie tego, czego inni ojcowie nie żałowali swoim córkom – pieniędzy na studia, samochód, czynsz. Teraz nie będzie już musiała dorabiać jako kelnerka w Czerwonym Homarze, bo on sfinansuje pracownię artystyczną oraz galerię, o których marzyła.

Weathers spojrzał spod przymrużonych powiek na słońce. Do zachodu zostały dwie godziny. Jeśli zaraz nie wyruszy w drogę powrotną, nie dotrze przed zmrokiem nad rzekę Chama. Salt, jego osiołek, nie pił przez cały dzień, a Weathers nie chciał zostać na tym pustkowiu z martwym zwierzęciem. Przyglądał się osłu drzemiącemu w cieniu, z uszami położonymi po sobie, poruszającemu wargami, jakby śniło mu się coś niemiłego. Weathers niemal poczuł miłość do złośliwej, starej bestii.

Zgasił papierosa i wsunął peta do kieszeni. Pociągnął łyk z manierki, zwilżył wodą bańdanę i przetarł nią twarz i szyję, by się ochłodzić. Przerzucił manierkę przez ramię, odwiązał osiołka i

poprowadził go na wschód przez płaskowyż z piaskowca. Czterysta metrów dalej Mesa de los Viejos, Płaskowyż Starców, przecinał przyprawiający o zawrót głowy kanion Joaquin. Prowadził ku zawiłej sieci wąwozów, zwanych Labiryntem, a potem zygzakiem docierał do rzeki Chama.

Weathers spojrzał w dół. Dno kanionu spowijał błękitny cień, zupełnie jakby znajdowało się pod wodą. Tam gdzie parów zakręcał i biegł na zachód pomiędzy Płaskowyżem Sieroty a Płaskowyżem Psa, dostrzegł w odległości ośmiu kilometrów szeroką gardziel Labiryntu. Słońce padało na pochylone iglice i ostańce u wejścia do niego.

Przyglądał się uważnie krawędzi, aż znalazł ledwo widoczny szlak, wiodący na dno. Ścieżka była zdradliwa, w wielu miejscach prowadziła przez osuwiska, zmuszając wędrowca do okrążania stromych zboczy o wysokości trzystu metrów. Jedyna droga wiodąca od rzeki Chama do płaskowyżów na wschodzie zniechęcała wszystkich z wyjątkiem najbardziej nieustraszonych.

Co bardzo odpowiadało Weathersowi.

Ostrożnie schodził w dół zbocza i poczuł ulgę, kiedy dotarł do

wyżłobionego przez wodę zagłębienia w dnie kanionu. Joaquin Wash zaprowadzi go do wejścia do Labiryntu, a stamtąd nad rzekę Chama. Nad zakolem Chamy powstało naturalne obozowisko; tu rzeka skręcała w prawo, tworząc piaszczystą mierzeję. Można też było w tym miejscu popływać. Kąpiel… dobry pomysł. Jutro po południu będzie już w Abiquiú. Najpierw zadzwoni do Harry'ego Dearborna (kilka dni temu wyczerpała mu się bateria w telefonie), żeby go poinformować… Weathersa aż dreszcz przeszedł na myśl o przekazaniu nowiny.

Szlak w końcu doprowadził go na dno wąwozu. Weathers uniósł wzrok. Ściana kanionu była czarna, ale późnopopołudniowe słońce świeciło nad jej krawędzią. Znieruchomiał. Trzysta metrów wyżej stał jakiś człowiek, którego sylwetka wyraźnie odcinała się na tle nieba, i przyglądał mu się.

Zaklął pod nosem. Był to ten sam człowiek, który podążał za nim z Santa Fe na pustkowie Chama dwa tygodnie temu. Tacy ludzie wiedzieli o niezwykłym talencie Weathersa. Byli zbyt leniwi lub głupi, by samodzielnie prowadzić poszukiwania, i mieli nadzieję, że przyjdą na gotowe. Przypomniał sobie mężczyznę: chudzielec na motorze, pozujący na harleyowca. Jechał za nim przez Espańole, Abiquiú i Ranczo Upiora, trzymając się dwieście metrów w tyle, nawet nie próbując się ukrywać. Tego samego typka widział na początku swojej wyprawy na pustkowie. Z głową przewiązaną chustą, podążał za nim pieszo od rzeki Chama do Joaquin Wash. Weathers zgubił go w Labiryncie i dotarł na szczyt Płaskowyżu Starców, nim motocyklista odnalazł drogę.

Dwa tygodnie później tamten znów się pojawił – uparty sukinsyn.

Stem Weathers najpierw przyjrzał się uważnie meandrom Joaquin Wash, a potem skalnym iglicom u wejścia do Labiryntu. Znów zgubi go w Labiryncie. I może tym razem łobuz zabłądzi na dobre.

Szedł dnem kanionu, od czasu do czasu oglądając się za siebie. Mężczyzna jednak, zamiast podążać

za nim, zniknął. Może myślał, że zna szybszą drogę w dół.

Weathers się uśmiechnął, bo nie było innego szlaku, prowadzącego na dno wąwozu.

Po godzinie wędrówki wzdłuż Joaquin Wash poczuł, że minęły mu złość i niepokój. Ten gość to amator. Nie pierwszy raz jakiś głupiec podążał za nim na pustynię jedynie po to, by zabłądzić. Wszyscy oni chcieli być tacy jak Stern, ale na próżno. On poświęcił temu zajęciu całe swoje życie i miał szósty zmysł. To jedyne wyjaśnienie. Nie wyczytał tego w podręczniku ani nie nauczył się na studium podyplomowym, ale i tak nie mogli mu dorównać wszyscy ci doktorzy, uzbrojeni w mapy geologiczne i zobrazowania powierzchni Ziemi, uzyskane dzięki radarom z apertura syntetyczną w paśmie C. Odnosił sukcesy tam, gdzie oni przegrywali, a miał do dyspozycji jedynie osła i wykonany chałupniczym sposobem georadar, w którym za rejestrator służył mu poczciwy IBM 286. Nic dziwnego, że go nienawidzili.

Weathers odzyskał dobry humor. Ten łobuz nie zepsuje mu najwspanialszego tygodnia jego życia. Osioł przystanął, Weathers nalał trochę wody do kapelusza, dał się zwierzęciu napić, a potem przekleństwami zmusił je do dalszego marszu. Labirynt był tuż-tuż, niebawem tam dotrą. W głębi Labiryntu, w pobliżu Dwóch Skał, była rzadko tu występująca woda. Ściekała ze skalnej półki, porośniętej adiantum, do prastarego zbiornika, wyżłobionego w piaskowcu przez Indian. Weathers postanowił rozbić obóz tam, a nie nad zakolem rzeki Chama, gdzie będzie stanowił łatwy cel. Lepiej dmuchać na zimne.

Okrążył wielką skalną kolumnę u wejścia. Nad nim wznosiły się trzystumetrowej wysokości ściany kanionu ze zwietrzałego piaskowca, majestatyczna Formacja Entrada, sprasowane pozostałości pustyni jurajskiej. W kanionie panował chłód i cisza jak we wnętrzu gotyckiej katedry. Wciągnął głęboko w płuca powietrze przesycone zapachem tamaryszku. W górze, w miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi, ostańce zmieniały barwę ze srebrzystobiałej na złotą.

Zapuścił się w plątaninę wąwozów, tam gdzie Wiszący Kanion łączył się z Kanionem Meksykańskim – było to pierwsze z wielu odgałęzień. Nawet mapa na nic by się nie zdała w Labiryncie. A głębokość parowów sprawiała, że GPS i telefony satelitarne stawały się bezużyteczne.

Pierwsza kula trafiła Weathersa w ramię od tyłu. Bardziej to przypominało cios pięścią niż postrzał. Padł na ręce i nogi, kompletnie zaskoczony. Dopiero kiedy rozległ się huk i odbił się echem od ścian kanionów, dotarło do niego, że ktoś do niego strzelił. Jeszcze nie czuł bólu, tylko odrętwienie, ale zobaczył

roztrzaskaną kość, sterczącą z rozerwanej koszuli, i krew na piasku.

Jezu Chryste.

Kiedy z trudem się podniósł, druga kula wzbiła piasek tuż obok niego. Strzały padały z góry i na prawo od niego. Musiał wrócić do kanionu odległego o dwieście metrów i skalnej kolumny. Tylko za nią mógł się ukryć. Popędził co sił w nogach.

Trzecia kula wzbiła piasek przed nim. Weathers biegł, uznawszy, że nadal nie jest bez szans. Napastnik zaatakował go z góry, zajmie mu kilka godzin zejście na dół. Jeśli Weathers dotrze do tej

kamiennej kolumny, może uda mu się umknąć. Może nawet przeżyje. Biegł zygzakiem, czuł nieznośny ból

w płucach. Pięćdziesiąt metrów, czterdzieści, trzydzieści…

Usłyszał strzał dopiero wtedy, gdy poczuł, że kula trafiła go w krzyż, i zobaczył własne wnętrzności, wypadające na piasek. Siła bezwładności rzuciła go na ziemię. Próbował wstać, szlochając i drapiąc pazurami, wściekły, że ktoś ukradnie jego znalezisko. Skręcał się z bólu, skowycząc, ściskał notes, pragnąc go wyrzucić, ukryć, zniszczyć, by nie wpadł w ręce zabójcy. Ale nie miał go gdzie schować, a potem jakby pogrążył się we śnie, nie mógł już myśleć, nie mógł się poruszyć…

2

Tom bRGADBENT ściągnął konia. Cztery strzały przetoczyły się wzdłuż Joaquin Waśh. Padły w jednym z głębokich kanionów na wschód od rzeki. Zaintrygowało go to. Sezon łowiecki już się skończył, a nikt przy zdrowych zmysłach nie strzelałby w tych wąwozach do celu.

Spojrzał na zegarek. Ósma. Słońce dopiero co skryło się za horyzontem. Miał wrażenie, że odgłosy wystrzałów dobiegły od strony kilku ostańców u wylotu Labiryntu. Dotarcie tam na koniu zajmie mu nie więcej niż piętnaście minut. Zdąży pojechać i wrócić. Wkrótce na niebie pojawi się księżyc w pełni, a jego żona, Sally, i tak nie spodziewa się go przed północą.

Zawrócił Knocka, swojego konia, w górę kamienistego koryta i ku wylotowi kanionu, podążając za świeżymi śladami piechura i osła. Kiedy wyłonił się zza zakrętu, ujrzał przed sobą na ziemi ciemną sylwetkę mężczyzny leżącego na brzuchu.

Podjechał do niego, zeskoczył z siodła i uklęknął przy nim. Serce mu waliło jak młotem. Mężczyzna, postrzelony w plecy i ramię, wciąż krwawił. Tom wymacał tętnicę szyjną, ale nie wyczuł pulsu. Przewrócił rannego na wznak, a wtedy i reszta jego wnętrzności wypadła na ziemię.

Szybko otarł z piasku twarz mężczyzny i zastosował sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Pochylił się nad rannym i zrobił mu masaż serca, tak energicznie naciskając klatkę piersiową, że niemal połamał mu żebra. Raz, dwa, znów sztuczne oddychanie. Z rany wydobyły się bąbelki powietrza. Tom kontynuował reanimację, po chwili ponownie sprawdził tętno.

Nie do wiary: serce znów zaczęło bić. Nagle mężczyzna uniósł powieki i zaczął się wpatrywać w Toma niebieskimi oczami w pokrytej kurzem,

spalonej słońcem twarzy. Z trudem zaczerpnął powietrza, jego oddech był chrapliwy. Poruszył ustami. – Nie… Ty sukinsynu… –

Szerzej otworzył oczy, na jego ustach pojawiły się kropelki krwi.

–Spokojnie – powiedział Tom. – To nie ja strzelałem.

Ranny przyjrzał mu się uważniej i przerażenie malujące się na jego twarzy zastąpiła nadzieja.

Mężczyzna przeniósł wzrok na swoją rękę, jakby chciał coś wskazać.

Tom powiódł oczami za spojrzeniem mężczyzny i zobaczył, że ranny ściska w dłoni mały, oprawiony w skórę notes.

–Weź… – wychrypiał mężczyzna.

–Proszę nic nie mówić.

–Weź to…

Tom wziął notes. Okładka lepiła się od krwi.

–To dla Robbie – wykrztusił ranny, wykrzywiając usta z wysiłku.

–Mojej córki… Proszę obiecać, że pan go jej odda… Będzie wiedziała, jak to odszukać…

–To?

–…skarb…

–Proszę teraz o tym nie myśleć. Zabiorę pana stąd. Tylko musi się pan trzymać… Mężczyzna gwałtownie uczepił się drżącą ręką koszuli Toma.

–To dla niej… Dla Robbie… Proszę jej to dać… Nikomu innemu… Nikomu innemu, a przede wszystkim nie policji… Musi mi pan… obiecać.

–Zdumiewająco mocno szarpnął koszulę Toma – ostatkiem sił konającego.

–Obiecuję.

–Proszę powiedzieć Robbie… że ją…

Jego wzrok zmętniał. Dłoń zwolniła uścisk i osunęła się. Tom zauważył, że mężczyzna przestał

również oddychać.

Znów przystąpił do reanimacji. Na próżno. Po dziesięciu minutach daremnych wysiłków rozwiązał bandanę mężczyzny i zakrył nią twarz zmarłego.

Dopiero wtedy dotarło do niego, że zabójca nadal musi być gdzieś blisko. Przeszukał wzrokiem krawędź kanionu i rumowisko. Panowała absolutna cisza, jakby skały postanowiły uczcić pamięć zmarłego. *Gdzie jest zabójca?* Nie widział w pobliżu innych śladów poza tymi, które zostawił poszukiwacz skarbów i jego osioł. Zwierzę stało sto metrów dalej, wciąż objuczone, i spało. Morderca ma broń i znajduje się gdzieś wyżej. Możliwe, że nawet w tej chwili obserwuje Broadbenta.

Trzeba stąd wiać. Wstał, ujął wodze, dosiadł konia i ścisnął mu boki. Koń ruszył galopem dnem kanionu, okrążywszy wejście do Labiryntu. Dopiero kiedy Tom się znalazł w połowie wyschniętego Joaquin Wash, pozwolił przejść koniowi w kłus. Wielka, pyzata twarz księżyca wisiała na wschodnim niebie, oświetlając piaszczyste koryto.

Jeśli pogna co koń wyskoczy, za dwie godziny będzie w Abiquiu.

3

JIMSON „CHUDZIELEC" Maddox szedł dnem kanionu, pogwizdując „Gorączkę sobotniej nocy". Był w wyśmienitym humorze. Karabin AR-15, rozłożony i wyczyszczony, starannie ukrył w szczelinie, którą następnie zamaskował kamieniami.

Pustynny kanion zakręcił raz, potem drugi. Weathers, próbując dwukrotnie tej samej sztuczki, starał siego zgubić w Labiryncie. Stary łobuz mógł wystrychnąć na dudka Jimsona A. Maddoksa raz. Ale nigdy dwa razy.

Maszerował na swoich tyczkowatych nogach wzdłuż wyżłobionego przez wodę koryta, pokonując kolejne metry. Nawet uzbrojony w mapę i GPS, spędził większą część tygodnia, krążąc po Labiryncie, nie mogąc się z niego wydostać. Ale nie były to stracone dni: dobrze poznał Labirynt i sporą część pobliskiego płaskowyżu. Miał czas, by zaplanować zasadzkę na Weathersa – i bezbłędnie zrealizował swój zamiar.

Wciągnął w płuca lekko pachnące powietrze kanionu. Te okolice niewiele się różniły od Iraku, gdzie służył jako sierżant artylerii podczas operacji Pustynna Burza. Jeśli gdzieś istniało przeciwieństwo więzienia, to właśnie tu – nikt człowieka nie osaczał, nikt nie stał naprzeciwko, żadni pędzie, Latynosi ani czarnuchy nie zakłócali spokoju. Sucho, pusto i cicho.

Okrążył kamienny filar u wejścia do Labiryntu. Mężczyzna, którego zastrzelił, leżał na ziemi; w półmroku widział jego ciemną sylwetkę.

Zatrzymał się. Świeże ślady końskich podków prowadziły do nieboszczyka, a potem zawracały. Ruszył biegiem.

Martwy leżał na wznak, z rękami wzdłuż ciała, z twarzą zakrytą bandaną. Ktoś tu był. Może ów ktoś nawet wszystko widział. Teraz konno udał się prosto na policję.

Maddox zmusił się do zachowania spokoju. Nawet jeśli ów tajemniczy gość jedzie na koniu, zajmie mu parę godzin dotarcie do Abiquiu i przynajmniej jeszcze kilka godzin sprowadzenie tutaj policji. Gdyby postanowili tu przylecieć, będą musieli ściągnąć helikopter z leżącego sto trzydzieści kilometrów na południe Santa Fe. Maddox miał przynajmniej trzy godziny, by zabrać

notes, ukryć zwłoki i zmyć się stąd.

Przeszukał nieboszczyka, wywracając mu kieszenie i opróżniając jego mały plecak. Wymacał w kieszeni zabitego kawałek skały, wyjął go i obejrzał uważnie w świetle latarki. Nie ulegało wątpliwości, że to próbka, coś, o co Corvus wyraźnie prosił.

Teraz notes. Nie zważając na krew i wnętrzności, znów przeszukał trupa, przekręcił go, przeszukał z drugiej strony, a potem kopnął, wściekły. Rozejrzał się dookoła. Osiołek zabitego stał sto metrów dalej, wciąż objuczony, i drzemał.

Maddox rozwiązał linę i ściągnął siodło juczne. Gwałtownie rozerwał płócienne juki i wysypał ich zawartość na piasek. Okazało się, że były w nich najróżniejsze rupiecie: jakieś prowizoryczne urządzenie elektroniczne, młotki, dłuta, mapy geologiczne Stanów Zjednoczonych, przenośny zestaw GPS, dzbanek do kawy, patelnia, puste worki na prowiant, para pęt, brudna bielizna, stare baterie i złożony kawałek pergaminu.

Maddox rozłożył pergamin. Okazało się, że to z grubsza naszkicowana mapa z niezdarnie zaznaczonymi szczytami, rzekami, skałami, jakimiś liniami przerywanymi, starymi hiszpańskimi nazwami. A w samym środku widniał wyraźny krzyżyk.

Prawdziwa mapa prowadząca do skarbu.

Dziwne, że Corvus o niej nie wspomniał.

Złożył zatłuszczony pergamin, wsunął go do kieszeni koszuli i wrócił do szukania notesu. Poruszając się na czworakach, macał rękami ziemię w ciemnościach, przetrząsnął wysypany sprzęt i zapasy, znalazł wszystko, co potrzebne poszukiwaczowi – z wyjątkiem notesu.

Znów przyjrzał się urządzeniu elektronicznemu. Jakieś barachło własnej roboty, powgniatane metalowe pudło z szeregiem przełączników, tarcz i małym ekranem diodowym. Corvus nie wspomniał o nim, ale chyba było ważne. Lepiej je też zabrać.

Znów wrócił do poszukiwań. Rozwiązywał brezentowe worki, wysypywał z nich mąkę i fasolę, macał sakwy, czy nie mają ukrytych przegródek, oderwał podszewkę siodła jucznego. Ale

nigdzie nie było notesu. Znów podszedł do trupa i trzeci raz przeszukał przesiąknięte krwią ubranie, by wymacać prostokątny przedmiot. Ale znalazł jedynie zatłuszczony ogryzek ołówka w prawej kieszeni koszuli nieboszczyka.

Usiadł na ziemi, w głowie mu pulsowało. Czyżby notes zabrał mężczyzna na koniu? Pojawił się tu przypadkiem czy też nie? Nagle przyszła mu do głowy straszna myśl: ten jeździec na koniu to jego konkurent. Robił to samo co Maddox: śledził Weathersa, mając nadzieję obłowić się na jego znalezisku. Może zabrał notes.

Cóż, Maddox ma mapę. I uznał, że mapa jest równie ważna jak notes, jeśli nie ważniejsza.

Powiódł wzrokiem dookoła, spojrzał na trupa, krew, osiołka, rozsypany dobytek zabitego. Gliniarze już jadą. Całą siłą woli zapanował nad oddechami i biciem serca, wykorzystując techniki medytacyjne, których nauczył się w więzieniu. Robił wdechy i wydechy, poskramiając walenie w piersi, aż przemieniło się w delikatne pulsowanie. Po jakimś czasie się uspokoił. Wciąż ma mnóstwo czasu. Wyciągnął z kieszeni próbkę skały, przyjrzał się jej w świetle księżyca, potem wyjął mapę. Ma próbkę i jeszcze to urządzenie elektroniczne. Corvus powinien być zadowolony.

A teraz Maddox musi pogrzebać trupa.

4

PORUCZNIK JIMMIE Wilier siedział w policyjnym helikopterze zmęczony jak diabli, czując w każdej kości wibracje obracających się wirników. Spojrzał w dół, na upiorny nocny krajobraz, przesuwający się pod nimi. Pilot śmigłowca leciał wzdłuż rzeki Chama, której każde zakole mieniło się jak ostrze bułata. Mijali małe miejscowości na brzegu, o których istnieniu świadczyły skupiska świateł – San Juan Pueblo, Medanales, Abiquiu. Od czasu do czasu na szosie numer osiemdziesiąt cztery pojawiał się samochód, rozcinając ciemności wąskim snopem żółtego światła. Na północ od zbiornika wodnego Abiquiu już nic nie mąciło ciemności; zaczynały się tam góry i kaniony Chama oraz rozległy płaskowyż, niezamieszkany do granicy z Kolorado.

Wilier pokręcił głową. Strasznie zostać tu zamordowanym.

Pomacał paczkę marlboro w kieszeni koszuli. Był zły, że w środku nocy wyciągnięto go z łóżka, zły, że musiał wezwać jedyny śmigłowiec policyjny z Santa Fe, zły, że nie udało im się złapać lekarza sądowego, zły na swojego własnego zastępcę, który wyłączywszy telefon komórkowy, bawił w kasynie Złotych Miast, przepuszczając swoją żałosną pensję. Na dodatek godzina lotu helikoptera kosztowała sześćset dolarów, co obciążało jego budżet. A to dopiero pierwszy lot. Trzeba będzie udać się na miejsce zbrodni jeszcze raz z lekarzem sądowym i ekipą dochodzeniową, nim zabiorą zwłoki i zabezpieczą dowody. Potem jeszcze cały ten szum… Może, pomyślał z nadzieją Wilier, to zabójstwo jest wynikiem porachunków między handlarzami narkotyków i trafi tylko do kroniki wypadków w „New Mexican".

Tak, najlepiej, gdyby miało to związek z narkotykami.

–Tam jest Joaquin Wash. Proszę skręcić na wschód – powiedział Broadbent do pilota. Wilier

obrzucił spojrzeniem mężczyznę, który zepsuł mu wieczór. Był wysoki, szczupły, miał na nogach

zniszczone kowbojskie buty, jeden skleił srebrną taśmą izolacyjną.

Helikopter odbił od rzeki.

–Może pan obniżyć maszynę?

Pilot zmniejszył pułap lotu, jednocześnie zwalniając, i Willer zobaczył krawędzie kanionu, zalane

światłem księżycowym. Kanion przypominał rozpadlinę bez dna. Upiorne okolice.

–Labirynt jest tuż pod nami – powiedział Broadbent. – Ranny leżał u samego wylotu, tam gdzie

Labirynt łączy się z kanionem Joaquin.

Pilot jeszcze bardziej zwolnił i zatoczył koło śmigłowceib. Księżyc znajdujący się prawie bezpośrednio nad nimi oświetlał większą część dna kanionu. Willer nie widział nic poza srebrzystym piachem.

Posadź maszynę na tamtym równym spłachetku ziemi.

Już się robi.

Śmigłowiec zawisnął w powietrzu, a potem zaczął się obniżać. Lądując, wzbił obłok pyłu wypełniającego wyschnięte koryto rzeki. Po chwili helikopter znieruchomiał, kurz opadł, dudniący łoskot wirników ucichł.

–Zostanę w maszynie – powiedział pilot. – Róbcie, co do was należy.

–Dzięki, Freddy. Pierwszy wygramolił się Broadbent, a za nim wysiadł Willer. Pobiegł zgarbiony, osłaniając oczy

przed pyłem, aż znalazł się poza zasięgiem wirnika helikoptera. Dopiero wtedy się zatrzymał, wyprostował, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego.

Broadbent szedł przodem. Willer włączył swoją maglite i omiótł nią okolice.

–Proszę nie podeptać żadnych śladów – zawołał do Broadbenta. – Nie chcę, żeby czepiali się mnie ludzie z dochodzeniówki. – Oświetlił latarką wlot do kanionu. Nie zobaczył tam nic, tylko równe jak stół, piaszczyste dno wąwozu między dwoma ścianami z piaskowca.

–Co tam jest?

–Labirynt – odparł Broadbent.

–Co to takiego?

–Sieć kanionów przecinających Mesa de los Viejos. Łatwo można tam zabłądzić, panie poruczniku.

–Nie wątpię. – Oświetlał okolice. – Nie widzę żadnych śladów.

–Ja też nie. Ale muszą gdzieś tutaj być.

–Proszę iść przodem.

Ruszył wolno za Broadbentem. Księżyc świecił tak jasno, że latarka była właściwie niepotrzebna, a

nawet przeszkadzała. Zgasił ją.

–Wciąż nie widzę żadnych śladów. – Spojrzał przed siebie. Kanion, skąpany w świetle księżyca,

sprawiał wrażenie zupełnie pustego. Jak okiem sięgnąć, żadnych skał czy zarośli, śladów stóp ani trupa.

Broadbent się zawahał, rozglądając się dookoła. Willera ogarnęły złe przeczucia.

–Ranny leżał tutaj. A ślady podków mojego konia powinny być wyraźnie widoczne tam… Willer nic nie powiedział. Pochylił się, zgasił niedopałek w piasku i schował peta do kieszeni.

–Ranny leżał tutaj. Jestem tego pewien. Willer włączył latarkę i omiótł nią okolice. Nic. Zgasił ją i wyjął kolejnego papierosa.

–Osioł stał tam – ciągnął Broadbent. – Jakieś sto metrów dalej. Nie było śladów, nie było trupa, nie było osła, nic, tylko pusty kanion, skąpany w świetle księżyca.

–Jest pan pewien, że wskazuje właściwe miejsce? – spytał Willer.

–Absolutnie.

Willer wsunął kciuki za pasek i obserwował Broadbenta, który krążył, wpatrując się w ziemię. Był wysoki, poruszał się zgrabnie. W mieście mówili, że jest krezusem – ale z bliska wcale nie wyglądał na bogatego w tych zniszczonych starych butach i koszuli z Armii Zbawienia.

Willer splunął. Było tu z tysiąc kanionów, mieli środek nocy – Broadbent przyprowadził go nie do tego kanionu, co trzeba.

–Jest pan pewien, że to tu?

–Tak, tuż u wylotu tego kanionu.

–Może nie tego kanionu?

–Wykluczone. Willer na własne oczy widział, że w przeklętym kanionie niczego nie ma. Księżyc świecił tak jasno,

że było widno jak w południe.

–Cóż, teraz nic tu nie ma. Ani śladów, ani trupa, ani krwi. Nic.

–Panie poruczniku, nieboszczyk leżał tutaj.

–Panie Broadbent, nie mamy tu czego dłużej szukać.

–Zamierza pan zrezygnować? Willer wziął głęboki oddech.

–Nie, ale uważam, że powinniśmy tu wrócić rano, kiedy będzie więcej widać. – Nie straci

opanowania przy tym facecie.

–Niech pan spojrzy tutaj! – zawołał Broadbent. – Wygląda, jakby ktoś wyrównał piasek.

Willer spojrzał na mężczyznę. Za kogo się on, u diabła, uważa, żeby mu rozkazywać?

–Nie widzę żadnych śladów popełnienia przestępstwa. Za śmigłowiec płacę sześćset dolarów za godzinę. Wrócimy jutro z mapami, urządzeniem GPS… i znajdziemy właściwy kanion.

–Chyba mnie pan nie zrozumiał, poruczniku. Nigdzie się stąd nie ruszę, póki nie rozwiążę tej zagadki.

–Niech pan robi, jak pan uważa. Zna pan drogę powrotną. –

Willer się odwrócił, podszedł do helikoptera i wsiadł do niego.

–Wracamy. Pilot zdjął słuchawki.

–A on?

–Zna drogę powrotną.

–Daje panu jakieś znaki. Willer zaklął pod nosem, patrząc na ciemną postać, stojącą kilkaset metrów od śmigłowca.

Mężczyzna machał rękami, by zwrócić na siebie uwagę policjanta.

–Wygląda, jakby coś znalazł – powiedział pilot.

–Boże Wszechmogący. – Willer wysiadł z helikoptera i podszedł do Broadbenta, który odgarnął

suchy piasek. Pod nim ukazała się warstwa czarnego, wilgotnego, lepkiego. Willer głośno przełknął ślinę, wyjął latarkę i ją zapalił. – Jezu… – jęknął, cofając się o krok. – Jezu.

5

„CHUDZIELEC" MADDOX kupił w sklepie Seligmana przy Trzydziestej Czwartej Ulicy niebieską jedwabną marynarkę, jedwabne spodenki bokserskie i szare spodnie, a do tego białą koszulkę bawełnianą, jedwabne skarpetki i włoskie buty. Włożył wszystko na siebie w przymierzalni. Zapłacił własną kartą American Express – swoją pierwszą w życiu, z przodu było wytłoczone „Jimson A. Maddox" oraz rok wydania: 2005 – i wyszedł na ulicę. Nowe ubranie nieco zmniejszyło podenerwowanie, które go ogarnęło na myśl o rychłym spotkaniu z Corvusem. Zabawne, strój potrafi sprawić, że człowiek uważa się za kogoś zupełnie innego. Napiął mięśnie pleców, poczuł, jak tkanina się napręża. Ważniejszego, znacznie ważniejszego.

Złapał taksówkę, podał kierowcy adres i auto pomknęło na północ.

Dziesięć minut później znalazł się w wyłożonym boazerią gabinecie doktora laina Corvusa. W jednym kącie okazałego pomieszczenia, którego okna wychodziły na Central Park, znajdował się zamurowany kominek z różowego marmuru. Młody Brytyjczyk stał obok swego biurka, nerwowo przeglądając jakieś papiery.

Maddox przystanął w progu, z dłońmi złożonymi przed sobą, czekając na powitanie. Corvus był jak zwykle rozdrażniony, cienkie usta miał mocno zaciśnięte, broda mu sterczała niczym dziób łodzi, czarne włosy zaczesał do tyłu, co – tak przynajmniej przypuszczał Maddox – było teraz modne w Londynie. Miał na sobie dobrze skrojony, ciemnoszary garnitur i świeżo wyprasowaną koszulę firmy Turnbull and Asser -z kołnierzykiem na guziczki – a do tego krwistoczerwony jedwabny krawat.

Oto gość, pomyślał Maddox, któremu bardzo by się przydała znajomość technik medytacji.

Corvus przerwał sortowanie papierów i spojrzał znad okularów.

–Proszę, proszę, czyż to nie Jimson Maddox prosto z frontu? – Jego głos zabrzmiał jeszcze bardziej afektowanie niż zwykle.

Corvus był mniej więcej w jego wieku, miał trzydzieści kilka lat, ale mężczyźni diametralnie się różnili. Zupełnie jakby pochodzili z

różnych planet. Dziwne, kiedy pomyśleć, że poznali się dzięki tatuażowi.

Corvus wyciągnął rękę i Maddox ją ujął. Uścisk dłoni Corvusa nie był ani za krótki ani za długi, ani za słaby, ani za mocny. Maddox z trudem ukrył wzruszenie.

Oto człowiek, który go wyciągnął z Pelican Bay.

Corvus ujął Maddoksa za łokieć i podprowadził go do fotela w głębi gabinetu, przed atrapą kominka. Następnie podszedł do drzwi, powiedział coś sekretarce, przekręcił klucz w zamku i usiadł naprzeciwko swojego gościa, nerwowo to krzyżując nogi, to je rozprostowując, aż uznał, że przybrał

wygodną pozycję. Nachylił się, jego twarz przecięła powietrze jak tasak rzeźniczy. Oczy mu błyszczały.

–Cygaro?

–Rzuciłem palenie.

–Bardzo rozsądnie. Ale ja mogę zapalić?

–Naturalnie. Corvus wyjął cygaro ze szkatułki, uciął koniec, zapalił. Zaciągnął się, aż cygaro porządnie się

rozżarzyło, potem wyjął je z ust i spojrzał na Maddoksa przez zasłonę dymu.

–Cieszę się, że cię widzę, Jim.

Maddoksowi podobało się to, że Corvus zawsze poświęcał mu całą uwagę, rozmawiał z nim jak

równy z równym, traktował go jak porządnego faceta. Corvus poruszył niebo i ziemię, żeby wyciągnąć go z mamra; ale wystarczy jeden jego telefon, by Maddox znów tam wrócił. Te dwa fakty wywoływały silne, sprzeczne emocje, z którymi Maddox jeszcze się nie uporał.

–No więc? – rzucił Corvus, rozsiadając się wygodnie i wypuszczając z ust kłąb dymu. Coś w zachowaniu Corvusa zawsze wywoływało w Maddoksie nerwowość. Wyjął z kieszeni mapę.

–Znalazłem to w plecaku tego gościa. Corvus wziął mapę i zmarszczywszy czoło, rozłożył ją. Maddox czekał na gratulacje. Ale zobaczył,

jak Corvus robi się czerwony na twarzy. Gwałtownie cisnął mapę na stolik. Maddox się pochylił, żeby ją wziąć.

–Daj sobie z nią spokój – powiedział tamten ostrym tonem. – Jest bezwartościowa. Gdzie notes?

Maddox nie odpowiedział od razu.

–No więc było tak… Pojechałem za Weathersem na płaskowyże, ale zgubiłem go. Czekałem dwa

tygodnie na jego powrót. Przez ten czas przygotowałem na niego zasadzkę i kiedy znów się pojawił,

zabiłem go.

Zapadła pełna napięcia cisza.

–Zabiłeś go?

–Tak. Chciał pan, żeby gość pobiegł do gliniarzy, rozgłosił wszystkim, że przypisał pan sobie jego odkrycie czy jak to pan nazywa? Proszę mi wierzyć, że facet musiał zginąć.

Zapadło niezręczne milczenie.

–A notes?

–Rzecz w tym, że nie znalazłem notesu. Tylko mapę. I to. – Z torby, którą przyniósł, wyciągnął metalową obudowę z przełącznikami i ekranem diodowym i położył na stoliku.

Corvus nawet nie raczył na to spojrzeć.

–Nie znalazłeś notesu? Maddox głośno przełknął ślinę. – Nie.

–Przecież musiał go mieć przy sobie.

–Nie miał. Zastrzeliłem go, stojąc na krawędzi kanionu. Musiałem przejść osiem kilometrów, by

dotrzeć na jego dno. Zajęło mi to prawie dwie godziny. Nim

znalazłem się przy trupie, ktoś mnie uprzedził,

jakiś inny poszukiwacz, liczący na to, że bez wysiłku się wzbogaci. Gość przyjechał na koniu, wszędzie

widoczne były ślady podków. Przeszukałem trupa i jego osła, przetrząsnąłem cały dobytek. Nie znalazłem

notesu. Wziąłem wszystko, co miało jakąś wartość, zatarłem ślady i zakopałem ciało Weathersa.

Corvus odwrócił wzrok.

Kiedy uporałem się z trupem, próbowałem podążyć śladem tamtego drugiego, ale go zgubiłem. Na szczęście nazajutrz gazety podały jego nazwisko. Mieszka na ranczu na północ od Abiquiu, z zawodu jest podobno weterynarzem, nazywa się Broadbent. – Urwał.

–Broadbent zabrał notes – oświadczył beznamiętnie Corvus.

–Też tak myślę, dlatego zasięgnąłem o nim języka. Jest żonaty, dużo jeździ konno po okolicy. Wszyscy go znają. Mówią, że jest bogaty, chociaż nie wygląda na takiego.

Corvus utkwił wzrok w Maddoksie.

–Zdobędę dla pana ten notes, doktorze Corvus. A mapa? Myślałem, że…

–To falsyfikat. Znów zaległo milczenie.

–A to metalowe pudło? – spytał Maddox, wskazując urządzenie, które zabrał z worka jucznego, przytroczonego do siodła osła Weathersa. – Wygląda mi to na komputer. Może na twardym dysku…

–To część urządzenia do badania gruntu, skleconego chałupniczym sposobem przez Weathersa. Nie ma twardego dysku… Dane były w notesie. Dlatego zależało mi na notesie, a nie na tej bezwartościowej mapie.

Maddox odwrócił wzrok, nie mogąc wytrzymać spojrzenia Corvusa. Wsunął rękę do kieszeni i wyjąwszy z niej kawałek skały, położył go na szklanym stoliku.

–Weathers miał przy sobie również to.

Corvus gapił się na skałę. Zmienił się na twarzy. Wyciągnął rękę i ostrożnie ujął próbkę w dłoń.

Wyjął z biurka lupę i uważnie obejrzał okruch. Minęła jedna długa minuta, potem druga. W końcu Corvus uniósł wzrok. Maddoksa zaskoczył wyraz twarzy mężczyzny. Już nie był spięty, oczy mu błyszczały. Jego oblicze stało się niemal ludzkie.

–To… bardzo cenne. – Corvus wstał, podszedł do biurka, wyciągnął z szuflady plastikową torebkę.

Z niezwykłym pietyzmem umieścił w niej odłamek skały, jakby to był klejnot.

–To próbka, prawda? – spytał Maddox.

Corvus się pochylił, otworzył szufladę i wyjął z niej gruby plik banknotów studolarowych,

przewiązanych gumką.

–Nie musi pan tego robić, doktorze Corvus. Jeszcze mi zostały pieniądze z…

Mężczyzna wykrzywił cienkie usta.

–Na nieprzewidziane wydatki. – Wcisnął plik banknotów Maddoksowi do ręki. – Wiesz, co masz

robić.

Maddox schował pieniądze do kieszeni marynarki.

–Do widzenia panu, panie Maddox.

Maddox odwrócił się i sztywno podszedł do drzwi, które Corvus już otworzył i przytrzymywał dla

niego. Kiedy go mijał, poczuł, jak piecze go skóra na karku. Chwilę później Corvus zatrzymał Maddoksa, kładąc mu dłoń na ramieniu. Ścisnął je trochę za mocno, by uznać to za objaw wdzięczności. Maddox poczuł, jak mężczyzna nachyla się do niego i szepcze mu prosto do ucha, wyraźnie wymawiając sylaby.

–No-tes.

Puścił jego ramię i Maddox usłyszał, jak drzwi cicho się za nim zamykają. Przeszedł przez pusty

sekretariat i znalazł się w labiryncie korytarzy. Broadbent. Dopadnie tego sukinsyna.

TOM BUJAŁ SIĘ na krześle i czekał, aż kawowe fusy opadną na dno blaszanego imbryka, stojącego na kuchence. Czerwcowy wietrzyk zaszeleścił liśćmi topoli, porywając z drzew puch tworzący w powietrzu śnieżnobiałe kłaczki. Tom widział przez podwórze konie w swoich boksach, trącające nosami tymotkę, którą Sally im przyniosła rano.

Weszła Sally w nocnej koszuli. Kiedy stanęła przed przesuwanymi, szklanymi drzwiami, oświetliło ją wschodzące słońce. Pobrali się niespełna rok temu i wszystko było dla nich wciąż nowe. Patrzył, jak bierze z kuchenki blaszany dzbanek do kawy, zagląda do niego, krzywi się i odstawia go z powrotem.

–Nie mogę uwierzyć, że w taki sposób zaparzasz kawę. Tom przyglądał się jej z uśmiechem.

–Wyglądasz uroczo dziś rano. Uniosła wzrok i odgarnęła z twarzy złote włosy.

–Postanowiłem, że dziś Shane sam popracuje w klinice – powiedział Tom. – Mamy tylko jedno

zgłoszenie: jakiś koń w Espańoli cierpi na kolkę.

Położył nogi na taborecie i obserwował, jak Sally parzy dla siebie kawę, ubija mleko na pianę, dodaje łyżeczkę miodu, by na koniec posypać wszystko z wierzchu odrobiną sypkiej ciemnej czekolady. Był to jej poranny rytuał i Tom nie krył swojej fascynacji, przyglądając się żonie.

–Shane zrozumie. Prawie wcale nie spałem przez tę… tę historię w Labiryncie.

–Policja nie ma żadnych hipotez?

–Nie. Brak trupa, brak motywu, nie zgłoszono niczyjego zaginięcia… Mają tylko kilka wiader przesiąkniętego krwią piasku.

Sally się skrzywiła.

–A więc jakie masz plany na dziś? – spytała.

Usiadł prosto, krzesło z głuchym stukotem opadło na wszystkie

cztery nogi. Sięgnął do kieszeni i

wyjął podniszczony notes. Położył go na stole.

–Zamierzam odszukać Robbie, gdziekolwiek jest, i jej to oddać. Sally zmarszczyła czoło.

–Tom, nadal uważam, że powinieneś to przekazać policji.

–Obiecałem.

–Nie wolno ukrywać dowodów przed policją.

–Kazał mi obiecać, że nie oddam tego policji.

–Prawdopodobnie łamał prawo, prowadząc jakieś lewe interesy.

–Być może, ale dałem obietnicę umierającemu człowiekowi. Poza tym nie mogłem się zmusić, by

wręczyć to temu policjantowi, Willerowi. Nie zrobił na mnie wrażenia szczególnie bystrego gościa.

–Złożyłeś obietnicę pod presją. Nie musisz jej spełnić.

–Gdybyś widziała rozpacz na twarzy tego mężczyzny, zrozumiałabyś mnie. Sally westchnęła.

–A więc jak zamierzasz odszukać tę tajemniczą córkę?

–Pomyślałem sobie, że zacznę od Sunset Mart, sprawdzę, czy nie zatrzymał się tam, żeby kupić benzynę albo coś do jedzenia. Może przejadę się kilkoma leśnymi drogami w poszukiwaniu jego samochodu.

–Z przyczepką na konie.

–No właśnie.

Znów ujrzał twarz konającego mężczyzny. Nigdy nie zapomni tego widoku; przypomniała mu się

śmierć jego własnego ojca. To rozpaczliwe trzymanie się życia, nawet podczas tych ostatnich sekund, wypełnionych bólem i strachem, kiedy nie ma już nadziei. Niektórzy ludzie nie potrafią

pogodzić się ze śmiercią.

–Chyba spotkam się też z Benem Peekiem – powiedział Tom. – Wiele lat buszował po tamtych kanionach. Może będzie wiedział, kim był ten gość albo jakiego skarbu szukał.

–Dobry pomysł. A w notesie nie ma nic?

–Nic z wyjątkiem cyfr. Żadnych nazwisk ani adresów, tylko sześćdziesiąt stron liczb… i dwa ogromne wykrzykniki na końcu.

–Myślisz, że naprawdę znalazł skarb?

–Widziałem to w jego oczach.

Wciąż brzmiało mu w uszach rozpaczliwe błaganie mężczyzny. Głęboko go to poruszyło, może

dlatego, że nadal miał świeżo w pamięci śmierć ojca. Jego ojciec, wielki i budzący strach Maxwell Broadbent, też był swego rodzaju poszukiwaczem – rabusiem grobów, kolekcjonerem, handlarzem artefaktami. Chociaż był surowym rodzicem, jego śmierć pozostawiła ogromną wyrwę w psychice Toma. Konający poszukiwacz skarbów, brodaty, o przenikliwych, niebieskich oczach, nawet mu przypominał ojca. Wiedział, że to nonsens szukać jakichś analogii, ale i tak coś mu mówiło, że obietnica, którą złożył nieznajomemu mężczyźnie, jest święta. – Tom? Zamrugał powiekami.

–Znów miałeś tę zagubioną minę.

–Przepraszam. Sally dopiła kawę, wstała i opłukała filiżankę w zlewie.

–Wiesz, że dokładnie rok temu znaleźliśmy ten dom?

–Naprawdę?

–Nadal ci się tu podoba?

–Zawsze marzyłem o czymś takim. Tu, na pustkowiu w pobliżu Abiquiu, u stóp góry Pedernal, znaleźli to, o czym marzyli: małe

ranczo z końmi, ogrodem, stajniami wyścigowymi dla dzieci, z praktyką weterynaryjną dla Toma -wiejskie życie z dala od miejskiego zgiełku i skażonego środowiska, bez konieczności

stania codziennie w korkach w drodze do pracy. Jego praktyka weterynaryjna dobrze się rozwijała. Zaczęli do niego dzwonić nawet zrzędliwi starzy ranczerzy. Pracował głównie na świeżym powietrzu, poznał wspaniałych ludzi, pomagał koniom, które tak kochał.

Chociaż musiał przyznać, że jego obecne życie jest trochę za spokojne.

Znów zaczął myśleć o poszukiwaczu skarbów. On i jego notes były znacznie bardziej interesujące niż wlanie na siłę czterech litrów nafty jakiemuś krnąbrnemu, rozdętemu koniowi o jeleniej szyi i szczurzym ogonie na ranczu Dude'a Gilderhusa w Espanoli, faceta słynącego w okolicy z tego, że ma okropne konie i charakter. Jednym z plusów bycia szefem jest możliwość zwalania nieprzyjemnej roboty na pracownika. Nie robił tego często, więc nie miał wyrzutów sumienia. Albo tylko niewielkie…

Znów uważnie przyjrzał się notesowi. Najwyraźniej zawierał jakąś zaszyfrowaną wiadomość, każdą stronę wypełniały szeregi i kolumny cyfr, zapisanych niezwykle starannym pismem. Bez skreśleń i poprawek, jakby przepisano je z jakiegoś źródła, cyferkę po cyferce.

Sally wstała i objęła go ramieniem. Jej włosy opadły mu na twarz, wciągnął ich zapach. Pachniały szamponem i nią.

–Obiecaj mi jedno – poprosiła.

–Co?

–Bądź ostrożny. Ten człowiek zapłacił życiem za znaleziony przez siebie skarb.

MELODIE CROOKSHANK, specjalista pierwszego stopnia, otworzyła colę. Pociągnęła łyk, rozglądając się w zamyśleniu po laboratorium w suterenie. Kiedy poszła na studium podyplomowe z geochemii na Columbii, całkiem inaczej wyobrażała sobie swoją przyszłą karierę zawodową: przedzieranie się przez las deszczowy w stanie Quintana Roo i sporządzanie mapy krateru Chicxulub; albo obozowanie na legendarnym stanowisku geologicznym Bajn Dzak na pustyni Gobi i wykopywanie jaj dinozaurów; albo wygłaszanie odczytu bezbłędną francuszczyzną przed urzeczonymi słuchaczami w Musée d'Histoire Naturelle w Paryżu. Tymczasem trafiła do tego pozbawionego okien laboratorium w suterenie i wykonuje nudne badania laboratoryjne dla pozbawionych polotu naukowców, którzy nawet nie zadają sobie trudu, by zapamiętać, jak się nazywa, a wielu z nich ma iloraz inteligencji dwa razy niższy od niej. Przyjęła tę pracę, kiedy jeszcze studiowała, tłumacząc sobie, że to chwilowe zajęcie, póki nie skończy pisać rozprawy doktorskiej i nie dostanie stałego etatu na uczelni. Ale pięć lat temu zrobiła doktorat, od tamtej pory wysłała setki – tysiące – podań, na które nie dostała odpowiedzi. Sytuacja na rynku pracy była beznadziejna, każdego roku sześćdziesięciu nowych absolwentów uczelni ubiegało się o kilka wolnych etatów, co przypominało zabawę w komórki do wynajęcia – gdy muzyka przestawała grać, większość osób pozostawała bez swojego miejsca. W takim ponurym nastroju otwierała „Mineralogy Quarterly" na stronie z nekrologami i w jej serce wstępowała nadzieja, gdy czytała o przedwczesnej śmierci profesora zajmującego stały etat, kierującego katedrą, kochanego przez studentów, nagradzanego i odznaczanego, prawdziwego pioniera w swojej dziedzinie. *Najwyższy czas.*

Z drugiej strony, Melodie była niepoprawną optymistką i w głębi duszy wiedziała, że pisane jest jej dokonanie czegoś wyjątkowego, więc nadal wszędzie wysyłała swój życiorys i nadal ubiegała się

wszystkie etaty, jakie się zwolniły. Trzeba też uczciwie przyznać, że nie mogła narzekać na swoje obecne zajęcie: w laboratorium miała święty spokój, była samodzielnym pracownikiem, jedyne, co musiała zrobić, żeby się stąd wyrwać, to zamknąć oczy i przenieść się w przyszłość, do rozległej i cudownej krainy, gdzie ją czeka wielka przygoda, gdzie dokona wspaniałych odkryć,

dostąpi najwyższych zaszczytów dostanie stały etat na uczelni.

Melodie znów otworzyła oczy, by spojrzeć na swoje laboratorium o ścianach z pustaków, w którym cicho brzęczały świetlówki i bezustannie szumiała klimatyzacja, na półki zastawione wydawnictwami encyklopedycznymi, szafki wypełnione próbkami minerałów. Nawet warta milion dolarów aparatura, która kiedyś przyprawiała ją o dreszcz, dawno zdążyła jej spowszednieć. Przeniosła wzrok z monstrualnej mikrosondy elektronowej JEOL JXA-733, wykorzystującej do analiz promieniowanie rentgenowskie, na

Epsilon 5, uniwersalny spektrometr rentgenowski z dyspersją energii, w którym wykorzystano trójwymiarową polaryzację fal, z lampą rentgenowską o mocy 600 W (100 kV) z anodą Gd, a potem na mikroskop elektronowy prześwietleniowy Watson 55, komputer Power Mac G5, wyposażony w dwa chłodzone wodą dwurdzeniowe procesory, pracujące z częstotliwością do 2,5 GHz, dwa badawcze mikroskopy petrograficzne, mikroskop polaryzacyjny Meiji, cyfrowe aparaty fotograficzne, sprzęt do przygotowywania preparatów łącznie z tarczami diamentowymi do krojenia próbki na plasterki, szlifierkami, polerkami oraz napylarkami…

No i po co to wszystko, jeśli dostawała do analizy tylko jakieś badziewie?

Melodie wyrwało z zadumy ciche brzęczenie, świadczące o tym, że ktoś wszedł do jej pustego laboratorium. Z pewnością kolejny asystent kustosza, który poprosi o analizę jakiejś szarej skały do referatu naukowego, którego nikt nie przeczyta. Czekała z nogami na biurku, z colą w ręku, aż intruz wyłoni się zza węgła.

Wkrótce usłyszała miarowy stukot eleganckiego obuwia o wyłożoną linoleum podłogę i pojawił się szczupły, wytworny mężczyzna w odlotowym granatowym garniturze – doktor Iain Corvus.

Szybko zdjęła nogi z biurka, jednocześnie jej krzesło z głośnym stukiem opadło na cztery nogi. Odgarnęła włosy z twarzy i zarumieniła się. Kustosze prawie nigdy nie przychodzili do laboratorium, uważając, że jest poniżej ich godności zadawanie się z personelem technicznym. Ale oto, cóż za niespodzianka, stał przed nią Corvus we własnej osobie, wspaniale się prezentując w

garniturze z Savile Row i ręcznie szytych butach Williams and Croft – a przy tym przystojny, choć wywołujący gęsią skórkę, jak Jeremy Irons.

–Melodie Crookshank?

Była zdumiona, że nawet wie, jak ona się nazywa. Spojrzała na jego pociągłą, uśmiechniętą twarz,

olśniewające zęby, włosy czarne jak noc. Materiał jego garnituru szeleścił lekko przy każdym ruchu.

–Zgadza się – powiedziała po chwili starając się przybrać swobodny ton. – Jestem Melodie

Crookshank.

–Bardzo się cieszę, że panią zastałem. Nie przeszkadzam?

–Nie, nie, skądże znowu. Właśnie sobie siedziałam. – Zaczerwieniła się i poczuła jak skończona idiotka.

–Czy mógłbym oderwać panią od innych zajęć i poprosić o analizę tej próbki? – Wyciągnął torebkę i zamachał nią, błyskając zębami w uśmiechu.

–Naturalnie.

–Będzie to swego rodzaju wyzwanie. Jest pani gotowa?

–No pewnie.

Corvus miał opinię wyniosłego, nawet aroganckiego, ale teraz zachowywał się niemal figlarnie.

–Tylko my będziemy o tym wiedzieli. Po chwili milczenia Melodie spytała podejrzliwie:

–Jak to? Wręczył jej próbkę. Zobaczyła ręcznie zapisaną karteczkę, wsuniętą do torebki, z informacją:

Nowy Meksyk, próbka nr 1.

–Chciałbym, żeby sporządziła pani analizę tej próbki bez pytania, skąd pochodzi ani co może zawierać. Pełną analizę mineralną, krystalograficzną, chemiczną i strukturalną.

–Nie ma sprawy.

–Ale stawiam jeden warunek. Chcę to utrzymać w tajemnicy. Proszę niczego nie zapisywać ani na kartce, ani na twardym dysku. Po zakończeniu testów proszę skopiować wyniki na płytę kompaktową i usunąć wszystkie informacje z komputera. Płyty proszę zawsze trzymać zamknięte na klucz w szafce na próbki. Proszę nikomu nie mówić, co pani robi, ani z nikim nie omawiać wyników analiz. Proszę kontaktować się bezpośrednio ze mną. – Rzucił jej kolejny zniewalający uśmiech. – Zgadza się pani?

Crookshank poczuła miłe łaskotanie, wywołane tą intrygującą prośbą oraz tym, że Corvus postanowił zaufać właśnie jej.

–Nie wiem. Po co ta cała tajemnica?

Corvus nachylił się do niej. Poczuła słaby zapach cygar i tweedu.

–Moja droga Melodie, sama się pani domyśli, kiedy przeprowadzi pani analizy. Jak powiedziałem,

nie chcę, żeby przed przystąpieniem do pracy cokolwiek wiedziała pani o próbce.

Cała ta sprawa zaintrygowała ją, nawet podnieciła. Corvus należał do ludzi, od których emanuje siła, sprawiających wrażenie, że mogą mieć wszystko, czego tylko zapragną. Jednocześnie wielu kustoszy w muzeum trochę się go bało i nie kryło swojej niechęci do niego, więc cała ta udawana życzliwość tylko utwierdziła ją w przekonaniu, że ma do czynienia z łajdakiem – chociaż trzeba przyznać, że przystojnym i czarującym.

Lekko dotknął dłonią jej ramienia.

–A więc co pani na to, Melodie? Zostaniemy spiskowcami?

–Zgoda. – Właściwie czemu miałaby odmówić? Przynajmniej wiedziała, w co się pakuje. – Na kiedy?

–Jak najszybciej. Ale bez żadnego chodzenia na skróty. Proszę to zrobić z całą starannością.

Skinęła głową.

–Świetnie. Nie wie pani, jakie to ważne. – Uniósł brwi, przechylił

głowę i znów się szeroko

uśmiechnął, kiedy zauważył, jak Melodie przygląda się próbce. – Śmiało. Proszę ją dokładnie obejrzeć.

Skupiła całą uwagę na próbce, zaintrygowana. Był to trzystu-, czterystugramowy okruch brązowej skały. Od razu mogła powiedzieć, co to takiego, przynajmniej ogólnie. Niektóre cechy budowy

strukturalnej były naprawdę niezwykłe. Poczuła, że serce szybciej jej bije. Nowy Meksyk, próbka numer jeden. Zapowiada się niezła zabawa.

Opuściła torebkę, ich spojrzenia się spotkały. Przyglądał się jej bacznie. W świetle jarzeniówek jego jasnoszare oczy zdawały się niemal pozbawione koloru.

–To niewiarygodne – powiedziała. – O ile się nie mylę, to jest…

–Ach! – Delikatnie położył jej palec na ustach i mrugnął porozumiewawczo. – To nasza mała tajemnica. – Zabrał rękę, wstał, jakby zamierzał wyjść, a potem odwrócił się. chyba coś sobie przypomniał. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej długie, aksamitne etui. Wręczył je kobiecie. – Drobiazg w podzięce.

Crookshank wzięła etui. Na wierzchu widniał napis TIFFANY.

Akurat, pomyślała. Otworzyła pudełko i aż ją oślepił blask klejnotów przypominających niebieskie gwiazdy. Zamrugała powiekami. Szafiry gwiaździste. Platynowa bransoletka z szafirami gwiaździstymi. Przyjrzała im się uważniej i natychmiast stwierdziła, że są naturalne, nie syntetyczne. Każdy był inny, każdy z lekką skazą, każdy nieco się różnił od innych kolorem i odcieniem, jedyny w swoim rodzaju. Obróciła etui pod światło, szafiry zamigotały w blasku jarzeniówek.

Z trudem przełknęła ślinę, bo gardło miała ściśnięte. Nikt nigdy nie dał jej niczego takiego. Nigdy. Poczuła, jak ją szczypią oczy. Szybko zamrugała powiekami, wstrząśnięta odkryciem, że tak łatwo się wzrusza.

Powiedziała od niechcenia:

–Niczego sobie zbiór okazów tlenku glinu.

–Miałem nadzieję, że spodobają się pani szafiry gwiaździste, Melodie. Crookshank znów głośno przełknęła ślinę, wpatrując się w bransoletkę, żeby Coryus nie zobaczył

jej oczu. Chyba nigdy nie widziała czegoś równie pięknego jak ta bransoletka. Cejlońskie szafiry gwiaździste, jej ulubione kamienie, każdy inny, powstałe w głębi ziemi dzięki wysokiej temperaturze i ciśnieniu – uosobienie mineralogii. Wiedziała, że daje sobą bezwstydnie i otwarcie manipulować, ale jednocześnie pomyślała: czemu nie? Dlaczego ma nie przyjąć prezentu? Czyż właśnie nie taki jest świat?

Poczuła, jak Corvus kładzie jej dłoń na ramieniu i delikatnieje ściska. Przebiegł ją dreszcz, jakby została porażona prądem. Ku swemu zażenowaniu stwierdziła, że po policzku potoczyła się jej jedna gorąca łza. Gwałtownie zamrugała powiekami, niezdolna do wymówienia choćby słowa, dziękując Bogu, że Corvus stoi za jej plecami i tego nie widzi. Położył drugą dłoń na jej ramieniu i poczuła, jak lekko ściska obydwa ramiona jednocześnie. Czuła na karku jego gorący oddech. Przebiegł ją dreszcz rozkoszy, zapłoniła się i poczuła mrowienie w całym ciele.

–Melodie, jestem pani niezwykle wdzięczny za pomoc. Wiem, jaka jest pani dobra w tym, co pani

robi. Dlatego powierzyłem tę próbkę właśnie pani – i nikomu więcej. Dlatego dałem pani bransoletkę. To

nie łapówka – przynajmniej nie tylko. – Zachichotał, klepiąc ją po ramieniu. – To wyraz mojej wiary w panią, Melodie Crookshank.

Skinęła głową, ale się nie odwróciła w jego stronę. Ściskał, gładził, pieścił jej ramiona.

–Dziękuję pani, Melodie.

–Nie ma sprawy – szepnęła.

KIEDY UMARŁ OJCIEC Toma, zostawiając mu masę pieniędzy, Tom pozwolił sobie na spełnienie jednej tylko zachcianki – kupił samochód: furgonetkę Chevy 3100 z 1957 roku, turkusową z białym dachem, chromowaną osłoną chłodnicy i trzybiegową skrzynią biegów. Kiedyś należała do kolekcjonera samochodów z Albuquerque, prawdziwego fanatyka motoryzacji, który pieczołowicie wyremontował silnik i układ napędowy, sam zrobił części, których nie mógł kupić, i od nowa pochromował wszystko, łącznie z gałkami radia. A na koniec wybił wnętrze najdelikatniejszą kremową koźlą skórką. Biedak zmarł na atak serca, nim mógł się nacieszyć owocem swojej pracy. Tom dowiedział się o aucie z ogłoszenia w Thrifty Nickel. Zapłacił wdowie co do grosza tyle, ile warte było auto -pięćdziesiąt pięć patyków – a i tak uważał, że zrobił świetny interes. Kupił prawdziwe cacko na kółkach.

Zrobiło się południe. Tom był wszędzie, wypytywał w Sunset, sprawdził wszystkie znane sobie leśne drogi w pobliżu płaskowyżów. Na próżno. Dowiedział się jedynie, że podąża śladami policji z Santa Fe, która też chciała sprawdzić, czy ktoś widział zamordowanego mężczyznę, gdy jeszcze żył.

Wyglądało na to, że tajemniczy poszukiwacz skarbów bardzo dokładnie zatarł za sobą ślady, nim padł ofiarą zabójcy.

Tom postanowił odwiedzić Bena Peeka, mieszkającego w zapyziałej osadzie Cerrillos w Nowym Meksyku. Cerrillos, dawne miasto wydobywców złota, okres największej świetności miało już za sobą. Znajdowało się w niecce porośniętej topolami, nieco w bok od głównej szosy. Było to skupisko starych domów z suszonych na słońcu cegieł nad wyschniętym korytem potoku Galisteo. Kopalnie pozamykano kilkadziesiąt lat temu, ale Cerrillos uniknęło losu wymarłego miasta dzięki hipisom, którzy pojawili się tutaj w latach sześćdziesiątych, wykupili opuszczone domki górników i otworzyli w nich pracownie ceramiczne, sklepy z wyrobami skórzanymi i warsztaty makram. Obecnie na ludność miasteczka składała się osobliwa mieszanka dawnych hiszpańskich osadników, niegdyś zatrudnionych w kopalniach, podstarzałych dziwaków i prawdziwie ekscentrycznych oryginałów.

Ben Peek należał do tyen ostatnich. Mieszkał w starym, oszalowanym deskami domu, nie malowanym od pokoleń. Na podwórzu, za pochylonym płotem, stały zardzewiałe maszyny górnicze. W jednym kącie leżał stos izolatorów z fioletowego i zielonego szkła, ściągniętych ze słupów telegraficznych. Szyld, przybity z boku domu, głosił:

SKLEP Z RÓŻNOŚCIAMI WSZYSTKO

NA SPRZEDAŻ *łącznie z właścicielem*

akceptowane wszystkie rozsądne oferty

Tom wysiadł z samochodu. Ben Peek przez czterdzieści lat był zawodowym poszukiwaczem skarbów, póki nie złamał sobie biodra, spadłszy z muła. Chcąc nie chcąc, osiadł w Cerrillos, gdzie trzymał masę rupieci i raczył nieprawdopodobnymi opowieściami każdego, kto miał ochotę go słuchać. Ale ten człowiek o nietuzinkowym wyglądzie miał tytuł magistra geologii. I był prawdziwym specem w tej dziedzinie.

Tom wszedł na krzywy ganek i zapukał. Po chwili zapaliło się światło, pojawiła się twarz zniekształcona przez starą, pofalowaną szybę, a potem otworzyły się drzwi, czemu towarzyszył brzęk dzwonka.

–Tom Broadbent! – Ben ujął dłoń Toma w swoją szorstką rękę i uścisnął ją, omal nie miażdżąc mu

kości.

Peek mierzył nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, ale niepozorną posturę nadrabiał werwą i tubalnym głosem. Policzki pokrywał mu pięciodniowy zarost, wokół żywych, czarnych oczu miał kurze łapki, a czoło tak pobrużdżone, że wiecznie sprawiał wrażenie zdumionego.

–Jak się masz, Ben?

–Okropnie, po prostu okropnie. Wejdź. Przeprowadził Toma przez sklep. Półki wzdłuż ścian uginały się pod stosami kawałków skał,

jakichś żelaznych narzędzi i szklanych buteleczek. Wszystko było na sprzedaż, ale zdaje się, że nigdy niczego tu nie kupiono. Karteczki z cenami pożółkły ze starości. Weszli do pomieszczenia na tyłach domu, które pełniło funkcję kuchni i jadalni. Na podłodze spały psy Peeka, głośno wzdychając przez sen. Gospodarz wziął z kuchenki poobijany dzbanek z kawą, napełnił

nią dwa kubki, pokuśtykał do drewnianego stołu, usiadł z jednego końca i dał znak Tomowi, by zajął miejsce naprzeciwko.

–Cukier? Mleko?

–Nie, dziękuję. Tom przyglądał się, jak Ben wsypuje do swojego kubka trzy kopiaste łyżki cukru, potem jeszcze

trzy łyżki zabielacza, i miesza płyn, który wyglądem przypomina szlam. Tom ostrożnie pociągnął łyk. Kawa okazała się zaskakująco dobra – gorąca, mocna, zaparzona po turecku. Taką lubił.

–Jak Sally?

–Jest niezrównana. Peek pokiwał głową.

–Trafiła ci się cudowna kobieta, Tom.

–Mówisz, jakbym tego nie wiedział. Peek postukał fajką o róg obudowy kominka i zaczął ją nabijać tytoniem Borkum Riff.

–Wczoraj rano czytałem w „New Mexican", że znalazłeś trupa na płaskowyżu.

–W gazecie nie napisali wszystkiego. Mogę liczyć na twoją dyskrecję?

–Jasne. Tom opowiedział Peekowi wszystko, pomijając jedynie fragment z notesem.

–Nie domyślasz się, kim był ten poszukiwacz skarbów? – spytał Peeka, kiedy skończył. Peek prychnął.

–Poszukiwacze skarbów to banda naiwnych półgłówków. W całych dziejach Dzikiego Zachodu nikt nigdy się nie natknął na prawdziwy skarb.

–Jemu się udało.

–Uwierzę, jak sam zobaczę. Nie, nie słyszałem o żadnym poszukiwaczu skarbów, ale to jeszcze nic nie znaczy. Są bardzo skryci.

–Nie domyślasz się, co to za skarb? Zakładając, że istnieje. Peek

chrząknął.

–Szukałem złota i ropy, nie skarbów. To zupełnie co innego.

–Ale spędziłeś tam sporo czasu.

–Dwadzieścia pięć lat.

–Słyszałeś wiele opowieści. Peek zapalił zapałkę i przytknął ją do fajki.

–No pewnie.

–Proszę, opowiedz mi którąś z nich.

–Mówią, że kiedy te ziemie należały jeszcze do Hiszpanów, na północ od Abiquiu była kopalnia złota. Nazywała się El Capitan. Znasz tę historię?

–Nigdy jej nie słyszałem.

–Mówią, że wydobyto prawie dziesięć tysięcy uncji i przetopiono na sztabki opatrzone herbem Kastylii-León. Apacze dokonywali rajdów na te tereny, więc zamiast wywieźć złoto, zamurowano je w jaskini do czasu, aż sytuacja nieco się uspokoi. Ale pewnego razu Apacze najechali kopalnię. Zabili wszystkich z wyjątkiem niejakiego Juana Cabrillo, który akurat udał się do Abiquiu po zaopatrzenie. Po powrocie Cabrillo zastał swych towarzyszy martwych. Wyruszył do Santa Fe i wrócił z oddziałem uzbrojonych ludzi, by zabrać złoto. Ale minęło parę tygodni, podczas których spadły obfite deszcze i miała miejsce gwałtowna powódź. Wygląd okolic się zmienił. Znaleźli kopalnię, obozowisko i trupy swoich zamordowanych przyjaciół. Ale nigdy nie udało im się natrafić na tamtą jaskinię. Juan poświęcił lata na jej poszukiwania, aż kiedyś zniknął na tych płaskowyżach i już nikt nigdy go nie widział. Przynajmniej tak mówią.

–Ciekawe.

–To nie wszystko. W latach trzydziestych ubiegłego wieku niejaki Ernie Kilpatrick w jednym z tych kanionów szukał nie cechowanego cielaka. Rozbił obóz w pobliżu Angielskich Skał, tuż na południe

od badlandów Echo. Twierdził, że kiedy słońce zachodziło, zobaczył tam, gdzie było świeże osuwisko na pobliskim zboczu skalnym, zaraz obok Kanionu Tyranozaura, coś, co wyglądało jak jaskinia. Wspiął się tam i wczołgał do środka. Był to krótki, wąski tunel ze śladami uderzeń oskardów na ścianach. Korytarz prowadził do komory. Niemal padł trupem, kiedy w blasku świecy ujrzał całą ścianę złotych sztabek, opatrzonych herbem Kastylii-León. Wziął jedną i wrócił do Abiquiu. Tamtego wieczoru upił się w saloonie i jak skończony głupiec zaczął pokazywać wszystkim sztabkę. Ktoś poszedł za nim, zastrzelił go i przywłaszczył sobie złoto. Naturalnie Kilpatrick tajemnicę zabrał ze sobą do grobu, a złotej sztabki już nikt nigdy nie ujrzał na oczy.

Wypluł kawałek tytoniu, który przylgnął mu do języka.

–Wszystkie te opowieści o skarbach są identyczne.

–Nie wierzysz w nie?

–W ani jedno ich słowo. – Peek rozsiadł się wygodnie, na nowo zapalił fajkę, pyknął z niej kilka razy i czekał na komentarz.

–Muszę ci powiedzieć, Ben, że rozmawiałem z tym człowiekiem. Natknął się na coś wyjątkowego. Peek wzruszył ramionami.

–Czy mógł znaleźć coś innego niż sztabki z El Capitan?

–Jasne. Występuje tam szereg minerałów i cennych kruszców. Jeśli tego szukał. A może był archeologiem amatorem, buszującym w indiańskich ruinach. Widziałeś jego sprzęt?

–Był w jukach. Nie zauważyłem niczego niezwykłego. Peek chrząknął.

–Jeśli szukał minerałów, mógł znaleźć uran albo molibden. Na uran czasami można się natknąć w górnej warstwie formacji Chinle, występującej w kanionach Tyranozaura i Huckbay oraz wokół Joaquin. Szukałem uranu pod koniec lat pięćdziesiątych, ale nic nie znalazłem. Chociaż, prawdę mówiąc, nie miałem odpowiedniego sprzętu, liczników scyntylacyjnych i tak dalej.

–Dwa razy wymieniłeś Kanion Tyranozaura.

–To ogromny kanion z milionem odgałęzień, przecina badlandy

Echo i ciągnie się aż do gór stołowych. Kiedyś można było w nim znaleźć uran i molibden.

–Czy uran jest dziś wiele wart?

–Nie, jeśli się nie ma nabywcy na czarnym rynku. Agenci FBI z całą pewnością go nie skupują. Już i tak mają tego towaru za dużo.

–A terroryści? Peek pokręcił głową.

–Wątpię, by mogli go wykorzystać. Wymaga wzbogacania, a ten proces to nakłady rzędu miliarda dolarów.

–To może do produkcji brudnych bomb jądrowych?

–Koncentrat rudy uranu i nawet czysty uran prawie nie są radioaktywne. Rozpowszechnione

przekonanie, że uran to niebezpieczny materiał radioaktywny, jest całkowicie błędne.

–Wspomniałeś o molibdenie.

–Za Kanionem Tyranozaura są wychodnie trachyandezytu z oligocenu, w których często spotyka się molibden. Natknąłem się tam na ten kruszec, ale już wyeksploatowano złoże. To, co znalazłem, nie było wiele warte. Może jest tego więcej… Zawsze gdzieś jest więcej.

–Czemu zawdzięcza swoją nazwę Kanion Tyranozaura?

–U samego wylotu znajduje się duża, bazaltowa intruzja, która w taki sposób zwietrzała, że jej górna część przypomina czaszkę tyranozaura *Tyrannosaurus rex.* Apacze nie zapuszczali się w głąb kanionu, twierdzili, że w nim straszy. Właśnie tam mój muł się czegoś przeląkł i mnie zrzucił. Złamałem sobie biodro. Zabrali mnie stamtąd dopiero po trzech dniach. Przyznaję więc, że jeśli owo miejsce nie jest nawiedzane przez duchy, to powinno być. Już nigdy tam nie wróciłem.

–A złoto? Słyszałem, że znalazłeś tam trochę złota. Ben zachichotał.

–Jasne, że tak. Złoto jest przekleństwem dla każdego, kto się na nie natknie. W osiemdziesiątym szóstym n a dnie Maze Wash

znalazłem bryłę kwarcu z żyłkami złota. Sprzedałem ją pośrednikowi za dziewięć tysięcy dolarów, a potem wydałem dziesięć razy tyle, szukając miejsca, z którego się wzięła. Przeklęty fragment musiał się skądś odłupać, ale nigdy nie znalazłem żyły macierzystej. Przypuszczam, że jakoś tam trafił z gór Canjilon, gdzie jest kilka nieczynnych już kopalni złota i dawnych osad górniczych. Jak powiedziałem, złoto nie przynosi szczęścia. Potem trzymałem się od niego z daleka. – Roześmiał się i pyknął dymem z fajki.

–Nie przychodzi ci nic więcej do głowy?

–Ten jego „skarb" to mogły być indiańskie ruiny. Jest tam dużo ruin Anasazi. Kiedyś kopałem w pobliżu nich, sprzedawałem znalezione groty strzał i naczynia. Dziś za ładną czarno-białą miseczkę Chaco można dostać pięć, dziesięć tysięcy. Warte zachodu. No i jest jeszcze Zaginione Miasto Padres.

–A cóż to takiego?

–Tom, mój chłopcze, już ci opowiadałem tę historię.

–Nie.

Peek zaczął głośno ssać fajkę.

–Na przełomie wieków francuski ksiądz, Eusebio Bernard, zabłądził na Mesa de los Viejos w drodze z Santa Fe do Chamy. Próbując odnaleźć drogę, natknął się na olbrzymią osadę indiańską kultury Anasazi w zboczu góry, dużą jak Mesa Verde, przesłoniętą występem skalnym. Były tam cztery wieże, setki domów mieszkalnych, jednym słowem – prawdziwe zaginione miasto. Potem już nigdy nikomu nie udało się do niego trafić.

–To prawdziwa historia? Peek się uśmiechnął.

–Raczej nie.

–A mógł szukać ropy albo gazu?

–Wątpię. Wprawdzie pustkowia Chama znajdują się zaraz na skraju basenu San Juan, jednego z najbogatszych naturalnych złóż gazu na Południowym Zachodzie, ale jest jeden szkopuł: do tej zabawy potrzeba całej ekipy ludzi z sondami sejsmicznymi. Samotny poszukiwacz nie ma szans. – Peek wzruszył popiół w

fajce niezbędnikiem, ubił go i ponownie zapalił. – Jeśli szukał duchów, to cóż, mówią, że jest ich tam całkiem sporo. Apacze twierdzą, że słyszeli ryk tyranozaura.

–Odbiegamy od tematu, Ben.

–Powiedziałeś, że chcesz posłuchać różnych opowieści. Tom uniósł rękę.

–Ale nie o duchach dinozaurów.

–Przypuszczam, że całkiem możliwe, iż ten twój poszukiwacz złóż znalazł skarb z El Capitan. Dziesięć tysięcy uncji złota jest warte… – Peek zmarszczył czoło -…prawie cztery miliony dolarów. Ale trzeba uwzględnić wartość numizmatyczną tych starych hiszpańskich sztabek, opatrzonych herbem Kastylii-León. Do diabła, można za nie dostać przynajmniej dwadzieścia, trzydzieści razy więcej, niż wynosi wartość kruszcu. To pokaźna sumka… Tak czy inaczej, odwiedź mnie ponownie i opowiedz mi coś więcej o tym morderstwie. A ja ci się zrewanżuję historią ducha La Llorony, Płaczki.

–Umowa stoi.

„CHUDZIELEC" MADDOX wyciągnął się w kabinie pierwszej klasy samolotu linii Continental, odbywającego rejs numer czterysta pięćdziesiąt z nowojorskiego lotniska LaGuardia do Albuquerque. Opuścił oparcie skórzanego fotela, uruchomił swojego laptopa i sącząc pellegrino, czekał, aż się załaduje system. Zabawne, pomyślał, jak bardzo przypomina innych mężczyzn w drogich garniturach, stukających w klawisze swoich laptopów. Byłoby zabawnie, naprawdę zabawnie, gdyby wiceprezes czy dyrektor, siedzący obok niego, zobaczyli, czym się zajmuje Maddox.

Maddox zaczął sortować plik odręcznie napisanych listów – mozolnie nagryzmolonych niezatemperowanym ołówkiem na tanim papierze w linię; na wielu kartkach widniały tłuste plamy i odciski palców. Do każdego listu przypięte było zdjęcie typa spod ciemnej gwiazdy, jego autora. Prawdziwa zgraja pechowców.

Wyciągnął pierwszy list, wygładził go, położył na składanym stoliku obok komputera i zaczął czytać.

Szanowny panie Madocks!

Nazywam się Londell Franklin James, mam 34 lata, jestem białym Aryjczykiem z Arundell w Arkansas, mam maczugę długości dwudziestu pięciu centymetrów, twardą jak stal, i szukam blond cizi, nie grubej, pyskatej pindy tylko cizi, która lubi facetów z dużymi maczugami. Poza tym mam metr osiemdziesiąt osiem wzrostu, jestem napakowany, kazałem sobie wydziergać trupią główkę na prawym ramieniu i smoka na klacie. Szukam szczupłej panienki z Południa, wykluczone czarne, Mulatki czy nowojorskie feminazistki. Chodzi mi o normalną, białą Aryjkę z Południa, która wie, jak dogodzić prawdziwemu mężczyźnie, i umie przyrządzić kurczaka z mamałygą. Garuję za skok ze spluwą. Papuga obiecywał, że wystąpi o ugodę, ale skurwiel mnie wykiszkował. Za dwa lata i osiem miesięcy mogę się starać o zwolnienie warunkowe. Chcę, żeby napalona cizia czekała na mnie, gotowa, bym władował w nią swoją armatę do samego końca.

Maddox się uśmiechnął. Ten skurwiel resztę życia spędzi w pierdlu, czy go zwolnią warunkowo, czy nie. Niektórzy po prostu urodzili się, by gnić w mamrze. Zaczął pisać na swoim laptopie:

Nazywam się Lonnie F. James, mam trzydzieści cztery lata, jestem biały, pochodzę z Arundell w stanie Arkansas. Odsiaduję wyrok piętnastu lat więzienia za napad z bronią w ręku, za niespełna trzy lata spodziewam się wyjść na zwolnienie warunkowe. Mam doskonałe warunki fizyczne, mierzę sto

osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, ważę siedemdziesiąt siedem kilogramów. Ćwiczę podnoszenie ciężarów i kulturystykę. Drogie panie, natura mnie bardzo hojnie obdarzyła. Urodziłem się pod znakiem Koziorożca. Na prawym ramieniu mam wytatuowaną trupią główkę, a na piersiach – świętego Jerzego, zabijającego smoka. Szukam filigranowej blondynki o niebieskich oczach i tradycyjnych poglądach, prawdziwej ślicznotki z Południa. Mam poważne zamiary. Chodzi o dziewczynę szczupłą i zgrabną, w wieku do dwudziestu dziewięciu lat, słodką jak koktajl miętowy, ale jednocześnie taką, która potrafi się poznać na prawdziwym mężczyźnie. Lubię muzykę country, dobre jedzenie, futbol zawodowy i długie spacery wiejskimi drogami w mgliste poranki.

Nieźle mi się udało, pomyślał Maddox, czytając list. Słodką jak koktajl miętowy. Przeczytał jeszcze raz, usunął fragment o „mglistych porankach" i zapisał w pamięci komputera. Potem spojrzał na zdjęcie przyczepione do listu. Kolejny typ spod ciemnej gwiazdy: łeb jak bania, gały tak blisko osadzone siebie, jakby je ktoś ścisnął w imadle. Ale i tak zeskanuje zdjęcie i umieści je w witrynie. Wiedział z doświadczenia, że wygląd się nie liczy. Ważne jest to, że Londell Franklin James jest tam, a nie tu. Jako taki zapewnia właściwej kobiecie to, czego pragnie. Kobieta może do niego pisać, wymieniać się z nim erotycznymi liścikami, obiecywać, przysięgać miłość aż po grób, mówić o dzieciach, małżeństwie i przyszłości – a wszystko to nie zmieni faktu, że on jest tam, a ona tutaj. Ma nad nim całkowitą kontrolę. Bo o to w tym wszystkim chodzi – o kontrolę. Poza tym niektóre kobiety podnieca korespondowanie z napakowanym gościem, odsiadującym długi wyrok za napad z bronią w ręku, twierdzącym, że ma kutasa długości dwudziestu pięciu centymetrów. Kto udowodni, że kłamie?

Otworzył nowy dokument i przeszedł do kolejnego listu.

Szanowny panie Maddox!

Szukam kobiety, której mógłbym wysłać swój towar, żeby urodziła moje dziecko…

Maddox się skrzywił i zmiął kartkę, po czym wsunął ją do kieszeni fotela przed sobą. Chryste, prowadzi biuro matrymonialne, a nie bank nasienia. Stworzył Ciężkie Czasy, kiedy pracował w więziennej bibliotece, w której korzystano ze starego komputera IBM 486 do szukania książek w katalogu. Służąc w wojsku jako sierżant artylerii, nauczył się obsługiwać komputery. W dzisiejszych czasach bez pomocy komputera trudno wystrzelić pocisk o kalibrze większym niż dwanaście milimetrów. Maddox się zdziwił, kiedy odkrył, że lubi pracować na komputerze. W przeciwieństwie do ludzi są czyste, bezwonne, posłuszne i nie afiszują się tumiwisizmem. Zaczął od pobierania od więźniów po dziesięć dolców za umieszczenie ich nazwisk i adresów na stworzonej przez siebie stronie internetowej, dzięki czemu mogli znaleźć sobie korespondencyjne przyjaciółki na wolności. Pomysł naprawdę chwycił. Maddox szybko się zorientował, że duże pieniądze można zarobić nie na skazańcach, ale na kobietach. Zdumiało go, jak wiele z nich chciało korespondować z więźniami. Pobierał dwadzieścia dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt dziewięć centów

miesięcznie za członkostwo w Ciężkich Czasach, sto dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów rocznie. Za te pieniądze otrzymywało się nieograniczony dostęp do danych osobowych – łącznie ze zdjęciami i adresami -ponad czterystu więźniów, odsiadujących długie wyroki za wszelkiego rodzaju przestępstwa, od morderstw i gwałtów po porwania i napady z bronią w ręku. Na każdego więźnia przypadały teraz trzy abonentki, bo zarejestrowało się prawie tysiąc dwieście kobiet. Po odjęciu kosztów miał tygodniowo trzysta dolców na czysto.

W głośnikach rozległ się komunikat, że samolot wkrótce wyląduje. Pojawiła się stewardesa i uśmiechając się oraz kiwając głową, poprosiła cicho wszystkich biznesmenów, by wyłączyli laptopy. Maddox schował swój pod fotel i wyjrzał przez okno. W dole przesuwał się szarobury krajobraz Nowego Meksyku. Odrzutowiec zbliżał się do Albuquerque od wschodu. W oddali widać było zbocza gór Sandia, do pewnej wysokości ciemnych od drzew, a wyżej – białych od śniegu. Samolot przeleciał nad górami i znaleźli się nad miastem. Maszyna podchodziła do lądowania. Maddox miał wspaniały widok na wszystko: rzekę, autostrady, skrzyżowanie dróg międzystanowych

1-25 i 1-40, małe domki, ciągnące się aż do pogórza. Przygnębiał go widok takiego skupiska ludzi, wiodących żałosne życie w

swoich nędznych chatynkach. Zupełnie jakby siedzieli w więzieniu.

Nie, poprawił się. Z niczym nie można porównać siedzenia w więzieniu.

Jego umysł zaprzątnęła sprawa, którą miał się zająć. Ogarnęła go fala irytacji. Broadbent. Gość musiał czekać w Labiryncie na odpowiednią chwilę. Ograniczył się do czekania. Maddox odwalił całą robotę, rąbnął faceta, a wtedy pojawił się Broadbent, zabrał notes i zmył się. Skurwiel wszystko popsuł.

Maddox wziął głęboki oddech, zamknął oczy, powtórzył w myślach kilka razy swoją mantrę, próbował medytować. Nie ma sensu tak się denerwować. Sprawa jest prosta. Jeśli Broadbent trzyma notes w domu, to Maddox go znajdzie. Jeśli nie, wymyśli sposób, by mu go odebrać siłą. Ten Broadbent nie ma pojęcia, z kim zadarł. A ponieważ tkwił w tym po uszy, mało prawdopodobne, by zwrócił się o pomoc do policji. Załatwią to między sobą.

Był to winien Corvusowi; Jezu, zawdzięczał mu życie.

Usiadł prosto, kiedy boeing 747 wylądował zgrabnie i miękko, dosłownie muskając ziemię. Maddox uznał to za dobry znak.

10

NASTĘPNEGO RANKA Tom spotkał swojego pracownika, Shane'a McBride'a, przy karuzeli. Shane obserwował kasztanka, stąpającego wkoło. Był Irlandczykiem z South Boston, który poszedł na Yale, ale tak spodobał mu się styl życia na Zachodzie, że teraz bardziej przypominał kowboja od miejscowych. Chodził, głośno tupiąc kowbojkami, zapuścił gęste wąsy, na głowie nosił stetsona z wywiniętym rondem, wokół szyi wiązał spłowiała niebieską bandanę, bez przerwy żuł tytoń. Znał się na koniach, miał poczucie humoru, poważnie traktował swoje obowiązki i był bezgranicznie lojalny. Zdaniem Toma, był idealnym podwładnym.

Shane odwrócił się do Toma, zdjął kapelusz, otarł czoło i uniósł brew.

–No i co myślisz? Tom przyjrzał się ruchom konia.

–Długo tak chodzi?

–Dziesięć minut.

–Zapalenie kości kopytowej. Shane opuścił brew.

–Mylisz się. Zapalenie trzeszczek pęcinowych.

–Stawy pęcin nie są spuchnięte. A zmiany chorobowe – zbyt symetryczne.

–W stadium początkowym zapalenie trzeszczek pęcinowych też może dać symetryczne zmiany. Tom zmrużył oczy, obserwując ruchy zwierzęcia.

–Czyj to koń?

–To Noble Nix z O Bar O. Nigdy wcześniej nie chorował.

–Używany do zaganiania bydła czy pokazów rodeo?

–Do oddzielania pojedynczych sztuk bydła. Tom zmarszczył czoło.

–Może masz rację.

–Może? Nie ma tu cienia wątpliwości. Właśnie wrócił z zawodów

w Amarillo, gdzie wygrał siodło.

Zapalenie to efekt treningu w połączeniu z długą jazdą w przyczepie.

Tom zatrzymał karuzelę, uklęknął, pomacał pęciny konia. Były gorące. Podniósł się.

–Nadal uważam, że to zapalenie kości kopytowej, ale przyznaję, że może to być również zapalenie ostatniego trzonu trzeciego palca trzeszczki pęcinowej.

–Powinieneś być prawnikiem.

–W obu przypadkach leczenie identyczne. Pełny odpoczynek, okresowe polewanie zimną wodą, smarowanie vetisolonem, skórzane owijki na nogi.

–Powiedz mi coś, czego nie wiem. Tom złapał Shane'a za ramię.

–Robisz się coraz lepszy w te klocki, co, Shane?

–Zgadłeś, szefie.

–W takim razie nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli dziś też sam zostaniesz na gospodarstwie?

–Jest tu znacznie ciekawiej, kiedy ciebie nie ma: zimne piwo, *mariacki,* kobitki kręcące gołymi tyłeczkami.

–Tylko nie puść wszystkiego z dymem.

–Wciąż szukasz tej panienki, której tatę zabito w Labiryncie?

–Niezbyt mi dopisuje szczęście. Policja nie może znaleźć zwłok.

–Wcale mnie to nie dziwi. To cholernie duży kraj. Tom skinął głową.

–Gdybym potrafił rozgryźć, co napisał w tym swoim notesie, prawdopodobnie dowiedziałbym się, kim był.

–Prawdopodobnie tak.

Tom powiedział Shane'owi wszystko. Takie panowały między nimi stosunki. A Shane mimo

swojej gadatliwości potrafił zachować pełną dyskrecję.

–Masz go przy sobie? Tom wyciągnął notes z kieszeni.

–Niech zobaczę. – Shane wziął notes i przekartkował go. – Co to jest? Jakiś szyfr?

–Tak. Zamknął notes i przyjrzał się okładce.

–To krew? Tom skinął głową.

–Jezu. Biedaczysko. – Shane oddał mu notes. – Jeśli gliniarze się dowiedzą, że coś przed nimi

ukrywasz, wsadzą cię za kratki.

–Zapamiętam to sobie.

Tom okrążył budynek kliniki, by obejrzeć konie w boksach; szedł, poklepując każde zwierzę,

przyglądając się mu i szepcząc czułe słówka. Potem usiadł za biurkiem, przejrzał rachunki zauważył, że termin płatności niektórych minął. Nie uregulował ich nie z powodu braku pieniędzy, tylko z czystego lenistwa; i on, i Sharie nienawidzili papierkowej roboty. Z powrotem wsunął korespondencję do przegródki na pocztę przychodzącą, nie otworzywszy żadnej koperty. Naprawdę powinien zatrudnić księgowego, żeby zajął się wszystkimi tymi papierzyskami, ale dodatkowe koszty sprawią, że znów wpadną w debet, kiedy po roku ciężkiej harówki doprowadzili do tego, by bilans wyszedł na zero. I nie było ważne, że Tom miał zdeponowane w banku sto milionów dolarów. Nie był taki, jak jego ojciec. Musi sam wypracować zysk.

Odsunął papiery na bok i wyciągnął notes. Otworzył go i położył na stole. Cyfry nie dawały mu

spokoju – był pewien, że zawierają rozwiązanie zagadki tożsamości mężczyzny. I znalezionego przez niego skarbu.

Shane wsunął głowę przez drzwi.

–Jak tam nasz pacjent? – spytał Tom.

–Otrzymał pomoc weterynaryjną i jest w swoim boksie. – Shane się zawahał.

–O co chodzi?

–Pamiętasz tę chorą owcę w klasztorze nad rzeką Chama, do której nas wezwano w zeszłym roku? Tom skinął głową.

–Kiedy tam pojechaliśmy, opowiedziano nam o mnichu, facecie, który kiedyś łamał szyfry dla CIA, a potem rzucił to wszystko i wstąpił do zakonu.

–Coś sobie przypominam.

–Może byś go poprosił, żeby rzucił okiem na ten notes? Tom gapił się na Shane'a.

–To twój najlepszy pomysł w tym tygodniu.

MELODIE CROOKSHANK skorygowała kąt diamentowej tarczy tnącej i zwiększyła obroty. Była to niezwykle precyzyjna zabawka, o czym świadczył czysty, śpiewny podźwięk. Umieściła próbkę na stoliku, unieruchomiła ją w uchwycie, a potem włączyła laminarny przepływ wody. Przez świst tarczy dało się słyszeć bulgotanie, kiedy woda zwilżyła próbkę, wydobywając z niej barwne plamki – żółte, czerwone, ciemnofioletowe. Melodie przeprowadziła ostatnie korekty, włączyła automatyczną kontrolę prędkości i uruchomiła tarczę tnącą.

Kiedy diamentowa tarcza dotknęła próbki, rozległa się prawdziwa muzyka. Po chwili próbka została przepołowiona, ujawniając swoje wnętrze. Z wprawą nabytą w ciągu lat praktyki Melodie umyła ją i osuszyła, po czym odwróciła i umieściła drugą stroną w żywicy epoksydowej na stalowym manipulatorze.

Czekając, aż żywica stwardnieje, przyglądała się bransoletce z szafirów. Powiedziała koleżankom, że to tania błyskotka, i uwierzyły jej. Dlaczego miały nie uwierzyć? Kto by pomyślał, że ona, Melodie Crook-shank, samodzielny technik analityk, zarabiająca całe dwadzieścia jeden tysięcy dolarów rocznie, wynajmująca mieszkanie bez klimatyzacji przy Amsterdam Avenue, samotna i bez pieniędzy, będzie paradowała w bransoletce z dziesięcioma karatami cejlońskich szafirów gwiaździstych? Doskonale wiedziała, że Corvus ją wykorzystuje – taki facet nigdy nie miałby poważnych zamiarów wobec kogoś takiego jak ona. Z drugiej strony, nie przypadkiem powierzył to zadanie właśnie jej. Była dobra, cholernie dobra. Bransoletka stanowiła element składowy czysto handlowej transakcji: była wynagrodzeniem za jej wiedzę i dyskrecję. Nie ma w tym nic nagannego.

Próbka stwardniała. Melodie znów umieściła ją w urządzeniu i przecięła z drugiej strony. W ten sposób otrzymała cieniutki plasterek skały, grubości około milimetra, idealnie równy, bez żadnych rys ani pęknięć. Szybko rozpuściła żywicę, wyjęła plasterek i pocięła go na kilkanaście mniejszych fragmentów. Każdy zostanie poddany innemu badaniu. Wzięła jeden fragment, umieściła w żywicy w innym manipulatorze i tak długo go polerowała, aż powstała śliczna, przejrzysta płytka grubości ludzkiego włosa. Przeniosła preparat na szkiełko i umieściła w

mikroskopie polaryzacyjnym Meiji. Włączyła urządzenie i przytknęła oczy do okularu.

Pokręciła gałkami, by nastawić ostrość, i ujrzała przed sobą całą tęczę barw, całe piękno świata kryształów. Zawsze aż jej zapierało dech, kiedy coś badała mikroskopem polaryzacyjnym. Nawet najbardziej niepozorna skała ukazywała swoją duszę. Melodie ustawiła trzydziestokrotne powiększenie i zaczęła zmieniać polaryzację o trzydzieści stopni, za każdym razem podziwiając nową feerię barw preparatu. Oglądanie próbki pierwszy raz miało na celu dostarczenie wrażeń czysto estetycznych;

przypominało to spoglądanie na okno witrażowe piękniejsze od tego w katedrze w Chartres.

Zmieniając kąt polaryzacji, Melodie czuła, jak serce bije jej coraz szybciej – to była naprawdę niezwykła próbka. Kiedy skończyła, nastawiła na powiększenie studwudziestokrotne. Budowa strukturalna była zachwycająco idealna. Teraz stało się zrozumiałe, skąd ten wymóg zachowania wszystkiego w sekrecie. Jeśli gdzieś było więcej tej skały – a prawdopodobnie tak – utrzymanie badań w tajemnicy miało ogromne znaczenie. To będzie nie lada osiągnięcie, nawet dla kogoś tak wybitnego jak Corvus.

Oderwała oczy od okularu, bo do głowy przyszła jej nowa myśl. Może dzięki temu zapewni sobie stałą posadę na uczelni. Musi tylko rozegrać wszystko jak należy.

KLASZTOR CHRYSTUS NA PUSTYNI znajdował się dwadzieścia pięć kilometrów w górę rzeki Chama, w głębi pustkowia Chama, obok potężnej góry stołowej o pionowych ścianach, Mesa de los Viejos, Płaskowyżu Starców, od którego zaczynała się kraina gór stołowych. Tom jechał do klasztoru bardzo wolno, bolało go serce, że naraża swojego zabytkowego chevroleta na kontakt z jedną z najgorszych dróg w całym Nowym Meksyku. Byłą tak wyboista, że wyglądała jak po nalocie, miejscami przypominała tarę, jazda po niej groziła poluzowaniem wszystkich śrubek w aucie, a kierowcy – utratą zębów. Mówiono, że mnisi nawet byli zadowoleni z jej stanu.

Pod koniec czegoś, co przypominało wyprawę na kraniec świata, Tom dostrzegł wieżę kościelną z wypalanych cegieł, wznoszącą się nad jałowcami i chamisą. Stopniowo ukazały się pozostałe zabudowania klasztoru benedyktynów – skupisko domów z brązowej, suszonej na słońcu cegły, wzniesionych bezładnie na parceli nad obszarem zalewowym rzeki, tuż poniżej miejsca, gdzie Rio Gallina wpada do Rio Chama. Mówiono, że to jeden z najbardziej niedostępnych chrześcijańskich klasztorów na świecie.

Tom zaparkował furgonetkę na placyku i skierował się do małego przyklasztornego sklepu. Czuł się skrępowany, zastanawiał się, jak zwróci się do mnicha o pomoc. Cichy śpiew, dobiegający z kościoła, mieszał się z głośnym skrzekiem stada modrowrońców.

W sklepiku nie było nikogo, ale kiedy Tom otwierał drzwi, rozległ się dzwonek i po chwili z zaplecza wyszedł młody mnich.

–Dzień dobry – powiedział Tom.

–Witam. – Mnich usiadł na wysokim drewnianym taborecie za ladą sklepową. Tom stał niezdecydowany, patrząc na skromne wytwory zakonników: miód, suszone kwiaty,

pocztówki tłoczone ręczną prasą drukarską, rzeźby w drewnie.

Nazywam się Tom Broadbent – przedstawił się, wyciągając rękę. Mnich ją uścisnął. Był niski, drobny, nosił grube okulary.

–Bardzo mi miło. Tom chrząknął. Czuł się bardzo niezręcznie.

–Jestem weterynarzem, w zeszłym roku udzielałem pomocy chorej owcy. Mnich skinął głową.

–Usłyszałem wtedy przypadkiem o mnichu, który kiedyś pracował dla CIA. Mnich znów skinął głową.

–Czy wie brat, o kim mówię?

–O bracie Fordzie.

–No właśnie. Czy mógłbym z nim porozmawiać?

Mnich spojrzał na zegarek, duży, sportowy, z przyciskami i tarczami, który wyglądał dość osobliwie na ręku zakonnika. Tom sam nie wiedział dlaczego. Przecież nawet mnisi muszą wiedzieć, która godzina.

–Właśnie skończyła się seksta. Pójdę po niego.

Zakonnik zniknął. Pięć minut później Tom ku swojemu zdumieniu zobaczył na dróżce potężną

postać w zakurzonych sandałach na ogromnych stopach, z długim kijem w dłoni. Brązowy habit trzepotał przy każdym ruchu mężczyzny. Po chwili drzwi się otworzyły i postawny mnich wkroczył do sklepu, od razu podszedł do Toma i ujął jego dłoń w swoją wielką, ale zdumiewająco delikatną rękę.

–Brat Wyman Ford – przedstawił się chropawym głosem, zupełnie nie pasującym do mnicha.

–Tom Broadbent. Brat Ford nie należał do urodziwych mężczyzn; miał wielką głowę i pobrużdżoną twarz,

przypominającą oblicze Abrahama Lincolna i Hermana Munstera. Nie sprawiał wrażenia specjalnie pobożnego, przynajmniej na pozór, i z całą pewnością nie wyglądał jak typowy mnich, przy swoim blisko dwumetrowym wzroście, z brodą i niesfornymi czarnymi włosami, opadającymi na uszy. Zapanowała niezręczna cisza i Tom znów poczuł skrępowanie.

–Czy moglibyśmy chwilkę porozmawiać?

–Właściwie na terenie klasztoru obowiązuje nas milczenie –

wyjaśnił mnich. – Może się

przejdziemy?

–Świetnie.

Mnich szybko ruszył drogą, która wijąc się, prowadziła ze sklepu ku rzece, a Tom starał się za nim

nadążyć. Był śliczny czerwcowy dzień, pomarańczowe krawędzie kanionu ostro kontrastowały z błękitnym niebem, po którym białe obłoczki płynęły niby statki po morzu. Przez dziesięć minut szli w milczeniu. Droga kończyła się na górze skarpy. Brat Wyman podciągnął habit i usiadł na pniu suchego jałowca.

Tom zajął miejsce obok mnicha i w milczeniu spoglądał na krajobraz.

Mam nadzieję, że nie oderwałem cię, bracie, od żadnych ważnych zajęć – powiedział, wciąż nie wiedząc, jak zacząć rozmowę.

Ominie mnie niezwykle ważne spotkanie w Komnacie Dysput. Jeden z braci zaklął podczas komplety. – Zachichotał.

–Bracie Ford…

–Proszę mi mówić po imieniu.

–Nie wiem, czy słyszałeś o morderstwie w Labiryncie, które miało miejsce dwa dni temu.

–Już dawno porzuciłem czytanie gazet.

–Ale wiesz, gdzie jest Labirynt?

–Bardzo dobrze.

–Dwa dni temu zamordowano tam nocą poszukiwacza skarbów. – Tom opowiedział o tym, jak

znalazł śmiertelnie rannego mężczyznę, o jego notesie, o zniknięciu zwłok.

Ford milczał przez chwilę, spoglądając na rzekę. Potem odwrócił głowę i zapytał:

–Ale… co to ma wspólnego ze mną? Tom wyjął z kieszeni notes.

–Nie oddałeś go policji?

–Złożyłem obietnicę.

–Z pewnością przekazałeś im kopię. – Nie.

–To bardzo nierozważne.

–Policjant prowadzący śledztwo nie budził zbytniego zaufania. Poza tym złożyłem obietnicę. Poczuł, jak mnich wpatruje się w niego swoimi szarymi oczami.

–Jak mogę ci pomóc? Tom wyciągnął w jego stronę notes, ale mnich go nie wziął.

–Próbowałem wszystkiego, by ustalić tożsamość mężczyzny, żeby móc przekazać notes jego córce.

Na próżno. Policja nie ma żadnego tropu i mówi, że mogą upłynąć tygodnie, nim znajdą ciało. Dam sobie

głowę uciąć, że ten notes zawiera klucz do rozwiązania zagadki tożsamości mężczyzny… Jest tylko jeden

kłopot: wiadomość zaszyfrowano.

Umilkł. Mnich nadal wpatrywał się w Toma.

–Słyszałem, że kiedyś zajmowałeś się łamaniem szyfrów dla CIA.

–Tak, byłem kryptologiem.

–Czy mógłbyś rzucić na to okiem? Ford spojrzał na notes, ale nie sięgnął po niego.

–Proszę – powiedział Tom, podając mu notatnik. Ford się zawahał, a po chwili odparł:

–Lepiej nie.

–Dlaczego?

–Bo nie. Toma ogarnęła irytacja, kiedy usłyszał tę kategoryczną odmowę.

–Jest po temu ważny powód. Córka tego mężczyzny prawdopodobnie nie wie, że jej ojciec nie żyje. Może się o niego zamartwia. Złożyłem obietnicę konającemu i zamierzam jej dotrzymać. A ty jesteś jedyną znaną mi osobą, która może pomóc.

–Przykro mi, Tom, ale nie mogę tego zrobić.

–Nie możesz czy nie chcesz?

–Nie chcę.

–Boisz się w to angażować ze względu na policję?

Na pobrużdżonej twarzy mężczyzny pojawił się ironiczny uśmiech.

–Absolutnie nie.

–Więc o co chodzi?

–Przyjechałem tu z jednego powodu: żeby uciec właśnie od takich spraw. Nie rozumiem cię.

–Za niespełna miesiąc złożę śluby. Bycie mnichem to coś więcej niż chodzenie w habicie. Otworzy

się całkiem nowy rozdział, w moim życiu. To… – wskazał notes - …będzie oznaczało powrót do dawnego

życia.

–Dawnego życia? Wyman spoglądał na rzekę, zmarszczywszy poorane bruzdami czoło i poruszając szczękami.

–Mojego dawnego życia.

–Musiało być nielekkie, skoro uciekłeś od niego do klasztoru. Ford ściągnął brwi. Duchowość monastyczna nie polega na ucieczce przed czymś, tylko na podążaniu ku czemuś. Ku

Bogu. Ale owszem, miałem ciężkie życie.

–Co się stało? Jeśli wolno zapytać.

–Nie wolno. Chyba już się odzwyczaiłem od wścibstwa

udającego życzliwe zainteresowanie. Toma zabolała ta uwaga.

–Przepraszam. Za daleko się posunąłem.

–Nie przepraszaj. Robisz to, co uważasz za słuszne. I według mnie, dobrze postępujesz. Tyle tylko,

że nie jestem osobą, która może ci pomóc.

Tom skinął głową, obaj wstali, mnich otrzepał habit z kurzu.

–Jeśli chodzi o ten notes, przypuszczam, że nie będziesz miał zbytnich trudności z

rozszyfrowaniem tego, co zawiera. Większość amatorskich szyfrów to, jak je nazywaliśmy, szyfry dla

idiotów: wymyślone przez idiotów, możliwe do rozszyfrowania przez idiotów. Zwykłe zastąpienie liter

cyframi. Potrzebna jest tylko tabela częstotliwości występowania poszczególnych liter w języku

angielskim.

–To znaczy?

–Spis liter, sporządzony z uwzględnieniem tego, jak często używane są w języku angielskim. Trzeba go porównać z częstotliwością występowania cyfr w zaszyfrowanym tekście.

–To chyba proste.

–Banalnie. Założę się, że w mgnieniu oka złamiesz ten szyfr.

–Dziękuję. Ford się zawahał.

–Niech rzucę na to okiem. Może uda mi się rozszyfrować na poczekaniu.

–Jesteś pewien, że tego chcesz?

–Przecież mnie nie ugryzie.

Tom wręczył mu notes. Ford niespiesznie zaczął go kartkować. Minęło pięć długich minut.

–Zabawne, ale zdaje się, że to coś znacznie bardziej wyrafinowanego niż zastąpienie liter cyframi.

Słońce chyliło się ku kanionom, zalewając ich suche dna złotym światłem. Jaskółki śmigały, ich

nawoływania odbijały się echem od kamiennych ścian. Woda w rzece płynącej w dole szemrała. Ford zamknął notes.

–Zatrzymam go na kilka dni. Te cyfry mnie zaintrygowały. Dostrzegam tu wszystkie rodzaje osobliwych wzorców.

–A więc jednak mi pomożesz? Ford wzruszył ramionami.

–Dzięki temu ta dziewczyna się dowie, co spotkało jej ojca.

–Po tym, co mi powiedziałeś, czuję się trochę niezręcznie. Zakonnik machnął swoją wielką dłonią.

–Czasami bywam przesadnie zasadniczy. Nic się nie stanie, jeśli spróbuję to rozszyfrować. – Spojrzał spod przymrużonych powiek na słońce. – Pora na mnie.

Ujął rękę Toma.

–Podziwiam twój upór. W klasztorze nie ma telefonu, ale dzięki antenie satelitarnej możemy

korzystać z Internetu. Napiszę do ciebie, kiedy to rozszyfruję.

13

„CHUDZIELEC" MADDOX pamiętał, kiedy pierwszy raz przemknął przez Abiquiú na skradzionym harleyu. Teraz był jeszcze jednym dupkiem w spodniach koloru khaki i koszulce polo Ralpha Laurena, jadącym range-roverem. Naprawdę szybko piął się w górę. Za Abiquiú droga biegła wzdłuż rzeki, obok zielonych pól lucerny i kęp topól, nim opuszczała dolinę. Skręcił w lewo w zjazd numer dziewięćdziesiąt sześć, przejechał na drugą stronę zapory, a potem ruszył wzdłuż południowej części doliny leżącej w cieniu góry Pedernal. Po kilku minutach ujrzał drogowskaz do rancza Broadbenta; na podniszczonej tablicy widniał odręczny napis: *Cańones.*

Droga gruntowa była w nie najlepszym stanie. Równolegle do niej płynął strumyk. Po obu stronach znajdowało się kilka małych rancz o powierzchni od piętnastu do trzydziestu hektarów, o słodkich nazwach w rodzaju „Los Amigos" lub „Buckskin Hollow". Słyszał, że ranczo Broadbenta dziwnie się nazywa, „Sukia Tara". Maddox zwolnił przy wjeździe, minął bramę, a potem przejechał jeszcze ze czterysta metrów, nim zaparkował wóz w kępie niskich dębów. Wysiadł i cicho zamknął drzwi. Wrócił na drogę i upewnił się, że samochód jest niewidoczny. Trzecia. Broadbenta prawdopodobnie nie będzie w domu. Dowiedział się, że jego żona, Sally, prowadzi szkółkę jeździecką. Ciekaw był, jak kobieta wygląda.

Maddox zarzucił plecak na ramię. Postanowił najpierw przeprowadzić rekonesans. Przywiązywał dużą wagę do wstępnego rozpoznania terenu. Jeśli nikogo nie będzie w domu, przeszuka go dokładnie, zabierze notes, o ile go znajdzie, i pryśnie. Jeśli zaś kobitka jest w domu, będzie miał ułatwione zadanie. Jeszcze nie spotkał nikogo, kto nie był skory do mówienia, kiedy przyłożyć mu pistolet do głowy.

Skręcił z drogi i ruszył wzdłuż strumyka. Pomiędzy białymi kamieniami to pojawiała się, to znikała strużka wody. Odbił w lewo, minął kępę topoli i niskich dębów i znalazł się na tyłach stajni. Wolno, starając się nie zostawić śladów butów, przedostał się przez ogrodzenie z drutu kolczastego i przeszedł wzdłuż budynku stajni. Przykucnął i rozgarnął chamisę, by przyjrzeć się domowi.

Zobaczył niski budynek z suszonej cegły, kilka korralów, parę koni, żłoby, poidło. Usłyszał piskliwy okrzyk. Za korralami była otwarta ujeżdżalnia. Sally – żona Broadbenta – miała owiniętą wokół ręki lonżę, a jakiś dzieciak siedział na koniu i jeździł na nim w koło.

Maddox przytknął lornetkę do oczu i nastawił ostrość. Obserwował, jak kobieta się obraca, stojąc pośrodku ujeżdżalni: widział ją to z przodu, to z boku, to z tyłu, i tak w kółko. Wietrzyk rozwiał jej długie włosy, uniosła rękę, by odgarnąć je z twarzy. Jezu, ale laska.

Przeniósł wzrok na dzieciaka. Jakiś opóźniony w rozwoju, mongoł czy coś w tym rodzaju.

Znów skupił uwagę na domu. Obok tylnych drzwi było okno kuchenne. W mieście mówili, że Broadbent jest nadziany – i to nieźle. Słyszał, że Broadbent dorastał w domu pełnym służby i bezcennych

dzieł sztuki. Jego staruszek zmarł rok temu i Tom ponoć odziedziczył sto milionów dolarów. Kiedy się patrzyło na ten dom, trudno było w to uwierzyć. Nic nie świadczyło, że to posiadłość bogatego człowieka, ani dom, ani stajnia, ani konie, ani zakurzone podwórze, ani stara terenówka International Scout, stojąca w garażu, do którego brama była otwarta, czy ford 350 pod wiatą. Gdyby on miał sto milionów, z całą pewnością nie mieszkałby w czymś takim.

Maddox ściągnął plecak. Wyjął szkicownik i świeżo zatemperowany ołówek, po czym zaczął rysować możliwie szczegółowo dom i jego otoczenie. Dziesięć minut później przeczołgał się wokół stajni, a potem przez jakieś krzaki, żeby móc sporządzić rysunek frontowego i bocznych dziedzińców. Przez drzwi balkonowe zajrzał do skromnie urządzonego salonu. Przylegał do niego wyłożony płytkami taras z rożnem Smoky Joe oraz kilkoma krzesłami, a obok urządzono ogródek ziołowy. Żadnego basenu, nic. Dom sprawiał wrażenie, jakby w środku nie było żywej duszy. Nie zastał Broadbenta, tak jak miał nadzieję – przynajmniej w garażu nie stał jego Chevrolet z pięćdziesiątego siódmego roku, a Maddox przypuszczał, że Broadbent nikomu nie pozwala nim jeździć. Nie widział nigdzie żadnego faceta do wszystkiego ani stajennego, najbliższy sąsiad zaś mieszkał pół kilometra stąd.

Dokończył szkic i przyjrzał mu się. Do domu prowadziło troje drzwi: kuchenne z tyłu, frontowe i tarasowe, wychodzące na boczny dziedziniec. Jeśli wszystkie drzwi są zamknięte – a założył, że tak jest -najłatwiej sforsować tarasowe. Są stare, a on całkiem sporo ich otworzył w swoim życiu, posługując się zmyślnym urządzeniem, które miał w plecaku. Zajmie mu to niespełna minutę.

Usłyszał warkot silnika i przykucnął. Po chwili zza domu wyłonił się mercedes kombi i zaparkował. Wysiadła z niego jakaś kobieta i skierowała się do ujeżdżalni, wołając i machając do dzieciaka na koniu. Smarkacz też jej pomachał i zaczął wykrzykiwać coś niezrozumiale, okazując swoją radość. Koń zwolnił i żona Broadbenta pomogła bachorowi zsiąść z siodła. Gówniarz podbiegł do kobiety i objął ją. Lekcja się skończyła. Kobiety rozmawiały przez chwilę, potem dzieciak i jego matka wsiedli do samochodu i odjechali.

Sally, żona Broadbenta, została sama.

Obserwował przez lornetkę każdy jej krok, gdy prowadziła konia, by go uwiązać, rozsiodłała go i oporządziła, pochylając się, by wyszczotkować mu brzuch i nogi. Kiedy skończyła, zaprowadziła konia do korralu, puściła go wolno, wrzuciła do żłobu trochę lucerny, po czym skierowała się do domu, strzepując lucernę, która jej się przyczepiła do nóg i pupy. Czy ma jeszcze jedną lekcję? Mało prawdopodobne – nie o czwartej po południu.

Weszła do kuchni, trzaskając drzwiami z siatką przeciw owadom. Po chwili zobaczył, jak przechodzi obok okna, staje przed kuchenką i parzy kawę.

Czas wziąć się do roboty.

Ostatni raz rzucił okiem na szkic, nim schował go do plecaka, i przystąpił do wyjmowania sprzętu.

Najpierw wciągnął zielone, chirurgiczne ochraniacze na buty, siatkę na włosy, a na nią czepek kąpielowy. Na to wszystko nasunął pończochę. Potem wdział plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy z Wal-Martu, taki za cztery dolary. Włożył lateksowe rękawiczki i wziął swojego glocka 29 kaliber 10 mm auto, ważącego dziewięćset trzydzieści pięć gramów z magazynkiem na dziesięć naboi – bardzo udany model. Wytarł go i wsunął do kieszeni spodni. W końcu wyjął całą harmonijkę

prezerwatyw, oderwał dwie i wsunął do kieszonki koszulki polo.

Na miejscu tego przestępstwa nie zostawi DNA.

PORUCZNIK WILLER wysiadł z radiowozu i rzucił niedopałek papierosa na asfalt. Przydepnął go i wszedł tylnym wejściem do budynku komendy. Przemaszerował przez hol, w którym królowały łupek i pleksi. Pchnął szklane drzwi wydziału zabójstw, minął w korytarzu fikus w donicy i wszedł do sali odpraw.

Dobrze sobie wyliczył czas. Wszyscy już byli i kiedy się pojawił, szmer rozmów ucichł. Willer nienawidził odpraw, ale w takiej pracy nie można ich uniknąć. Skinął głową swojemu zastępcy, Hernandezowi, i paru innym, wziął plastikowy kubek i napełnił go kawą, położył teczkę na stole i usiadł. Przez chwilę całą uwagę skupił na kawie, pociągnął łyk – dla odmiany była świeżo zaparzona – i odstawił kubeczek. Otworzył teczkę, wyjął plik papierów z napisem LABIRYNT i rzucił je na stół wystarczająco energicznie, by zwrócić na siebie uwagę obecnych.

–Są wszyscy?

–Chyba tak – powiedział Hernandez. Rozległy się ciche potakiwania. Willer znów pociągnął łyk kawy i odstawił kubeczek.

–Jak państwo wiedzą, na pustkowiu Chama, w Labiryncie, popełniono morderstwo, które

wzbudziło spore zainteresowanie prasy. Chcę wiedzieć, na czym stoimy i dokąd zmierzamy. Jeśli ktoś ma

jakiś dobry pomysł, chętnie go wysłucham.

Rozejrzał się po sali.

–Najpierw zapoznajmy się z raportem lekarza sądowego. Doktor Feininger?

Patolog policyjny, elegancka siwowłosa kobieta w kostiumie, który nie pasował do obskurnej sali

odpraw, otworzyła cienką skórzaną teczkę. Nie wstała, mówiła cicho, rzeczowo, z lekką ironią.

–Z miejsca zdarzenia pobrano dziesięć decymetrów sześciennych piasku, zawierającego większość z pięciu i pół litra krwi, krążącej w organizmie człowieka. To jedyne, co

zabezpieczono. Przeprowadziliśmy możliwe analizy – na grupę krwi, obecność narkotyków i tak dalej. – I?

–Grupa krwi zero Rh plus, nie stwierdzono obecności narkotyków ani alkoholu, liczba białych ciałek krwi w normie, zawartość białka w osoczu i insuliny w normie. Ofiarą był mężczyzna o dobrym stanie zdrowia.

–Mężczyzna?

–Tak. Świadczy o tym obecność chromosomu Y.

–Czy przeprowadzono badanie DNA?

–Tak.

–I?

–Porównaliśmy wyniki z całą naszą bazą danych, ale nie znaleźliśmy odpowiednika.

–Co to znaczy, że nie znaleźliście odpowiednika? – zapytał prokurator okręgowy.

–Nie dysponujemy krajową bazą danych o DNA – cierpliwie wyjaśniła lekarka sądowa, jakby zwracała się do idioty, i, zdaniem Willera, prawdopodobnie tak właśnie było. – Zazwyczaj nie ma możliwości zidentyfikowania człowieka na podstawie jego DNA, przynajmniej jak do tej pory. Wynik może służyć jedynie do porównań. Póki nie znajdziemy zwłok, krewnych ofiary albo plamy krwi na ubraniu podejrzanego, na nic się nam to DNA nie przyda.

–Rozumiem. Willer wypił łyk kawy.

–To wszystko?

–Proszę mi dostarczyć zwłoki, a będę mogła powiedzieć coś więcej.

–Pracujemy nad tym. Co znalazły psy policyjne?

Wheatley z Albuquerque, nerwowy mężczyzna o marchewkowych włosach, pośpiesznie rozłożył

kilka dokumentów.

–Czwartego czerwca zawieźliśmy sześć psów na miejsce zdarzenia…

–Dwa dni po morderstwie, po obfitych opadach deszczu, po których przybrały wszystkie potoki, zacierając wszelkie ślady w Labiryncie – przerwał mu Willer i spojrzał na niego wyzywająco. – Chcę, żeby znalazło się to w protokole.

–To odległa okolica, trudno tam dotrzeć. – Wheatley nieco podniósł głos.

–Proszę dalej.

–Czwartego czerwca psy z trzema przewodnikami z jednostki tropiącej w Albuquerque podjęły ślad… – Oderwał wzrok od papierów. – Mam tutaj mapy, jeśli chce pan…

–Proszę tylko złożyć raport.

…podjęły ślad w miejscu zdarzenia. Podążały za nim w górę kanionu, do skraju Mesa de los Viejos,

gdzie stwierdzono, że warstwa gleby jest za cienka, by zachował się ślad…

–Nie wspominając o stu dwudziestu mililitrach opadów atmosferycznych. Wheatley milczał.

–Proszę mówić dalej.

–Psy nie mogły podjąć śladu. Przeprowadzono trzy próby…

–Dziękuję, panie Wheatley, mamy już obraz sytuacji. Co teraz?

–Wykorzystujemy psy do szukania zwłok. Przeczesujemy teren systematycznie, od miejsca

zbrodni, posługując się GPS, by objąć poszukiwaniami całe dno kanionu. Posuwamy się jednocześnie w

głąb Labiryntu i w kierunku rzeki. Następnie przeniesiemy się na górę.

–I w ten sposób dotarliśmy do przeszukiwania rzeki. John?

–Poziom wody w rzece jest niski. Nurkowie sprawdzają wszystkie głębsze miejsca, posuwając się w dół rzeki. Jak na

razie nic: żadnych rzeczy osobistych ani szczątków. Dotarliśmy prawie do jeziora

Abiquiú. Wydaje się mało prawdopodobne, by zabójca wrzucił ciało do rzeki. Wilier skinął głową.

–Co ustalił biegły medycyny sądowej?

–Do sprawy przydzielono Calhouna z Albuquerque, najlepszego fachowca w stanie. Przynajmniej poszczęściło się im, jeśli chodzi o ekspertów. Calhoun, w przeciwieństwie do przewodników z psami, pojawił się na miejscu przestępstwa o pierwszym brzasku.

–Przeprowadziliśmy kompleksowe poszukiwanie dowodów i mikrośladów, co nie było łatwe,

poruczniku, jeśli pamiętać, że właściwie pracowaliśmy w brudnej piaskownicy. Zebraliśmy wszystko, co

może stanowić dowód, w promieniu stu metrów od miejsca popełnienia przestępstwa. Przesialiśmy też

ziemię w drugim miejscu, dwieście dwadzieścia metrów na północny wschód, gdzie prawdopodobnie stał

osioł. Znaleźliśmy jego odchody. Zbadaliśmy też trzecie miejsce, na górze skarpy.

–Trzecie miejsce?

–Zaraz do tego dojdę, poruczniku. Zabójca dość dobrze zatarł ślady, ale mamy sporo włosów, włókien, suszonych produktów spożywczych. Żadnych odcisków palców. Dwa naboje M855.

–No, wreszcie coś. – Wilier słyszał o znalezieniu nabojów, ale nie znał szczegółów.

–Standardowe naboje, używane przez NATO, kaliber 5,56 milimetra, z metalową łuską, z

dwuczęściowym rdzeniem, dolna część ołowiana, górna – stalowa, masa cztery gramy. Łatwo można je

rozpoznać po zielonym czubku. Zabójca prawdopodobnie posłużył się karabinem M16 albo podobną

bronią wojskową.

–Może były żołnierz.

–Niekoniecznie. Jest dużo entuzjastów broni, którzy lubią te karabiny. – Zajrzał do notatek. – Jeden pocisk tkwił w ziemi; ustaliliśmy kąt, pod jakim upadł, na tej podstawie mogliśmy określić trajektorię lotu. Zabójca strzelał z góry, pod kątem trzydziestu pięciu stopni. Wiedząc to, mogliśmy znaleźć miejsce, z którego strzelano. Ukrył się na krawędzi kanionu. To właśnie trzecie miejsce, o które pan pytał. Znaleźliśmy fragmenty odcisków butów, parę włókien bawełny, które mogą pochodzić z bandany albo cienkiej koszuli. Żadnych łusek po nabojach. Sporo się natrudziliśmy, nim dotarliśmy do punktu obserwacyjnego zabójcy. Gość zna te okolice i musiał wcześniej wszystko sobie zaplanować.

–Co świadczy o tym, że to ktoś miejscowy.

–Albo ktoś, kto bardzo dokładnie zapoznał się z terenem.

–Włosy?

–W trzecim miejscu nie znaleźliśmy żadnych.

–A druga kula?

–Zniekształcona i rozerwana w wyniku przejścia przez ciało ofiary. Ślady krwi na niej zgadzają się z krwią na piasku. Na tej kuli również brak odcisków palców.

–Coś jeszcze?

–Włókna wełny i bawełny na miejscu zabójstwa, jeszcze nie dokończyliśmy ich analizy, oraz włos ludzki z cebulką. Prosty, brązowy, należący do człowieka rasy białej.

–Włos zabójcy?

–Nie wiadomo. Może ofiary, może zabójcy, może jednego z policjantów. Może nawet mój. – Uśmiechnął się i przesunął dłonią po swoich rzednących włosach. – Nie byłby to pierwszy taki przypadek. Sprawdzimy, czy uzyskane z niego DNA pasuje do DNA z krwi. Może będę potrzebował kilku włosów waszych chłopaków, by przeprowadzić analizę porównawczą.

–A Broadbenta, który znalazł ofiarę? Też ma brązowe, proste włosy.

–Może będę potrzebował również próbki jego włosów.

Willer podziękował Calhounowi i odwrócił się do swojego zastępcy, Hernandeza.

–Sprawdziłem to, co mówił Broadbent. Wygląda na to, że dużo jeździ konno po płaskowyżach -powiedział Hernandez.

–To co robił w Labiryncie? – spytał Wilier.

–Twierdzi, że pojechał na skróty przez kanion Joaquin.

–Chciałeś powiedzieć: nakładając drogi.

–Utrzymuje, że lubi jeździć. Mówi, że ładnie tam. Wilier chrząknął.

–Zdaje się, że jest weterynarzem. Weterynarze chyba nie narzekają na brak pracy.

–Ma pomocnika, niejakiego Shane'a McBride'a.

Wilier znów chrząknął. Od samego początku poczuł antypatię do Broadbenta i podejrzewał, że

facet coś przed nim ukrywa. Naprawdę trudno uwierzyć, że przypadkiem znalazł się w pobliżu akurat wtedy, kiedy popełniono morderstwo.

–Hernandez, chcę, żebyś popytał ludzi, przekonał się, czy Broadbent ostatnio przejawia większe zainteresowanie tymi okolicami: szuka kruszców, zabytków archeologicznych itede.

–Tak jest, panie poruczniku.

–Uważa go pan za podejrzanego? – spytał prokurator okręgowy.

–Można powiedzieć, że jest osobą, którą się interesujemy. Prokurator okręgowy zarechotał.

–Rozumiem.

Wilier zmarszczył brwi. Nic dziwnego, że ostatnio nie udaje im się nikogo skazać, skoro w

prokuraturze siedzą tacy ludzie jak ten gość. Rozejrzał się.

–Ktoś ma jakiś pomysł?

–Nie dotyczy to bezpośrednio śledztwa – powiedział Calhoun – ale ciekaw jestem… Czy w tych kanionach jest stałe źródło wody?

–Nie wiem. A czemu pan pyta?

–To idealne miejsce do uprawy marihuany.

–Zanotowałem. Hernandez?

–Dowiem się, poruczniku.

„CHUDZIELEC" MADDOX właśnie się szykował do opuszczenia swojej kryjówki w zaroślach, kiedy usłyszał, że w domu dzwoni telefon.

Pośpiesznie znowu przykucnął i spojrzał przez lornetkę. Kobieta wstała od stołu i skierowała się do salonu, gdzie stał aparat. Zniknęła mu z oczu. Czekał. Widocznie odebrała telefon i rozmawia.

Widział, którędy biegną do domu przewody telefoniczne. Odrzucił pomysł przecięcia ich, ponieważ w dzisiejszych czasach wiele domów ma systemy alarmowe, które łączą się z centralą, kiedy dochodzi do uszkodzenia linii telefonicznej. Zaklął pod nosem; nie mógł jej nic zrobić, póki rozmawia przez telefon. Czekał pięć minut… Dziesięć. Swędziała go skóra głowy pod pończochą, dłonie w lateksowych rękawiczkach mu się pociły. Znów pojawiła się w pokoju, z filiżanką kawy w jednym ręku, w drugim miała słuchawkę telefonu bezprzewodowego, którą przyciskała do ucha. Kiwała głową i nic nie świadczyło o tym, że niebawem skończy rozmawiać. Poczuł, jak ogarnia go zniecierpliwienie, które próbował pokonać, zamykając oczy i recytując swoją mantrę, ale na próżno. Był już za bardzo zdenerwowany.

Ściskał glocka. W nosie drażnił go nieprzyjemny zapach lateksu. Widział, jak dwa razy okrążyła pokój, rozmawiając i śmiejąc się, odrzucając blond włosy. Wzięła szczotkę i zaczęła je szczotkować, przechyliwszy głowę na bok. To dopiero widok, długie, złociste włosy, elektryzujące się, oświetlone przez promienie słoneczne, kiedy przechodziła obok okna. Przytknęła słuchawkę do drugiego ucha i zaczęła szczotkować włosy po drugiej stronie głowy, wdzięcznie poruszając biodrami. Poczuł iskierkę nadziei, kiedy poszła do kuchni. Ze swojego punktu obserwacyjnego nie widział jej, ale przypuszczał, że odkładała słuchawkę. Miał rację: znów się pojawiła w pokoju, tym razem już bez telefonu, skierowała się do holu i ponownie zniknęła – chyba w łazience.

Teraz.

Wyprostował się, przebiegł przez trawnik do drzwi na taras, przypłaszczył się do muru domu. Wyjął z kieszeni długą, giętką

listwę i zaczął ją wsuwać między drzwi a framugę. Nie widział teraz, co się dzieje wewnątrz, ale za niespełna sześćdziesiąt sekund, zanim kobieta wyjdzie z kibelka, on będzie w środku. I dopadnie ją, jak tylko ta opuści łazienkę.

Przesuwał listwę w dół, a kiedy natrafiła na zasuwkę, szarpnął gwałtownie. Rozległo się szczęknięcie. Chwycił klamkę, gotów do otwarcia drzwi balkonowych.

Nagle znieruchomiał. Usłyszał trzaśniecie drzwi kuchennych. Potem chrzęst kroków na żwirowym podjeździe. Pochylił się i przykucnął za jakimś krzakiem tuż obok drzwi na taras. Przez liście widział ją, jak idzie do garażu, trzymając w ręku kluczyki. Weszła do środka. Po chwili rozległ się warkot silnika i

wyjechał international scout. Przemknął podjazdem i zniknął w chmurze pyłu.

Maddox poczuł bezsilną złość, mieszaninę frustracji, rozczarowania i gniewu. Suka nie wiedziała, ile miała szczęścia. Teraz będzie musiał przeszukać dom bez jej pomocy.

Odczekał pięć minut, aż kurz opadnie, potem wyprostował się, otworzył drzwi tarasowe, wszedł do środka i zamknął je za sobą. W domu było chłodno, pachniało różami. Odzyskał kontrolę nad oddechem, opanował się, skupiając uwagę na czekających go poszukiwaniach.

Zaczął od kuchni, pracując szybko i metodycznie. Nim czegokolwiek dotknął, zapamiętywał, gdzie stoi czy leży, a potem odkładał na poprzednie miejsce. Jeśli notesu nie ma w domu, byłoby błędem wzbudzenie u nich jakichkolwiek podejrzeń. Ale jeśli notes tu jest, znajdzie go.

doktor iain CORVUS podszedł do jedynego okna w swoim gabinecie, wychodzącego na Central Park. Widział staw parkowy, metalicznie połyskującą płaszczyznę, w której się odbijało popołudniowe słońce. Po wodzie akurat płynęła łódź wiosłowa – jakiś ojciec z synem wybrali się na przejażdżkę, obydwaj wiosłowali. Corvus obserwował, jak wiosła wolno się zanurzają, a łódź sunie po stawie. Chłopak wyraźnie miał kłopoty z wiosłem, które w końcu wyskoczyło z dulki, wpadło do wody i odpłynęło. Ojciec wstał i zaczął gestykulować gniewnie, wszystko to z daleka przypominało pantomimę.

Ojciec i syn. Corvusa ogarnęły lekkie mdłości. Ta urocza scenka przywiodła mu na myśl własnego ojca, do niedawna pracownika Muzeum Brytyjskiego, jednego z najsłynniejszych biologów w Anglii. Nim jego ojciec ukończył trzydzieści pięć lat, czyli osiągnął taki wiek jak teraz Corvus, już był członkiem Towarzystwa Królewskiego, odznaczonym medalem Crippena, jego nazwisko widniało na liście osób, które królowa w dniu swoich urodzin miała mianować komandorami Orderu Imperium Brytyjskiego. Corvus aż lekko dygotał z gniewu, kiedy przypomniał sobie wąsatą twarz ojca, siateczkę żyłek na jego policzkach. Ojciec nosił się po wojskowemu, pokrytą plamkami dłoń zawsze zaciskał na szklaneczce whisky z wodą sodową, sarkastycznym tonem korygował błędy. Stary łobuz zmarł dziesięć lat temu na udar mózgu, padł jak śnięta ryba, rozsypując kostki lodu na dywan Aubusson w ich miejskim domu przy Wilton Crescent w Londynie. Racja, Corvus odziedziczył kupę forsy, ale ani to, ani nazwisko nie pomogło mu uzyskać posady w Muzeum Brytyjskim, jedynej instytucji, w której zawsze chciał pracować.

Teraz miał trzydzieści pięć lat i wciąż zajmował stanowisko zastępcy kustosza Działu Paleontologii, czekając na stały etat. Bez stałego etatu był tylko w połowie naukowcem – właściwie tylko w połowie człowiekiem. Zastępca kustosza. Niemal czuł zapach fiaska, bijący od tych słów. Corvus nigdy się nie czuł dobrze w perpetuum mobile amerykańskiego świata akademickiego; nie zajmował korzystnej pozycji w kłębiącym się tłumie siwowłosych naukowców. Wiedział, że jest drażliwy, sarkastyczny i niecierpliwy. Nie brał udziału w ich gierkach. Od trzech lat obiecywano mu stały etat, ale zwlekano z podjęciem decyzji; jego wyprawy badawcze do doliny Tung Nor w Xinjiang

nie przyniosły owoców. Od trzech lat latał jak kot z pęcherzem, nie mogąc się niczym wykazać. Aż do teraz.

Spojrzał na zegarek. Pora udać się na cholerne spotkanie.

Gabinet doktora W Cushmana Peale'a, dyrektora muzeum, znajdował się w południowo-zachodnim skrzydle; rozciągał się z niego widok na muzealny park i neoklasyczną fasadę Nowojorskiego Towarzystwa Historycznego. Sekretarka Peale'a wprowadziła Corvusa i przyciszonym głosem wypowiedziała jego nazwisko. Dlaczego, zastanawiał się Corvus, stojąc przed dostojnym mężczyzną o sympatycznym uśmiechu, przyklejonym do twarzy, ludzie zawsze szepczą w obecności królów i kretynów?

Peale wyszedł zza biurka, by powitać Corvusa. Mocno uścisnął mu dłoń, drugą ręką ujmując go za przedramię, jak akwizytor, a potem wskazał mu miejsce w zabytkowym fotelu bujanym przed marmurowym kominkiem – w przeciwieństwie do tego, który znajdował się w gabinecie Corvusa, ten działał. Sam zajął miejsce, dopiero kiedy się upewnił, że Corvusowi jest wygodnie, jak tego wymagały zasady dobrego wychowania. Z grzywą białych włosów, zaczesanych do tyłu, w antracytowym garniturze, mówiąc wolno, na staroświecką modłę, Peale wyglądał, jakby był urodzonym dyrektorem muzeum. Corvus wiedział, że to tylko pozory: ten człowiek o dystyngowanych manierach w rzeczywistości miał w sobie tyle wytwomości i wrażliwości co łasica.

–Iain, jak się masz? – Peale rozsiadł się w fotelu i zetknął palce obu dłoni.

–Bardzo dobrze, dziękuję, Cushman – powiedział Corvus; podciągnął nogawki spodni i skrzyżował nogi.

–Cieszę się. Napijesz się czegoś? Wody? Kawy? Sherry?

–Nie, dziękuję.

–A ja lubię o piątej wychylić kieliszeczek sherry. To moja jedyna słabostka.

Akurat. Żona Peale'a była od niego młodsza o trzydzieści lat i zdradzała go z młodym kustoszem z

działu archeologii. Nawet jeśli udawanie zramolałego starego rogacza właściwie nie jest niczym złym, to poślubienie kobiety młodszej od własnej córki z pewnością tak.

Sekretarka przyniosła na srebrnej tacy kryształowy kieliszek, napełniony bursztynowym płynem. Peale ujął go i wypił łyk.

–Graham's '61, ponaddziesięcioletni. Nektar bogów. Corvus czekał, przybrawszy sympatyczny wyraz twarzy. Peale odstawił kieliszek.

–Iain, nie będę owijał w bawełnę. Jak wiesz, znów jesteś kandydatem na stały etat. Wydział zacznie o tym dyskutować pierwszego przyszłego miesiąca. Wszyscy znamy zasady.

–Naturalnie.

–Jak wiesz, już drugi raz wysunięto twoją kandydaturę. Wydział udzielił ci rekomendacji.

Formalnie rzecz biorąc, do mnie należy ostatnie słowo, ale w ciągu dziesięciu lat na stanowisku dyrektora

muzeum ani razu nie sprzeciwiłem się decyzji wydziału w tej kwestii i nie zamierzam tego zmieniać. Nie

wiem, co postanowi wydział w twojej sprawie. Nie rozmawiałem z nimi o tym i nie mam takiego zamiaru.

Ale chciałbym ci udzielić pewnej rady.

–Twoje rady, Cushman, są zawsze cenne.

–Zatrudnia nas muzeum. Jesteśmy naukowcami. Mamy szczęście, że nie pracujemy na

uniwersytecie i nie musimy uczyć stada studentów. Możemy w pełni poświęcać się pracy badawczej i

publikować. Nie ma więc usprawiedliwienia, jeśli ktoś ma na swoim koncie mało publikacji.

Urwał i lekko uniósł brew, jakby chciał subtelnie dać do zrozumienia, o co mu chodzi, chociaż jak

zwykle zachowywał się jak słoń w składzie porcelany. Peale

wziął jakąś kartkę.

–Mam tutaj wykaz twoich publikacji. Pracujesz u nas od dziewięciu lat, a naliczyłem zaledwie jedenaście referatów. Średnio jeden na rok.

–Liczy się jakość, nie ilość.

–Zajmuję się inną dziedziną, jestem entomologiem, więc wybacz, ale nie mogę się wypowiedzieć na temat jakości twoich referatów. Nie wątpię, że są dobre. Nikt nigdy nie zakwestionował poziomu twoich prac i wszyscy wiemy, że to zwykły pech, że ekspedycja do Xinjiang nie przyniosła sukcesów. Ale jedenaście publikacji? Mamy tutaj kustoszów, którzy tyle ogłaszają drukiem rocznie.

–Każdy może spłodzić referat. Napisać coś jedynie z myślą o wydaniu. Ja wolę zaczekać, aż mam coś do powiedzenia.

–Daj spokój, Iain, wiesz, że to nieprawda. Owszem, przyznaję, że istnieje u nas coś takiego, jak „publikuj lub giń". Ale jesteśmy Muzeum Historii Naturalnej i większość tego, co robimy, jest na poziomie światowym. Lecz odbiegam od tematu. Minął rok, a ty nic nie opublikowałeś. Wezwałem cię do siebie, bo zakładam, że pracujesz nad czymś ważnym.

Uniósł brwi w górę, dając do zrozumienia, że to właściwie pytanie.

Corvus przełożył skrzyżowane nogi. Czuł, jak bolą go mięśnie twarzy od wymuszonego uśmiechu. Ledwie mógł znieść tę upokarzającą rozmowę.

–Tak się akurat składa, że pracuję nad poważnym zagadnieniem.

–Wolno zapytać, czego dotyczy?

–W tej chwili jeszcze nie mogę tego zdradzić, ale przypuszczam, że za tydzień lub dwa

poinformuję o tym ciebie i komisję, naturalnie w zaufaniu. Wszyscy powinni być usatysfakcjonowani.

Peale przyglądał mu się przez chwilę, a potem się uśmiechnął.

–Cudownie, Iain. Bo według mnie, nasze muzeum dużo

korzysta, zatrudniając cię. Liczy się

również dla nas twoje nazwisko, kojarzone ze znamienitym ojcem. Zadałem ci te pytania jedynie z troski o

ciebie. Mocno przeżywamy, kiedy kustoszowi nie udaje się uzyskać stałego etatu. Traktujemy to jak naszą

własną porażkę. – Peale wstał i wyciągnął rękę, uśmiechając się szeroko. – Powodzenia.

Corvus opuścił gabinet i ruszył długim korytarzem czwartego piętra. Był tak wściekły, że ledwo mógł oddychać. Ale nadal się uśmiechał, kłaniając się na prawo i na lewo, pozdrawiając kolegów opuszczających muzeum pod koniec dnia, stado kierujące się do swoich wielopoziomowych domów na anonimowych amerykańskich przedmieściach w Connecticut, New Jersey i na Long Island.

W POBIELONYM pomieszczeniu za zakrystią w klasztorze Chrystusa na Pustyni znajdowały się tylko cztery sprzęty: twardy drewniany taboret, nierówny stół, krucyfiks i laptop Apple PowerBox G4 z drukarką, zasilany prądem stałym z baterii słonecznej. Wyman Ford siedział przed komputerem, ogromnie przejęty. Właśnie skończył ściąganie dwóch programów do analizy kryptologicznej i za chwilę miał je wykorzystać do rozszyfrowania kodu, który mozolnie wstukał z notesu nieboszczyka. Już wiedział, że nie jest to prymitywny szyfr; nie udało mu się go złamać żadną ze zwykle stosowanych przez siebie sztuczek.

Miał do czynienia z czymś naprawdę wyjątkowym.

Podniósł palec i nacisnął klawisz; uruchomił pierwszy program.

Nie był to właściwie program deszyfrujący, raczej software do analizy prawidłowości, który na podstawie szeregu wzorców określał, jaki to szyfr: podstawieniowy czy przestawieniowy, z kodem prostym czy zaszyfrowanym, z nomenklatorem czy polialfabetyczny. Ustalił, że nie posłużono się kluczem publicznym, opartym na liczbach pierwszych. Ale potem utknął w martwym punkcie.

Po zaledwie pięciu minutach rozległo się piknięcie informujące, że pierwsza analiza się zakończyła. Ford zdziwił się, kiedy odczytał wiadomość:

BRAK MOŻLIWOŚCI OKREŚLENIA

TYPU KODU

Przewinął ekran w dół, by obejrzeć wyniki szukania wzorca, tablice częstości numerycznej, przypisywanie prawdopodobieństwa. Nie były to losowo pogrupowane cyfry – program rozpoznał wszystkie rodzaje wzorców i odchyleń od losowości. Świadczyło to, że cyfry zawierały informację. Ale jaką i

w jaki sposób zaszyfrowaną?

Bynajmniej niezniechęcony, Ford poczuł dreszczyk emocji. Im bardziej finezyjny kod, tym ciekawsza wiadomość. Uruchomił kolejny program, analizę częstości pojedynczych cyfr, par cyfr i trójek cyfr, porównującą to z tablicami częstości występowania liter w powszechnie używanych językach. Ale to też zakończyło się niepowodzeniem: nie udało się znaleźć związku między cyframi i językiem angielskim ani żadnym innym powszechnie używanym językiem.

Ford rzucił okiem na zegarek. Opuścił tercję. Siedział nad tym już pięć godzin bez przerwy.

Cholera.

Znów spojrzał na ekran komputera. Fakt, że każda liczba składała się z ośmiu cyfr – bajt -sugerował, że chodzi o szyfr komputerowy. Ale tekst zapisany był ołówkiem w brudnym notesie, najwyraźniej na zupełnym odludziu, bez dostępu do komputera. Ford już próbował przetransponować

ośmiocyfrowe liczby na liczby w systemie dwójkowym, szesnastkowym i ASCII, poddał je działaniu programów deszyfrujących, ale nic to nie dało.

Zagadka stawała się coraz bardziej intrygująca.

Ford przerwał pracę, wziął notes, otworzył go, przekartkował. Skórzana okładka starego notatnika była pościerana i zniszczona, między często przewracane stronice dostał się piasek. Papier lekko pachniał dymem palonego drewna. Cyfry napisano zaostrzonym ołówkiem, wyraźnie i starannie, w zgrabnych rzędach i kolumnach, tworzących rodzaj siatki. Wygląd pisma skłonił Forda do wysunięcia tezy, że dane wprowadzono jednorazowo. Na wszystkich sześćdziesięciu stronach nie było ani jednego skreślenia czy błędu. Nie ulegało wątpliwości, że cyfry skądś przepisano.

Zamknął notes i zaczął go obracać w dłoniach. Na okładce z tyłu była plama, nieco lepka, i Ford z przerażeniem uzmysłowił sobie, że to krew. Wzdrygnął się i szybko odłożył notatnik. Krew nagle mu przypomniała, że to nie zabawa, że mężczyznę zamordowano, i bardzo prawdopodobne, że notes zawiera wskazówki, jak zdobyć majątek.

Wyman Ford ciekaw był, w co się wpakował.

Nagle poczuł, że nie jest sam, i odwrócił się. Zobaczył opata, z rękami założonymi do tyłu, z lekkim uśmiechem na twarzy. Opat stał, utkwiwszy w nim żywe czarne oczy.

–Brakowało nam ciebie, bracie Wymanie. Wyman się podniósł.

–Przepraszam, ojcze. Tamten przeniósł wzrok na cyfry na monitorze.

–Widocznie to coś ważnego. Wyman nic nie odpowiedział. Nie był pewien, czy jest to ważne w takim sensie, jak to pojmował

opat. Zawstydził się. Właśnie przez taką obsesyjną pracę miał kiedyś kłopoty, przez to chorobliwe skupianie się na problemie i zapominanie o całym świecie. Po śmierci Julie nigdy nie potrafił sobie wybaczyć tych wszystkich przypadków, kiedy pracował do późna, zamiast z nią porozmawiać, zjeść kolację, kochać się.

Czuł na sobie wzrok opata, ale nie potrafił się zdobyć na to, żeby mu spojrzeć prosto w oczy.

***Ora et labora,* módl się i pracuj – powiedział opat łagodnie, ale zdecydowanie. – Przeciwieństwa. Modlitwa to słuchanie Boga, a praca to rozmowa z Bogiem. W klasztorze dążymy do równowagi między jednym i drugim.**

–Rozumiem, ojcze. – Wyman poczuł, że się czerwieni. Opat zawsze go zaskakiwał swoją

przenikliwością.

Przełożony położył mu dłoń na ramieniu.

–Cieszę się – powiedział, po czym odwrócił się i wyszedł.

Wyman zapisał wyniki swojej pracy, przegrał je na płytę kompaktową i wyłączył komputer.

Wsadził notes i płytę do kieszeni, a potem poszedł do swojej celi i włożył wszystko do szuflady nocnej szafki. Zastanawiał się, czy naprawdę uwolnił się od swojego dawnego zawodu szpiega. Czy o to w tym wszystkim chodzi.

Pochylił głowę i zaczął się modlić.

TOM BROADBENT obserwował, jak porucznik Willer krąży po salonie jego domu, powolne, ciężkie kroki policjanta wydawały się jakieś bezczelne. Policjant był w sportowej marynarce w kratkę, szarych spodniach i niebieskiej koszuli. Bez krawata. Miał krótkie ręce o kościstych, żylastych dłoniach. Liczył około czterdziestu pięciu lat, mierzył nie więcej niż metr siedemdziesiąt, miał wąską twarz, ostry nos i czarne oczy o obwisłych powiekach z czerwoną obwódką. Twarz człowieka cierpiącego na bezsenność.

Za nim stał jego pomocnik, Hernandez, łagodny, pulchny i miły, trzymając w dłoni otwarty notes. Towarzyszyła im rzeczowa kobieta o stalowosiwych włosach, która przedstawiła się jako doktor Feininger, lekarz sądowy.

Sally siedziała na kanapie.

–Na miejscu zbrodni znaleziono ludzki włos – mówił Willer, wolno obróciwszy się na pięcie. –

Doktor Feininger chce ustalić, czy należy do zabójcy, ale w tym celu musimy wyeliminować wszystkich

pozostałych, obecnych na miejscu wydarzenia.

–Rozumiem. Tom poczuł na sobie dość baczne spojrzenie czarnych oczu.

–Jeśli nie zgłasza pan żadnych zastrzeżeń, proszę tutaj podpisać. Tom podpisał zgodę. Feininger podeszła do niego z małą czarną torbą.

–Czy mogę pana prosić, by pan usiadł?

Nie wiedziałem, że to będzie niebezpieczne – zażartował Tom, próbując się uśmiechnąć. Będę je wyrywała z cebulkami – rozległa się rzeczowa odpowiedź. Tom usiadł, wymieniając spojrzenie z Sally. Był prawie pewien, że powodem tej wizyty było coś

więcej niż uzyskanie kilku jego włosów.

Obserwował, jak lekarka sądowa wyjmuje ze swojej czarnej

torby parę małych probówek i samoprzylepnych etykietek.

–Przez ten czas – powiedział Wilier – chciałbym wyjaśnić kilka kwestii. Pozwoli pan?

–A więc jednak, pomyślał Tom.

–Czy potrzebny mi adwokat?

–Ma pan do tego prawo.

–Czy jestem podejrzany? – Nie. Tom machnął ręką.

–Adwokaci słono sobie liczą. Proszę pytać.

–Powiedział pan, że w noc zabójstwa jechał pan konno wzdłuż rzeki Chama.

–Zgadza się. Tom poczuł, jak pani doktor dotyka jego włosów, w drugim ręku trzymając dużą pęsetę.

–Powiedział pan, że pojechał pan na skrót w górę kanionu Joaquin?

–Trudno to właściwie nazwać skrótem.

–Właśnie tak mi się wydawało. Dlaczego pojechał pan tamtędy?

–Jak już powiedziałem, lubię tę trasę. W ciszy, która zapadła, słyszał, jak pióro Hernandeza skrzypi na papierze, a potem rozległ się

szelest odwracanej kartki. Lekarka sądowa wyrwała mu jeden włos, drugi, trzeci.

–Skończyłam – oznajmiła.

–Ile jeszcze kilometrów zostało panu do pokonania tamtej nocy? – spytał Wilier.

–Piętnaście, dwadzieścia.

–Ile czasu by to panu zajęło?

–Trzy do czterech godzin.

–Więc o zachodzie słońca postanowił pan skorzystać ze skrótu,

który wcale nie był skrótem, wiedząc, że czekają pana przynajmniej trzy, cztery godziny jazdy w ciemnościach?

–Tamtej nocy była pełnia księżyca i dlatego tak to sobie zaplanowałem. Chciałem wrócić do domu przy świetle księżyca.

–Małżonce nie przeszkadza, że tak późno pan wraca?

–Nie, małżonce nie przeszkadza, że mąż tak późno wraca do domu – oświadczyła Sally. Wilier dalej pytał beznamiętnym tonem:

–Usłyszał pan strzały i postanowił pan sprawdzić, co się stało?

–Panie poruczniku, już o tym rozmawialiśmy. Wilier jakby go nie usłyszał. – Powiedział pan, że znalazł pan konającego mężczyznę. Zastosował pan sztuczne oddychanie z

masażem serca i stąd wzięła się jego krew na pańskim ubraniu.

–Tak.

–Mężczyzna rozmawiał z panem, prosił o odszukanie jego córki… ma na imię Robbie, prawda? I poinformowanie jej, co znalazł. Ale umarł, nim zdołał powiedzieć, cóż to takiego. Mam rację?

–Już o tym mówiliśmy. – Tom mu nie powiedział i nie miał zamiaru powiedzieć, że mężczyzna miał notes i wspomniał o skarbie. Nie wierzył, że policja potrafiłaby to utrzymać w tajemnicy, a wiadomość o skarbie wywołałaby prawdziwy najazd ludzi spragnionych łatwego zarobku.

–Czy coś panu dał?

–Nie. – Tom głośno przełknął ślinę. Dziwił się, jak trudno mu kłamać. Po chwili Willer chrząknął i spuścił wzrok.

–Spędza pan dużo czasu, jeżdżąc konno po tych płaskowyżach, prawda?

–Prawda.

–Czy szuka pan tam czegoś konkretnego? – Tak. Willer szybko

uniósł głowę.

–Czego?

–Ciszy i spokoju. Policjant zmarszczył czoło.

–Dokąd dokładnie pan jeździ?

–Jeżdżę wszędzie: do Labiryntu, Mesa de los Viejos, Angielskich Skał, La Cuchilla, czasami nawet zapuszczam się aż do badlandów Echo, jeśli zaplanuję sobie wyprawę na dwa dni.

–Towarzyszy pani mężowi? – zwrócił się Willer do Sally.

–Czasami.

–Powiedziano mi, że wczoraj po południu pojechał pan do klasztoru Chrystus na Pustyni.

–Tom wstał.

–Kto to panu powiedział? Czy kazał mnie pan śledzić?

–Proszę się uspokoić, panie Broadbent. Jeździ pan rzucającą się w oczy furgonetką, a

przypominam, że droga, która tam prowadzi, jest prawie w całości widoczna z Mesa de los Viejos, gdzie

moi ludzie prowadzą poszukiwania. A więc: pojechał pan do klasztoru?

–Czy muszę odpowiadać na te wszystkie pytania?

–Nie. Jeśli pan nie odpowie, doręczę panu wezwanie i wtedy chyba przyda się panu ten adwokat, o którym pan wspomniał. Będzie pan musiał odpowiedzieć na te pytania pod przysięgą w komendzie policji.

–Czy to groźba?

–To stwierdzenie faktu, panie Broadbent.

–Tom – odezwała się Sally. – Uspokój się. Tom głośno przełknął ślinę.

–Owszem, pojechałem tam.

–Po co? Tom się zawahał.

–Żeby się spotkać z przyjacielem.

–Nazwisko?

–Brat Wyman Ford. Pióro znów zaskrzypiało. Willer, pisząc, cmoknął.

–Ten brat Ford to mnich?

–Nowicjusz.

–Dlaczego pojechał się pan z nim zobaczyć?

–Ciekaw byłem, czy słyszał albo widział coś, co ma związek z zabójstwem w Labiryncie. – Czuł się

okropnie, kłamiąc. Zaczęło do niego docierać, że może ludzie mieli rację. Nie powinien był zatrzymać

notesu. Ale złożył tę cholerną obietnicę.

–No i?

–Nie słyszał.

–Nic a nic?

–Nic a nic. Nie miał pojęcia o zabójstwie. Nie czyta gazet. – Tom zastanawiał się, czy Ford skłamie w sprawie notesu, jeśli policja pojedzie, by się z nim spotkać. Wydawało się to mało prawdopodobne: ostatecznie był mnichem.

Willer wstał.

–Nigdzie się pan nie wybiera w najbliższym czasie? Pytam na wypadek, gdybyśmy mieli jeszcze jakieś pytania do pana.

–W tej chwili nie mam żadnych planów wyjazdowych. Willer znów skinął głową i spojrzał na Sally.

–Przepraszam szanowną panią za to najście.

–Proszę mnie nie nazywać „szanowną panią” – ostro odparła Sally.

–Nie chciałem pani urazić, pani Broadbent. – Odwrócił się w stronę lekarki sądowej. – Ma pani to, czego pani chciała?

–Tak.

Tom odprowadził ich do drzwi. Willer, zanim wyszedł, przystanął i utkwił w nim swoje czarne

oczy.

–Okłamywanie policji to przestępstwo.

–Zdaję sobie z tego sprawę. Willer odwrócił się i wyszedł. Tom przyglądał się, jak odjeżdżają, potem wszedł do środka i

zamknął drzwi. Sally stała w pokoju ze skrzyżowanymi ramionami.

–Tom…

–Nic nie mów.

–Powiem. Stąpasz po grząskim gruncie. Musisz im oddać ten notes.

–Teraz już za późno.

–Nieprawda. Możesz im wszystko wyjaśnić. Zrozumieją.

–Akurat. Ile razy mam to powtarzać? Złożyłem obietnicę. Westchnęła i opuściła ręce wzdłuż ciała.

–Tom, dlaczego jesteś taki uparty?

–A ty nie? Sally usiadła na kanapie obok niego.

–Jesteś niemożliwy. Otoczył ją ramieniem. Przykro mi, ale chciałabyś mnie, gdybym był inny?

–Chyba nie. – Westchnęła. – Na dodatek, kiedy dziś po południu wróciłam do domu, odniosłam wrażenie, że ktoś tu był.

–Jak to? – spytał Tom zaniepokojony.

–Nie wiem. Niczego nie ukradziono ani nie ruszono. Miałam tylko dziwne uczucie… Zupełnie jakbym czuła nieprzyjemny zapach potu kogoś nieznajomego.

–Jesteś pewna? – Nie.

–Powinniśmy to zgłosić.

–Tom, zgłosisz włamanie i Willer znów zacznie się ciebie czepiać. Zresztą wcale nie jestem tego pewna. To tylko takie wrażenie.

Tom zastanawiał się przez chwilę.

–Sally, to poważna sprawa. Już wiemy, że dla tego skarbu warto zabić. Będę spokojniejszy, jeśli wyciągniesz swojego smith wessona i będziesz go trzymała pod ręką.

–Nie ma mowy. Czułabym się głupio, paradując z bronią.

–Ustąp mi. Wiem, że potrafisz strzelać. Udowodniłaś to w Hondurasie.

Sally wstała, wyciągnęła szufladę w szafce pod telefonem, wyjęła z niej klucz i poszła otworzyć

szafkę w drugim pokoju. Po chwili wróciła z rewolwerem i paczką nabojów kaliber 9 milimetrów. Otworzyła bębenek, włożyła sześć naboi do komór, zatrzasnęła bębenek i wsunęła broń do kieszeni z przodu dżinsów.

–Zadowolony?

JIMSON MADDOX wręczył kluczyki samochodowe i banknot pięciodolarowy pryszczatemu boyowi, stojącemu na chodniku, i wszedł do holu hotelu El Dorado, jego nowiutkie buty z wężowej skóry przyjemnie skrzypiały. Przystanął, żeby się rozejrzeć, lekko obciągając marynarkę. W jednym końcu sporego pomieszczenia płonął ogień na kominku, a w drugim jakiś stary pedzio siedział przy fortepianie i brzdąkał „Misty". W głębi znajdował się bar z jasnego drewna.

Maddox wolnym krokiem podszedł do baru, powiesił swojego laptopa na oparciu krzesła i usiadł.

–Kawę. Czarną.

Barman skinął głową i po chwili wrócił z filiżanką kawy i miseczką solonych orzeszków. Maddox pociągnął łyk.

–Chyba niezbyt świeża. Mógłbyś zaparzyć nową?

–Ależ naturalnie. Proszę wybaczyć. – Barman zabrał filiżankę i zniknął na zapleczu.

Maddox wziął kilka orzeszków i wsadził je do ust, obserwując, jak goście wchodzą i wychodzą. Wszyscy wyglądali tak jak on: byli w koszulkach polo, sportowych marynarkach, porządnych sztruksowych albo wełnianych spodniach. Ludzie, którzy prowadzili uczciwe życie, mieli dwa samochody, dwoje przecinek cztery dziesiąte dzieci, pracowali w dużych firmach. Nachylił się, wrzucił do ust jeszcze garść orzeszków, przy okazji kilka rozsypując. Zabawne, jak wiele atrakcyjnych kobiet w średnim wieku -na przykład ta, która teraz idzie przez hol, w jasnobrązowych spodniach i swetrze, z perełkami na szyi, trzymając małą czarną torebkę – traci głowę na myśl o jakimś wytatuowanym, napakowanym więźniu, odsiadującym surowy wyrok za gwałt, morderstwo albo napad. Miał dziś dużo roboty, musiał napisać przynajmniej dwadzieścia nowych listów skazańców i umieścić je na swojej stronie. Niektóre listy były takie nieskładne, że sam musiał wszystko wymyślać. Nieważne: składki członkowskie wciąż napływały, popyt na więźniów stale rósł. Jeszcze nigdy tak łatwo nie zarabiał pieniędzy, a najbardziej go zdumiewało to, że wszystko odbywało się legalnie, płacono mu kartami kredytowymi za pośrednictwem internetowej firmy

fakturującej, która potrąciła swoją działkę, a resztę przekazywała telegraficznie na jego rachunek bankowy.

Gdyby wiedział, jak łatwo można uczciwie zarabiać pieniądze, oszczędziłby sobie masy nieprzyjemności.

Schrupał jeszcze kilka orzeszków i odsunął miseczkę, bo pilnował się, żeby nie przytyć. Akurat wtedy pojawił się barman ze świeżo zaparzoną kawą.

–Przepraszam, że tak długo to trwało.

–Nie ma sprawy. – Napił się kawy; była bardzo aromatyczna. – Dziękuję.

–Proszę bardzo.

„Chudzielec" Maddox skupił się na sprawie, którą musiał teraz załatwić. Nie znalazł notesu w domu. To oznaczało, że Broadbent albo ma go przy sobie, albo ukrył go poza domem, może w skrytce bankowej. Gdziekolwiek jest notes, Maddox wiedział, że nie uda mu się go teraz ukraść. Poczuł ogarniającą go irytację. Tak czy inaczej, Broadbent tkwił w tym po uszy. Może jako rywal… A może nawet jako wspólnik Weathersa.

Maddox niemal słyszał, jak Corvus mówi z angielskim akcentem: *Notes.* Jest tylko jeden sposób: trzeba zmusić Broadbenta, by mu go oddał. Musi go czymś zaszantażować.

Potrzebna mu była ona.

–Pierwszy raz w Santa Fe? – zapytał barman, wyrywając go z zamyślenia.

–Tak.

–Służbowo?

–Jasne. – Maddox się uśmiechnął.

–Przyjechał pan na konferencję chirurgów laparoskopowych? Chryste, widocznie wygląda na konowała. Doktorka z Connecticut, imprezującego na koszt jakiejś

wielkiej firmy farmaceutycznej. Gdyby tylko barman zobaczył tatuaż, który pokrywał mu całe plecy. Zesrałby się w gacie…

–Nie – odparł uprzejmie Maddox. – Pracuję w dziale personalnym.

20

NASTĘPNEGO RANKA Tom dostał e-mail następującej treści:

Tom!

„Rozszyfrowałem" zapiski w notesie. Nie uwierzysz. Powtarzam: nie uwierzysz. Przyjedź do klasztoru jak najszybciej i przygotuj się na prawdziwą bombę.

Wyman

Tom natychmiast wyruszył do klasztoru. Teraz, kiedy został mu do przebycia ostatni, półtorakilometrowy odcinek wyboistej drogi, jego ciekawość sięgnęła zenitu.

Wkrótce wyłoniła się wieża dzwonnicy i Tom zatrzymał chevroleta na parkingu. Kiedy wysiadł, otoczyła go chmura pyłu. Po chwili brat Wyman wybiegł z kościoła; w rozwianym habicie przypominał wielkiego nietoperza w locie.

–Ile czasu zajęło ci złamanie szyfru? – spytał Tom, kiedy wspinali się na wzgórze. – Dwadzieścia minut?

–Dwadzieścia godzin. I wcale nie złamałem kodu.

–Jak to?

–Bo to nie jest żaden szyfr.

–Nie żartuj.

–Wcale nie żartuję. Kiedy zobaczyłem te równiutkie kolumny i rzędy cyfr, byłem pewien, że kryją jakąś zaszyfrowaną wiadomość. Wszystkie testy, którymi sprawdzałem tekst, świadczyły, że nie są to przypadkowe liczby, że zostały zapisane według jakiegoś wzoru – ale jakiego? Nie jest to kod liczb pierwszych. Nie jest to żaden rodzaj kodu podstawieniowego czy przestawieniowego, ani żaden szyfr, jaki przychodził mi do głowy. Nie wiedziałem, z której strony to ugryźć. W końcu pomyślałem sobie, że może to wcale nie jest żaden kod.

–W takim razie co to takiego?

–Dane.

–Dane?

–Okazałem się skończonym idiotą. Powinienem był od razu się zorientować. – Wyman umilkł, bo znaleźli się w pobliżu refektarza, i położył palec na ustach. Weszli do środka i udali się korytarzem do małego, chłodnego, pobielonego pomieszczenia. Na grubo ciosanym, drewnianym stole stał laptop Apple, nad nim wisiał niepokojąco realistyczny krucyfiks. Ford rozejrzał się z miną winowajcy i zamknął drzwi.

–Właściwie nie wolno nam tutaj rozmawiać – szepnął. – Czuję się jak niegrzeczny uczeń, palący w

kibelku.

–A więc co to za dane?

–Zaraz sam zobaczysz.

–Czy zawierają informacje o tożsamości zamordowanego?

–Nie, ale na ich podstawie można to ustalić. Tyle wiem. Przystawili krzesła do stołu z komputerem. Brat Wyman otworzył laptopa i włączył go. Czekali, aż się załaduje. Gdy tylko system się uruchomił, Ford zaczął coś szybko pisać.

–Łączę się z Internetem przez szerokopasmowe łącze satelitarne. Twój nieznajomy posługiwał się zdalnym urządzeniem odczytującym i przepisywał dane do notesu.

–Co to za urządzenie?

–Trochę czasu mi zajęło rozgryzienie tej zagadki. Poszukiwacze skarbów zazwyczaj posługują się dwoma urządzeniami. Pierwszym jest magnetometr protonowy, czyli w zasadzie niezwykle precyzyjny wykrywacz metali. Idzie się i mierzy nim mikroskopijne odchylenia miejscowego pola magnetycznego. Ale wyniki podawane w miligausach absolutnie nie przypominają tego, co zawiera notes. Drugie urządzenie to radar do penetracji gruntu, czyli georadar. Składa się on z anteny nadawczej i odbiorczej. Georadar wysyła impulsy elektromagnetyczne w kierunku ziemi i odbiera odbite sygnały. W zależności od rodzaju podłoża i stopnia jego wilgotności impulsy mogą wniknąć na głębokość do pięciu metrów, nim ulegną odbiciu. Można uzyskać przybliżony trójwymiarowy obraz elementów ukrytych w ziemi

albo określonych rodzajów skał. Można oglądać pustki, jaskinie, stare kopalnie, zakopane skrzynie ze skarbami, żyły zawierające metal, stare mury czy grobowce. Tego rodzaju rzeczy.

Przerwał, by złapać oddech, a po chwili kontynuował ściszonym głosem:

–Okazuje się, że cyfry w notesie były zapisem danych z bardzo czułego, wykonanego na

zamówienie georadaru. Na szczęście miał standardowe wyjście, imitujące Dallas Electronic BAND 155

Swept FM, więc obraz mógł być przetworzony przez standardowe oprogramowanie.

–Ten poszukiwacz skarbów poważnie traktował swoją pracę.

–Z całą pewnością. Dokładnie wiedział, co robi.

–A więc znalazł skarb?

–Owszem. Tom wprost umierał z ciekawości.

–Co to takiego? Wyman się uśmiechnął i podniósł palec.

–Za chwilę zobaczysz jego obraz, uzyskany dzięki georadarowi. Właśnie to opisują te wszystkie

cyfry w notesie: dokładne odwzorowanie skarbu *in situ* w ziemi.

Tom przyglądał się, jak Ford łączy się ze stroną internetową Wydziału Geologii Uniwersytetu

Bostońskiego. Otworzył szereg wysoce specjalistycznych hipertekstowych stron, poświęconych radiolokacji, obrazom satelitarnym i Landsatowi, nim dotarł do strony zatytułowanej:

OBRÓBKA I ANALIZA BAND 155 SWEPT-FM GPR PROCESSING GPR ZA POMOCĄ STERRAPLOT®

WPISZ LOGIN I HASŁO

–Musiałem się włamać – szepnął Ford z uśmiechem, wpisując nazwę i hasło. – Nie zrobiłem nic złego, podszyłem się jedynie pod studenta Uniwersytetu Bostońskiego.

–Nie wydaje mi się, żeby było to zachowanie bardzo typowe dla mnicha – zauważył Tom.

–Jeszcze nie jestem mnichem. – Ponownie coś wystukał na klawiaturze i pojawił się nowy ekran:

ZAŁADUJ DANE

Znów coś wklepał, a potem rozsiadł się z uśmiechem, trzymając palec nad klawiszem „enter"; na jego ustach błąkał się uśmiech.

–Jesteś gotów?

–Nie znęcaj się dłużej nade mną. Zdecydowanym ruchem uderzył w klawisz, uruchamiając program.

21

BIURO HANDLU nieruchomościami Cowboy Country mieściło się w cukierkowym budynku z imitacji cegły suszonej na słońcu przy Paseo de Peralta. Drzwi ozdabiały warkocze czerwonych papryczek chili, recepcję obsługiwała tryskająca energią sekretarka w stroju z Dzikiego Zachodu. Maddox wszedł do środka, jego buty przyjemnie stukały o płytki podłogowe Saltillo. Podniósł rękę, żeby zdjąć kapelusz Resistol, który sobie kupił tamtego ranka – 16X, z szerokim rondem, za 420 dolarów – ale się rozmyślił, przypomniawszy sobie, że jest na Dzikim Zachodzie, a prawdziwi kowboje nie zdejmują nakrycia głowy w pomieszczeniu. Podszedł do recepcji i pochylił się nad biurkiem.

–Słucham pana? – spytała recepcjonistka.

–Zajmujecie się wynajmowaniem domów na lato, prawda? –

Maddox uśmiechnął się do

dziewczyny.

–Naturalnie.

–Nazywam się Maddox. Jim Maddox. – Wyciągnął rękę i dziewczyna ją uścisnęła, spoglądając na niego niebieskimi oczami.

–Czy był pan umówiony?

–Nie. Można powiedzieć, że jestem klientem z ulicy.

–Momencik.

Chwilę później zaprowadziła go do gabinetu urządzonego w stylu Santa Fe.

–Trina Dowling – przedstawiła się pośredniczka, podając mu rękę, i poprosiła, żeby usiadł

naprzeciwko niej.

Prawdziwe straszydło – pięćdziesiąt kilka lat, chuda jak szczapa, ubrana na czarno, jasnowłosa, o głosie świadczącym, jaka jest skuteczna. Potencjalna klientka, pomyślał Maddox. Niewątpliwie potencjalna klientka Ciężkich Czasów.

–Rozumiem, że chciałby pan wynająć dom na lato.

–Zgadza się. Szukam miejsca, gdzie mógłbym dokończyć pisanie swojej pierwszej powieści.

–O, to ciekawe! Pisze pan powieść! Założył nogę na nogę.

–Miałem firmę internetową, sprzedałem ją przed krachem, rozwiodłem się. I postanowiłem na jakiś czas przestać zarabiać pieniądze i poświęcić się temu, o czym zawsze marzyłem. – Rzucił jej autoironiczny uśmiech. – Szukam jakiegoś spokojnego miejsca na północ od Abiąuiu, z dala od ludzi, od sąsiadów.

–Dysponujemy ponad trzystoma domami do wynajęcia i jestem pewna, że coś dla pana znajdziemy.

–Świetnie. – Maddox poprawił się na krześle, inaczej skrzyżował nogi. – Bardzo poważnie traktuję swoje prawo do prywatności.

Chcę, żeby najbliższy dom był oddalony przynajmniej o półtora kilometra.

Coś na końcu drogi, wśród drzew. Umilkł. Trina notowała.

–Idealny byłby dawny domek górnika – ciągnął. – Zawsze interesowałem się kopalniami. W swojej

powieści piszę o kopalni.

Dowling skończyła robić notatki i mocno uderzyła piórem w notes.

–Może przejrzymy katalog? Ale najpierw proszę mi powiedzieć, panie Maddox, ile gotów jest pan zapłacić.

–Cena nie gra roli. I proszę mi mówić po imieniu.

–Jim, zaczekaj chwilkę, a ja zajrzę do naszej bazy danych.

–Bardzo proszę.

Znowu inaczej założył nogę na nogę, kiedy Trina stukała w klawiaturę.

–A więc… – Ponownie się uśmiechnęła. – Mam tutaj kilka odpowiednich domów, ale jeden wydaje się wprost idealny. Dawny obóz CKOP w Perdiz Creek, u podnóża gór Canjilon.

–Obóz CKOP?

–Zgadza się. W latach trzydziestych Cywilny Korpus Ochrony Przyrody zbudował tam obóz dla ludzi wytyczających szlaki w lasach państwowych: kilkanaście drewnianych domków, stołówkę i świetlicę. Parę lat temu jakiś dżentelmen z Teksasu kupił cały kompleks. Wyremontował świetlicę, przerobił ją na naprawdę uroczy domek z trzema sypialniami i trzema łazienkami. Resztę pozostawił bez zmian. Mieszkał tam jakiś czas, ale czuł się zbyt samotnie i teraz wynajmuje dom.

–Obawiam się, że zaglądają w te strony turyści.

–Teren jest ogrodzony, znajduje się w samym środku lasów państwowych. Znajduje się na końcu trzynastokilometrowej drogi gruntowej, ostatnie trzy kilometry można pokonać tylko wozem z napędem na cztery koła. – Podniosła wzrok. – Ma pan samochód

terenowy?

–Range-rovera. Uśmiechnęła się.

–Taka droga zniechęca ewentualnych gości.

–Racja.

–To miejsce ma ciekawą historię. Zanim założono tam obóz Cywilnego Korpusu Ochrony

Przyrody, Perdiz Creek było miastem górników wydobywających złoto. Są tam jakieś stare kopalnie i… –

Uśmiechnęła się do niego. – Mówią, że okolice te nawiedzają duchy. Nie wspomniałabym o tym innemu

klientowi, ale ponieważ jest pan pisarzem…

–Przyda mi się w mojej książce duch.

–Są tam wprost wymarzone tereny do wycieczek pieszych, konnych i rowerowych. Wokół ciągną się lasy państwowe. Ale jest doprowadzona elektryczność i linia telefoniczna.

–Wygląda to na idealne miejsce dla mnie. Mam tylko jedną uwagę: nie chciałbym, żeby właściciel

pojawił się bez uprzedzenia.

–Jest we Włoszech i mogę pana zapewnić, że nie należy do tego rodzaju ludzi. My zajmujemy się wszystkim i jeśli ktokolwiek się tam pojawi, to jedynie ktoś z nas, naturalnie tylko, jeśli będzie jakiś ważny powód i po zapowiedzeniu naszej wizyty minimum dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Nikt nie będzie pana niepokoił.

–Czynsz?

–Całkiem rozsądny. Trzy tysiące osiemset miesięcznie, jeśli wynajmie pan dom na całe lato.

–Idealnie. Chciałbym go obejrzeć.

–Kiedy?

–Zaraz. – Poklepał kieszeń marynarki, w której miał książeczkę czekową. – Jestem przygotowany na sfinalizowanie sprawy nawet dziś. Zamierzam jak najszybciej zabrać się do swojej powieści. To kryminał.

TOM wpatrywał się uważnie w biały ekran powerbooka. Początkowo nic się nie działo, ale potem na monitorze zaczął się pojawiać obraz, najpierw nieco zamazany.

–Obróbka danych trochę trwa – mruknął Wyman.

Program wykonał przekształcenie pierwszy raz, na monitorze jednak nadal widać było jedynie

niewyraźną smugę. Wcale nie przypominało to skrzyni ze złotem ani zapomnianej kopalni, ale może to widok samej jaskini. Podczas ponownego wykonywania przekształcenia obraz zaczął się stopniowo wyostrzać. Tom wstrzymał oddech, kiedy smuga jęła przybierać konkretne kształty. Nie ulegało wątpliwości, co przedstawia. Ledwo wierzył oczom. Uznał, że to musi być złudzenie optyczne, że to nie może być to. Ale po trzecim zastosowaniu tego samego przekształcenia przez program do Toma dotarło, że wzrok nie płata mu figla.

–Mój Boże – powiedział Tom. – To nie żaden skarb. To dinozaur. Wyman się roześmiał, oczy mu błyszczały.

–Powiedziałem ci, że to prawdziwa bomba. Spójrz na pasek skali. To *Tyrannosaurus rex* i z tego, czego się dowiedziałem, wynika, że to największy okaz, jaki do tej pory znaleziono.

–Ale to całe zwierzę, a nie same kości.

–Zgadza się.

Tom umilkł i tylko się gapił na monitor. Z całą pewnością *Tyrannosaurus rex* - kontur nie

pozostawiał wątpliwości – leżał skulony na boku. Ale nie był to jedynie skamieniały szkielet; oprócz kości zachowała się w dużym stopniu skóra, narządy wewnętrzne i mięśnie.

–To mumia – powiedział Tom. – Skamieniała mumia tyranozaura.

–Zgadza się.

–Nie do wiary. To chyba jedna z największych skamieniałości,

jakie kiedykolwiek znaleziono.

–Tak jest. Właściwie kompletna, nie licząc kilku zębów, łapy i ostatniego odcinka ogona. Wygląda, jakby się wyłaniała ze skały.

–Więc tamten zamordowany szukał dinozaurów.

–No właśnie. Mówiąc o skarbie, może chciał innych wprowadzić w błąd, a może tak je traktował. Bo to jest skarb, tyle że paleontologiczny.

Tom gapił się na monitor. Nadal trudno mu było w to uwierzyć. Jako dziecko marzył o tym, żeby zostać paleontologiem; kiedy jego rówieśnicy wyrośli z fascynacji dinozaurami, on nadal pozostawał pod ich wrażeniem. Ojciec jednak skłonił go do zostania weterynarzem. I oto teraz patrzył na coś, co z pewnością jest jedną z najwspanialszych skamieniałości wszech czasów.

–A więc mamy motyw – powiedział Ford. – Ten dinozaur wart jest majątek. Poszperałem trochę w

Internecie. Słyszałeś o samicy dinozaura imieniem Sue?

–O sławnym tyranozaurze w Field Museum?

–Tak. Znalazła go w 1990 roku zawodowa poszukiwaczka skamieniałości Sue Hendrickson na pustkowiach Dakoty Południowej. Największy i najbardziej kompletny *Tyrannosaurus rex,* jakiego znaleziono. Dziesięć lat temu na aukcji w Sotheby's osiągnął cenę ośmiu milionów trzystu sześćdziesięciu tysięcy dolarów.

–Tom gwizdnął cicho.

–Ten musi być wart dziesięć razy tyle.

–Przynajmniej.

–Gdzie się znajduje?

Ford się uśmiechnął i pokazał na monitor.

–Widzisz ten rozmyty kontur wokół dinozaura? To przekrój poprzeczny wychodni, w której tkwi skamieniałość. To duża formacja, o średnicy ponad dwunastu metrów, i ma tak

charakterystyczny kształt, że z łatwością można ją rozpoznać. Wszystkie dane o lokalizacji, jakich potrzebujesz, są tutaj. Wystarczy się tylko pokręcić po okolicy, by znaleźć to miejsce.

–Może znajduje się w Kanionie Tyranozaura.

–To byłby niezwykły zbieg okoliczności. Ale może to być wszędzie na płaskowyżach.

–Odszukanie tego miejsca będzie pewnie trwało wieki.

–Nie sądzę. Spędziłem dużo czasu, chodząc po tych okolicach, jestem przekonany, że udałoby mi się je znaleźć w niespełna tydzień. Nie tylko znamy kształt formacji, ale widać, że część głowy dinozaura i górny fragment ciała są odsłonięte. To musi być niezły widok: szczęki dinozaura, sterczące ze skały.

–Na przykład z tego czarnego monolitu, od którego wziął nazwę Kanion Tyranozaura? – spytał Tom.

–Znam tamten monolit. Nie ma nic wspólnego z tą skamieniałością. Dysponując tym obrazem, wiemy, czego szukać, co, Tom?

–Chwileczkę. Kto powiedział, że będziemy tego szukać? – Ja. Tom pokręcił głową.

–Myślałem, że zamierzasz zostać mnichem. Że porzuciłeś takie rzeczy. Ford przez chwilę patrzył na niego, a potem spuścił wzrok.

–Tom, poprzednio zadałeś mi pewne pytanie. Chciałbym teraz na nie odpowiedzieć.

–Wiem, że wtedy posunąłem się za daleko. Naprawdę nie musisz mi nic wyjaśniać.

–Nie posunąłeś się za daleko i zamierzam odpowiedzieć ci na tamto pytanie. Do tej pory wszystko

dusiłem w sobie, wybrałem milczenie, by uciec przed tamtą sprawą. – Urwał.

Tom nie odezwał się.

–Byłem tajnym agentem. Studiowałem kryptologię, ale

ostatecznie zacząłem pracować jako

analityk systemowy w wielkiej firmie komputerowej. Prawdę mówiąc, byłem hakerem na usługach CIA.

Tom słuchał.

–Załóżmy, naturalnie zupełnie teoretycznie, że rząd, dajmy na to, Kambodży kupuje serwery i

oprogramowanie od dużej firmy amerykańskiej, której nazwa tworzy trzyliterowy akronim, ale której nie

wymienię. Kambodżanie nie wiedzą, że w kodzie oprogramowania ukryto małą bombę logiczną. Bomba

wybucha dwa lata później i system zaczyna się dziwnie zachowywać. Rząd Kambodży zwraca się do firmy

amerykańskiej o pomoc. Zostaję wysłany do nich jako analityk systemowy. Powiedzmy, że zabieram ze

sobą żonę, co pomaga zachować pozory. Ona też jest pracownicą firmy. Rozwiązuję problem, przy okazji

nagrywając na CD-ROM całą zawartość tajnej kartoteki osobowej, stanowiącej własność rządu

kambodżańskiego. CD-ROM-y wyglądają jak pirackie kopie „Requiem" Verdiego. Można je nawet

odtwarzać. Cały czas snuję teoretyczne rozważania. Może nigdy nigdzie nic takiego się nie wydarzyło.

Umilkł.

–Ciekawe zajęcie – zauważył Tom.

–Owszem, było to zabawne, póki w wybuchu samochodu-pułapki nie zginęła moja żona, będąca w ciąży z naszym pierwszym dzieckiem.

–O mój Boże…

–W porządku, Tom – przerwał mu szybko Ford. – Musiałem ci wszystko wyznać. Po tamtym wydarzeniu zrezygnowałem z dotychczasowego życia i zacząłem nowe. Tak jak stałem, z

kluczykami samochodowymi i portfelem w kieszeni. Przy pierwszej nadarzającej się okazji wrzuciłem portfel i kluczyki do szczeliny bez dna w kanionie Chevez. Nawet nie wiem, co się stało z moimi kontami bankowymi, domem, portfelem akcji. Pewnego dnia, jak każdy dobry mnich, przekażę to wszystko potrzebującym.

–Nikt nie wie, że tu jesteś?

–Wszyscy wiedzą, że tu jestem. W CIA zrozumieli. Możesz wierzyć albo nie, Tom, ale w CIA całkiem dobrze się pracuje. Są tam na ogół porządni ludzie. Julie, moja żona, i ja wiedzieliśmy, co nam grozi. Zwerbowano nas, kiedy studiowaliśmy na MIT. Tamte kartoteki osobowe, które skopiowałem, zawierały informacje o torturowaniu ludzi i morderstwach popełnionych przez Czerwonych Khmerów. Dobrze się spisałem. Ale… – Zawiesił głos. – Zapłaciłem zbyt wysoką cenę.

–Mój Boże. Ford uniósł palec.

–Nie przyzywaj imienia bożego nadaremno. A więc teraz znasz całą prawdę.

–Nie wiem, co powiedzieć, Wyman. Przykro mi… Naprawdę bardzo mi przykro.

–Nic nie musisz mówić. Nie jestem jedynym człowiekiem na świecie, którego spotkała tragedia. Tutaj jest mi całkiem dobrze. Kiedy człowiek pości, żyje w ubóstwie, celibacie i milczeniu, przybliża się

ku czemuś ponadczasowemu. Można to nazwać Bogiem, można to nazwać, jak kto chce. Jestem człowiekiem szczęśliwym.

Zaległo długie milczenie. W końcu Tom spytał:

–A co to ma wspólnego z pomysłem, że powinniśmy odszukać dinozaura? Obiecałem, że oddam

notes córce zamordowanego, Robbie. Jeśli o mnie chodzi, dinozaur należy do niej.

Ford postukał w stół.

–Przykro mi to mówić, Tom, ale cała ta ziemia, płaskowyże,

pustkowia i góry, podlega Biuru

Zarządzania Gruntami Publicznymi. Innymi słowy, to własność publiczna. Nasza. Ten obszar i wszystko,

co się na nim znajduje, łącznie z dinozaurem, należą do Amerykanów. Widzisz, Tom, tamten człowiek nie

tylko był poszukiwaczem dinozaurów. Był także złodziejem dinozaurów.

DOKTOR IAIN Corvus delikatnie przekręcił gałkę w metalowych drzwiach z napisem LABORATORIUM MINERALOGII i cicho wszedł do środka. Melodie Crookshank siedziała przy komputerze, tyłem do drzwi, i coś pisała. Jej krótkie brązowe włosy podskakiwały, kiedy uderzała w klawisze.

Podkradł się do niej i położył dłoń na jej ramieniu. Podskoczyła, wydając zduszony okrzyk.

–Nie zapomniała pani o naszym spotkaniu, prawda? – spytał Corvus.

–Nie, ale wślizgnął się pan jak złodziej.

Corvus roześmiał się cicho, lekko ścisnął jej ramię, lecz nie zabrał dłoni. Czuł przez fartuch bijące od niej ciepło.

–Cieszę się, że zgodziła się pani dłużej zostać. – Z zadowoleniem zauważył, że włożyła

bransoletkę. Była ładną kobietą, ale brakowało jej szyku, jakby jednym z warunków wstępnych, by być

poważnym naukowcem, była rezygnacja z makijażu i unikanie fryzjerki. Ale miała dwie ważne cechy: była

samotna i umiała dochować tajemnicy. Dyskretnie wywiedział się o niej co nieco; była produktem fabryki

doktorów na Columbii, wypuszczającej znacznie więcej absolwentów, niż było ich potrzeba; jej rodzice nie

żyli, nie posiadała rodzeństwa ani chłopaka, tylko garstkę przyjaciół, właściwie nie udzielała się

towarzysko. Za to miała kwalifikacje i była bardzo chętna do pomocy.

Przeniósł wzrok na jej twarz i z zadowoleniem stwierdził, że Melodie się zapłoniła. Przemknęło mu przez myśl, czy ich czysto zawodowa znajomość nie mogłaby się przerodzić w coś więcej, ale lepiej nie, nigdy nie wiadomo, co by z tego wyniknęło.

Rzucił jej swój najbardziej zniewalający uśmiech i ujął gorącą dłoń.

–Melodie, jestem zachwycony, że zrobiła pani tak wielkie postępy.

–Prawda, doktorze Corvus? To… to niesamowite. Nagrałam wszystko na CD. Zajął miejsce przed dużym, płaskim monitorem power maca G5.

–No to zaczynamy – mruknął.

Melodie usiadła obok niego, wzięła ze stosu pierwsze plastikowe pudełko, otworzyła je i wsunęła płytę do stacji dysków. Wyciągnęła klawiaturę i wystukała polecenie.

–A więc mamy tutaj – zaczęła, przyjmując profesjonalny ton – fragment kręgu i skamieniałe tkanki

miękkie oraz skórę wielkiego tyranozaura, to prawdopodobnie *Tyrannosaurus rex,* a może wyjątkowo

duży albertozaur. Zachował się wprost w fantastycznym stanie.

Na monitorze pojawił się obraz.

–Proszę spojrzeć. To odcisk skóry. – Zamilkła. – Tak to wygląda w powiększeniu. Widzi pan te

cienkie równoległe linie? Widać je też przy trzydziestokrotnym powiększeniu.

Corvusa aż ciarki przeszły. To było jeszcze lepsze, niż się spodziewał, znacznie lepsze. Miał uczucie, jakby się unosił w powietrzu.

–To odcisk pióra – udało mu się powiedzieć.

–No właśnie. Dowód, że *Tyrannosaurus rex* był upierzony.

–Taką teorię wysunęła kilka lat temu grupa młodych paleontologów z muzeum. Corvus wyśmiał ten pomysł w „Journal of Paleontology", określając go mianem „osobliwej amerykańskiej mrzonki", co wywołało wiele kpin i antybrytyjskich uwag ze strony jego kolegów z muzeum. A teraz proszę, widział na własne oczy, że to oni mieli rację, a on się mylił. Nieprzyjemne

uczucie, że był w błędzie, szybko ustąpiło miejsca bardziej złożonym emocjom. Oto pojawiła się okazja… Rzadka okazja. Mógł im ukraść ich teorię, stawić czoło światu i przyznać się do pomyłki. Zuchwała kradzież pod płaszczykiem pokory.

–I właśnie tak to rozegra.

–Kiedy im to przedstawi, będą go musieli zatrudnić bezterminowo. Ale wtedy przestanie mu na tym zależeć, prawda? Dostanie pracę wszędzie, nawet w Muzeum Brytyjskim. Przede wszystkim w Muzeum Brytyjskim.

Corvus zorientował się, że wciąż wstrzymuje oddech, i wypuścił powietrze z płuc.

–Rzeczywiście – mruknął. – A więc staruszek był jednak upierzony.

–To nie wszystko. Corvus uniósł brwi.

Nacisnęła klawisz i pojawił się inny obraz.

–To spolaryzowany obraz w stukrotnym powiększeniu skamieniałej tkanki mięśniowej. Zachowała

się w idealnym stanie. Krzemionka zastąpiła tkanki komórki, nawet organelle, utrwalając ich strukturę.

Patrzymy teraz na obraz komórki mięśnia dinozaura. Corvusowi aż odjęło mowę.

–Tak. – Znów nacisnęła jakiś klawisz. – To powiększenie pięćsetkrotne. Widać jądro. Kliknięcie.

–Mitochondria. Kliknięcie.

–A to aparat Golgiego. Kliknięcie.

–Rybosomy… Corvus wyciągnął rękę.

–Moment. – Zamknął oczy i głęboko zaczerpnął powietrza. Otworzył oczy. – Proszę na chwilę

przerwać.

Wstał, chwycił się oparcia krzesła i wziął głęboki oddech. Minęły mu zawroty głowy, ale wciąż czuł się trochę dziwnie. Rozejrzał się

po laboratorium. Panowała tu cisza grobowa, słychać było jedynie słabe syczenie klimatyzacji, szum wiatraka komputerowego, i czuć zapach żywicy, plastiku i pracujących urządzeń elektronicznych. Wszystko było tak jak przedtem – a przecież przed chwilą świat się zmienił. Wyobraził sobie swoje przyszłe życie – nagrody, bestseller, odczyty, pieniądze, prestiż. Bezterminowe

zatrudnienie to dopiero początek.

Spojrzał na Melodie Crookshank. Czy ona też to widziała? Nie była głupia. Myślała o tym samym, wyobrażając sobie, jak się zmieniło jej życie… na zawsze.

–Melodie…

–Prawda, że to niesamowite? Ale to jeszcze nie wszystko. O nie. Udało mu się usiąść. Co jeszcze kryje skamieniałość? Melodie nacisnęła klawisz.

–Przejdźmy do mikrografii elektronowej. – Pojawił się czarno-biały, ostry obraz. – To siateczka śródplazmatyczna, powiększona tysiąc razy. Obrazuje budowę krystaliczną minerału, który wyparł żywą tkankę. Właściwie niewiele widać, osiągnęliśmy górną granicę rozdzielczości. Przy takim powiększeniu struktura zanika. W procesie fosylizacji nie wszystko się zachowuje. Ale fakt, że w ogóle cokolwiek widać przy tysiąckrotnym powiększeniu, to coś niesłychanego. Ogląda pan szczegóły budowy komórek dinozaura.

To było niezwykłe. Nawet ta malutka próbka stanowiła pierwszorzędne odkrycie paleontologiczne. A pomyśleć, że prawdopodobnie zachował się w takim stanie cały dinozaur, jeśli on, Corvus, jest dobrze poinformowany. Idealnie skamieniały okaz *Tyrannosaurus rex* - żołądek, niewątpliwie z ostatnim posiłkiem, mózg w całej swej wspaniałości, skóra, upierzenie, naczynia krwionośne, narządy rozrodcze, jamy nosowe, wątroba, nerki, śledziona, spustoszenia wywołane w organizmie schorzeniami, na które cierpiał, odniesione obrażenia, historia życia, wszystko idealnie zapisane w kamieniu. To niemal ziszczenie się fantazji rodem z „Parku jurajskiego". Kliknęła na kolejny obraz.

–Tutaj jest szpik kostny…

–Chwileczkę – przerwał jej Corvus. – A te ciemne plamki?

–Jakie ciemne plamki?

–Na poprzednim mikrografie.

–Ach, tamte. – Cofnęła się do poprzedniego obrazu. Corvus pokazał punkcik na mikroobrazie, małą czarną kropkę.

–Co to takiego?

–Prawdopodobnie produkt procesu fosylizacji.

–A nie wirus?

–Nie, o wiele za duże. No i zbyt wyraźne, żeby stanowić element jakiejś dawnej struktury

biologicznej. Jestem prawie pewna, że to jakiś mikrokryształ, prawdopodobnie hornblenda.

–Racja. Przepraszam. Proszę kontynuować.

–Mogę to zbadać spektrometrem rentgenowskim cząstek alfa, przekonać się, z czego jest

zbudowane.

–Świetnie.

Kliknęła na kolejne obrazy, uzyskane przy użyciu mikroskopu.

–To jest zdumiewające, Melodie. Odwróciła się w jego stronę, twarz miała zaróżowioną, rozpromienioną.

–Czy mogę o coś zapytać? Zawahał się, odzyskując panowanie nad sobą. Będzie potrzebował jej pomocy, to nie ulega

wątpliwości, a znacznie lepiej podzielić się okruchami sławy z laborantką, niż wtajemniczyć w sprawę innego kustosza. Melodie nie miała znajomych, wpływów, przyszłości, była jeszcze jedną zwykłą panią doktor, zatrudnioną na zbyt niskim stanowisku w stosunku do posiadanych kwalifikacji. To nawet lepiej, że jest kobietą i nikt jej nie traktuje poważnie. Otoczył ją ramieniem i się nachylił.

–Proszę pytać.

–Czy jest tego więcej? Corvus nie mógł się powstrzymać, żeby się nie uśmiechnąć.

–Mam powody przypuszczać, Melodie, że taki dinozaur zachował się w całości.

24

SALLY BYŁA raczej zaniepokojona niż zachwycona, patrząc na wydruk komputerowo uzyskanego obrazu, który Tom rozłożył na kuchennym stole.

–Coraz mniej mi się to podoba – powiedziała.

–Chciałaś powiedzieć: coraz bardziej. Potrzebowałem właśnie czegoś takiego, by móc ustalić tożsamość tamtego człowieka i odszukać jego córkę.

Cały Tom, pomyślała Sally: uparty, postępujący zgodnie z jakimś głęboko zakorzenionym przekonaniem o słuszności swoich czynów, przez co ściąga sobie na głowę kłopoty. W Hondurasie o mały włos przez to nie zginął.

–Słuchaj, Tom. Ten człowiek prowadził nielegalne poszukiwania skamieniałości na terenach należących do państwa. Z całą pewnością handlował nimi na czarnym rynku skamieniałości, może nawet miał jakieś powiązania z mafią. Był przestępcą i został zamordowany. Chyba nie chcesz mieć z tym nic wspólnego? Zresztą nawet gdybyś odszukał jego córkę, skamielina nie będzie należała do niej. Sam powiedziałeś, że jej właścicielem są władze federalne.

–Złożyłem obietnicę konającemu człowiekowi. Koniec dyskusji. Sally westchnęła, nie kryjąc irytacji.

Tom krążył wokół stołu jak pantera wokół swej ofiary.

–Jeszcze nie powiedziałaś, co o tym myślisz.

–Pewnie, że to coś niesłychanego, ale nie o to chodzi. – Właśnie, że o to. To największe odkrycie paleontologiczne wszech czasów.

Wbrew sobie Sally spojrzała na dziwny obraz. Był zamazany, niewyraźny, ale z całą pewnością widziała przed sobą coś więcej niż tylko szkielet. To był cały dinozaur, tkwiący w skale. Leżał na boku, z odrzuconą do tyłu głową, z rozwartymi szczękami, przednie kończyny miał uniesione, jakby próbował się wydostać.

–Jak to możliwe, że zachował się w tak dobrym stanie?

–Musiało dojść do wyjątkowego splotu okoliczności. Nawet nie próbuję tego zrozumieć.

–Czy zachowała się jakaś materia organiczna? DNA?

–Ta skamieniałość liczy sobie przynajmniej sześćdziesiąt pięć milionów lat.

–Zdumiewające, że dinozaur wygląda, jakby dopiero co padł. Tom zachichotał.

–To nie pierwszy zmumifikowany dinozaur, jakiego znaleziono. Na przełomie wieków

poszukiwacz dinozaurów, Charles Sternberg, natknął się w Montanie na zmumifikowanego dinozaura

kaczodziobego. Pamiętam, że jako dziecko widziałem go w Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku,

ale tamten, w przeciwieństwie do tego, nie jest kompletny. Wzięła wydruk.

–Wygląda, jakby ginął w męczarniach, z tym odrzuconym do tyłu łbem i wyszczerzonymi zębami.

–To ona.

–Skąd wiesz? – Przyjrzała się uważniej. – Nic nie widzę, jest zbyt zamazane.

–Samice tyranozaurów były prawdopodobnie większe i groźniejsze od samców. A ponieważ to

największy *Tyrannosaurus rex,* jakiego znaleziono, należy przypuszczać, że to samica.

–Wielka Berta.

–To wygięcie szyi jest spowodowane wysychaniem i kurczeniem się ścięgien. Większość

znalezionych szkieletów dinozaurów ma wykręcone szyje.

Sally gwizdnęła.

–Co teraz? Masz jakiś plan?

–Jasne. Niewiele osób zdaje sobie z tego sprawę, ale istnieje spory czarny rynek skamieniałości dinozaurów. Skamieliny dinozaurów to wielki biznes, niektóre dinozaury są warte miliony. Na przykład ten.

–Miliony?

–Ostatni *Tyrannosaurus rex,* który trafił na rynek, poszedł za ponad osiem milionów, a było to dziesięć lat temu. Ten jest wart przynajmniej osiemdziesiąt milionów.

–Osiemdziesiąt milionów?

–Mniej więcej.

–Kto gotów jest zapłacić tyle pieniędzy za dinozaura?

–A kto jest gotów zapłacić tyle pieniędzy za obraz? W każdej chwili zamieniłbym Tycjana na tyranozaura.

–Wszystko jasne.

–Czytałem o tym. Jest mnóstwo kolekcjonerów, szczególnie na Dalekim Wschodzie, którzy

zapłaciliby każdą cenę za efektowną skamielinę dinozaura. Z Chin nielegalnie wywieziono tyle

skamieniałości dinozaurów, że kraj ten uchwalił prawo, zgodnie z którym dinozaury stanowią część jego

dziedzictwa narodowego. Ale to nie powstrzymało tego procederu. Dziś każdy chce mieć swojego

dinozaura. Rzecz w tym, że największe i najlepiej zachowane dinozaury nadal pochodzą z zachodu

Ameryki. A większość z nich znajdowana jest na terenach stanowiących własność publiczną. Jeśli chcesz

mieć dinozaura, musisz go ukraść.

–I właśnie tym zajmował się ten człowiek.

–Zgadza się. Był zawodowym poszukiwaczem dinozaurów.

Takich osób nie ma na świecie zbyt wielu. Łatwo będzie ustalić jego tożsamość, jeśli zapytam odpowiednich ludzi. Muszę jedynie do nich

dotrzeć.

Sally spojrzała na niego podejrzliwie.

–A jak zamierzasz to zrobić? Tom się uśmiechnął.

–Przedstawiam ci Toma Broadbenta, reprezentującego pana Kima, koreańskiego przemysłowca i miliardera. Pan Kim chce kupić okazałego dinozaura, cena nie gra roli.

–O nie!

Uśmiechnął się, chowając kartkę do kieszeni.

–Wszystko sobie obmyśliłem. W sobotę Shane zostanie w klinice sam, a my polecimy do Tucson, światowej stolicy skamieniałości.

–My?

–Nie zostawię cię tutaj samej, kiedy w okolicy grasuje morderca.

–Tom, na sobotę mam zaplanowane wyścigi dzieciaków na torze przeszkód. Nie mogę wyjechać.

–Nic mnie to nie obchodzi. Nie zostawię cię tutaj samej.

–Nie będę sama. Przez cały dzień będę wśród ludzi. Nic mi nie grozi.

–A w nocy?

–W nocy mam tutaj panów Smitha i Wessona. A sam wiesz, jak dobrze umiem się posługiwać bronią.

–Mogłabyś na kilka dni wyjechać do domku letniskowego nad jezioro.

–Nie ma mowy. Jest na pustkowiu. O wiele bardziej denerwowałabym się tam niż tu.

–W takim razie powinnaś zamieszkać w hotelu.

–Tom, wiesz, że nie jestem bezbronną kobietą, której trzeba pilnować. Jedź do Tucson i opowiedz te głodne kawałki o panu Kimie. Nic mi nie będzie.

–Nie ma mowy.

–Uciekła się do ostatecznego argumentu.

–Jeśli się tak niepokoisz, jedź do Tucson na jeden dzień. Wyleć w sobotę z samego rana i wróć wieczorem. Będziesz miał prawie cały dzień. A w piątek jak zwykle wybierzemy się na piknik, prawda?

–Jasne. Ale co do soboty…

–Zamierzasz mnie strzec ze śrutówką? Daj spokój. Leć do Tucson i wróć przed zmrokiem. Poradzę sobie.

CZĘŚĆ DRUGA CHOULUB

Tyrannosaurus rex był stworzeniem leśnym. Zamieszkiwał nieprzebyte knieje i mokradła Ameryki Północnej, która niedawno oderwała się od pradawnego kontynentu, Laurazji. Jego terytorium mierzyło około stu trzydziestu tysięcy kilometrów kwadratowych i rozciągało się od brzegów prastarego epikontynentalnego morza Niobrara do podnóży dopiero co wypiętrzonych Gór Skalistych. Był to świat podzwrotnikowy, o rozległych lasach, w których rosły potężne drzewa, jakie nigdy wcześniej nie istniały. Araukarie osiągały wysokość stu pięćdziesięciu metrów, można było spotkać olbrzymie magnolie i platany, metasekwoje, potężne palmy i ogromne paprocie drzewiaste. Korony drzew nie przepuszczały dużo światła, więc dna lasu nie porastało poszycie, dzięki czemu miały tu dużo przestrzeni życiowej wielkie drapieżne dinozaury i ich ofiary, uczestnicy wielkiego dramatu.

Żyły pod koniec panowania dinozaurów na Ziemi. Epoka ta trwałaby wiecznie, gdyby gwałtownie jej nie przerwał największy kataklizm, jaki spotkał tę planetę.

Dzieliły las z szeregiem innych stworzeń, wśród nich były ich ulubione ofiary, dwa rodzaje hadrozaurów, edmontozaury i anatotytany. Czasami polowały na samotnego tryceratopsa, ale unikały ich stad, jedynie podążały za nimi, by wypatrzyć jakiegoś chorego czy starego osobnika. Krainę przemierzał potężny gatunek apatozaurów, alamozaw; ale rzadko na niego polowały, woląc posilać się jego padliną, niż ryzykować śmierć w bezpośrednim starciu. Spędzały dużo czasu, szukając ofiar wzdłuż brzegów prastarego morza epikontynentalnego. W tych wodach żył drapieżnik jeszcze większy od nich, piętnastometrowej długości krokodyl, deinozuch, jedyne zwierzę, zdolne do zabicia tyranozaura, który był na tyle nierozważny, by wejść do wody w poszukiwaniu zdobyczy.

Zabijały leptoceratopsy, mniejsze dinozaury, wielkości mniej więcej jelenia, o dziobie przypominającym dziób papugi, i z długim kołnierzem na karku. Innym dinozaurem, na którego polowały, zachowując jednak najwyższą ostrożność, był ankylozaur. Ich ofiarą padały także ich kuzyni, mniejsze i szybsze nanotyranozaury. Od czasu do czasu atakowały starego i słabego torozaura, dinozaura o uzbrojonej w róg głowie długości dwóch i

pół metra, o największej czaszce, jaka kiedykolwiek wyewoluowała u zwierząt lądowych. Niekiedy zabijały nieostrożnego kecalkoatla, latającego gada o rozpiętości skrzydeł jak u bombowca F-lll.

Na ziemi i na drzewach aż roiło się od ssaków, które tyranozaury ledwo zauważały: odżywiające się kwiatami gryzonie, torbacze, najstarsi przodkowie krowy (zwierzę wielkości szczura) i pierwsze na świecie naczelne – stworzenia o nazwie purgatorius, żywiące się owadami. Były też dinozaury, z którymi

nie mogły się mierzyć: ornitomim, dinozaur wielkości strusia, rozwijający prędkość ponad stu dziesięciu kilometrów na godzinę; i troodon, mięsożerca wielkości mniej więcej człowieka, o długich, smukłych nogach i chwytnych łapach, bystrym wzroku i większym mózgu w stosunku do masy ciała niż u tyranozaura.

Miały swoje przyzwyczajenia. Podczas pory deszczowej, kiedy rzeki występowały z brzegów, przenosiły się na zachód, na wyżej położone tereny u podnóża gór. W porze suchej, po okresie godowym, czasami zapuszczały się aż do piaszczystych wzgórz u stóp wygasłego wulkanu, by zbudować tam gniazda i złożyć jaja. Na początku pory suchej wracały do rozległych lasów, porastających brzegi morza Niobrara.

Klimat panował gorący, wilgotny i parny. Nie było polarnych czap lodowych, nie było lodowców -na Ziemi trwał okres jednego z najgorętszych klimatów w dziejach planety. Poziom wody w oceanach nigdy nie był wyższy. Wielkie połacie kontynentów zalały wewnętrzne morza. W powietrzu, na lądzie i w wodzie przez dwieście milionów lat królowały wielkie gady. Dinozaury należały do zwierząt, które odniosły największy sukces ze wszystkich stworzeń, jakie kiedykolwiek wyewoluowały na Ziemi. Ssaki współistniały z dinozaurami przez prawie sto milionów lat, ale nigdy nie osiągnęły tak wiele, jak gady. Największy ssak, żyjący w epoce dinozaurów, miał wielkość pojemnika na pieczywo. Gady były wszechobecne.

A najbardziej poczesne miejsce wśród nich zajmowały tyranozaury. Znajdowały się na końcu łańcucha pokarmowego. Były największymi zabójcami, jacy kiedykolwiek zamieszkiwali Ziemię.

1

PORANNE SŁOŃCE płonęło nad płaskowyżami, przyżegając ziemię. Jimmie Willer zatrzymał się w cieniu jałowca i przysiadł na skale. Hernandez zajął miejsce obok niego, jego okrągłą twarz pokrywały kropelki potu. Willer wyjął z plecaka termos z kawą, nalał dla Hernandeza i dla siebie, wyciągnął marlboro. Wheatley poszedł dalej z psami. Willer przyglądał się, jak posuwają się wolno po jałowym płaskowyżu.

–Ale skwar.

–Tak – przyznał Hernandez. Willer zaciągnął się głęboko, spoglądając na niekończący się krajobraz: czerwone i pomarańczowe

kaniony, kopulaste skały, iglice, krawędzie, ostańce i góry stołowe – sto dwadzieścia tysięcy hektarów, zupełnie beznadziejna sprawa, kiedy się nad tym zastanowić. Zmrużył oczy przed światłem. Zwłoki mogły się znajdować na dnie każdego z setki kanionów lub Bóg wie ilu jaskiń i nisz, zamaskowane kamieniami w jakiejś skalnej skrytce, zrzucone do jakiejś rozpadliny.

–Wielka szkoda, że Wheatley nie zaczął przeszukiwać okolic, kiedy ślad był jeszcze świeży –

zauważył Hernandez.

–Mnie to mówisz?

Usłyszeli nad głowami warkot małego samolotu – Urząd do Walki z Handlem Narkotykami szukał

poletek marihuany.

Wheatley pojawił się za wzniesieniem przed nimi, z trudem wspinając się długą pochyłością gładkiej skały, błyszczącej w rozgrzanym powietrzu; na ramionach miał cztery ciężkie pojemniki z wodą. Jego dwa spuszczone ze smyczy tropowce szły przed nim z wywieszonymi językami, z nosami przy ziemi.

–Założę się, że Wheatley pluje sobie teraz w brodę – powiedział Willer. – Musi dźwigać wodę dla

siebie i dla psów.

Hernandez zachichotał.

–A więc co myślisz? Masz jakąś teorię?

–Początkowo sądziłem, że to ma związek z narkotykami. Ale teraz uważam, że chodzi o coś poważniejszego. Coś tu się dzieje i są w to zamieszani zarówno Broadbent, jak i mnich.

Willer znów się zaciągnął, rzucił niedopałek i patrzył, jak się odbija od nagiej skały.

–Na przykład co?

–Nie wiem. Szukają czegoś. Pomyśl tylko. Broadbent utrzymuje, że spędza dużo czasu, jeżdżąc konno po tych terenach „dla przyjemności". Rozejrzyj się tylko. Czy jeździłbyś tutaj dla przyjemności?

–Mowy nie ma.

–Potem przypadkiem natrafia na poszukiwacza, tuż po tym, jak ktoś go postrzelił. Jest zachód słońca, do najbliższej drogi trzynaście kilometrów, środek pustkowia… Zbieg okoliczności? Wolne żarty.

–Myślisz, że to on go zastrzelił?

–Nie. Ale jest w to zamieszany. Coś przed nami ukrywa. Dwa dni po strzelaninie odwiedza mnicha, Wymana Forda. Sprawdziłem tego faceta i okazało się, że on też lubi wędrować po tej pustyni, spędza na niej po kilka dni.

–Ale czego szukają?

–No właśnie. Jest jeszcze coś, o czym nie wiesz, Hernandez. Poprosiłem Sylvie, żeby sprawdziła, czy w bazie nie znajdzie się przypadkiem coś na temat tego mnicha. I wiesz co? Pracował dla CIA.

–Jaja sobie ze mnie robisz.

–Nie znam szczegółów, ale zdaje się, że zwolnił się z dnia na dzień, przybył do klasztoru, pozwolili mu zostać. Trzy i pół roku temu.

–A co robił w CIA?

–Nie mogę się dowiedzieć, wiesz, jacy są ci z Agencji. Jego żona też dla nich pracowała, zginęła podczas wykonywania obowiązków. On został bohaterem.

Willer zaciągnął się jeszcze raz, poczuł gorzki dym nadpalonego filtra i wyrzucił niedopałek. Sprawiało mu dziwną satysfakcję zaśmiecanie tego nieskazitelnie czystego miejsca, które przez cały dzień trąbiło mu do ucha: „Jesteś nikim". Nagle usiadł prosto. Dostrzegł czarny punkcik, przesuwający się po niskiej grani na tle kilku wysokich skarp. Przytknął lornetkę do oczu, zaintrygowany.

–No, no. O wilku mowa.

–Broadbent?

–Nie. Rzekomy mnich. Ma na szyi lornetkę. Tak jak powiedziałem: szuka czegoś. Oddałbym jedno swoje jądro, żeby się dowiedzieć czego.

„CHUDZIELEC" MADDOX wyszedł na ganek wynajętego przez siebie domku, wsunął kciuk za szlufkę i wciągnął w nozdrza zapach igliwia ogrzanego porannym słońcem. Uniósł do ust kubek z kawą i pociągnął łyk z siorbnięciem. Długo spał; była prawie dziesiąta. Za wierzchołkami sosen widział odległe szczyty gór Canjilon, ozłocone srebrnym światłem. Przeszedł przez ganek, głośno stukając kowbojskimi butami o deski, i zatrzymał się pod wymyślnym napisem SALOON. Lekko trącił szyld palcem, aż poskrzypując, zaczął się bujać na zardzewiałych zawiasach.

Spojrzał w dół głównej ulicy. Niewiele pozostało z dawnego obozu Cywilnego Korpusu Ochrony Przyrody; większość budynków przemieniła się w stosy butwiejących desek, porośnięte krzakami i rachitycznymi drzewkami. Dopił kawę, postawił kubek na balustradzie i zszedł po drewnianych schodkach na dawną, główną ulicę miasteczka. Maddox musiał przyznać, że w głębi serca jest wiejskim chłopakiem. Lubił być sam, daleko od dróg, samochodów i tłumów. Kiedy to się skończy, może nawet kupi sobie taki dom jak ten. Mieszkając tu, mógłby dalej prowadzić Ciężkie Czasy, dla odmiany wieść ciche i spokojne życie, mając do towarzystwa jedynie parę panienek.

Ruszył zakurzoną główną ulicą, wsunąwszy ręce do kieszeni, i pogwizdując fałszywie. Na końcu osiedla ulica przechodziła w porośnięty chwastami szlak, biegnący w górę wąwozu. Szedł dalej w wysokiej trawie. Wziął kij i idąc, ucinał nim wybujałe chwasty.

Po dwóch minutach znalazł się obok tablicy głoszącej:

UWAGA: NIEZABEZPIECZONE SZYBY GÓRNICZE WSTĘP WZBRONIONY

WŁAŚCICIEL NIE PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA WYPADKI

W lesie panowała cisza, tylko wiatr cichutko szumiał w drzewach. Maddox minął tablicę ostrzegawczą. Droga biegła lekko pod górę, prowadząc wzdłuż suchego koryta strumienia. Po dziesięciu minutach marszu znalazł się na polance. Z prawej strony wznosiło się zbocze wzgórza, droga skręcała i pięła się wyżej. Podążył szlakiem, który przez kilkaset metrów prowadził równolegle do szczytu i kończył się przed na wpół zawaloną

ruderą, za którą było wejście do starego tunelu kopalni. Na drzwiach wisiała nowa kłódka i łańcuch, a także jeszcze jedna tablica, zabraniająca wstępu. Wszystko to Maddox umieścił tu poprzedniego dnia.

Wyjął z kieszeni klucz, otworzył kłódkę i wszedł do chłodnego pomieszczenia. Stare tory kolejowe ginęły w ciemnym otworze w skale, przegrodzonym ciężką żelazną kratą, też zamkniętą na kłódkę. Otworzył również tę i pchnął kratę na świeżo naoliwionych zawiasach, wdychając zapach wilgotnego kamienia i ziemi. Poświecił dookoła latarką. Idąc, uważał, by omijać stare podkłady kolejowe i kałuże wody. Tunel wydrążono w skale, tam gdzie się kruszyła i była spękana, sklepienie podpierały potężne

belki.

Po trzydziestu metrach tunel skręcał w lewo. Maddox oświetlił rozgałęzienie dróg. Skierował się w lewo. Wkrótce tunel kończył się ślepo. Tutaj Maddox wzniósł ścianę z desek, tworząc małą celę więzienną. Podszedł do drewnianej ściany i z dumą ją poklepał. Mocna jak skała. Zaczął wczoraj w południe i pracował bez wytchnienia do północy, dwanaście godzin non stop katorżniczej roboty.

Przecisnął się przez niedokończone wejście do małego pomieszczenia, znajdującego się w miejscu, gdzie tunel się ślepo kończył. Zdjął z haka lampę naftową, podniósł szklany klosz, zapalił knot i powiesił lampę na gwoździu. Przyjemne żółte światło zalało pomieszczenie wielkości może dwa i pół na trzy metry. Nie jest tu tak źle, pomyślał Maddox. W jednym kącie położył materac, który przykrył czystym prześcieradłem. Obok stała stara, drewniana szpula na kable, pełniąca funkcję stołu, parę starych krzeseł, wyszperanych w rozsypującym się domku, jedno wiadro na wodę do picia, drugie służące jako toaleta. Naprzeciwko, w kamiennej ścianie w głębi, umieścił cztery półcalowe śruby; do każdej przytwierdzony był łańcuch z hartowanej stali, zakończony obręczą – jedna para na ręce, jedna na nogi.

Maddox przez chwilę podziwiał swoje dzieło, nie dowierzając własnemu szczęściu, że trafiło mu się takie miejsce. Tunel idealnie się nadawał do jego celów, na dodatek udało mu się tu znaleźć większość potrzebnego drewna; stare belki i deski zmagazynowano w głębi kopalni, gdzie przetrwały, nie ulegając niszczącemu działaniu czasu.

Ocknął się z błogiej zadumy i spojrzał na z grubsza naszkicowany rysunek techniczny, leżący na beczce, który już się zwinął pod wpływem wilgoci. Wyprostował go, przycisnął śrubami i spojrzał na niego. Jeszcze kilka belek i będzie gotowe. Zamiast drzwi, które zawsze są najsłabszym elementem, zamontuje w wejściu trzy belki: prostsze, mocniejsze i bardziej niezawodne rozwiązanie. Będzie musiał tędy przejść najwyżej kilka razy.

W jaskini było ciepło i parno. Maddox ściągnął koszulę i rzucił ją na materac. Napiął mięśnie klatki piersiowej, wykonał kilka ćwiczeń rozciągających, a potem wziął przemysłową, bezprzewodową makitę i włożył do niej świeżą baterię. Podszedł do stosu belek, postukał kilka śrubokrętem, aż znalazł dobrą, odmierzył ją, zaznaczył miejsce ołówkiem i zaczął wiercić otwór. Warkot makity rozbrzmiewał echem w jaskini, w nos uderzył go zapach starego, wilgotnego drewna, kiedy brązowe wstążki dębiny wydostawały się z otworu. Gdy przewiercił belkę, objął ją i postawił pionowo, a potem umieścił na właściwym miejscu. Przybił ją gwoździem, z tyłu belki wyborował identyczny otwór, wsunął w niego osiemnastocalowy bolec, nakręcił na niego sześciokątną mutrę i dokręcił tak mocno kluczem nasadowym, że zagłębiła się w drewno na dobre pół centymetra.

Nikt, żeby nie wiem, jak był zdesperowany, nie odkręci tej mutry.

W godzinę Maddox wszystko skończył, zostało mu tylko wejście. Trzy belki do jego zablokowania leżały obok, z już wywierconymi otworami. Wystarczyło je zamontować.

Maddox przeszedł wzdłuż wykończonej ściany, gładząc belki. W pewnej chwili wrzasnął i chwyciwszy belkę w obie ręce, zaczął ją z całych sił szarpać, potem cofnął się o krok i zaczął kopać belki, głośno przeklinając, kilkakrotnie też uderzył z impetem całym ciałem w ścianę. Obrócił się, złapał drewniany stół i cisnął nim w ścianę z belek, nie przestając krzyczeć: „Skurwiele! Sukinsyny! Pozabijam was wszystkich, flaki z was powypruwam!".

Równie nagle, jak zaczął, przestał się ciskać. Oddychał ciężko. Z plecaka wyjął ręcznik, wytarł nim spocone ramiona i tors, osuszył twarz, przygładził włosy, a potem przyczesał je palcami. Wziął koszulę, włożył ją, napiął mięśnie pleców.

Maddox uśmiechnął się szeroko. Nikt nie ucieknie z jego więzienia. Nikt.

WYMAN FORD strzepnął pył ze skraju habitu i usiadł na przewróconym, powykręcanym pniu starego jałowca. Pokonał pieszo około trzydziestu kilometrów i dotarł do wysokiej, strzelistej Krawędzi Nawahów, rozległego, wydłużonego płaskowyżu, ciągnącego się przez wiele kilometrów wzdłuż południowej granicy badlandów Echo. Daleko za nim znajdowały się cynobrowe kaniony Rancza Upiora; a na północnym zachodzie wznosiły się ośnieżone szczyty gór Canjilon.

Ford wyjął z plecaka cztery mapy topograficzne w skali 1:24 000, rozłożył je i rozpostarł obok siebie na ziemi, przyciskając rogi kamieniami. Minęła chwila, nim zorientował się, gdzie jest, dopasowując różne punkty w terenie do symboli na mapie. Zaczął przez lornetkę uważnie oglądać badlandy Echo, szukając formacji skalnej, przypominającej tę, którą widział na monitorze komputera. Jeśli dostrzegł coś obiecującego, czerwonym ołówkiem zaznaczał to miejsce na mapie. Po piętnastu minutach opuścił lornetkę, zachęcony tym, co zobaczył. Nie znalazł nic, co by idealnie pasowało, ale im dłużej spoglądał na niekończące się kaniony, przecinające badlandy Echo, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że gdzieś tam jest formacja, w której tkwi *Tyrannosaurus rex.* Skała przypominająca kształtem kopułę wydawała się typowa wśród garbów na skalistym pustkowiu, które widział ze swojego punktu obserwacyjnego. Był tylko jeden szkopuł: większą część terenu zasłaniały mu góry stołowe lub krawędzie kanionów. Na dodatek rysunek komputerowy pokazywał tylko dwuwymiarowy przekrój przez skałę. Niemożliwością było określenie, jak formacja może wyglądać, gdy patrzeć na nią pod różnymi kątami.

Znów uniósł lornetkę do oczu i kontynuował poszukiwania, aż obejrzał wszystko, co mógł zobaczyć ze swojego punktu obserwacyjnego. Pora udać się na miejsce, które zaznaczył na mapie jako Punkt Obserwacyjny nr 2, na małe wzniesienie na końcu Krawędzi Nawahów, sterczące niczym ucięty

kciuk. Czekała go długa wędrówka, ale trud się opłaci. Stamtąd będzie miał widok prawie na całe skaliste pustkowie.

Wziął manierkę, potrząsnął nią, ocenił, że nie opróżnił jej jeszcze nawet w połowie. W torbie miał drugą, pełną. Jeśli zachowa

rozwagę, nie będzie miał kłopotów z wodą.

Pociągnął mały łyk i wyruszył wzdłuż skraju Krawędzi Nawahów.

Kiedy tak szedł, pogrążył się w przyjemnej zadumie, wywołanej przez wysiłek fizyczny. Powiedział opatowi, że musi spędzić trochę czasu samotnie na pustyni, i obiecał, że wróci jutro na tercję. Teraz było to nierealne, a jeśli zapuści się na skaliste pustkowie, mogą upłynąć jeszcze dwa dni, nim pojawi się w klasztorze. Opat nic nie powie – przyzwyczaił się do samotnych wypadów Forda na pustynię. Tylko tym razem Ford miał niewyraźne przeczucie, że robi coś niewłaściwego. Okłamał opata, dlaczego wybiera się na tę wędrówkę; to, że się modli, pości i odmawia sobie wygód na pustyni, wcale jeszcze nie znaczy, że szuka duchowej pociechy. Dotarło do niego, że dał się wciągnąć w intrygujące, tajemnicze poszukiwania dinozaura. W klasztorze nauczył się sztuki samorefleksji, czegoś, czym dawniej nigdy specjalnie nie zaprzątał sobie głowy, i teraz zastanowił się nad motywami swojego postępowania. Dlaczego to robi? Nie chodziło mu o odszukanie dinozaura dla swoich rodaków, chociaż wmawiał sobie, że działa z pobudek altruistycznych. Nie chodziło mu o pieniądze ani z całą pewnością nie o sławę.

Robił to z powodu pewnej skazy swego charakteru: zamiłowania do przygód. Trzy łata temu podjął decyzję, wtedy spontanicznie, ale do tej pory już dobrze przemyślaną, w której utwierdził się modlitwą. Postanowił uciec od świata i poświęcić życie na służenie Bogu. Czy tą małą wyprawą służył Bogu?

Nie sądził.

Mimo tych rozważań, jakby ulegając jakiejś zewnętrznej sile, brat Wyman Ford dalej szedł wzdłuż smaganych wiatrem zboczy Krawędzi Nawahów, ze wzrokiem utkwionym w odległym ostańcu.

IAIN COFWUS, wyglądając przez okno, usłyszał, jak dzwoni telefon na jego biurku. Sekretarka poinformowała:

–Pan Warmus z Biura Zarządzania Gruntami Publicznymi na jedynce. Corvus szybko podszedł do biurka, podniósł słuchawkę i przemówił najsympatyczniej, jak umiał:

–Dzień dobry panu. Mam nadzieję, że otrzymał pan mój wniosek o wydanie pozwolenia.

–Naturalnie, panie profesorze. Mam go przed sobą. Akcent mieszkańca Zachodu ranił uszy Corvusa. Panie profesorze. Skąd oni biorą takich ludzi?

–Czy są jakieś trudności?

–Prawdę mówiąc, tak. Jestem pewien, że to tylko przeoczenie, ale nie widzę tu żadnych danych, dotyczących lokalizacji.

–To nie przeoczenie, panie Warmus. Nie uwzględniłem tej informacji. To wyjątkowo cenny okaz, który mógłby paść ofiarą kradzieży.

–Rozumiem, panie profesorze – rozległ się w słuchawce głos urzędnika, przeciągający samogłoski -ale płaskowyż jest rozległy. Nie możemy wydać pozwolenia na poszukiwania paleontologiczne, prowadzone przez muzeum, bez informacji o lokalizacji.

–Ten okaz wart jest miliony na czarnym rynku. Podając te informacje, nawet Biuru Zarządzania Gruntami Publicznymi, dużo bym ryzykował.

–Rozumiem pana, ale w Biurze Zarządzania Gruntami Publicznymi wszystkie dane o udzielonych pozwoleniach trzymamy pod kluczem. Sprawa jest prosta: nie ma lokalizacji, nie ma pozwolenia.

Corvus zaczerpnął powietrza.

–Oczywiście możemy podać przybliżoną lokalizację…

–Nie, proszę pana – przerwał mu urzędnik z Biura Zarządzania Gruntami Publicznymi. – Musimy mieć nazwę miejscowości i współrzędne GPS. W przeciwnym razie nie możemy rozpatrzyć wniosku. Corvus wziął głęboki oddech i starał się panować nad głosem.

–Jestem ostrożny, bo jak sobie pan może przypomina, w zeszłym roku w okręgu McCone w stanie Montana zaraz po wydaniu zezwolenia zwędzono pierwszej klasy diplodoka.

–Zwędzono?

–Skradziono.

–Nie pracuję w oddziale Biura Zarządzania Gruntami Publicznymi w Montanie, więc nic mi nie wiadomo o zwędzonym diplodoku – rozległ się w słuchawce nosowy głos urzędnika. – Tutaj, w Nowym Meksyku, wymagamy podania współrzędnych miejsca, by wydać pozwolenie na kopanie. Jeśli nie wiemy, gdzie jest okaz, jak możemy panu wydać pozwolenie na jego zabranie? Albo zapobiec temu, by ktoś inny go nie zabrał? Czy mamy wstrzymać wszystkie niezarobkowe poszukiwania skamieniałości w górach stołowych do czasu, aż pan zabierze swój okaz? Nie sądzę.

–Rozumiem. Przekażę panu dane o lokalizacji możliwie najszybciej.

–Proszę tego dopilnować. Jeszcze jedno. Corvus czekał.

–Do wniosku nie dołączono żadnych zdjęć ani opisu. Informacje te należy umieścić w załączniku A. Wyraźnie to napisano: „Wnioskodawca musi dołączyć naukową ekspertyzę miejsca, z naniesioną skamieniałością *in situ,* wraz z wszelkimi teledetekcyjnymi ekspertyzami, jeśli takie istnieją, oraz zdjęciami przedmiotowego okazu". Musimy mieć jakiś rodzaj dowodu, że jest tam skamielina.

–Odkrycia dokonano dopiero co, miejsce jest bardzo trudno dostępne. Nie mogliśmy tam wrócić,

by przeprowadzić ekspertyzy. Chodzi mi o to, by zapewnić sobie pierwszeństwo, na wypadek gdyby wpłynął jeszcze jeden wniosek, dotyczący tej samej skamieniałości. Urzędnik chrząknął.

–Pierwszeństwo przysługuje temu muzeum lub uniwersytetowi, uprawnionemu do wystąpienia o

pozwolenie, które pierwsze się do nas zwróci w tej sprawie. Muszę pana poinformować, profesorze, że w

tym pańskim wniosku brakuje danych, które pozwoliłyby nam rozpatrywać go w pierwszej kolejności.

Corvus zacisnął zęby. W tym pańskim wniosku.

–Z pewnością musi być jakiś sposób, by wydać mi zgodę przed przekazaniem dokładnych

współrzędnych.

W słuchawce rozległo się długie, wyniosłe prychnięcie. Corvus poczuł, jak krew mu pulsuje w skroniach.

–Jak powiedziałem, kiedy uzupełni pan wniosek, wydamy pozwolenie. Nie wcześniej. Jeśli jeszcze

ktoś złoży wniosek na tę samą skamielinę… Cóż, nie będziemy w to wnikać. Kto pierwszy, ten lepszy.

–Do jasnej cholery, człowieku, ile kompletnych skamieniałości tyranozaura może się tam

znajdować? – wybuchnął Corvus.

–Proszę się liczyć ze słowami, panie profesorze.

Corvus opanował się największym wysiłkiem woli. To ostatni człowiek na świecie, którego wolno

mu było zrazić do siebie. Był urzędnikiem wydającym pozwolenia na wydobywanie skamielin na terenach należących do państwa. Równie dobrze mógł udzielić zgody temu cholernemu kretynowi Murchisonowi ze Smithsonian Institution.

–Przepraszam, że dałem się ponieść nerwom, panie Warmus. Przekażę panu wymagane informacje najszybciej, jak tylko będę mógł.

–Kiedy następnym razem – odezwał się urzędnik – będzie pan składał wniosek o pozwolenie zabrania skamieliny z terenów państwowych, proszę prawidłowo go wypełnić. Ułatwi nam to

pracę. To, że jest pan zatrudniony w wielkim nowojorskim muzeum, nie znaczy, że nie musi pan stosować się do obowiązujących przepisów.

–Jeszcze raz bardzo przepraszam.

–Życzę miłego dnia.

Corvus wyjątkowo ostrożnie odłożył słuchawkę na widełki. Wziął głęboki oddech i przygładził

włosy drżącą ręką. Arogancki kutas. Spojrzał na zegar: była piąta, czyli w Nowym Meksyku trzecia. Maddox od czterdziestu ośmiu godzin nie dał znaku życia, niech go diabli. Kiedy ostatni raz rozmawiali, sprawiał wrażenie, jakby wszystko miał pod kontrolą, ale w ciągu dwóch dni wiele się mogło wydarzyć.

Przeszedł przez swój gabinet, stanął przed oknem i wyjrzał. Na staw wypływały łodzie wiosłowe, zorientował się, że wypatruje ojca i syna. Ale naturalnie nie wrócili, czemu mieliby wrócić? Raz

wystarczy.

5

SZÓSTA. SŁOŃCE schowało się za krawędzią kanionu i upał zelżał, ale wciąż było duszno i gorąco pomiędzy ścianami z piaskowca. Willer, idąc noga za nogą przez kolejny niekończący się kanion, nagle usłyszał głośne szczekanie psów tuż za załomem skalnym, a potem rozległ się piskliwy okrzyk Wheatleya. Porucznik i Hernandez spojrzeli na siebie.

–Zdaje się, że coś znaleźli.

–Tak.

–Panie poruczniku! – dobiegł go spanikowany głos Wheatleya. – Panie poruczniku! Histeryczne ujadanie psów i okrzyk Wheatleya dotarły, zniekształcone przez ściany wąskiego

kanionu, jakby zostały uwięzione w gigantycznym puzonie. Chociaż Willer miał już powyżej dziurek w nosie poszukiwań, bał się tej chwili.

–Najwyższy czas – powiedział Hernandez i przyśpieszył kroku.

–Mam nadzieję, że Wheatley przywoła psy do porządku.

–Pamiętasz, jak w zeszłym roku zjadły tamtemu gościowi lewą…

–Dobra, dobra – nie pozwolił mu dokończyć Willer. Kiedy pokonał ostatni zakręt, stwierdził, że Wheatley wcale nie zapanował nad psami. Wypuścił

jedną smycz i bez powodzenia starał się odciągnąć drugiego psa; oba czworonogi gorączkowo próbowały kopać w piasku u podnóża ściany kanionu, która w tym miejscu była silnie wybrzuszona. Hernandez i Willer podbiegli i chwycili smycze, odciągnęli psy i przywiązali je do głazu.

Zasapany i czerwony na twarzy Willer obejrzał dno kanionu. Psy zryły piasek, ale nie była to wielka strata, jeśli uwzględnić, że ulewne deszcze w zeszłym tygodniu i tak już zmyły wszelkie ślady. Przyglądając się uważnie temu miejscu, nie dostrzegł nic, co mogłoby świadczyć, że pod piaskiem coś jest – jeśli nie liczyć słabego, nieprzyjemnego zapachu, który przywiał wietrzyk. Psy za nim skamlały.

–Kopiemy.

–Jak to? – spytał Hernandez, na jego okrągłej twarzy malowało się zdziwienie. – Czy nie powinniśmy zaczekać na ekipę śledczą i lekarza sądowego?

–Jeszcze nie wiemy, czy znaleźliśmy zwłoki. Może to martwy jeleń. Nie możemy tu sprowadzić helikopterem całej dochodzeniówki, póki się nie upewnimy, co znaleźliśmy.

–Rozumiem. Willer ściągnął plecak i wyjął z niego dwie łopatki. Jedną rzucił Hernandezowi.

–Wątpię, żeby trzeba było głęboko kopać. Nasz zabójca nie miał zbyt dużo czasu. Przyklęknął i zaczął odgarniać łopatką sypki piach, usuwając go po jednej warstwie. Hernandez

robił to samo z drugiego końca. Usypywali dwie hałdy, które później policjanci przesieją. Odgarniając piasek, Willer wypatrywał jakichś rzeczy – ubrania lub przedmiotów osobistego użytku – ale na próżno. Dół stawał się coraz głębszy, suchy piasek ustąpił miejsca mokremu. Z pewnością coś tu jest, pomyślał Willer, bo zapach się nasilał.

Na głębokości metra natrafił szpadlem na coś owłosionego i miękkiego. W nos uderzyła go fala smrodu gęstego jak zupa. Jeszcze chwilę kopał, oddychając ustami. Nie ulegało wątpliwości, że to coś leżało w mokrym piasku od pięciu dni w ponadczterdziestostopniowym upale.

–To nie człowiek – powiedział Hernandez.

–Widzę.

–Może to jeleń. Willer odgarnął jeszcze trochę piasku. Futro było zbyt szorstkie i sfilcowane, by należało do

jelenia. Kiedy spróbował odgarnąć więcej piasku, by lepiej się przyjrzeć znalezisku, futro i skóra zaczęły odchodzić płatami, ukazując maziste, brązowaworóżowe mięso. To nie był jeleń, tylko osioł. Osioł poszukiwacza, o którym wspomniał Broadbent. Wyprostował się.

–Gdzieś w pobliżu powinny być zwłoki zamordowanego. Ja

będę kopał z tej strony, ty kop z

tamtej.

Znów zaczęli odgarniać piasek, sypiąc go ostrożnie na jedno miejsce. Willer zapalił papierosa i trzymał go w zębach, zaciągając się od czasu do czasu. Miał nadzieję, że w ten sposób nieco zneutralizuje smród.

–Mam coś.

Willer podszedł do miejsca, gdzie ukucnął Hernandez. Odgarnął jeszcze trochę piasku i ukazało się

coś długiego i nabrzmiałego jak ugotowana kiełbasa. Willer dopiero po chwili się zorientował, że to ręka. Druga fala smrodu uderzyła go niczym obuchem. Był to inny i znacznie gorszy zapach. Zaciągnął się dymem papierosowym, ale nic to nie dało: czuł woń trupa. Wyprostował się, zakrztusił i cofnął.

–Dobra. To nam wystarczy. Jest trup… to wszystko, co musimy wiedzieć.

Hernandez pośpiesznie się odsunął, pragnąc znaleźć się jak najdalej od prowizorycznego grobu.

Willer stanął pod wiatr, paląc zawzięcie, przy każdym oddechu wciągając w płuca dym, jakby chciał uwolnić się od zapachu śmierci. Rozejrzał się dookoła. Przywiązane do skały psy skamlały. Czego chciały? Strawy?

–Gdzie Wheatley? – spytał Hernandez, rozglądając się.

–Diabli wiedzą. – Zobaczył świeże ślady Wheatleya, biegnące w głąb kanionu. – Zobacz, co tam

robi, dobrze?

Hernandez ruszył kanionem i wkrótce zniknął za załomem. Wrócił po chwili, uśmiechnięty

ironicznie.

–Rzyga.

6

PIĄTKOWY RANEK był bezchmurny, stada sójek skrzeczały i biły się w sosnach pinon, topole rzucały długie cienie na łąkę. Tom nakarmił rano konie, dał im godzinę, by się najadły, a teraz prowadził swojego ulubionego wierzchowca, Knocka, do ogrodzenia, żeby go osiodłać. Sally dołączyła do niego ze swoim wałachem Sierrą i razem pracowali w milczeniu, szczotkując zwierzęta, czyszcząc ich podkowy, siodłając je i zakładając im uprząż.

Nim wyruszyli, zostało tylko wspomnienie chłodu w cieniu zielonych topól wzdłuż potoku. Z prawej strony wyrastały zbocza szczytu Pedernal, strome stoki kończyły się jakby odrąbanym wierzchołkiem, tak rozsławionym obrazami Georgii 0'Keeffe. Jak zwykle jechali, milcząc, woleli nie rozmawiać, kiedy siedzieli na koniach. Wystarczała im świadomość przebywania obok siebie. Dotarli do brodu, zwierzęta, rozbryzgując wodę, przeszły przez płytki strumień, wciąż lodowaty od topniejącego w górach śniegu.

–Dokąd, kowboju? – spytała Sally.

–Do Barrancones Spring.

–Świetnie.

–Shane ma wszystko pod kontrolą – powiedział Tom. – Wcale nie muszę wracać dziś po południu. Poczuł lekkie wyrzuty sumienia. W ostatnim tygodniu zbyt często wykorzystywał Shane'a. Dotarli do urwisk i zaczęli się wspinać wąskim szlakiem pod górę. Nad nimi krążył jastrząb. W

powietrzu unosił się zapach topoli i kurzu.

–O rany, ale kocham te strony – wyznała Sally.

Perć wiła się w górę porośniętego sosnami płaskowyżu. Po półgodzinie dotarli na szczyt i Tom

przystanął, by się przyjrzeć okolicy. Nigdy mu się nie nudziły te widoki. Z lewej strony miał strome zbocze góry Pedernal, a z prawej – urwiste, pomarańczowe stoki płaskowyżu Pueblo. Niżej ciągnęły się nieregularne poletka lucerny wzdłuż potoku Cañones, a dalej leżała rozległa dolina Piedra Lumbre, licząca

czterdzieści tysięcy hektarów. W głębi majaczył ogromny Płaskowyż Przodków, poprzecinany kanionami -początek krainy gór stołowych. Gdzieś tam znajdowała się skamielina wspaniałego tyranozaura – i na wpół szalony mnich, który jej szukał. Spojrzał na Sally. Wiatr rozwiewał jej włosy koloru miodu, twarz miała zwróconą ku słońcu, usta lekko rozchyliła w niemym zachwycie.

–Niezły widok – rzuciła ze śmiechem.

Ruszyli dalej, wiatr szeleścił w trawie rosnącej po obu stronach ścieżki. Tom pozwolił, żeby Sally

jechała z przodu, i obserwował ją na koniu. Wciąż jechali w milczeniu, słychać było tylko miarowe skrzypienie siodeł.

Kiedy dotarli do porośniętego trawą płaskowyżu Escoba, Sally ścisnęła piętami Sierrę, zmuszając

wałacha do kłusa. Tom poszedł za jej przykładem. Zboczyli ze szlaku i jechali targaną przez wiatr łąką, w której gdzieniegdzie rosły łubiny.

–Pojedźmy trochę szybciej – zaproponowała Sally, ponownie trącając boki swojego wierzchowca

piętami.

Koń zaczął sadzić susy.

Tom nie został w tyle. Na końcu doliny już widział kępę topoli znaczących Barrancones Spring, u podnóża czerwonego urwiska.

–Dobra! – krzyknęła Sally. – Kto ostatni, ten gapa! Wio! Jeszcze raz ścisnęła boki Sierry. Wałach

wystrzelił do przodu, gnając, ile sił, a Sally wydała okrzyk radości.

Knocka, który zawsze lubił prowadzić, nie trzeba było specjalnie nakłaniać, by ruszył za Sierrą. Wkrótce mknęły przez dolinę łeb w łeb. Sally zaczęła się nieco wysuwać do przodu, jej rozwiane włosy przypominały złoty płomień. Tom obserwował ją i musiał przyznać, że doskonała z niej amazonka. Oba wierzchowce gnały przez łąkę, a potem znalazły się w chłodnym cieniu drzew

rosnących nad strumieniem. W ostatniej chwili Sally ściągnęła wodze, a Tom poszedł za jej przykładem; konie zatrzymały się jak dobrze wytresowane zwierzęta cuglowe, którymi zresztą były. Kiedy Tom się obejrzał, zobaczył Sally siedzącą na swoim wałachu, z rozwianymi włosami, biała koszula lekko się jej rozchyliła, bo rozpięło się parę guzików, twarz miała zaróżowioną.

–To było dobre. Zeskoczyła z konia.

Znajdowali się w małej kępie topoli, w środku było stare palenisko i parę kłód do siedzenia. Dawno

temu Indianie pracujący jako niewolnicy u Hiszpanów wznieśli tutaj umocnione obozowisko, ze stolami ze z grubsza ociosanych bali sosny, do pnia przybili drewnianą skrzynkę, w rozgałęzienie drzewa wcisnęli kawałek lustra, na gwoździu wisiała poobijana emaliowana miska. Samo źródło – głęboka sadzawka -znajdowało się u podnóża skarpy, ukryte za zasłoną pustynnych wierzb.

Tom wziął oba konie, rozsiodłał je, napoił w źródle, a potem przywiązał do słupka, by się pasły. Kiedy wrócił, Sally już zdążyła rozłożyć cienki koc i jedzenie. Na środku stołu stała otwarta przed chwilą butelka czerwonego wina.

Pierwszorzędne wino – powiedział Tom, biorąc butelkę. – „Castello di Verrazzano, rocznik dziewięćdziesiąt siedem, Riserva" – przeczytał.

–Wsunęłam je ukradkiem do sakwy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

–Obawiam się, że zostało mocno wstrząśnięte – oświadczył Tom z udawanym niezadowoleniem. – Jesteś pewna, że wolno nam się napić do obiadu? Przepisy zabraniają jazdy po pijanemu.

–No cóż – odparła Sally, przeciągając sylaby, żeby przedrzeźnić Toma. – Będziemy musieli nieco nagiąć przepisy, prawda? – Łapczywie odgryzła dwa duże kęsy kanapki, a potem nalała trochę wina do plastikowego kubeczka. – Proszę.

Wziął kubeczek, zakręcił nim i wypił wino, udając konesera.

–Czuję jagody, wanilię, odrobinę czekolady.

Sally teraz nalała sobie i pociągnęła duży łyk. Tom ugryzł

kanapkę i obserwował, jak Sally je. Zielone światło padało przez listowie, drzewa szeleściły przy każdym powiewie wietrzyka. Kiedy skończył się posilać, wyciągnął się na kocu, który rozłożyli na miękkiej trawie. W oddali, między topolami, widział pasące się konie; padające przez liście światło słoneczne wymalowało na nich jaśniejsze cętki. Nagle poczuł chłodną dłoń na swojej skroni. Odwrócił głowę i zobaczył, że Sally pochyla się nad nim, jej jasne włosy opadały niczym kurtyna.

–Co robisz? Uśmiechnęła się.

–A jak myślisz?

Położyła dłonie po obu stronach jego głowy. Tom próbował wstać, ale delikatnie pchnęła go z powrotem na koc.

–Ejże… – zaczął.

–Ciii…

Wsunęła mu jedną rękę pod koszulę i zaczęła pieścić tors męża. Nachyliła się niżej i dotknęła ustami jego warg. Jej usta miały smak mięty i wina. Pochyliła się jeszcze niżej i złote włosy musnęły jego klatkę piersiową.

Wyciągnął rękę, by ich dotknąć. Pogłaskał je i przesunął dłoń do wygięcia pleców Sally; czuł, jak poruszają się tam jej mięśnie. Kiedy przyciągnął ją do siebie, poczuł całe szczupłe ciało i jędrne piersi.

Potem leżeli obok siebie na kocu. Tom obejmował ją ramieniem i spoglądał w jej zdumiewająco turkusowe oczy.

–Chyba już nie może być nam lepiej, co? – zapytał.

–Nie – mruknęła. – Jest tak dobrze, że aż się boję.

7

MADDOX SZEDŁ wolno wzdłuż Canyon Road i skręcił w Camino del Monte Sol. Powitał go las odręcznie wykonanych szyldów, zdobiących wąską alejkę, każdy starał się prześcignąć pozostałe. Na chodnikach tłoczyli się turyści wystrojeni jakby na wycieczkę przez Saharę, w kapeluszach z opadającymi rondami, z butelkami na wodę, dyndającymi przy paskach, w sportowym obuwiu. Większość z nich była blada i zdezorientowana, jakby właśnie wyłonili się niczym pędraki z zalanych deszczem miast na Wschodzie. Sam Maddox udawał dziś bogatego Teksańczyka i uważał, że całkiem dobrze mu to wychodzi w kapeluszu Resistol, kowbojskich butach, z rzemykiem, przybranym turkusem wielkości piłeczki golfowej, zamiast krawata.

Przy ulicy stało kilka starych domów w stylu wiktoriańskim, przerobionych, jak wszystkie pozostałe, na galerie, w oknach przyciągała wzrok indiańska biżuteria i ceramika. Spojrzał na zegarek. Południe. Zostało mu jeszcze trochę czasu do zabicia.

Wstępował do galerii, zdumiony, że na świecie jest tyle srebra, turkusów i ceramiki, nie wspominając już o obrazach. Maddox uważał, że dzieła sztuki to w zasadzie chłam. Jego spojrzenie padło na kolejną wystawę z kanionami w jaskrawych kolorach, kojotami wyjącymi do księżyca i Indianami owiniętymi w koce. Kolejny łatwy sposób zarabiania pieniędzy, do tego zupełnie legalny. Dlaczego wcześniej nie dostrzegał, jakie istnieją możliwości? Zmarnował połowę życia, próbując zarabiać pieniądze niezgodnie z prawem, nie zdając sobie sprawy z tego, że najlepsze interesy można robić całkiem legalnie. Kiedy wykona to ostatnie zlecenie, będzie zajmował się tylko tym, co dozwolone, zainwestuje trochę w Ciężkie Czasy, może nawet poszuka inwestorów. Może zostanie kolejnym internetowym milionerem.

Jego uwagę zwróciła pewna galeria, pełna ogromnych rzeźb z brązu i kamienia. Sprawiały wrażenie drogich – sam ich transport musiał kosztować majątek. Rozległ się dzwonek, kiedy pchnął drzwi i wszedł do środka. Pojawiła się młoda kobieta, stukając butami na wysokich obcasach, i uśmiechnęła się do niego karminowymi ustami.

–Słucham pana?

–Interesuje mnie – odezwał się, przeciągając sylaby – ta

rzeźba…

–Wskazał największą, jaką dostrzegł w sklepie, przedstawiającą grupę Indian naturalnej wielkości, wyrzeźbioną z jednego bloku kamiennego, ważącego ze trzy tony. – Można wiedzieć, ile kosztuje?

–„Droga Błogosławieństwa". Jeden siedemdziesiąt pięć. Maddox w ostatniej chwili powstrzymał się od pytania, czy chodzi o tysiące.

–Przyjmują państwo zapłatę kartą kredytową? Jeśli się zdziwiła, nie dała tego po sobie poznać.

–Musimy jedynie sprawdzić limit wydatków. Większość osób nie ma tak wysokiego limitu

wydatków.

–Ja się do nich nie zaliczam.

Kolejny promienny uśmiech. Zauważył, że kobieta ma piegi na dekolcie, bo jej jedwabna koszula

była częściowo rozpięta.

–Lubię za wszystko, co tylko się da, płacić kartą kredytową. Dostaję wtedy dodatkowe mile.

–Za ten zakup dostanie pan tyle punktów, że będzie pan mógł polecieć nawet do Chin –

powiedziała.

–Wolałbym do Tajlandii.

–Tam też. Przyjrzał się jej uważniej. Była atrakcyjna, co zrozumiałe, skoro pracowała w takim sklepie.

Ciekaw był, czy dostaje prowizję od sprzedaży.

–Cóż… – Uśmiechnął się i puścił do niej oko. – A ile to kosztuje?

–Wskazał rzeźbę z brązu Indianina trzymającego orła. „Uwalnianie orła". Jeden dziesięć.

–Właśnie kupiłem ranczo za miastem i muszę je urządzić. Sam główny budynek ma dziewięćset metrów.

–Nieźle.

–Nazywam się Maddox. Jim Maddox. – Wyciągnął rękę.

–Clarissa Provender.

–Miło mi cię poznać, Clarisso.

–To dzieła Willy'ego Atcitty'ego z plemienia Nawahów, jednego z najwybitniejszych rzeźbiarzy indiańskich. Pierwsza rzeźba, o którą pan pytał, została wykonana z bloku alabastru z Nowego Meksyku, z gór San Andreas.

–Śliczna. Co przedstawia?

–Trzydniowe uroczystości Drogi Błogosławieństwa.

–Co?

–Droga Błogosławieństwa to tradycyjna ceremonia Nawahów, podczas której odzyskuje się

równowagę i harmonię w życiu.

–Coś w sam raz dla mnie. – Stał teraz na tyle blisko kobiety, że czuł zapach płukanki, której dziś rano użyła do swych lśniących, czarnych włosów.

–Tak jak każdemu z nas – powiedziała ze śmiechem Clarissa Provender, spoglądając na niego ukradkiem swymi lekko skośnymi, brązowymi oczami.

–Clarisso, z pewnością stale cię o to pytają. Jeśli uznasz, że to pytanie nie na miejscu, nie musisz na nie odpowiadać… Co byś powiedziała na kolację dziś wieczorem?

Promienny, sztuczny uśmiech.

–Nie wolno mi się umawiać z klientami. Maddox wziął to za zgodę.

–Będę w Różowej Cegle o siódmej. Jeśli przypadkiem mnie tam spotkasz, z radością zafunduję ci martini i stek Dunigan.

Nie powiedziała „nie", co ośmieliło go jeszcze bardziej. Pokazał ręką rzeźby.

–Chyba kupię tę alabastrową. Ale najpierw muszę dokonać pomiarów, żeby mieć pewność, że się

zmieści. Jeśli nie tę, to z pewnością tę drugą.

–Mam wszystkie dane na zapleczu: wymiary, wagę, warunki dostawy.

Zniknęła w głębi galerii, stukając obcasami. Patrzył na jej pośladki pod małą czarną sukienką.

Wróciła z arkuszem, wizytówką i ulotką o artyście i wręczyła mu to wszystko z uśmiechem. Dostrzegł ślad szminki na lewej górnej trójce. Wsunął papiery do wewnętrznej kieszeni marynarki.

–Czy mogę skorzystać z telefonu?

–Naturalnie. Zaprowadziła go do swojego biurka w głębi galerii i podała mu słuchawkę.

–To potrwa tylko chwilkę. Halo? Doktor Broadbent?

–Nie, Shane McBride, jego wspólnik.

–Niedawno przeniosłem się do Santa Fe, nabyłem ranczo na południe od miasta. Chciałem kupić konia do jazdy pod wierzch. Znalazłem śliczne zwierzę, ale chcę, żeby je obejrzał weterynarz. Czy mogę się umówić z doktorem Broadbentem?

–Kiedy?

–Dziś albo w sobotę.

–Pan Broadbent jest nieosiągalny w tym terminie, ale może się z panem spotkać w poniedziałek.

–W sobotę nie da rady?

–W sobotę ja pracuję i… Niech sprawdzę. Mam jedno czy dwa okienka.

–Przepraszam cię, Shane, nie poczuj się dotknięty, ale bardzo

mi polecano doktora Broadbenta i wolałbym umówić się z nim.

–W takim razie musi pan zaczekać do poniedziałku.

–Zależy mi, żeby to załatwić w sobotę. Jeśli akurat tego dnia ma wolne, jestem gotów zapłacić mu dodatkowo.

–Nie będzie go w mieście. Przykro mi. Jak powiedziałem, chętnie się z panem spotkam.

–Bez urazy, Shane, ale wspomniałem już… – Urwał rozczarowany. – Tak czy inaczej dziękuję. Zadzwonię w poniedziałek.

Odłożył słuchawkę i mrugnął do Clarissy. Spojrzała na niego, jej twarz była nieprzenikniona.

–Do zobaczenia w Pink, Clarisso. Nie odpowiedziała od razu. Potem się nachyliła i uśmiechnięta złośliwie powiedziała cicho:

–Zajmuję się handlem dziełami sztuki od pięciu lat i jestem w tym bardzo dobra. Wiesz dlaczego?

–Dlaczego?

–Bo od razu się orientuję, kiedy próg galerii przekracza burak. A tobie słoma wystaje z butów, co

widać na milę.

8

HELIKOPTER, KTÓRY przywiózł ekipę dochodzeniową, nie mógł wylądować w pobliżu miejsca znaleziska, więc policjanci byli zmuszeni taszczyć swój sprzęt cały kilometr w górę wyschniętego strumienia. Pojawili się wściekli, ale Calhoun, szef dochodzeniówki, człowiek wyjątkowo dowcipny, opowiadał im kawały i zabawne historyjki, poklepywał po ramionach i obiecał zimne piwo, kiedy będzie po wszystkim, więc jakoś ich udobruchał.

Calhoun zorganizował prace niczym na stanowisku archeologicznym. Podzielił cały teren na kwadraty, kazał swoim ludziom zdejmować ziemię warstwa po warstwie, a fotografowi dokumentować każdy etap prac. Przesiali piach przez sito z oczkami średnicy jednego milimetra, a potem jeszcze wsypali do komory wypornościowej, by nie przeoczyć żadnego włosa ani nitki. Była to mordercza praca; przystąpili do niej o ósmej rano. Teraz była trzecia i panował ponad czterdziestostopniowy skwar. Nadleciały całe roje much, ich bzyczenie wypełniało powietrze.

Wkrótce, pomyślał Willer, przyjdzie pora na „zgarnięcie": umieszczenie zwłok w plastikowej torbie; byłoby dobrze, gdyby się nie rozleciały jak rozgotowany kurczak. Trup przeleżał w ziemi pięć dni, a mieli sam środek upalnego lata. Feininger, lekarz sądowy, stała w pobliżu, kierując tą osobliwą operacją. Tylko ona jedna była elegancka i nie spocona mimo skwaru, siwe włosy związała chustką, na jej pokrytej zmarszczkami, ale nadal ładnej twarzy nie zauważył ani kropelki potu.

–Proszę całą trójkę z prawej strony – powiedziała, dając znak ekipie śledczych. – Wiecie, jak to

zrobić. Wsuńcie ręce pod zwłoki, upewnijcie się, że mocno je trzymacie, i na trzy przekręćcie je na

plastikową płachtę. Wszyscy mają fartuchy ochronne? Sprawdziliście, czy nie są rozdarte? – Rozejrzała się

dookoła, po czym, przybrawszy ironiczny, a może nawet lekko rozbawiony ton głosu, rzuciła: – Gotowi?

To z pewnością spore wyzwanie. Spiszcie się dobrze. A więc na trzy.

Rozległo się kilka chrząknięć, kiedy mężczyźni zajęli miejsca. Feininger już dawno temu zabroniła chłopakom z dochodzeniówki palić cygara; teraz każdy z nich miał pod nosem grubą warstwę maści Vicks VapoRub.

–Gotowi? Raz… dwa… trzy…

Jednocześnie przekręcili zwłoki na otwarty plastikowy worek. Willer uznał, że im się udało,

ponieważ podczas całej operacji nic nie odpadło ani nie zostało na ziemi.

–Dobra robota, chłopaki.

Jeden z policjantów zapiął worek na zamek błyskawiczny. Następnie torbę położono na noszach i

zostało im jedynie odstawienie jej do helikoptera.

–Tutaj włóżcie łeb zwierzęcia – poleciła Feininger. Posłusznie umieścili głowę osła w torbie na

dowody rzeczowe i też ją zamknęli. Przynajmniej, pomyślał Willer, zgodzili się, by zostawić osła, a zabrać tylko jego łeb z dziurą po naboju kaliber dziesięć milimetrów, wystrzelonego do zwierzęcia z bliska. Nabój wyłuskali ze ściany kanionu z miękkiego piaskowca, stanowił cenny dowód rzeczowy. Natrafili na sprzęt poszukiwacza i wyglądało na to, że nie udało im się znaleźć tylko jednego: jakichkolwiek danych dotyczących jego tożsamości. Ale z czasem to ustalą.

Ogólnie rzecz biorąc, mieli sporo dowodów rzeczowych.

Willer spojrzał na zegarek. Wpół do czwartej. Wytarł pot z twarzy, wyjął z lodówki turystycznej zimną colę, dotknął butelką czoła, policzka, karku.

Hernandez stanął obok niego, trzymając swoją colę.

–Myślisz, że zabójca przypuszczał, że znajdziemy zwłoki?

–Z całą pewnością zadał sobie wiele trudu, by je ukryć. Jesteśmy ile… trzy kilometry od miejsca, gdzie do niego strzelał. Musiał przywiązać ciało do grzbietu osła, przewieźć je tutaj, wykopać dół na tyle głęboki, by zmieścił się w nim osioł, trup i

cały ten majdan… Nie, nie sądzę, by przypuszczał, że to znajdziemy.

–Ma pan jakąś teorię, panie poruczniku?

–Zabójca szukał czegoś przy zabitym.

–Dlaczego pan tak uważa?

–Spójrz na graty poszukiwacza. – Willer wskazał plastikową płachtę, na której złożono cały

dobytek zamordowanego. Jeden z policjantów po kolei brał każdy przedmiot, zawijał go w papier

bezkwasowy, opisywał i umieszczał w plastikowych pudłach na dowody rzeczowe. – Widzisz oderwaną

wyściółkę jucznych siodeł? Wszystko jest rozbebeszone. Widzisz wywrócone na lewą stronę kieszenie

ubrania gościa? Morderca nie tylko czegoś szukał, ale był również wkurzony, że nie może tego znaleźć. –

Willer głośno dopił colę i wrzucił pustą puszkę do lodówki turystycznej.

Hernandez chrząknął i ścisnął wargi.

–Ale czego szukał? Mapy skarbów? Na twarzy Willera pojawił się uśmiech.

–Czegoś w tym rodzaju. I założę się, że nasz poszukiwacz dał to swojemu wspólnikowi, nim zabójca zdążył zejść z krawędzi na dno kanionu.

–Wspólnikowi?

–Tak.

–To znaczy komu?

–Broadbentowi.

9

BYŁ WCZESNY sobotni ranek. Wschodzące słońce dotykało wierzchołków sosen porastających wierzchołki gór nad Perdiz Creek i wdzierało się do doliny, smugi światła przecinały mgły. Poniżej drzewa wciąż jeszcze spowijał chłód nocy.

„Chudzielec" Maddox wolno bujał się na ganku przed domem, popijając kawę. Chwilę trzymał w ustach gorący, gorzki napar, nim go przełknął. Wrócił myślami do poprzedniego dnia i przypomniał sobie tę sukę z galerii sztuki. Nagle zawładnęła nim wściekłość. Ktoś mu za to zapłaci.

Dopił kawę, odstawił kubek i wstał. Wszedł do pokoju, wziął plecak, wyniósł go i zaczął metodycznie układać cały sprzęt, który będzie mu dziś potrzebny.

Najpierw glock 29 i dwa magazynki po dziesięć nabojów. Obok położył to, co zawsze brał: siatkę na włosy, czepek kąpielowy, pończochę, dwie pary rękawic chirurgicznych, plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy, chirurgiczne ochraniacze na buty i prezerwatywy; następnie ołówek i szkicownik, telefon komórkowy (naładowany na maksa), szczelnie zamykane torby, finkę, torbę suszonych owoców i orzechów do pogryzania, butelkę wody mineralnej, latarkę, kajdanki i kluczyki, plastikowy sznur do bielizny, taśmę do kneblowania, zapałki, chloroform i tetrową pieluszkę… Rozpostarł rysunek domu Broadbentów i przyjrzał mu się, wyobrażając sobie poszczególne pomieszczenia, drzwi, okna, gdzie są telefony, co skąd widać. Na koniec sprawdził wszystko ze spisem, umieszczając po kolei przedmioty w plecaku, każdy na swoim miejscu.

Znów wszedł do domu, zostawił plecak obok drzwi, nalał sobie drugą filiżankę kawy, wziął laptopa i wyszedł, po czym usiadł na bujanym fotelu. Miał do zabicia prawie cały dzień i równie dobrze mógł z pożytkiem spędzić ten czas. Rozparł się wygodnie, otworzył laptopa i go uruchomił.

Czekając, aż załaduje się system, wyjął z kieszeni mały plik listów, ściągnął z niego recepturkę i zaczął od pierwszego z brzegu.

Po kolei je redagował, zmieniając prymitywny, więzienny slang na angielski do zaakceptowania. Dwie godziny później skończył.

Zapisał listy na dysku i wysłał jako załącznik do administratora serwera, obsługującego jego stronę, gościa, którego nigdy nie widział na oczy, z którym nawet nigdy nie rozmawiał przez telefon.

Wstał z fotela na biegunach, wychlusnął resztkę zimnej kawy przez balustradę i wszedł do środka, żeby poszukać czegoś do czytania. Na półce z książkami były głównie biografie i dzieła historyczne, które Maddox ominął, by przejrzeć kilka dreszczowców w twardych okładkach. Dla zabicia czasu potrzebował czegoś, co go pochłonie bez reszty, by nie myśleć zbyt dużo o planach na popołudnie; miał je już opracowane w najdrobniejszych szczegółach. Kiedy spoglądał na grzbiety książek, jego uwagę przykuła powieść zatytułowana „Śmiertelny pojedynek". Zdjął ją z półki, przeczytał notkę na skrzydełku,

przekartkował książkę. Wziął ją, wyszedł na ganek, usiadł na bujanym fotelu i zaczął czytać.

Fotel rytmicznie skrzypiał, słońce powoli wędrowało w górę nieba, para wron z trzepotem odleciała z pobliskiego drzewa i poszybowała przez zniszczone osiedle, wypełniając powietrze skrzekliwym krakaniem. Maddox na chwilę przerwał lekturę, by spojrzeć na zegarek. Prawie południe.

To będzie długa, spokojna sobota – ale zakończy się z hukiem.

10

WILIER SIEDZIAŁ za swoim biurkiem, z nogami na blacie, przyglądając się, jak Hernandez kaczym chodem wraca z archiwum ze skoroszytem pod pachą. Z głośnym westchnieniem klapnął na głęboki fotel w kącie i położył teczkę na kolanach.

–Wygląda obiecująco – powiedział Wilier, skinieniem głowy wskazując skoroszyt. Hernandez jak nikt potrafił dokopać się do potrzebnych materiałów.

–I tak jest.

–Kawy?

–Z chęcią.

–Przyniosę ci. – Wilier wstał, podszedł do automatu z kawą, napełnił dwa plastikowe kubeczki i wrócił, po czym wręczył jeden Hernandezowi.

–Co masz?

–Ten Broadbent miał ciekawe życie.

–Zapoznaj mnie z tym w stylu „Reader's Digest".

–Jego ojcem był Maxwell Broadbent, namiętny kolekcjoner. W latach siedemdziesiątych

przeprowadził się do Santa Fe, był pięciokrotnie żonaty, ma troje dzieci, każde z inną żoną. Bawidamek.

Zajmował się kupnem i sprzedażą dzieł sztuki i antyków. Parę razy przesłuchiwało go FBI za nielegalny

handel. Oskarżono go o okradanie grobowców, ale facet był cwany i niczego mu nie udowodniono.

–Mów dalej.

–Jakieś półtora roku temu wydarzyła się dziwna rzecz. Wygląda, jakby rodzina udała się do Ameryki Środkowej na coś w rodzaju długich wakacji. Ojciec tam zmarł, dzieci wróciły z czwartym bratem, Metysem. Pomiędzy tę czwórkę rozdzielono około

sześciuset milionów dolarów.

Wilier uniósł brwi.

–Podejrzewają jakieś nieczyste interesy?

–Nie mają nic konkretnego. Ale cała ta historia jest tajemnicza, nikt nic nie wie, krążą jedynie różne pogłoski. W starym domu zamieszkał syn zmarłego z Indianką, facet pisze motywujące książki w stylu New Age. Mówią, że ma tatuaże. Broadbent żyje skromnie, ciężko pracuje. Ożenił się w zeszłym roku, jego żona ma na imię Sally, jest z Kolorado, pochodzi z rodziny robotniczej. Broadbent prowadzi klinikę weterynaryjną dla dużych zwierząt w Abiquiu, pomaga mu niejaki Albert McBride, który każe się do siebie zwracać Shane.

Wilier wzniósł oczy do góry.

–Rozmawiałem z kilkoma z klientów Broadbenta, jest równie szanowany przez właścicieli

modnych koni, jak i ranczerów. Zona uczy dzieci jazdy konnej.

–Notowany?

–Oprócz kilku drobnych wykroczeń w młodości facet jest czysty.

–A McBride?

–Też.

–Powiedz mi trochę o tych „drobnych wykroczeniach".

–Akta są zapieczętowane, ale wiesz, jak to jest. Zobaczmy… Głupi psikus z ciężarówką nawozu, spłatany dyrektorowi liceum… – Przerzucił kilka stron. – Udał się na przejażdżkę na skradzionym koniu… Złamał komuś nos podczas bójki.

–Pozostali bracia?

–Philip mieszka w Nowym Jorku, jest kustoszem w Metropolitan Museum of Art, nie znalazłem nic ciekawego na jego temat. Vernon dopiero co poślubił prawniczkę zajmującą się sprawami związanymi z zanieczyszczeniem środowiska, mieszka w Connecticut, nie pracuje zawodowo, siedzi w domu z dzieckiem, a

żona pracuje. Jakiś czas temu miał kłopoty finansowe, które się skończyły, odkąd otrzymał spadek.

–Ile dostali?

–Zdaje się, że każdy na czysto po jakieś dziewięćdziesiąt milionów.

Wilier gwizdnął.

–Czyli że to, czego ten gość szuka na płaskowyżach, musi mieć dla niego nie tylko wartość materialną, prawda?

–Nie wiem, poruczniku. Spotyka się dyrektorów generalnych, posiadających na koncie setki milionów, którzy ryzykują więzienie dla kilku dodatkowych tysięcy. To jak choroba.

–Racja. – Wilier skinął głową, zaskoczony przenikliwością Hernandeza. – Tyle że ten Broadbent nie wygląda mi na takiego. Nie szpanuje pieniędzmi. Pracuje, chociaż nie musi. To facet, który wstanie o drugiej w nocy, by wsadzić krowie rękę w tyłek i zarobić czterdzieści dolców. Coś mi tu nie gra, Hernandez.

–Ma pan rację.

–Czy już coś wiadomo o trupie?

–Jeszcze nie ustalono tożsamości zamordowanego. Sprawdzane są rejestry dentystyczne, odciski palców. Trochę to potrwa.

–A mnich? Zdobyłeś coś na jego temat?

–Tak. Też ma bogatą przeszłość. Jest synem admirała Johna Mortimera Forda, podsekretarza w Departamencie Marynarki Wojennej za czasów prezydentury Eisenhowera. Andower, Harvard, licencjat z antropologii, ukończył studia z najwyższym wyróżnieniem. Poszedł na MIT i zrobił doktorat z cybernetyki,

cokolwiek to jest. Poznał tam przyszłą żonę, pobrali się, obydwoje zatrudnili się w CIA. Nie znalazłem zbyt wielu informacji o jego późniejszych losach. Jak pan wcześniej powiedział, ci faceci poważnie traktują ochronę akt swoich pracowników. Brał udział w jakiejś tajnej operacji z łamaniem kodów i komputerami, żonę zamordowano w Kambodży. Rzucił wszystko, żeby zostać

mnichem, łącznie z domem wartym milion dolarów, kontami bankowymi, garażem pełnym zabytkowych jaguarów… Niewiarygodne.

Wilier chrząknął. To nie pasowało do jego teorii. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełnia błędu, podejrzewając Broadbenta i mnicha. Wszystko świadczyło o tym, że są uczciwymi obywatelami. A jednak był pewien, że tkwią w tej aferze po uszy.

11

BYŁO POPOŁUDNIE, kiedy Tom wjechał na parking przed Silver Strike Mall na biednych przedmieściach Tucson. Wysiadł z wypożyczonego samochodu i skierował się po rozmiękłym od upału asfalcie do wejścia do centrum handlowego. W środku była klimatyzacja i panował niemal polarny chłód. Fossil Connection znajdował się na samym końcu, w rzadko uczęszczanej części hali targowej. Toma zaskoczyła skromna wystawa z kilkoma zaledwie skamielinami, zresztą szybę i tak prawie w całości zamalowano wapnem. Na drzwiach wisiała tabliczka: „Wyłącznie hurt. Przyjmujemy tylko klientów wcześniej umówionych".

Drzwi były zamknięte. Zadzwonił, rozległo się pstryknięcie, wszedł do środka.

Bardziej przypominało to kancelarię adwokacką niż jedną z największych hurtowni skamieniałości na Zachodzie. Podłogę pokrywała beżowa wykładzina dywanowa, na ścianach wisiały plakaty o przedsiębiorczości i obsłudze klienta. Dwie sekretarki pracowały za biurkami stojącymi po obu stronach holu z dwoma brązowoszarymi krzesłami i stolikiem ze szkła i chromowanej stali. Na półce umieszczono kilka skamielin, a pośrodku stolika leżał wielki amonit oraz stos czasopism o skamieniałościach i ulotki reklamujące Wystawę Kamieni Szlachetnych i Minerałów w Tucson.

Jedna z sekretarek uniosła wzrok, przyjrzała się jego garniturowi od Valentino za dwa tysiące dolarów i butom na zamówienie, po czym spytała wyniośle:

–Słucham pana?

–Jestem umówiony z Robertem Beezonem.

–Pańska godność?

–Broadbent.

–Proszę usiąść, panie Broadbent. Czy podać panu coś do picia? Kawę? Herbatę? Wodę mineralną?

–Nie, dziękuję. Tom usiadł, wziął czasopismo i zaczął je kartkować. Przeszedł go dreszczyk na myśl o swoim

podstępie. Garnitur wisiał w jego szafie razem z kilkunastoma innymi, których nigdy nie wkładał, kupionymi przez ojca we Florencji i Londynie.

Po chwili zabrzęczał telefon na biurku sekretarki.

–Pan Beezon może pana przyjąć. – Wskazała skinieniem głowy drzwi z matową szybą, na których

widniało jedynie nazwisko: BEEZON.

Tom wstał, kiedy drzwi się otworzyły i ukazał się w nich postawny mężczyzna z włosami zaczesanymi na łysinę, bez marynarki, pod krawatem. Wyglądał jak przepracowany prowincjonalny adwokat.

–Pan Broadbent? – Wyciągnął rękę.

Ale jego gabinet świadczył, że mężczyzna nie zajmuje się ani księgowością, ani prawem. Na

ścianach wisiały plakaty przedstawiające skamieniałości, w szklanej gablocie leżały skamieniałe kraby, meduzy, pająki, a w samym środku dziwna skamielina ryby z mniejszą rybą w brzuchu, która z kolei połknęła zupełnie malutką rybkę.

Tom usiadł na krześle, a Beezon zajął miejsce za swoim biurkiem.

–Spodobało się panu moje małe cacko? Przypomina mi, że żyjemy w świecie, w którym większy

zjada mniejszego.

Tom zaśmiał się, usłyszawszy tekst, którym Beezon najwyraźniej raczył na powitanie wszystkich klientów.

–Ładne.

–A więc, panie Broadbent – ciągnął Beezon – nie miałem do tej pory przyjemności współpracować z panem. Od niedawna zajmuje się pan tą dziedziną? Prowadzi pan sklep?

–Jestem hurtownikiem.

–Dużo sprzedajemy hurtownikom. Dziwne, że nie spotkaliśmy

się wcześniej. Jak pan wie,

stanowimy nieliczne grono.

–Dopiero rozkręcam interes. Beezon położył ręce na biurku i spojrzał na Toma, lustrując jego garnitur.

–Ma pan wizytówkę?

–Nie noszę przy sobie.

–Czym w takim razie mogę panu służyć, panie Broadbent? – Przechylił głowę, jakby czekając na wyjaśnienia.

–Miałem nadzieję, że obejrzę kilka próbek.

–Oprowadzę pana po magazynie.

–Świetnie.

Beezon wstał zza biurka i Tom podążył za nim przez biuro do skromnych drzwi w głębi. Beezon je

otworzył i weszli do pomieszczenia tak przestronnego, jak Sam's Club, ale zamiast towarów na metalowych półkach leżały skamieniałości, tysiące, może nawet miliony skamieniałości. W hali kręcili się ludzie z wózkami widłowymi albo ręcznymi wózkami, wypełnionymi kamieniami. W powietrzu unosił się zapach pyłu skalnego.

–Kiedyś mieścił się tu Dillard's – wyjaśnił Beezon – ale w tej części centrum handlowego sklepy

detaliczne nigdy nie prosperowały dobrze, więc kupiliśmy to na korzystnych warunkach. Mamy tu

magazyn, salon wystawowy oraz punkt zbytu i wysyłki. Jednymi drzwiami wchodzi surowy towar, drugimi

wychodzi obrobiony.

Ujął Toma pod łokieć i zaczął go oprowadzać, wskazując ręką stojące wzdłuż ściany potężne bloki płowożółtej skały, obite balami dwa na cztery cale, obłożone gąbką i owinięte folią.

–Właśnie dostaliśmy wspaniały materiał z rzeki Green, super-towar, może go pan ode mnie kupić

na wagę, podzielić i sprzedawać małe fragmenty, pięciokrotnie pomnażając zysk.

Podeszli do pojemników wypełnionych skamielinami. Tom zobaczył, że to amonity.

–Jesteśmy największym na świecie sprzedawcą amonitów, polerowanych i niepolerowanych, w

skale macierzystej lub nie, na wagę albo na sztuki, obrobionych albo nie. – Nie zatrzymywał się, mijając

półki, zastawione kartonami z dziwnymi, poskręcanymi muszlami amonitów. W pewnej chwili przystanął,

sięgnął do jednego pudła i coś z niego wyjął. – Te są dość zwyczajne, po dwa dolary za pół kilograma,

nieobrobione, jeszcze w skale macierzystej. Tutaj mamy kilka z pirytami, a tam bardzo ładne, trochę

droższe okazy z agatami.

Ruszył dalej.

–Jeśli interesuje się pan owadami, właśnie otrzymałem kilka ślicznych pająków z kamieniołomów

łupków Nkomi w Namibii. Nowa dostawa krabów z Heinigen w Niemczech. Są ostatnio poszukiwane,

osiągają cenę dwustu, trzystu dolarów za sztukę. Skamieniałe drzewa – sprzedaję je na kilogramy.

Wspaniałe do polerowania. Liliowce, konkrecje z paprociami. Koprolity. Dzieciaki je uwielbiają.

Oferujemy wszystko po konkurencyjnych cenach.

Tom podążał za nim. W pewnej chwili Beezon się zatrzymał i wziął do ręki jakąś konkrecje.

–Wielu z nich nawet nie rozłupano. Można je sprzedawać w takim stanie i pozwolić klientowi

zrobić to samemu. Dzieciaki kupują trzy do czterech. Zazwyczaj w środku jest paproć albo liść. Od czasu

do czasu kość lub fragment szczęki. Słyszałem, że w niektórych nawet znajdywano czaszki. To jak loteria.

Proszę… – Wręczył Tomowi konkrecje, a potem podał mu młotek do skał.

Tom wziął młotek i pamiętając, kogo udaje, postukał nim w skamielinę, a potem umieścił ją na kowadle.

–Radzę spróbować drugim końcem młotka – powiedział cicho Beezon.

–Racja. – Tom inaczej ujął młotek i uderzył nim w konkrecje. Pękła, ukazując w środku pojedynczy liść skamieniałej paproci.

Zorientował się, że Beezon uważnie mu się przygląda.

–Co pan ma z droższych rzeczy? – spytał Tom.

Beezon bez słowa podszedł do zamkniętych na klucz metalowych drzwi i wprowadził go do

mniejszego pomieszczenia bez okien.

–Tutaj trzymamy lepszy towar: skamieniałości kręgowców, kły mamutów, jaja dinozaurów. Akurat

otrzymałem nową partię jaj hadrozaurów z Hunanu, przynajmniej sześćdziesiąt procent skorup jest

nietknięte. Sprzedaję je po sto pięćdziesiąt za sztukę. Może pan za nie dostać czterysta, pięćset dolarów. –

Otworzył szafkę, wyjął kamienne jajo z gniazda zrobionego z pomiętych gazet i uniósł je w górę. Tom wziął skamieniałość, obejrzał ją, oddał, po czym dokładnie wytarł palce jedwabną chusteczką, którą wyjął z kieszeni. Nie umknęło to uwadze Beezona.

–Minimalne zamówienie – tuzin. – Przeszedł dalej, do długiego metalowego pudła,

przypominającego trumnę, i otworzył je. W środku była

nieregularnego kształtu bryła gipsu, metr

dwadzieścia na metr. – To coś naprawdę słodkiego, strutiomim zachowany w czterdziestu procentach,

brakuje jedynie czaszki. Właśnie dostarczono go z Dakoty Południowej. Towar jak najbardziej legalny,

pochodzi z prywatnego rancza. Nadal tkwi w skale macierzystej, wymaga obróbki.

Rzucił Tomowi znaczące spojrzenie.

–Wszystko, co oferujemy, posiada notarialnie poświadczone certyfikaty, wystawione przez prywatnych właścicieli ziemi. – Urwał. – Panie Broadbent, czego pan właściwie szuka? – Przestał się uśmiechać.

–Już powiedziałem. – Spotkanie przebiegało dokładnie tak, jak to sobie zaplanował: wzbudził podejrzenia Beezona.

Beezon nachylił się i powiedział cicho:

–Nie zajmuje się pan handlem skamieniałościami. – Znów spojrzał na jego garnitur. – Kim pan jest,

agentem FBI?

Tom pokręcił głową i uśmiechnął się zażenowany.

–Rozszyfrował mnie pan, panie Beezon. Gratuluję. Ma pan rację, nie handluję skamieniałościami.

Ale nie jestem też agentem FBI.

Beezon wciąż się na niego gapił, cała jego uprzejmość mieszkańca Zachodu wyparowała w jednej chwili.

–W takim razie kim pan jest?

–Pracuję w banku inwestycyjnym.

–Czego, u diabła, szuka pan u mnie?

–Obsługuję małe grono wyjątkowych klientów z Dalekiego Wschodu: Singapuru i Korei

Południowej. Inwestujemy pieniądze naszych klientów. Czasami nasi klienci chcą zakupić coś

nietypowego: obrazy dawnych mistrzów, kopalnie złota, konie wyścigowe, francuskie wina… – Tom urwał,

a potem dodał: – Dinozaury.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Potem Beezon powtórzył jak echo:

–Dinozaury? Tom skinął głową.

–Domyślam się, że niezbyt przekonująco wypadłem jako handlarz skamieniałościami. Beezon spojrzał na niego nieco łaskawszym okiem, na jego twarzy malowała się mina człowieka

zadowolonego z siebie, że nie dał się oszukać.

–Nie. Po pierwsze, ten pana elegancki garnitur. A jak tylko wziął pan do ręki ten młotek do skał, wiedziałem, że nie handluje pan skamieniałościami. – Zaśmiał się. – A więc, panie Broadbent, kim jest ten pański klient i o jakiego dinozaura mu chodzi?

–Czy możemy rozmawiać swobodnie?

–Naturalnie.

–To pan Kim, jest przemysłowcem z Korei Południowej.

–Ten strutiomim to dość dobra inwestycja, sto dwadzieścia tysięcy…

Mojego klienta nie interesuje tandeta. – Tom zmienił ton głosu, miał nadzieję, że jako szorstki, arogancki bankowiec okaże się bardziej przekonujący. Beezon przestał się uśmiechać.

–To nie tandeta.

–Mój klient kieruje imperium przemysłowym wartym kilka miliardów dolarów. Ostatnie wrogie przejęcie, którego dokonał, zakończyło się samobójstwem dyrektora generalnego konkurencyjnego przedsiębiorstwa, co wcale nie zmartwiło pana Kima. Mój klient żyje w świecie, w którym obowiązuje darwinowski model przetrwania. Chce mieć dinozaura do głównej siedziby swojej spółki, który świadczyłby, kim jest i jak prowadzi interesy.

Zapanowała długa chwila ciszy. Potem Beezon zapytał:

–A jaki dokładnie miałby to być dinozaur? Tom rozciągnął usta w uśmiechu.

–Cóż by innego niż *Tyrannosaurus rex*! – Beezon roześmiał się nerwowo.

–Rozumiem. Z pewnością orientuje się pan, że na całym świecie istnieje jedynie trzynaście

szkieletów tego tyranozaura, wszystkie są w muzeach. Ostatni, który zaoferowano na sprzedaż, poszedł za

osiem i pół miliona. To niebagatelna kwota.

–Zdaję sobie również sprawę z tego, że jest jeszcze jeden czy dwa na sprzedaż, ale bez rozgłosu. Beezon zakaszlał.

–Możliwe.

–Jeśli chodzi o „niebagatelną kwotę", pan Kim nawet nie bierze pod uwagę inwestycji poniżej dziesięciu milionów. Po prostu nie byłoby to warte jego zachodu.

–Dziesięć milionów? – wolno powtórzył Beezon.

–To dolna granica. Pan Kim jest przygotowany na zapłacenie do pięćdziesięciu milionów, a może nawet więcej. – Tom ściszył głos i nachylił się do Beezona. – Mój klient nie chce wnikać w to, jak i gdzie znaleziono tyranozaura. Ważne, żeby to był właściwy tyranozaur.

Beezon oblizał usta.

–Pięćdziesiąt milionów? Nie mam nic takiego na sprzedaż.

–W takim razie przepraszam, że niepotrzebnie zająłem panu tyle czasu. – Tom odwrócił się, żeby

wyjść.

–Chwileczkę, panie Broadbent. Nie powiedziałem, że nie mógłbym panu jakoś pomóc.

Tom się zatrzymał.

–Może mógłbym pana z kimś skontaktować. Jeśli… cóż, oczywiście, jeśli mój czas i wysiłek zostaną odpowiednio wynagrodzone.

–Panie Beezon, w sprawach, które prowadzę, każdy, kto przyczyni się do sfinalizowania transakcji, jest wynagradzany w zależności od wkładu swojej pracy.

–Dokładnie to chciałem usłyszeć. Jeśli chodzi o prowizję…

–Jesteśmy gotowi wypłacić panu prowizję w wysokości jednego procentu od wartości transakcji za skontaktowanie nas, z kim trzeba. Czy to pana satysfakcjonuje?

Beezon na chwilę ściągnął brwi, licząc w pamięci, a potem na jego okrągłej twarzy pojawił się lekki uśmiech.

–Panie Broadbent, sądzę, że możemy ubić interes. Jak powiedziałem, znam pewnego

dżentelmena…

–Poluje na dinozaury?

–Nie, nie. Nie lubi sobie brudzić rąk. Chyba można go nazwać sprzedawcą dinozaurów. Mieszka niedaleko stąd, w małej miejscowości pod Tucson.

Zapadło milczenie.

–A więc? – powiedział Tom, nieco podnosząc głos, by okazać zniecierpliwienie. – Na co czekamy?

„CHUDZIELEC" MADDOX przykucnął za stajnią i obserwował padok. Dzieci jeździły na koniach w kółko, ich krzyki mieszały się ze śmiechem. Tkwił tu od godziny i dopiero teraz wyścigi z przeszkodami dla opóźnionych w rozwoju, czy jak tam ich zwą, zbliżały się do końca. Dzieciaki zaczęły zsiadać z koni i po kolei odprowadzać zwierzęta na pastwisko. Maddox czekał, mięśnie go bolały, cały był spięty, żałował, że przyszedł o trzeciej, a nie o piątej. W końcu bachory się pożegnały i wsiadły z rodzicami do furgonetek oraz wozów terenowych. Kiedy samochody ruszyły z parkingu za domem, dzieciaki zaczęły machać i krzyczeć na pożegnanie.

Spojrzał na zegarek. Czwarta. Wyglądało na to, że nikt nie został, żeby posprzątać – Sally była sama. Nie wyjedzie, jak to zrobiła poprzednim razem. Miała za sobą długi dzień i była zmęczona. Pójdzie do domu, żeby odpocząć, może weźmie prysznic.

Myśląc o tym, obserwował ostatni samochód terenowy, opuszczający podjazd w tumanie kurzu. Obłok zniknął w złotych promieniach popołudniowego słońca i zrobiło się cicho. Obserwował, jak kobieta idzie przez podwórze z naręczem uzd i kantarów. Wyglądała szałowo w butach do konnej jazdy, dżinsach i białej koszuli, z długimi blond włosami. Weszła do stajni i słyszał, jak się krząta, odwiesza uprzęże, rozmawia z końmi. W pewnej chwili znalazła się dosłownie metr od niego, dzieliła ich tylko cienka, drewniana ściana. Ale jeszcze nie nadeszła pora; dopadnie kobietę w domu, żeby nikt niczego nie usłyszał. Wprawdzie najbliżsi sąsiedzi mieszkają pół kilometra stąd, ale dźwięki daleko się niosą, nigdy nie wiadomo, kto może akurat iść czy jechać konno i przypadkiem coś usłyszeć.

Ze stajni dobiegało parskanie koni i stukot kopyt, słychać było zgrzyt łopaty i pieszczotliwe słowa, kierowane do zwierząt. Dziesięć minut później kobieta wyszła ze stajni i skierowała się do tylnych drzwi do domu. Widział przez okno kuchenne, jak napełnia czajnik wodą z kranu, stawia go na kuchence, wyjmuje kubek i coś, co wyglądało jak pudełko herbat ekspresowych. Usiadła przy kuchennym stole i czekając, aż woda się zagotuje, przeglądała czasopisma. Herbata, a potem kąpiel? Nie był pewien,

ale lepiej nie zwlekać. Zresztą była w kuchni, tak jak tego chciał. Parzenie i picie herbaty zajmie jej przynajmniej pięć minut. To okazja, na jaką czekał.

Postanowił przystąpić do działania. Włożył plastikowe ochraniacze na buty, plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy, siatkę na włosy, czepek kąpielowy, pończochę. Sprawdził glocka 29, wyjął magazynek i wsunął go z powrotem. Na koniec rozłożył plan domu i ostatni raz rzucił na niego okiem. Dokładnie wiedział, co ma robić.

Maddox przebiegł na drugi koniec stajni, tam kobieta nie mogła go zobaczyć przez okno kuchenne. Wyprostował się, niedbale przeszedł przez dziedziniec, minął furtkę prowadzącą na taras, a potem przywarł do muru, mając okno na taras po swojej prawej stronie. Zajrzał do pokoju i zobaczył, że nikogo w nim nie ma – kobieta wciąż była w kuchni. Szybko wcisnął listwę tam, gdzie była zapadka, i gwałtownie nią szarpnął. Zameczek otworzył się z głośnym trzaskiem; Maddox przesunął drzwi, wszedł do środka, zamknął je i przywarł do ściany w miejscu, gdzie korytarz prowadził z pokoju do kuchni.

Usłyszał, jak zaszurało krzesło.

–Kto tam? Nie poruszył się. Rozległo się kilka niepewnych kroków w korytarzu łączącym kuchnię z pokojem.

–Czy ktoś tu jest? Maddox czekał, starając się zapanować nad oddechami. Kobieta zaraz wejdzie i zobaczy, co było

powodem hałasów. Usłyszał jeszcze kilka niepewnych kroków w holu, a potem zapanowała cisza. Widocznie kobieta zatrzymała się w progu pokoju. Była tuż za rogiem, na tyle blisko, że słyszał jej oddech.

–Czy ktoś tu jest?

Mogła się odwrócić i pójść do kuchni. Mogła podejść do telefonu. Ale nie była pewna… Usłyszała

jakiś hałas, stała w drzwiach, w pokoju nikogo nie było widać… Powodem dziwnych odgłosów mogła być spadająca gałązka, która uderzyła w okno, albo ptak, który wpadł na szybę. Maddox dokładnie wiedział, co kobieta myśli.

Z kuchni dobiegł cichy gwizd, który stawał się coraz bardziej przenikliwy. Woda się zagotowała.

Jasna cholera.

Kobieta się odwróciła, Maddox usłyszał jej cichnące kroki, kiedy szła do kuchni.

Zakaszlał, nie głośno, ale wyraźnie, żeby wróciła. Kobieta przystanęła.

–Kto tam?

Gwizd w kuchni stał się głośniejszy. Nagle szybkim krokiem wróciła do pokoju. Wyskoczył w tej samej chwili, kiedy zobaczył – ku

swemu całkowitemu zaskoczeniu – że kobieta trzyma w ręku rewolwer. Odwróciła się na pięcie, a on złapał ją za nogi. W tym samym momencie broń wypaliła. Z całych sił uderzył kobietę i przewrócił ją na ziemię. Krzyknęła, obróciła się, jej jasne włosy rozsypały się na dywanie, rewolwer potoczył się po podłodze, mocno zdzieliła napastnika pięścią w głowę.

Żółtowłosa suka.

Zamachnął się i trafił lewą ręką w coś miękkiego. Udało mu się przydusić kobietę, przygwoździć ją do ziemi. Sapała, walczyła, ale przygniatał ją całym ciężarem ciała. Przytknął jej glocka do ucha.

–Ty suko! – Niemal… niemal pociągnął za cyngiel.

Broniła się i krzyczała. Przydusił ją mocniej, nożycowym chwytem unieruchomił nogi, którymi

wierzgała. Opanował się. Chryste, niemal ją zabił, może będzie musiał to zrobić.

–Zabiję cię, jeśli będę musiał. Nie żartuję.

Wciąż się szamotała, krzycząc coś niezrozumiale. Była nieprawdopodobnie silna, walczyła jak

tygrysica.

–Zabiję cię. Nie zmuszaj mnie do tego, ale przysięgam, że to zrobię, jeśli się nie uspokoisz.

Wreszcie dotarło do niej, że on nie żartuje, i przestała się bronić. Jak tylko się uspokoiła,

wyprostował nogę, próbując przyciągnąć rewolwer, który leżał na dywanie jakieś trzy metry dalej.

–Nie ruszaj się.

Czuł ją pod sobą, ze strachu dostała czkawki. Dobrze. Powinna się bać. Mało brakowało, a by ją

zabił.

Zahaczył stopą rewolwer, przyciągnął go do siebie, podniósł i schował do kieszeni. Wsadził kobiecie lufę glocka do ust i powiedział:

–Spróbujemy jeszcze raz. Teraz wiesz, że nie zawaham się przed niczym. Skiń głową, jeśli

zrozumiałaś.

Niespodziewanie przekręciła się i kopnęła go w goleń, ale nie mogła się dobrze zamachnąć.

Otoczył jej szyję ramieniem, niemal ją dusząc.

–Nie stawiaj oporu. Nie przestała się szamotać. Tak głęboko wsunął jej lufę do ust, że mało się nie udławiła.

–To pistolet, suko, nie widzisz? Zrezygnowała ze stawiania oporu.

–Rób, co ci każę, a nikomu nie stanie się krzywda. Skiń głową, jeśli zrozumiałaś. Skinęła głową, a on lekko złagodził uścisk.

–Pójdziesz ze mną. Grzecznie. Ale najpierw musisz coś dla mnie zrobić. Żadnej reakcji. Wsunął jej lufę głębiej do ust. Skinienie głową. Czuł, jak cała drży w jego ramionach.

–Teraz cię puszczę. Ale ani mru-mru. Żadnych krzyków. Żadnych gwałtownych ruchów. W

przeciwnym razie zabiję cię.

Skinęła głową i czknęła.

–Wiesz, czego chcę? Pokręciła głową. Wciąż leżał na niej, obejmując ją mocno nogami.

–Chodzi mi o notes. Ten, który twój mąż zabrał poszukiwaczowi. Trzyma go w domu? Pokręciła głową.

–Ma go przy sobie? Żadnej reakcji. Notes ma jej mąż. Był tego pewien.

–A teraz posłuchaj mnie uważnie, Sally. Nie będę się cackał. Jeden fałszywy krok, jeden krzyk,

jedna sztuczka, a cię zabiję. Jasne?

Nie żartował i w pełni to do niej dotarło.

–Za chwilę cię puszczę. Podejdziesz do automatycznej sekretarki, która stoi tam na stole, i nagrasz

następującą wiadomość: „Cześć, tu Tom i Sally. Tom wyjechał służbowo, a ja niespodziewanie musiałam

opuścić miasto, więc nie będziemy mogli od razu oddzwonić. Przepraszam rodziców dzieci za odwołane

lekcje. Skontaktuję się ze wszystkimi po powrocie. Proszę o zostawienie wiadomości. Dziękuję". Potrafisz

to powiedzieć normalnym tonem głosu?

Żadnej reakcji. Obrócił lufę. Skinienie głowy. Wyjął kobiecie pistolet z ust. Zakaszlała.

–Powiedz to. Chcę usłyszeć twój głos.

–Dobrze. Głos jej drżał. Podniósł się i trzymał broń wycelowaną, kiedy wolno wstała z podłogi.

–Zrób, co powiedziałem. Jak tylko skończysz nagrywać wiadomość, odsłucham ją, dzwoniąc z

telefonu komórkowego. Jeśli coś nie będzie się zgadzało albo jeśli wykręcisz mi jakiś numer, już jesteś

martwa.

Kobieta podeszła do aparatu telefonicznego, nacisnęła guzik i nagrała komunikat.

–Masz zbyt spięty głos. Spróbuj jeszcze raz. Bardziej naturalnie. Zrobiła to drugi raz, i trzeci, w końcu uznał, że jest dobrze.

–Bardzo ładnie. Teraz wyjdziemy jak gdyby nigdy nic, ty pójdziesz przodem, ja półtora metra za tobą. Nie zapominaj nawet na chwilę, że mam broń. Zaparkowałem samochód w kępie dębów jakieś czterysta metrów w górę drogi. Wiesz, o których drzewach mówię?

Skinęła głową.

–Właśnie tam pójdziemy.

Kiedy pchnął ją przez pokój, poczuł coś mokrego na udzie. Spojrzał. Plastikowy płaszcz

przeciwdeszczowy rozerwał się, odsłaniając kawałek materiału nogawki spodni. Była na nim ciemna plama krwi, niewiele, ale zawsze krew. Maddox był zaskoczony, bo niczego nie poczuł. Nadal nic nie czuł. Spojrzał na dywan, ale nie dostrzegł, by krew skapnęła na podłogę. Pomacał ranę ręką i dopiero teraz go zabolało.

Suka go postrzeliła.

Wyszli z domu i ruszyli przez porośnięty zaroślami płaski teren, a potem skręcili nad strumyk. Wkrótce znaleźli się obok zaparkowanego samochodu. Kiedy dotarli do dębów, wyjął z plecaka kajdanki na nogi i rzucił je kobiecie.

–Załóż je. Pochyliła się, przez chwilę szamotała się z nimi, nim je zatrzasnęła.

–A teraz ręce do tyłu. Posłuchała go. Okręcił nią i zatrzasnął jej kajdanki na przegubach rąk. Potem otworzył przednie

drzwi od strony pasażera.

–Wsiadaj.

Jakoś udało jej się usiąść i wciągnąć nogi do środka. Zdjął plecak, wyjął z niego butelkę

chloroformu i pieluszkę. Obficie zmoczył ją chloroformem.

–Nie! – usłyszał jej krzyk. – Proszę, nie! – Zamachnęła się nogami, żeby go kopnąć, ale miała mało

miejsca, a on już przyskoczył do niej, złapał ją za skute kajdankami ręce i przytknął jej pieluszkę do

twarzy. Walczyła, krzyczała, szamotała się i kopała, ale po chwili stała się bezwładna.

Upewnił się, że wciągnęła w płuca sporo chloroformu, potem przeszedł do miejsca dla kierowcy i usiadł za kierownicą. Kobieta leżała pochylona w nienaturalnej pozycji. Posadził ją prosto, oparł o drzwiczki, wsunął jej poduszkę pod głowę i okrył ją kocem. Wyglądała teraz, jakby smacznie spała.

Opuścił szyby, żeby wywietrzyć chloroform, potem ściągnął pończochę, czepek kąpielowy, ochraniacze na buty, siatkę na włosy i płaszcz przeciwdeszczowy, zwinął wszystko i wsunął do worka na

śmieci.

Uruchomił silnik, wyjechał z kępy drzew i ruszył drogą gruntową do szosy. Przejechał przez zaporę i pomknął na północ szosą numer osiemdziesiąt cztery. Piętnaście kilometrów dalej skręcił w nie oznakowaną drogę Służby Leśnej, prowadzącą do lasu państwowego Carson, do obozu Cywilnego Korpusu Ochrony Przyrody w Perdiz Creek.

Kobieta leżała oparta o drzwi, z zamkniętymi oczami, jasne włosy miała w nieładzie. Zatrzymał się, patrząc na nią. A niech to, pomyślał, jest ładna… prawdziwa złotowłosa piękność.

PODOBNO KIEDYŚ był tu burdel – powiedział Beezon do Toma, kiedy stali w zatoczce przed zniszczonym wiktoriańskim domem, wzniesionym na skraju pustyni porośniętej gdzieniegdzie opuncjami, kaktusami paloverde i ocotillo.

–Bardziej przypomina nawiedzony dom niż burdel – zauważył Tom.

Beezon zachichotał.

–Ostrzegałem pana… Harry Dearborn to dziwak. Jego opryskliwość jest legendarna. – Ciężko

wszedł na ganek i podniósł pierścień dużej, wykonanej z brązu kołatki w kształcie lwa. Kiedy puścił

pierścień, rozległ się głuchy stukot. Po chwili dobiegł ich ze środka gruby głos:

–Proszę, otwarte.

Weszli. W domu panował mrok, bo większość kotar była zasunięta, pachniało w nim stęchlizną i

kotami. Przedpokój zastawiony był ciemnymi wiktoriańskimi meblami. Podłogi wyłożono zachodzącymi na siebie perskimi dywanami, pod ścianami znajdowały się dębowe gabloty z pofalowanymi szybkami, zza których widać było minerały, wypełniające ich mroczne wnętrza. Gdzieniegdzie stały lampy, spod abażurów z frędzlami rzucające kręgi słabego, żółtego światła.

–Proszę – rozległ się głęboki, dudniący głos. – Tylko niczego nie dotykać.

Beezon zaprowadził Toma do salonu. Pośrodku niego bardzo gruby mężczyzna tkwił w wielkim

fotelu, obitym kwiecistym perkalem, na poręczach leżały ochraniacze. Światło padało z tyłu, więc twarz mężczyzny pozostawała w cieniu.

–Witaj, Harry – powiedział Beezon nieco nerwowo. – Kopę lat,

co? To mój przyjaciel, pan Thomas

Broadbent.

Z mroku wyłoniła się wielka dłoń i wskazała dwa fotele uszaki. Usiedli w nich.

Tom dokładniej przyjrzał się mężczyźnie. Bardzo przypominał Sidneya Greenstreeta w białym garniturze, ciemnej koszuli i żółtym krawacie, rzednące włosy miał starannie zaczesane do tyłu, mimo swej tuszy był schludny i zadbany. Jego szerokie czoło było gładkie i białe jak u niemowlęcia, na palcach skrzyły się ciężkie, złote sygnety.

–No, no – powiedział Dearborn. – Kogo ja widzę, Robert Beezon, człowiek od amonitów. Jak

interesy?

–Wyśmienicie. Skamieniałości idą jak woda. Modnie jest teraz ozdabiać nimi biura. Mężczyzna uniósł dłoń i nieznacznie skinął dwoma palcami.

–Czego chcesz? Beezon odchrząknął.

–Pan Broadbent…

Gospodarz uciszył Beezona i zwrócił się do Toma:

–Broadbent? Czy nie jest pan przypadkiem spokrewniony z Maxwellem Broadbentem, tym

kolekcjonerem?

Zaskoczył Toma.

–Był moim ojcem.

–Maxwell Broadbent. – Dearborn chrząknął. – Ciekawy człowiek. Kilka razy się spotkaliśmy. Czy żyje?

–Zmarł w zeszłym roku.

Kolejne chrząknięcie. Uniósł rękę, w której trzymał ogromną chustkę, i otarł nią pulchną twarz.

–Przykro mi. Na świecie przydałoby się jeszcze kilka równie pełnych fantazji osób jak on.

Wszyscy są teraz tacy… zwyczajni. Mogę spytać, jak zmarł? Miał chyba nie więcej niż sześćdziesiąt lat.

Tom się zawahał.

–To się stało w… w Hondurasie. Uniesienie brwi.

–Czy wiąże się z tym jakaś tajemnica? Toma zaskoczyła bezceremonialność mężczyzny.

–Umarł, robiąc to, co kochał robić – odparł nieco szorstko. – Mógł jeszcze trochę pożyć, ale z godnością przyjął wyroki losu. Nie wiąże się z tym żadna tajemnica.

–Jestem szczerze zaskoczony. – Dearborn umilkł. – A więc czym mogę panu służyć, Thomasie?

–Pan Broadbent interesuje się zakupem dinozaura… – zaczął Beezon.

–Dinozaura? Skąd ci, u diabła, przyszło do głowy, że sprzedaję dinozaury?

–Cóż… – Beezon umilkł, na jego twarzy malowało się zmieszanie. Dearborn wyciągnął do niego swoją wielką rękę.

–Robercie, bardzo ci dziękuję, że przedstawiłeś mi pana Broadbenta. Przepraszam, że nie wstanę. Ale zdaje mi się, że mamy z panem Broadbentem do omówienia pewien interes, a wolałbym to załatwić w cztery oczy.

Beezon wstał i z wahaniem zwrócił się do Broadbenta, wyraźnie chcąc coś powiedzieć. Tom domyślił się co.

–Jeśli chodzi o naszą umowę, może pan być spokojny.

–Dziękuję – powiedział Beezon.

Tom poczuł wyrzuty sumienia. Nie sfinalizuje żadnego kontraktu i nie będzie żadnej prowizji. Beezon się pożegnał. Po chwili usłyszeli, jak zatrzasnęły się drzwi, a potem dobiegł ich warkot

silnika samochodu.

Dearborn zwrócił się do Toma, krzywiąc twarz w czymś na podobieństwo uśmiechu.

–Czy dobrze usłyszałem? Chodzi o dinozaura? Nie skłamałem. Nie sprzedaję dinozaurów.

–A czym właściwie się pan zajmuje, Harry?

–Pośredniczę w handlu dinozaurami. – Dearborn rozparł się z uśmiechem w swoim fotelu i czekał. Tom zebrał myśli.

–Pracuję w banku inwestującym pieniądze klientów z Dalekiego Wschodu, jeden z nich… Gruba dłoń znów się uniosła, przerywając Tomowi przygotowaną przemowę.

–Mogło się to panu udać z Beezonem, ale mnie pan na to nie nabierze. Proszę mi powiedzieć, o co

naprawdę panu chodzi.

Tom zastanowił się chwilę. Przenikliwy, cyniczny błysk w spojrzeniu Dearborna przekonał go, że lepiej mu wyznać prawdę.

–Może czytał pan o zabójstwie w Nowym Meksyku, na płaskowyżu na północ od Abiquiu?

–Owszem.

–To ja znalazłem ofiarę mordercy. Byłem świadkiem jej śmierci.

–Proszę mówić dalej – odezwał się Dearborn obojętnym tonem. Mężczyzna wcisnął mi do ręki notes i kazał obiecać, że oddam go jego córce, Robbie. Staram się

spełnić tę obietnicę. Jest tylko jedna trudność: policja nie zidentyfikowała ofiary, a nawet, o ile się orientuję, dotąd nie znalazła zwłok.

–Czy mężczyzna powiedział panu coś jeszcze, nim umarł?

–Zaraz stracił przytomność – wymijająco odparł Tom.

–A co zawiera jego dziennik?

–Wyłącznie cyfry. Szereg cyfr.

–Co to za cyfry?

–Wyniki badania georadarem.

–No tak, naturalnie, musiał to tak zrobić. Czy mogę spytać, dlaczego pan się tym interesuje, panie

Broadbent?

–Panie Dearborn, złożyłem obietnicę umierającemu. Dotrzymuję obietnic. Dlatego się tym

interesuję.

Harry'ego Dearborna rozbawiła ta odpowiedź.

–Coś mi się zdaje, panie Broadbent, że gdybym był Diogenesem, musiałbym zgasić swoją latarnię. Należy pan do wymierającego gatunku ludzi: jest pan człowiekiem uczciwym. Albo wytrawnym kłamcą.

–Moja żona uważa, że jestem jedynie bardzo uparty. Dearborn cicho westchnął.

–Rzeczywiście śledziłem doniesienia o tym morderstwie niedaleko Abiąuiu. Ciekaw byłem, czy chodzi przypadkiem o mojego znajomego, łowcę dinozaurów. Wiedziałem, że prowadzi tam poszukiwania, krążyły pogłoski, że natknął się na coś naprawdę wyjątkowego. Zdaje się, że spełniły się moje najgorsze

obawy.

–Wie pan, jak się nazywał ten człowiek? Grubas zaczął się wiercić w fotelu, który zaskrzypiał pod jego ciężarem.

–Marston Weathers.

–Co to za jeden?

–Czołowy poszukiwacz dinozaurów w kraju. – Mężczyzna zacisnął ręce. – Przyjaciele nazywali go

Drągal, bo był wysoki i chudy. Proszę mi powiedzieć jedno, panie Broadbent: czy stary Drągal znalazł to,

czego szukał?

Tom się zawahał. Ale uznał, że może zaufać temu człowiekowi.

–Tak. Rozległo się kolejne przeciągłe, smutne westchnienie.

–Biedny Drągal. Umarł tak, jak żył: na złość wszystkim.

–Co może mi pan o nim powiedzieć?

–Bardzo dużo. A w zamian za to, panie Broadbent, opowie mi pan, co znalazł Weathers. Zgoda?

–Zgoda.

14

WYMAN FORD widział kilkaset metrów przed sobą zwężający się koniec Krawędzi Nawahów w miejscu, gdzie płaskowyż przybierał kształt małego ostańca, przypominającego kciuk. Tarcza słoneczna, wisząca nisko na niebie, miała kolor rozgrzanego do czerwoności złota. Ford był wykończony. Teraz zrozumiał, dlaczego kiedyś Indianie udawali się na pustkowie i pościli, czekając na wizje. Dwa dni temu zmniejszył racje żywnościowe o połowę, na śniadanie jadł jedynie kromkę chleba, pokropioną odrobiną oliwy, a na kolację – pół szklanki gotowanej soczewicy i ryżu. Głód wyczyniał dziwne i niesłychane rzeczy z umysłem; Forda ogarnęła euforia i uważał, że może przenosić góry. Dziwiło go, że zwyczajny fizjologiczny stan może być źródłem tak wyjątkowych przeżyć duchowych.

Okrążył ostaniec z piaskowca, szukając miejsca, gdzie mógłby się na niego wdrapać. Widok był niesamowity, ale z góry zobaczy jeszcze więcej. Posuwał się wzdłuż półki skalnej o szerokości nie większej niż metr, wzdłuż urwiska opadającego trzysta metrów w dół, do błękitnych głębin kanionu. Jeszcze nigdy nie zapuścił się tak daleko w krainę gór stołowych i czuł się jak odkrywca, jak John Wesley Powell. To był bez wątpienia jeden z najbardziej odległych zakątków we wszystkich czterdziestu ośmiu stanach.

Wyłonił się zza skały i przystanął zaskoczony i zachwycony. W ścianie urwiska ujrzał maleńką, ale niemal idealnie zachowaną osadę Anasazi – cztery niewielkie domki, wzniesione z kawałków piaskowca spojonych gliną. Bardzo ostrożnie przeszedł obok przepaści – jak, na Boga, wychowywali tutaj dzieci? – i przyklęknął, zaglądając do środka. Mikroskopijna izdebka była pusta, jeśli nie liczyć rozsypanych nadpalonych kolb kukurydzy i kilku skorup. Wąski snop światła wpadał przez otwór w ścianie, tworząc na ziemi jasny prostokąt. W pyle na podłodze były ślady pozostawione przez kogoś, kto miał buty turystyczne z podeszwami w jodełkę. Ford był ciekaw, czy należały do poszukiwacza. Było to wielce prawdopodobne; jeśli ktoś zamierzał dokładnie obejrzeć ten fragment płaskowyżu, nie mógł znaleźć lepszego punktu obserwacyjnego.

Wyprostował się i przeszedł dalej wzdłuż półki skalnej obok ruin, aż natknął się na stary, wykuty w ścianie z piaskowca szlak, prowadzący na szczyt ostańca.

Z góry rozciągał się oszałamiający widok na badlandy Echo. Zdawało się, że ciągną się po same krańce ziemi. Z lewej strony majaczyła olbrzymia Mesa de los Viejos, przypominająca wielkie kamienne schody, prowadzące do podnóża gór Canjilon. Był to jeden z najwspanialszych krajobrazów, jakie kiedykolwiek dane mu było oglądać. Zupełnie jakby Stwórca wysadził tu wszystko w powietrze i wypalił, przemieniając okolice w całkowite nieużytki.

Ford pogrzebał w mapach i wyjął jedną. Spoglądał na nią, a potem w wyobraźni rysował takie same linie na pustkowiu rozciągającym się przed nim. Podzieliwszy teren na kwadraty i ponumerowawszy je,

wyjął lornetkę i zaczął badać pierwszy z nich, ten najdalej na wschód. Skończywszy oglądać pierwszy, skupił się na następnym, a potem na kolejnym. Uważnie lustrował okolice, szukając osobliwej formacji skalnej, jaką widział na monitorze komputera.

Po pierwszych oględzinach wytypował ich zbyt wiele. Podobne formacje często występowały obok siebie, wyrzeźbione w tych samych warstwach kamienia przez identyczne działanie wiatru i wody. Ford coraz bardziej umacniał się w przekonaniu, że jest na dobrym tropie, że *Tyrannosaurus rex* znajduje się gdzieś na terenie badlandów Echo. On musi jedynie zbliżyć się nieco bardziej do niego.

Spędził następny kwadrans, ponownie przyglądając się okolicom, ale chociaż wiele formacji skalnych przypominało tę, której szukał, żadna nie była z nią identyczna. Naturalnie nie można było wykluczyć ewentualności, że patrzy na właściwą formację, ale pod złym kątem, albo że formacja jest ukryta w jednym z głębokich kanionów na końcu skalistego pustkowia. Kiedy tak się rozglądał dookoła, jeden kanion szczególnie zwrócił jego uwagę. Kanion Tyranozaura. Był najdłuższy na płaskowyżu, głęboki i kręty, ciągnął się przez ponad trzydzieści kilometrów przez badlandy Echo, miał setki, a może nawet tysiące bocznych wąwozów i odgałęzień. Znalazł wielki bazaltowy monolit, znaczący jego początek, i spojrzał przez lornetkę na wijący się parów. Kanion kończył się w odległej dolinie, zablokowanej przez dziwne skały w kształcie kopuł. Niektóre z nich do złudzenia przypominały obraz z komputera – na górze szersze, niżej węższe. Wyglądały jak tłum łysych mężczyzn, stykających się głowami.

Ford wyciągnął rękę przed siebie i zmierzył odległość słońca od horyzontu. Uznał, że jest mniej więcej czwarta. Ponieważ był czerwiec, słońce zajdzie dopiero dobrze po ósmej. Jeśli się pośpieszy, dotrze przed zmrokiem do skupiska piaskowych kopuł. Wszystko wskazywało na to, że w dole nie ma wody, ale niedawno napełnił obie manierki wodą, która po niedawnych ulewnych deszczach zebrała się w misie eworsyjnej. Miał więc w zapasie cztery litry. Rozbije obóz gdzieś w tym zdumiewającym kanionie i jutro skoro świt będzie kontynuował poszukiwania. W niedzielę. W dzień Pański.

Odpędził tę myśl.

Ford po raz ostatni spojrzał przez lornetkę na głęboki, tajemniczy kanion. Poczuł ściskanie w dołku. Wiedział, że tam, w Kanionie Tyranozaura, jest *Tyrannosaurus rex.*

Uśmiechnął się.

HARRY DEARBORN odetchnął głęboko, jego twarz spowijał cień.

–Mój Boże, już wpół do piątej. Napije się pan herbaty?

Jeśli nie sprawi to panu zbyt wielkiego kłopotu – powiedział Tom, zastanawiając się, jak ten

niezwykle gruby mężczyzna podniesie się z fotela, nie mówiąc już o zaparzeniu herbaty.

Skądże znowu. – Dearborn lekko przesunął nogę i nacisnął małą wypukłość w podłodze; po chwili z głębi domu wyłonił się służący.

–Podwieczorek. Mężczyzna zniknął.

–O czym to mówiliśmy? Ach, tak, o córce Sterna Weathersa. Ma na imię Roberta.

–Robbie.

–Ojciec nazwał ją Robbie. Niestety, nie mieszkali razem. Kiedy ostatnio o niej słyszałem, próbowała robić karierę jako malarka gdzieś w Teksasie, chyba w Marfie. Niedaleko Wielkiego Zakola. To mała mieścina, z pewnością bez trudu ją pan tam odnajdzie.

–Jak poznał pan Weathersa? Czy szukał dla pana dinozaurów? Harry stuknął grubym palcem w poręcz fotela.

–Thomasie, nikt niczego dla mnie nie szuka, chociaż mogę przekazywać sugestie niektórych swoich klientów. Nie mam nic do czynienia z poszukiwaczami skamieniałości. Domagam się od nich jedynie potwierdzenia na piśmie, że wydobyto je na terenie prywatnym. – Tutaj Dearborn urwał na wystarczająco długo, by dolna część jego twarzy rozciągnęła się w ironicznym uśmiechu. – Większość poszukiwaczy skamielin skupia się na drobnicy. Nazywam ich poszukiwaczami paproci i ryb. Należy do nich nasz pan Beezon. Badziewie w hurtowych ilościach. Od czasu do czasu natkną się na coś większego i wtedy przychodzą do mnie. Mam klientów, którzy wiedzą, czego chcą: to przedsiębiorcy, zagraniczne muzea, kolekcjonerzy. Kojarzę kupujących i

sprzedających, pobierając dwadzieścia procent prowizji. Nigdy nie oglądam ani nie dotykam towaru. Nie pracuję w terenie.

Tom z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

Pojawił się służący z ogromną srebrną tacą, na której stał imbryk z herbatą, przykryty pikowanym ocieplaczem, talerze pełne babeczek, ptysiów z kremem, małych ekierek i miniaturowych brioszek, pojemniki marmolady, masła, gęstej śmietany i miodu. Postawił tacę na stole obok Dearborna i zniknął równie cicho, jak się pojawił.

–Wspaniale! – Dearborn ściągnął ocieplacz z imbryka, napełnił dwie porcelanowe filiżanki, dodał mleko i cukier.

–Pańska herbata. – Wręczył Tomowi filiżankę i spodeczek. Tom wypił łyk.

Domagam się, by przyrządzano mi podwieczorek zgodnie z angielską tradycją, a nie tak, jak to robią ci barbarzyńcy Amerykanie. – Zachichotał i duszkiem opróżnił swoją filiżankę, po czym ją odstawił. Następnie sięgnął pulchną dłonią po parującą brioszkę, rozłamał ją, chlapnął do środka gęstej śmietany i wsadził słodką bułeczkę do ust. Potem wziął gorący racuszek, nałożył na niego porcyjkę masła i zaczekał, aż się rozpuści, nim go Zjadł.

Proszę się częstować – powiedział z pełnymi ustami.

Tom wziął ekierkę i ugryzł ją. Gęsta bita śmietana trysnęła z drugiego końca i ubrudziła mu dłoń. Zjadł ciastko, zlizał krem i wytarł rękę.

Dearborn cmoknął, przesunął po wargach serwetką i mówił dalej.

–Stern Weathers nie zaprzątał sobie głowy paprociami i rybami. Szukał niezwykłych okazów.

Poświęcił całe życie, polując na coś wyjątkowego. Wszyscy sławni łowcy dinozaurów są tacy sami. Nie

robią tego dla pieniędzy. Mają obsesję. Chodzi im o emocje związane z poszukiwaniami, dreszczyk, kiedy

natrafią na coś nadzwyczajnego, pragnienie znalezienia czegoś niezwykle rzadkiego i cennego. To stanowi

ich główny bodziec działania.

Znów nalał sobie herbaty, uniósł filiżankę i spodeczek do ust, po czym jednym haustem opróżnił naczynko do połowy.

–Pośredniczyłem w sprzedaży znalezisk Sterna, ale poza tym nie wtrącałem się do tego, co robił. Rzadko mi zdradzał, czym jest zajęty i gdzie prowadzi poszukiwania. Jednak tym razem rozeszła się wieść, że jest na tropie czegoś wielkiego w górach stołowych. Gromadząc informacje, rozmawiał ze zbyt wieloma osobami – geofizykami, kosmochemikami, kustoszami działów paleontologicznych różnych muzeów. To było bardzo nierozważne z jego strony. Zbyt dobrze go znano. Plotka goniła plotkę. Każdy wiedział, w jaki sposób pracuje Weathers – jego georadar domowej roboty i notes przeszły do legendy – więc wcale się nie dziwię, że ktoś ruszył za nim. Na dodatek płaskowyże należą do państwa, są administrowane przez Biuro Zarządzania Gruntami Publicznymi. Nie powinien tam szukać. Zabranie czegokolwiek z terenów państwowych bez odpowiedniego zezwolenia władz federalnych jest traktowane jak kradzież. A władze wydają zezwolenia tylko kilku wybranym muzeom i uniwersytetom.

–Dlaczego tak ryzykował?

–Nie wiąże się z tym zbytnie ryzyko. Nie on jeden tak robi. Większość terenów administrowanych przez Biuro Zarządzania Gruntami Publicznymi znajduje się na takich pustkowiach, że prawdopodobieństwo przyłapania na gorącym uczynku jest znikome.

–Z jakimi znaleziskami się do pana zgłaszał? Dearborn się uśmiechnął.

–Jestem dyskretny. Powiem tylko, że nigdy nie zawracał mi głowy czymś miernej wartości.

Mówiono, że potrafił wywęszyć martwe dinozaury, chociaż wyginęły miliony lat temu.

Westchnął smutno, po czym włożył do ust babeczkę posmarowaną marmoladą. Pogryzł ją,

przełknął i mówił dalej:

–Miał trudności nie ze znalezieniem dinozaura, tylko z tym, co z nim zrobić, kiedy się już na niego natknął. Wiecznie popadał w tarapaty finansowe. Próbowałem mu pomagać, ale zawsze ściągał sobie na głowę kłopoty. Był człowiekiem trudnym, drażliwym, łatwo go było urazić. Potrafił znaleźć dinozaura, którego mógłby sprzedać za pół miliona dolarów, ale samo wydobycie skamieliny z ziemi i przetransportowanie jej do laboratorium kosztowało go sto patyków. Potrzeba około trzydziestu tysięcy roboczogodzin, by oczyścić i przygotować dużego dinozaura. Weathers zbytnio się cackał ze swoimi dinozaurami i w rezultacie zawsze był bankrutem. Ale z pewnością potrafił je znajdywać.

–Nie domyśla się pan, kto go mógł zamordować?

–Nie. Ale łatwo sobie wyobrazić, co się wydarzyło. Pomniejsi poszukiwacze postanowili go

śledzić. Jak powiedziałem, rozeszła się wieść o jego wyprawie. Zadawał zbyt wiele pytań zbyt wielu

geologom, szczególnie tym, którzy badają wielkie wymieranie na granicy kredy i trzeciorzędu. Wszyscy

wiedzieli, że Stern zamierza wyruszyć na poszukiwania, wywęszywszy coś dużego. Według mnie,

zamordował go ktoś, kto chciał sobie przywłaszczyć jego znalezisko.

Tom się pochylił.

–Ma pan kogoś konkretnego na myśli? Dearborn pokręcił głową, wziął ekierkę i połknął ją.

–Znam wszystkich, którzy się tym zajmują. Poszukiwacze dinozaurów, działający na czarnym rynku, to ludzie pozbawieni skrupułów. Na spotkaniach walczą na pięści, jeden drugiemu rabuje kamieniołomy, kłamią, oszukują, kradną. Ale morderstwo? Nie. Przypuszczam, że zabójca to ktoś nowy albo może wynajęty, kto zbytnio przejął się swoim zadaniem.

Dopił herbatę i nalał sobie świeżej.

–A te plotki, o których pan wspomniał?

–Od paru lat Weathers próbował znaleźć w Nowym Meksyku warstwę piaskowca, znaną jako

formacja Hell Creek, czyli Piekielny Potok.

–Hell Creek?

–Prawie wszystkie znane skamieniałości *Tyrannosaurus rex* pochodzą z tej ogromnej formacji osadowej, spotykanej na powierzchni ziemi w różnych miejscach w Górach Skalistych, ale nigdy nie natknięto się na nią w Nowym Meksyku. Warstwa ta została po raz pierwszy odkryta przez paleontologa Barnuma Browna w Hell Creek w Montanie około stu lat temu, kiedy znalazł on pierwszego na świecie tyranozaura *Tyrannosaurus rex.* Ale Weathers szukał czegoś więcej niż tylko formacji Hell Creek. Miał obsesję na punkcie samej granicy kredy i trzeciorzędu.

–Granicy kredy i trzeciorzędu?

–Tak jest. Formację Hell Creek przykrywa warstwa z granicy kredy i trzeciorzędu. Ma grubość zaledwie centymetra i stanowi pozostałość po wydarzeniu, które doprowadziło do zagłady dinozaurów –

upadku asteroidy. W niewielu miejscach na świecie jest zaburzona kolejność skał na granicy kredy i trzeciorzędu. Według mnie, Weathers udał się na płaskowyż w pobliżu Abiquiu, by szukać warstwy na granicy kredy i trzeciorzędu.

–Dlaczego szukał akurat warstwy na granicy kredy i trzeciorzędu?

–Nie wiem. Ogólnie rzecz biorąc, warstwa na granicy kredy i trzeciorzędu to chyba najciekawsza odkryta kiedykolwiek warstwa skalna. Zawiera produkty upadku asteroidy oraz popiół po spalonych lasach porastających ziemię. W kotlinie Raton w Kolorado są wyjątkowo wyraźne warstwy skalne z granicy kredy i trzeciorzędu. Wiele się można z nich dowiedzieć. Asteroida upadła w miejscu, gdzie teraz jest półwysep Jukatan w Meksyku, pod takim kątem, że szczątki stopionych skał pokryły znaczną część Ameryki Północnej. Asteroidzie nadano nazwę Chicxulub, co w języku Majów znaczy „czarci ogon". Urocze, co?

Zachichotał i skorzystał z okazji, by zjeść kolejnego racuszka.

–Asteroida Chicxulub zderzyła się z Ziemią, lecąc z prędkością czterdziestu machów. Była tak

wielka, że kiedy jej czoło dotknęło powierzchni Ziemi, przeciwny koniec znajdował się na większej

wysokości niż Mount Everest. Jej upadek spowodował odparowanie znacznej części skorupy ziemskiej,

która utworzyła ognisty pióropusz popiołów o ponadstukilometrowej szerokości. Przebił się on przez

atmosferę ziemską i otoczył cały glob. Część materiału, nim zawróciła na naszą planetę z prędkością ponad

czterdziestu tysięcy kilometrów na godzinę, pokonała połowę drogi z Ziemi na Księżyc. Opadające popioły

rozgrzały atmosferę do takiej temperatury, że doszło do wybuchów potężnych pożarów, które ogarnęły

kontynenty, produkując sto miliardów ton dwutlenku węgla, sto miliardów ton metanu i siedemdziesiąt

miliardów ton sadzy. Dym i pył były tak gęste, że na Ziemi zapanowały takie ciemności jak w

najmroczniejszej jaskini, całkowicie zaniknęło zjawisko fotosyntezy, łańcuchy pokarmowe uległy

przerwaniu. Nastało coś w rodzaju zimy jądrowej, Ziemia przez wiele miesięcy była skuta lodem; zaraz

potem wystąpił efekt cieplarniany, spowodowany przez nagłe uwolnienie dwutlenku węgla i metanu.

Minęło sto trzydzieści tysięcy lat, nim temperatura atmosfery ziemskiej wróciła do normy.

Dearborn cmoknął i dużym, różowym językiem zlizał z warg odrobinę kwaśnej śmietany.

–Wszystko to pięknie widać w skałach na granicy kredy i trzeciorzędu w kotlinie Raton. Na dole znajduje się warstwa materiałów powstałych w wyniku samej impakcji. Warstwa ta jest szarawa i zawiera dużo rzadkiego pierwiastka, irydu, występującego w meteorytach. Pod mikroskopem widać w niej

mnóstwo malutkich sferolitów, zastygniętych kropli roztopionej skały. Nad nią rozciąga się druga warstwa, czarna jak smoła, którą pewien geolog nazwał „popiołami świata z epoki kredy". Geologowie są największymi poetami wśród naukowców, nie uważa pan?

–Nadal nie rozumiem, dlaczego Weathers interesował się warstwą na granicy kredy i trzeciorzędu, jeśli chodziło mu jedynie o skamieliny dinozaurów.

–To zagadka. Może wykorzystywał tę warstwę do lokalizowania skamieniałości tyranozaurów

Tyrannosaurus rexl **Tyranozaury panowały na Ziemi pod koniec kredy, tuż nim wyginęły.**

–Ile wart jest dziś przyzwoity *Tyrannosaurus rex.*

–Ktoś kiedyś powiedział, że z osób, które kiedykolwiek znalazły tego dinozaura, nie udałoby się stworzyć drużyny baseballowej, taka jest ich garstka. To wyjątki wśród wyjątków. Mam kilkunastu klientów, czekających na kolejny okaz tego tyranozaura, jaki się pojawi na prywatnym rynku. Przypuszczam, że niektórzy z nich gotowi są zapłacić sto milionów albo i więcej. Tom gwizdnął.

Dearborn odstawił filiżankę i się zamyślił.

–Mam dziwne przeczucie… – Tak?

–Myślę, że Stern Weathers szukał czegoś więcej niż tylko tyranozaura. Chodziło mu o coś, co ma związek z samą granicą kredy i trzeciorzędu. Ale o co dokładnie, nie wiem…

Urwał i nalał sobie kolejną filiżankę herbaty.

–Biedny Stern. I biedna Robbie. Nie zazdroszczę panu, że będzie ją musiał pan o tym

poinformować.

Opróżnił filiżankę, zjadł ostatnią babeczkę, otarł twarz i palce serwetką.

–Thomasie, teraz kolej na pana. Proszę mi powiedzieć, co znalazł Stern Weathers. Naturalnie może

pan liczyć na moją dyskrecję. – Oczy mu błyszczały.

Tom wyjął z kieszeni wydruk rysunku i rozłożył go na stoliku kawowym.

Harry Dearborn wolno uniósł swoje potężne cielsko z fotela. Zamurowało go ze zdumienia.

MADDOX STAŁ nad kobietą leżącą na materacu, jej blond włosy, rozrzucone na poduszce, wyglądały jak aureola. Przed chwilą zaczęła się poruszać, wydała jęk i w końcu uniosła powieki. Nic nie mówił, patrząc, jak w jej oczach najpierw pojawia się zdziwienie, a potem strach, kiedy wszystko sobie przypomniała. Uniósł pistolet, żeby go zobaczyła.

–Żadnych sztuczek. Możesz jedynie usiąść.

Usiadła, krzywiąc się, kajdanki na jej rękach i nogach zadzwoniły. Zatoczył ręką koło.

–A więc… jak ci się tu podoba? Żadnej odpowiedzi.

–Ciężko pracowałem, żeby niczego ci tu nie brakowało. Szpulę po kablu, służącą za stolik, nakrył obrusem, postawił kilka świeżych kwiatów w słoiku po dżemie, powiesił nawet podpisaną grafikę z serii limitowanej, zabraną z domku. Lampa naftowa rzucała żółte światło, w pomieszczeniu panował przyjemny chłód w porównaniu z popołudniowym skwarem na dworze. Nie dokuczał tu też zaduch – żadnych kopalnianych wyziewów czy trujących gazów.

–Kiedy wróci Tom? – spytał Maddox.

Żadnej odpowiedzi. Blondynka odwróciła wzrok. Zaczynało go to wkurzać.

–Spójrz na mnie. Zignorowała go.

–Powiedziałem: spójrz na mnie. – Uniósł pistolet.

Wolno, bezczelnie odwróciła głowę i spojrzała na niego. W jej zielonych oczach płonęła nienawiść.

–Podoba ci się tu?

Nic nie powiedziała. Maddoksa trochę irytował wyraz jej twarzy. Nie wyglądała na przestraszoną. Ale bała się, wiedział to. Była przerażona. Z całą pewnością. I słusznie. Wstał i rzucił jej zniewalający uśmiech, wyciągając ręce.

–Tak, dobrze się przyjrzyj. Nie jestem taki najgorszy, co? Żadnej

reakcji.

–Wiesz, że będziesz miała okazję bliżej mnie poznać? Zacznę od pokazania ci mojego tatuażu na plecach. Domyślasz się, co przedstawia?

Żadnej reakcji.

–Jego zrobienie zajęło dwa tygodnie, cztery godziny dziennie przez czternaście dni. Wydziergał mi

go kumpel z więzienia, prawdziwy artysta. Wiesz, dlaczego ci to mówię?

Czekał, ale nic nie powiedziała.

–Bo dzięki temu tatuażowi jestem tu dziś z tobą. A teraz słuchaj uważnie. Zależy mi na tym

notesie, który ma twój mąż. Kiedy mi go odda, wypuszczę cię, jasne? Ale najpierw muszę się z nim

skontaktować. Ma telefon komórkowy? Daj mi numer, a za kilka godzin już cię tu nie będzie. W końcu przemówiła.

–Poszukaj w książce telefonicznej.

–Aj aj aj, dlaczego jesteś taka złośliwa? Milczała. Może wciąż sobie wyobrażała, że ma coś do powiedzenia. Będzie ją musiał wyprowadzić

z błędu. Złamie ją jak młodą klacz.

–Widzisz te obręcze na ścianie? Są przygotowane dla ciebie, jeśli się nie domyśliłaś. Nie odwróciła głowy.

–Dobrze im się przypatrz.

–Nie.

–Wstań.

Nie poruszyła się. Skierował lufę nieco w lewo od kostki nogi kobiety i wystrzelił. Huk był ogłuszający w małym,

zamkniętym pomieszczeniu i kobieta podskoczyła jak łania. Kula

przeleciała przez materac, kłaczki wypełniacza powoli opadły.

–Cholera. Spudłowałem. Znów wycelował.

–Będziesz utykała do końca życia. Wstań, mówię. Wstała, kajdanki zadzwoniły.

–Przejdź tam, gdzie w ścianie są osadzone obręcze. Zdejmiesz kajdanki i wsuniesz nogi i ręce w

obręcze.

Zobaczył strach malujący się na tej jej aroganckiej buźce, chociaż starała się go ukryć. Wycelował broń.

–Może nawet zginiesz, jeśli kula draśnie tętnicę. Żadnej odpowiedzi.

–Zrobisz to, co ci mówię, czy mam cię postrzelić w nogę? Ostrzegam po raz ostatni. I nie żartuję. Mówił tak poważnym tonem, że dotarło to do niej.

–Dobrze – powiedziała zdławionym głosem. Z oczu płynęły jej łzy.

–Mądra dziewczynka. Powiem ci, jak masz to zrobić. Ten sam klucz pasuje do kajdanek i do obręczy. Najpierw zdejmij kajdanki z nóg. Potem z prawej ręki. Sam zdejmę ci kajdanki z lewej ręki. – Rzucił jej klucz. Pochyliła się i podniosła go, niezgrabnie ściągnęła sobie kajdanki z nóg, ściśle według jego instrukcji.

–Teraz rzuć klucz. Pochylił się i go podniósł.

–Zdejmę ci kajdanki z lewej ręki. – Podszedł do stolika, położył na nim broń, a potem przykuł jej lewą rękę. Na koniec się upewnił, czy obręcze są zatrzaśnięte jak należy.

Cofnął się i wziął pistolet ze stolika.

–Widzisz to? – Pokazał swoje udo. – Wiesz, że mnie zraniłaś?

–Wielka szkoda, że nie trafiłam cię jakieś dziesięć centymetrów wyżej i bardziej pośrodku -powiedziała Sally.

Maddox roześmiał się szorstko.

–Widzę, że prawdziwy z ciebie wesołek. Im szybciej to załatwisz, tym szybciej się to skończy.

Twój mąż, Tommy, ma notes. Muszę zdobyć ten notes. – Znów wycelował z glocka w jej nogę. – Na dobry

początek daj mi numer jego komórki.

Podała mu numer telefonu komórkowego.

–Teraz czeka cię nagroda. Uśmiechnął się, cofnął o krok i zaczął rozpinać koszulę.

–Pokażę ci mój tatuaż.

W CZYTELNI Amsterdam Club jak zwykle panowała cisza. Słychać było jedynie delikatny szelest papieru gazetowego i pobrzękiwanie lodu w szklaneczkach. Ściany wyłożone dębową boazerią, ciemne obrazy i ciężkie meble sprawiały, że panowała tu ponadczasowa elegancja, dodatkowo podkreślana przez zapach starych książek i skórzanej tapicerki.

W jednym kącie w głębokim fotelu siedział lain Corvus, sącząc martini, i przeglądał ostatni numer „Scientific American". Przewracał strony, właściwie nie czytając, w końcu zniecierpliwiony rzucił czasopismo na stolik. W sobotę o siódmej wieczorem czytelnia zaczynała pustoszeć, członkowie klubu udawali się na kolację. Corvus nie miał ochoty ani najedzenie, ani na rozmowę. Upłynęły siedemdziesiąt dwie godziny, odkąd Maddox ostatni raz do niego zadzwonił. Corvus nie miał pojęcia, gdzie mężczyzna jest ani co robi, nie mógł się z nim w żaden bezpieczny sposób skontaktować.

Usiadł inaczej w fotelu, skrzyżował nogi i pociągnął duży łyk martini. Poczuł miłe ciepło, które powoli dotarło do każdej komórki jego ciała, ale nie sprawiło mu to przyjemności. Tyle zależało od Maddoksa; wszystko zależało od Maddoksa. Jego, Corvusa, kariera była zagrożona, a on był na łasce byłego więźnia.

Melodie pracowała do późna w laboratorium mineralogii, przeprowadzając kolejne analizy próbki. Udowodniła, że jest nadzwyczajna, osiągnęła znacznie więcej, niż się spodziewał. Prawdę mówiąc, tak świetnie się spisała, że do jego serca wkradł się lekki niepokój; może się okaże, że trudniej mu będzie podzielić się z nią sławą, niż początkowo zakładał. Może popełnił błąd, zlecając tak ważne i mające kapitalne znaczenie analizy tylko jej, nie angażując się w wystarczającym stopniu, by móc przypisać sobie całość zasług.

Obiecała, że zadzwoni do niego o jedenastej z najnowszymi wynikami. Spojrzał na zegarek: jeszcze cztery godziny.

To, co już odkryła, w zupełności wystarczało, a nawet było tego aż nadto, by mógł przedstawić swoje osiągnięcie na spotkaniu w sprawie dożywotniego etatu. Prawdziwy dar niebios. Nie będą mu mogli odmówić stałego zatrudnienia, bo wtedy staną się

świadkami, jak najwspanialszy kiedykolwiek odkryty okaz dinozaura trafia razem z nim do innego muzeum. Bez względu na to, jak bardzo go nie lubili, bez względu na to, za jak skromną uważali listę jego publikacji, nie wypuszczą tego okazu z rąk. Wyjątkowo mu się poszczęściło. Chociaż nie, pomyślał Corvus, to wcale nie tak. Ktoś kiedyś powiedział, że szczęście to solidne przygotowanie plus sprzyjające okoliczności. On dobrze się przygotował. Ponad sześć miesięcy temu dotarły do niego plotki, że Marston Weathers jest na tropie czegoś wyjątkowego. Wiedział, że stary gaduła był na północy Nowego Meksyku, mając nadzieję nielegalnie wywieźć dinozaura z terenów

administrowanych przez Biuro Zarządzania Gruntami Publicznymi, czyli stanowiących własność państwową. Corvus się zorientował, że nadarza się wyjątkowa okazja: mógł sobie przywłaszczyć dinozaura i uratować go dla nauki. Wyświadczy społeczeństwu wielką przysługę – a przy okazji sam też skorzysta.

Corvus mocno się zaniepokoił, kiedy się dowiedział, że Maddox zabił Weathersa, ale kiedy minął początkowy szok, uznał, że była to w pełni słuszna decyzja. Ogromnie upraszczała całą sprawę. W ten sposób pozbyli się człowieka, który ukradł więcej bezcennych okazów naukowych niż ktokolwiek inny wśród żywych czy zmarłych.

Solidne przygotowanie. Ten gość Maddox nie spadł mu z nieba. Maddox skontaktował się z nim, bo Coryus był światowym autorytetem w dziedzinie tyranozaurów. Kiedy Corvus zrozumiał, że dzięki Marstonowi Weathersowi może dostać w swoje ręce pierwszorzędny okaz dinozaura, uświadomił sobie, jak użyteczny mógłby się okazać Maddox… gdyby nie siedział w więzieniu. Corvus dużo ryzykował, by go wyciągnąć z paki, ale pomógł mu fakt, że Maddox został skazany za nieumyślne spowodowanie śmierci, a nie zabójstwo z premedytacją. Miał cholernie dobrego adwokata. Maddox dobrze się sprawował za kratkami. No i na dodatek, kiedy Maddox po raz pierwszy starał się o zwolnienie warunkowe, jego ofiara nie miała żadnych krewnych ani przyjaciół, którzy by się stawili podczas rozpatrywania prośby Maddoksa i opowiedzieli, ile wycierpieli. Podczas rozprawy Corvus osobiście zabrał głos, poręczył za Maddoksa i zaproponował mu zatrudnienie. Udało się i faceta zwolniono warunkowo.

Z czasem Corvus uświadomił sobie, że Maddox jest człowiekiem o niezwykłych cechach charakteru, wyjątkowo charyzmatycznym i in

teligentnym, wygadanym, przystojnym, dobrze się prezentującym. Gdyby jego losy inaczej się potoczyły, sam mógłby zostać całkiem przyzwoitym naukowcem.

Solidne przygotowanie plus sprzyjające okoliczności. Jak do tej pory Corvus idealnie wszystko rozegrał. Naprawdę powinien się uspokoić i zaufać Maddoksowi, że wywiąże się ze swojego zadania i zdobędzie notes. A notes zaprowadzi go prosto do skamieniałości. Stanowił klucz do wszystkiego.

Spojrzał zniecierpliwiony na zegarek, dopił martini i znów wziął do ręki „Scientific American". Wrócił mu spokój ducha.

W SŁABYM świetle lampy naftowej Sally Broadbent obserwowała, jak mężczyzna zdejmuje koszulę. Czuła zimną stal na przegubach rąk i wokół kostek u nóg; czuła wilgoć unoszącą się w powietrzu, słyszała, jak gdzieś kapie woda. Znajdowali się chyba w jakiejś jaskini albo starej kopalni. Czuła w ustach metaliczny smak, bolała ją głowa. Miała wrażenie, że wszystko to spotkało kogoś innego, nie ją.

Sally nie wierzyła, że mężczyzna ją wypuści, kiedy dostanie od Toma notes. Zabije ją – widziała to w jego oczach, świadczyła o tym beztroska, z jaką pokazywał swoją twarz i ujawniał informacje o sobie.

–Ej, co o tym sądzisz?

Stał przed nią bez koszuli, uśmiechając się, wolno napinając mięśnie klatki piersiowej i bicepsy.

–Gotowa?

Wyciągnął ręce przed siebie i pochylił się. A potem błyskawicznie odwrócił się plecami do niej.

Azją zatkało. Jego plecy pokrywał tatuaż przedstawiający nacierającego tyranozaura z uniesionymi szponami, z rozdziawioną paszczą. Wyglądał tak realistycznie, że niemal się wydawało, iż zeskoczy z jego pleców. Kiedy Maddox napiął mięśnie, dinozaur naprawdę się poruszył.

–Dobre, co?

Gapiła się w milczeniu.

–Coś powiedziałem. – Wciąż stał odwrócony tyłem, napinał jedną grupę mięśni po drugiej,

sprawiając, że *Tyrannosaurus rex* poruszył najpierw jedną łapą, potem drugą, a na koniec głową.

–Widzę.

–Kiedy byłem w więzieniu, doszedłem do wniosku, że chcę mieć tatuaż. To taka tradycja,

rozumiesz, co mam na myśli? A także konieczność. Świadczy, kim jesteś i z kim trzymasz. Faceci bez

tatuaży zwykle kończą jako czyiś niewolnicy. Ale nie chciałem sobie wydziergać trupiej główki, to takie

banalne. Chciałem mieć tatuaż, który by coś o mnie mówił. Tatuaż, który informowałby wszystkich, że nie

zamierzam być niczyim niewolnikiem, że jestem niezależny, że z nikim nie muszę się bratać. Dlatego

zdecydowałem się na tyranozaura. Na Ziemi nigdy nie żyło stworzenie bardziej od niego niebezpieczne.

Ale potem musiałem znaleźć odpowiedni rysunek. Gdybym oddał się w ręce jakiegoś półgłówka,

skończyłoby się na tym, że paradowałbym z Godzilla na plecach albo z kretyńskim wyobrażeniem jakiegoś

więźnia o tym, jak wyglądał *Tyrannosaurus rex.* A chciałem, żeby mój tyranozaur był jak prawdziwy.

Żeby jego podobizna zgadzała się z najnowszymi ustaleniami naukowców.

Naprężył muskuły, aż mięśnie na plecach groteskowo nabrzmiały, sprawiając wrażenie, jakby *Tyrannosaurus rex* otwierał i zamykał paszczę.

–Więc napisałem do światowej sławy znawcy tyranozaurów. Naturalnie nie odpowiedział na moje

listy. Czemu ktoś taki miałby korespondować z mordercą siedzącym w Pelican Bay?

Zachichotał cicho i znów napiął muskuły.

–Dobrze się przypatrz, Sally. Nigdzie nie zobaczysz wierniejszej podobizny tyranozaura. W żadnej

książce i w żadnym muzeum. Uwzględnia najnowsze ustalenia nauki.

Sally głośno przełknęła ślinę.

–Ale po roku milczenia ten znawca dinozaurów niespodziewanie mi odpisał. Wymieniliśmy wiele

listów. Przysłał mi wszystkie najnowsze informacje, nawet materiały nigdzie wcześniej niepublikowane,

ba, własnoręcznie wykonane rysunki. Zaangażowałem prawdziwego eksperta od tatuażu. Kiedy

***Tyrannosaurus rex* się zmaterializował, zawsze, kiedy miałem jakieś pytanie, mój spec od dinozaurów**

udzielał mi odpowiedzi. Zawsze miał dla mnie czas. Naprawdę się w to zaangażował. Dokładał starań,

żeby ten *Tyrannosaurus rex* był jak żywy.

Napiął kolejną grupę mięśni.

–Zostaliśmy przyjaciółmi, a nawet więcej: niemal braćmi. I wiesz, co zrobił potem?

Sally z trudem udało się zapytać: – Co?

–Wyciągnął mnie z paki. Odsiadywałem wyrok za nieumyślne spowodowanie śmierci, ale poręczył za mnie podczas rozpatrywania wniosku o przedterminowe zwolnienie, dał mi pieniądze i pracę. Więc kiedy poprosił mnie o przysługę, nie mogłem mu odmówić. Wiesz, co to za przysługa?

–Nie.

–Zdobycie notesu.

Znów głośno przełknęła ślinę, walcząc z kolejną falą strachu. Nigdy by jej tego wszystkiego nie powiedział, gdyby zamierzał ją wypuścić.

Przestał napinać mięśnie, odwrócił się, wziął koszulę i włożył ją.

–Rozumiesz już, dlaczego zadaję sobie tyle trudu? Muszę teraz zadzwonić. Niedługo wrócę.

Odwrócił się i wyszedł z jej małej więziennej celi.

19

DOJEŻDŻAJĄC SAMOCHODEM do Tucson, Tom znów włączył telefon komórkowy i stwierdził, że już jest zasięg. Spojrzał na zegarek. Wpół do szóstej. Nie wiedział, że tak długo zasiedział się u Dearborna. Musi się pośpieszyć, żeby zdążyć na lot o szóstej trzydzieści.

Wykręcił numer domowy, żeby porozmawiać z Sally. Po kilku dzwonkach włączyła się automatyczna sekretarka. „Cześć, tu Tom i Sally. Tom wyjechał służbowo, a ja niespodziewanie musiałam opuścić miasto, więc nie będziemy mogli od razu oddzwonić. Przepraszam rodziców dzieci za odwołane lekcje. Skontaktuję się ze wszystkimi po powrocie. Proszę o zostawienie wiadomości. Dziękuję".

Rozległ się sygnał i Tom się rozłączył, zdumiony i dziwnie zaniepokojony. Co to za historia z tym pilnym wyjazdem z miasta? Dlaczego nie zadzwoniła do niego? Może dzwoniła, ale w domu Dearborna nie było zasięgu. Szybko sprawdził pocztę głosową, nie było jednak żadnych nieodebranych wiadomości.

Coraz bardziej zaniepokojony, znów wykręcił numer domowy i ponownie wysłuchał komunikatu. To nie był jej normalny ton głosu. Zjechał na pobocze i znowu wybrał numer, tym razem bardzo uważnie słuchając. Musiało się stać coś okropnego. Tom poczuł, jak serce wali mu w piersiach. Z piskiem opon wjechał na szosę międzystanową. Dodając gazu, zadzwonił na policję do Santa Fe i poprosił z porucznikiem Willerem. Dwa razy go przełączano, nim w końcu rozległ się znajomy nijaki głos.

–Mówi Tom Broadbent.

–Słucham.

–Wyjechałem z miasta i właśnie zadzwoniłem do domu. Coś się musiało stać. Moja żona powinna być w domu, ale jej nie ma, nagrała na automatycznej sekretarce wiadomość, która pozbawiona jest sensu. Uważam, że podyktowano jej ten tekst i zmuszono ją do jego nagrania. Coś się tam stało.

Po chwili milczenia Willer powiedział:

–Pojadę tam i się rozejrzę.

–Chcę, żeby zrobił pan coś więcej. Chcę, żeby wyprut pan sobie żyły i ją odnalazł. Podejrzewa pan, że została porwana? Tom się zawahał.

–Nie wiem. Milczenie.

–Czy jeszcze o czymś powinniśmy wiedzieć?

–Powiedziałem panu wszystko, co wiem. Proszę jak najszybciej pojechać do naszego domu.

–Osobiście się tym zajmę. Czy wolno nam się włamać, jeśli drzwi będą zamknięte?

–Naturalnie.

–Kiedy pan wróci?

–Samolot z Tucson ląduje o wpół do ósmej.

–Proszę mi podać numer swojej komórki. Zadzwonię z pana domu.

Tom podyktował mu numer telefonu komórkowego i rozłączył się. Ogarnęło go uczucie bezsilności

i pretensji do siebie. Jaki był głupi, że zostawił Sally samą!

Dodał gazu, naciskając pedał do dechy, mknął z prędkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Za nic nie może się spóźnić na ten lot.

Piętnaście minut później zadzwoniła jego komórka.

–Czy rozmawiam z Tomem Broadbentem? To nie był Willer.

–Przepraszam, ale czekam na ważny…

–Zamknij się, Tommy, i słuchaj.

–Kim, do cholery…

–Powiedziałem: zamknij się. Cisza w słuchawce.

–Mam twoją Sally. Jest bezpieczna… na razie. Zależy mi tylko na notesie. Kapujesz? Powiedz jedynie: tak albo nie.

Tom z taką siłą ścisnął aparat, jakby chciał go zmiażdżyć.

–Tak – udało mu się w końcu wydusić.

–Kiedy dostanę notes, oddam ci Sally.

–Słuchaj, jeśli choćby…

–Nie powtórzę tego drugi raz. Zamknij gębę. Tom słyszał w słuchawce głośny oddech mężczyzny.

–Gdzie jesteś? – zapytał nieznajomy.

–W Arizonie…

–Kiedy wrócisz?

–O wpół do ósmej. Posłuchaj…

–Nie, to ty mnie posłuchaj. Bardzo uważnie. Możesz to zrobić? – Tak.

–Po wylądowaniu wsiądź do samochodu i pojedź do Abiąuiu. Przejedź przez miasto i skręć w szosę numer osiemdziesiąt cztery na północ od zapory. Nigdzie się nie zatrzymuj. Powinieneś tam być koło dziewiątej. Masz przy sobie notes?

–Tak.

–To dobrze. Chcę, żebyś wsadził notes do zamykanej torby plastikowej i wypełnił ją śmieciami. Śmieci muszą być żółte. Zrozumiałeś? Jaskrawożółte. Masz krążyć na szosie osiemdziesiąt cztery między zjazdem na zaporę i zjazdem na Ranczo Upiora. Masz jechać dokładnie z prędkością stu kilometrów na godzinę z włączonym telefonem komórkowym. Zasięg jest tam całkiem dobry, tylko w kilku miejscach zanika sygnał. Zadzwonię do ciebie z dalszymi instrukcjami. Zrozumiałeś?

–Tak.

–Jaki jest numer twojego lotu?

–Lot sześćset sześćdziesiąt dwa Southwest Airlines.

–Dobrze. Sprawdzę, o której wylądował samolot, i będę na

ciebie czekał w pobliżu Rancza Upiora godzinę i dwadzieścia pięć minut później. Nie wstępuj do domu, nigdzie się nie zatrzymuj, tylko jedź prosto do Abiąuiu. Zrozumiałeś? Krąż między zaporą i Ranczem Upiora, aż do ciebie zadzwonię. I pamiętaj: sto kilometrów na godzinę.

–Dobrze. Ale jeśli coś jej zrobisz…

–Skrzywdzić Sally? Naprawdę będzie otoczona dobrą opieką pod warunkiem, że zrobisz wszystko, co powiedziałem, i dokładnie tak, jak powiedziałem. Aha, Tom! Żadnych gliniarzy. Powiem ci dlaczego. Ani jedno porwanie nigdy się nie udało po tym, jak powiadomiono policję. Znasz dane statystyczne? Kiedy policja jest zawiadamiana, porwanie się nie udaje i ofiara zwykle ginie. Zadzwonisz na policję, to się zdenerwuję. Gliniarze przejmą kontrolę, będą robili to, co do nich należy, nie zważając na ciebie ani na twój interes. Ty stracisz kontrolę nad sytuacją, ja stracę kontrolę nad sytuacją i Sally zginie. Rozumiesz, co mówię? Zadzwonisz do gliniarzy, to będziesz całował żonę na pożegnanie na stalowym stole z kółkami w suterenie przy West Airport tysiąc sto. Jasne?

Milczenie.

–Czy wyraziłem się jasno?

–Tak.

–Dobrze. To sprawa pomiędzy tobą a mną. Wtedy cały czas będziemy mieli pełną kontrolę. Ja dostanę notes, ty dostaniesz żonę. Pełna kontrola. Zrozumiałeś?

–Tak.

–Mam odbiornik na częstotliwości używane przez policję, znam też inne sposoby, żeby się

dowiedzieć, czy zawiadomiłeś gliniarzy. Posiadam też wspólnika.

Mężczyzna się rozłączył.

Tom ledwo mógł prowadzić wóz, ledwo widział szosę przed sobą. Niemal natychmiast znów zadzwonił telefon. Tym razem dzwonił Wilier.

–Pan Broadbent? Jesteśmy w pańskim domu, w salonie. Obawiam się, że jest problem. Tom głośno przełknął ślinę, zupełnie stracił głos.

–Znaleźliśmy nabój w ścianie. Chłopaki z dochodzeniówki są w drodze tutaj, żeby go wyjąć. Tom uświadomił sobie, że jedzie wężykiem po szosie, z pedałem gazu do dechy, z prędkością

prawie stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Zwolnił i całym wysiłkiem woli starał się opanować.

–Słyszy mnie pan? – rozległ się w słuchawce głos Willera. Tom odzyskał mowę.

–Poruczniku Wilier, chciałbym bardzo panu podziękować za pański trud, ale wszystko w porządku. Właśnie miałem telefon od Sally. Nic jej nie jest.

–Naprawdę?

–Zachorowała jej matka i Sally musiała pojechać do Albuquerque.

–Dżip stoi w garażu.

–Pojechała taksówką, dżip nie jest na chodzie.

–A F350?

–Służy nam wyłącznie do ciągnięcia przyczepy z końmi.

–Rozumiem. Jeśli chodzi o ten nabój… Tomowi udało się beztrosko roześmiać.

–Już… już od dawna tkwi w ścianie.

–Odniosłem inne wrażenie.

–Parę dni temu moja broń przypadkiem wypaliła.

–Czyżby? – Głos policjanta był zimny.

–Zaręczam, że tak.

–Czy może mi pan powiedzieć, jaki to był nabój i jakiego kalibru?

–Do rewolweru Smith Wesson kaliber dziewięć milimetrów. Zaległo długie milczenie. – Jak powiedziałem, poruczniku, przepraszam, że pana niepokoiłem.

Naprawdę. To fałszywy alarm.

–Na dywanie jest też plama krwi. Również „stara”?

Tom nie od razu znalazł na to odpowiedź. Poczuł falę mdłości. Jeśli te dranie zrobiły krzywdę

Sally… – Duża?

–Nie, mała plamka. Jeszcze wilgotna.

–Nie wiem, co panu powiedzieć, poruczniku. Może ktoś… się zaciął. – Głośno przełknął ślinę.

–Kto? Pańska żona?

–Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Słuchał szumu w słuchawce. Musi zdążyć na ten lot i osobiście rozprawić się z tamtym facetem.

Nie powinien był zostawić Sally samej.

–Panie Broadbent, czy znane jest panu określenie „domniemanie przestępstwa”?

–Tak.

–Właśnie z czymś takim mamy do czynienia. Weszliśmy do domu, mając pańską zgodę,

znaleźliśmy dowody popełnienia przestępstwa… i teraz je zbadamy. W takich okolicznościach nie

potrzebujemy nakazu sądowego.

Tom głośno przełknął ślinę. Jeśli porywacz obserwuje dom i zobaczy w nim gliniarzy…

–Proszę to zrobić jak najszybciej.

–Powiedział pan, że pański samolot ląduje o wpół do ósmej? – spytał Wilier.

–Tak.

–Chciałbym dziś wieczorem zobaczyć się z panem i pańską żoną bez względu na to, czyjej matka

jest chora, czy nie. Na komisariacie. Punktualnie o dziewiątej. Może przyda się panu ten adwokat, o którym pan wspomniał. Coś mi się wydaje, że będzie panu potrzebny.

–Nie mogę. Nie po dziewiątej. To niemożliwe. Zresztą moja żona jest w Albuquerque…

–Broadbent, nie ma pan wyboru. Przyjdzie pan na spotkanie o dziewiątej albo wystąpię o nakaz aresztowania. Czy to jasne?

Tom głośno przełknął ślinę.

–Moja żona nie ma z tym nic wspólnego.

–Jeśli nie przyjedzie pan z nią, będzie pan miał jeszcze większe kłopoty. A coś ci powiem, kolego: już masz duże kłopoty.

Telefon się rozłączył.

CZĘŚĆ TRZECIA

PERDIZ CREEK

Miała siedem metrów wysokości i szesnaście metrów długości. Ważyła około sześciu ton. Miała nogi ponad trzymetrowej długości i potężne mięśnie, jakich nigdy nie miał żaden kręgowiec. Idąc, wysoko unosiła ogon, stawiając cztero-pięciometrowe kroki. Kiedy biegła, mogła osiągnąć prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale sama szybkość miała mniejsze znaczenie od zwinności, gibkości i refleksu. Miała metrowej długości stopy, uzbrojone w cztery rogowe pazury podobne do bułata, trzy skierowane do przodu i ostrogę przypominającą wilczy pazur. Chodziła na palcach. Jednym dobrze wymierzonym kopnięciem mogła powalić hadrozaura długości trzydziestu metrów.

W metrowej długości szczękach tkwiło sześćdziesiąt zębów. Cztery zęby w kości przedszczękowej służyły cło odrywania mięsa od kości. Zęby do zabijania mieściły się głębiej, niektóre liczyły trzydzieści centymetrów długości razem z korzeniem i wielkość piąstki dziecka. Miały z tyłu piłkowaną krawędź, więc kiedy już zatopiła je w swojej ofierze, ta nie mogła się uwolnić. Za jednym razem mogła odgryźć kawał mięsa o objętości jednej piątej metra sześciennego, ważący kilkaset kilogramów. Dzięki labiryntowi otworów i kanałów jej czaszka była niezwykle lekka i mocna, a do tego elastyczna. Stosowała dwa różne sposoby gryzienia: przednimi zębami, które niczym nożyce wchodziły w mięso, i trzonowymi, którymi jak dziadkiem do orzechów miażdżyła pancerz i kości swych ofiar. Jej podniebienie podtrzymywały cienkie rozporki, umożliwiające boczne spłaszczenie czaszki podczas gryzienia i rozciąganie paszczy, by mogła w całości połknąć ogromne kęsy mięsa.

Zachodzące na siebie mięśnie szczęk pozwalały na gryzienie z siłą ponad siedmiu tysięcy kilogramów na centymetr kwadratowy, dość, by przegryźć stal.

Dwie przednie łapy były małe, nie większe od ludzkich rąk, ale wielokrotnie od nich silniejsze, zakończone dwoma zagiętymi palcami, skierowanymi pod kątem prostym, by zmaksymalizować ich zdolność do chwytania i rozszarpywania ofiar. Kręgi piersiowe, do których przytwierdzom były żebra, miały wielkość

puszki na kawę, by podtrzymywać brzuch, w którym mogło się pomieścić ponad ćwierć tony jedzenia.

Śmierdziała. W pysku tkwiły resztki rozkładającego się mięsa i zjełczałego tłuszczu, uwięzione między ciasno osadzonymi zębami. To sprawiało, że ugryzienie przez nią było jeszcze groźniejsze. Nawet jeśli ofiara nie zginęła od razu, prawdopodobnie padała wkrótce w wyniku rozległej infekcji lub zatrucia

całego organizmu. Kości wydalane wraz z odchodami były czasem niemal całkowicie rozpuszczone przez stężony kwas solny, służący do trawienia pokarmu.

Kłykieć potyliczny, tworzący z kręgiem szczytowym staw półkolisty, miał wielkość grejpfruta i umożliwiał przekręcanie głowy niemal o sto osiemdziesiąt stopni, więc mogła atakować zwierzęta, znajdujące się na prawo i na lewo od niej. Oczy, tak jak człowiek, miała skierowane przed siebie, co umożliwiało jej widzenie stereoskopowe. Odznaczała się również wyśmienitym węchem i słuchem. Najbardziej lubiła polować na gromady hałaśliwych hadrozaurów, które przemierzały rozległe lasy, nawołując się i trąbiąc, by stado się nie rozproszyło, a młode nie odłączyły się od matek. Ale była oportunistką i atakowała wszystko, co znalazło się na jej drodze.

Polowała głównie z zasadzki: skradała się długo, pod wiatr, a potem następował krótki pościg. Trudno ją było dostrzec, bo jej zielono-brązowe ubarwienie zlewało się z barwami lasu.

Młode osobniki polowały grupowo, ale po osiągnięciu dojrzałości płciowej samotnie zdobywały pożywienie. Nie atakowały ofiary i nie pokonywały jej w walce. Rzucały się na nią i mocno chwytały ją zębami, miażdżąc pancerz i przebijając skórę, by dostać się do ważnych narządów wewnętrznych i tętnic. Przygwoździwszy swoją ofiarę jak robaka szpilką, wymierzały jej jedno potężne kopnięcie. Potem puszczały ją i wycofywały się na bezpieczną odległość, czekając, aż ranna ofiara, wstrząsana konwulsjami, rycząca bezsilnie, wykrwawi się na śmierć.

Jak wiele drapieżników, żywiły się również padliną; zjadały mięso pod każdą postacią. Zatapianie zębów we wzdętym, pełnym czerwi ścierwie sprawiało im taką samą przyjemność, jak połykanie w całości jeszcze bijącego serca.

1

WYMAN FORD zatrzymał się i spojrzał w głąb wielkiej rozpadliny w ziemi, noszącej nazwę Kanionu Tyranozaura. Pokonał szesnaście kilometrów od czarnej bazaltowej dajki, której kanion zawdzięczał swoją nazwę, i teraz znajdował się w głębi wąwozu, dalej niż kiedykolwiek, w miejscu zapomnianym przez Boga i ludzi. Im głębiej się zapuszczał, tym ściany kanionu wznosiły się wyżej, aż zaczęły go przytłaczać z obu stron, wywołując uczucie klaustrofobii. Głazy wielkości domów oderwały się od zboczy i leżały roztrzaskane na dnie kanionu pomiędzy spłachetkami trującej, alkalicznej, podmokłej ziemi. Unoszony przez wiatr pył tworzył białą zasłonę. Ford odnosił wrażenie, że kanion był miejscem pozbawionym życia, wyłączając nieliczne słonorośla… i naturalnie liczne grzechotniki.

Zatrzymał się, widząc przed sobą jakiś ruch. Ujrzał sunącego po piasku grzechotnika kalifornijskiego o cielsku grubości jego przedramienia, poruszającego językiem. Słyszał, jak wąż szoruje brzuchem o ziemię. Ford pomyślał, że o tej porze dnia, kiedy mija największy skwar, węże wypełzają ze swoich kryjówek, by rozpocząć nocne polowanie.

Mnich znów ruszył miarowym krokiem, pokonując kolejne kilometry. Przypominało to wędrówkę po labiryncie, wiele bocznych kanionów prowadziło donikąd. Szybko posuwał się do przodu. Tuż przed zachodem słońca, kiedy kanion kolejny raz zakręcił, Ford zobaczył przed sobą wielką grupę skał, tę, którą widział z Krawędzi Nawahów i żartobliwie przezwał Łysymi Skałami. Dno kanionu już spowijał cień skąpany w ciepłej, pomarańczowej poświacie, którą tworzyło światło odbijające się wysoko od wschodniej krawędzi.

Ford był wdzięczny, że ten dzień dobiegł końca. Od rana racjonował sobie wodę. Wieczorny chłód sprawił, że pragnienie stało się mniej dokuczliwe.

Na pustyni noc zapada szybko. Nie miał zbyt wiele czasu na wybranie odpowiedniego miejsca na obozowisko. Raźnym krokiem szedł dalej, rozglądając się na prawo i na lewo, i wkrótce znalazł to, czego szukał: płaskie, osłonięte miejsce między dwoma głazami, pokryte warstwą miękkiego piasku. Zdjął plecak i pociągnął łyk wody. Nim ją przełknął, potrzymał ją w ustach, by

się nią dłużej rozkoszować. Ciemności zapadną za piętnaście, może dwadzieścia minut. Szkoda tracić ten czas na gotowanie i rozkładanie posłania. Zostawił plecak i ruszył w górę kanionu, tam gdzie zaczynały się Łyse Skały. Z bliska bardziej przypominały ogromne, przypłaszczone kapelusze muchomorów niż czaszki; każda miała około dziesięciu metrów szerokości i może z siedem metrów wysokości. Wyrzeźbione zostały w warstwie ciemnopomarańczowego piaskowca z cieńszymi pokładami łupków i zlepieńców koloru wina. Niektóre z potężnych skał zostały podcięte i leżały teraz, roztrzaskane na kawałki.

Zagłębił się w las kamiennych kolumn, podtrzymujących okrągłe skalne kopuły. Kolumny były z

jasnoróżowego piaskowca i wszystkie miały wysokość około trzech metrów. Ford przeciskał się między nimi, pragnąc się przekonać, jak daleko sięga formacja. Kiedy teraz patrzył, żadna ze skał nie wyglądała jak ta, której szukał, ale były do niej bardzo podobne. Znów przeszedł go dreszcz emocji. Był pewien, że jest coraz bliżej dinozaura. Przeciskał się między skałami, czasami musiał się czołgać, mając świadomość, ile skał jest nad nim. Kiedy dotarł do końca, ku swemu zdumieniu stwierdził, że za Łysymi Skałami znajduje się wejście do kolejnego wąwozu, a raczej do tego, co stanowiło dalszy ciąg Kanionu Tyranozaura. Szybkim krokiem ruszył dnem parowu. Kanion był wąski, widać było ślady gwałtownych powodzi, po obu stronach piętrzyły się zmiażdżone pnie drzew i gałęzie, naniesione tu z gór. Płynąca woda wygładziła i wyżłobiła dolną część ścian wąwozu.

Kanion co chwila zakręcał, ukazując kolejne nisze i podmyte ściany. W niektórych wnękach w górze były małe domostwa Anasazi. Po czterystu metrach Ford dotarł do „stopnia", wysokiej półki z piaskowca, biegnącej w poprzek kanionu. Podczas obfitych deszczów tworzył się tu wodospad; popękany muł świadczył o tym, że kiedyś gromadziła się tutaj woda. Wspiął się, wykorzystując wystające kamienie jako punkty oparcia dla rąk i nóg, i ruszył dalej.

Kanion zakręcał i nagle Ford ujrzał przed sobą ogromną dolinę, w której skały z trzech bocznych kanionów tworzyły coś na kształt wraku pociągu, dowodząc siły erozji. Ford przystanął, oszołomiony potęgą i gwałtownością tego procesu. Uśmiechając się, postanowił nazwać to miejsce Diabelskim Cmentarzyskiem. Kiedy stał, ostatnie promienie słońca zniknęły za krawędzią

kanionu i mrok zawładnął dziwną doliną, spowijając ją fioletowym cieniem. To była rzeczywiście kraina zapomniana przez Boga i ludzi.

Ford się odwrócił. Było za późno, by dalej wędrować; musiał przed zmrokiem wrócić do obozowiska. Kamienie czekały miliony lat, pomyślał mnich. Mogą poczekać jeszcze jeden dzień.

2

TOM JECHAŁ na północ szosą numer osiemdziesiąt cztery, z całych sił starając się zachować opanowanie. Samolot się spóźnił, było wpół do dziewiątej, a znajdował się jeszcze godzinę drogi od odcinka szosy, gdzie kazał mu przyjechać porywacz. Na miejscu dla pasażera położył plastikową torbę, wypełnioną żółtymi śmieciami, wśród których ukrył notes. Telefon komórkowy leżał na siedzeniu, naładowany i gotów do odebrania połączenia.

Czuł się zupełnie bezradny, zdany na łaskę losu – uczucie to było nie do zniesienia. Musi znaleźć sposób, by przejąć inicjatywę, działać, a nie tylko reagować. Ale nie mógł zwyczajnie przejść do działania: najpierw należało opracować plan, a w tym celu musiał odsunąć emocje na bok i zachować maksymalnie chłodny i jasny umysł.

Po obu stronach szosy ciągnęła się pustynia, na nocnym niebie w górze migotały gwiazdy. Lot z Tucson do Santa Fa to była najtrudniejsza godzina w życiu Toma. Musiał się zdobyć na nadludzki wysiłek, by zapanować nad wyobraźnią podsuwającą mu kolejne scenariusze i skupić na bieżącym problemie. A sprawa była prosta: należy odzyskać Sally. Nic poza tym nie miało znaczenia. Kiedy odzyska Sally, rozprawi się z porywaczem.

Znów pomyślał, czy nie powinien się zgłosić na policję albo całkowicie pominąć Willera i zwrócić się wprost do FBI. Ale w głębi duszy wiedział, że porywacz ma rację: gdyby to zrobił, straciłby kontrolę. Oni przejęliby inicjatywę. I Willer też zostałby zaangażowany w sprawę. Tom uwierzył porywaczowi, kiedy ten mu powiedział, że zabije Sally, jeśli policja się o czymkolwiek dowie. Ryzyko było zbyt duże; musi działać samodzielnie.

Znał odcinek szosy numer osiemdziesiąt cztery, po którym porywacz kazał mu krążyć. Był to jeden z najmniej uczęszczanych odcinków dwupasmowej drogi w całym stanie, z jedną stacją benzynową i sklepikiem całodobowym.

Tom próbował sobie wyobrazić, co by zrobił, gdyby był porywaczem, jak wszystko by zorganizował, jak odebrałby notes w taki sposób, by później uniknąć bycia śledzonym. Właśnie to musiał Tom odgadnąć – zamiary mężczyzny.

3

WILLER SPOJRZAŁ znad stosu papierów na zegar. Kwadrans po dziewiątej. Przeniósł wzrok na Hernandeza, którego twarz przybrała w świetle jarzeniówek niemal zielony kolor.

–Wystawił nas do wiatru – powiedział Hernandez. – Zwyczajnie.

–Zwyczajnie… – Wilier postukał długopisem w plik dokumentów. To nie miało sensu, facet miał zbyt dużo do stracenia. Tacy ludzie mają milion legalnych sposobów, by uniknąć przesłuchania przez policję.

–Myślisz, że prysnął?

–Samochód, ten zabytkowy Chevrolet, którym jeździ, zostawił na parkingu przy lotnisku. Samolot wylądował o ósmej, Broadbent wsiadł do samochodu i nim odjechał.

Hernandez wzruszył ramionami.

–Kłopoty z silnikiem?

–Gra z nami w jakąś grę.

–Co on kombinuje?

–Nie mam pojęcia.

W pokoju zapadła ciężka cisza. W końcu Wilier chrząknął i zapalił papierosa. Czuł, że musi coś

zrobić, by odzyskać autorytet; zdumiało go i rozzłościło, że Broadbent zwyczajnie go zlekceważył.

–Oto co wiemy na pewno: na dywanie w pokoju jest świeża krew, a w ścianie pocisk. Broadbent nie stawił się na przesłuchanie na policję. Może ma kłopoty albo nie żyje. Może się przestraszył. Może pokłócił się z żoną, sytuacja wymknęła się spod kontroli… i teraz jest pochowana gdzieś na odludziu. A może jest tylko aroganckim łobuzem, któremu się wydaje, że może nas lekceważyć. Nie ma to znaczenia: odnajdziemy tego gnojka.

–Tak jest.

–Chcę, żeby wszczęto poszukiwania na północy Nowego Meksyku, punkty kontrolne na szosie numer osiemdziesiąt cztery w Chamie, dziewięćdziesiąt sześć w Coyote, dwieście osiemdziesiąt pięć na północ od Espańoli, I-czterdzieści w Wagon Mound i na granicy z Arizoną, I-dwadzieścia pięć w Belen oraz jeden w komendzie policji stanowej w Cubie na szosie numer czterdzieści cztery. – Umilkł, zaczął czegoś szukać w papierach na biurku, wyciągnął jakąś kartkę. – Jeździ turkusowo-białą furgonetką Chevrolet 3100 z pięćdziesiątego siódmego roku, z tablicami rejestracyjnymi Nowego Meksyku 346 EWE. Jedno nam sprzyja: każdy, kto jeździ takim wozem, z daleka rzuca się w oczy.

4

MADDOX ZAPARKOWAŁ range-rovera przed sklepem monopolowym Simrise i spojrzał na zegarek. Dziewiąta dwadzieścia jeden. Pół tuzina neonów reklamujących piwo w oknie wystawowym rzucało różnobarwne światło na przykurzoną maskę jego wozu. W środku nie było nikogo, nie licząc faceta za ladą. Księżyc jeszcze nie wzeszedł. Maddox wiedział, bo wcześniej to sprawdził, że zobaczy reflektory auta jadącego na południe dwie minuty i czterdzieści sekund wcześniej, niż go minie samochód.

Wysiadł, wsadził ręce do kieszeni, oparł się o dżipa, wciągnął głęboko w płuca zimne, pustynne powietrze, zamknął oczy, wymamrotał swoją mantrę i udało mu się sprawić, że jego serce zaczęło bić w miarę normalnie. Otworzył oczy. Na autostradzie nadal panowały ciemności. Dwadzieścia dwie po dziewiątej. Minął Broadbenta w jego chevrolecie z pięćdziesiątego siódmego roku jedenaście minut temu. Jeśli facet stosuje się do jego poleceń, zawrócił i utrzymuje prędkość stu kilometrów na godzinę, za sześć minut na północy powinny się ukazać reflektory jego wozu.

Wszedł do sklepu, kupił kawałek pizzy sprzed dziesięciu godzin i wielki kubek przypalonej kawy, zapłacił, dokładnie odliczywszy należność. Wrócił do samochodu, oparł się nogą o błotnik i spoglądał na ciemną szosę. Jeszcze dwie minuty. Rzucił okiem na sklep i zobaczył, że sprzedawca pochłonięty jest lekturą komiksu. Wylał kawę na asfalt, a pizzę rzucił na opuncję, już przystrojoną resztkami jedzenia. Spojrzał na zegarek, sprawdził, jak działa telefon komórkowy; sygnał był silny.

Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i czekał.

Dziewiąta dwadzieścia sześć.

Dziewiąta dwadzieścia siedem.

Dziewiąta dwadzieścia osiem.

Nareszcie. W morzu ciemności na północy wyłoniły się reflektory. Stawały się coraz większe i jaśniejsze, kiedy samochód jechał jednopasmową szosą, po chwili furgonetka minęła go, czerwone światła z tyłu zniknęły w mroku. Dziewiąta trzydzieści i czterdzieści sekund.

Maddox czekał, nie odrywając wzroku od zegarka. Odliczył dokładnie jedną minutę i nacisnął guzik szybkiego wybierania numeru w swoim telefonie komórkowym.

–Tak? – natychmiast rozległo się w słuchawce.

–Słuchaj uważnie. Utrzymaj prędkość. Nie zwalniaj ani nie przyśpieszaj. Opuść szybę w oknie po swojej prawej stronie.

–Co z moją żoną?

–Wkrótce ją zobaczysz. Rób, jak powiedziałem.

–Opuściłem szybę.

Maddox obserwował wskazówkę sekundową swojego zegarka.

–Kiedy ci powiem, rozłącz się, ale nie blokuj aparatu. Włóż telefon komórkowy do torby z notesem i wyrzuć torbę przez okno. Zaczekaj, aż ci dam znak. Kiedy wyrzucisz torbę, nie zatrzymuj się, tylko jedź dalej.

–Słuchaj, ty łobuzie, nic nie zrobię, póki mi nie powiesz, gdzie jest moja żona.

–Rób, co ci każę, bo inaczej zginie.

–W takim razie nigdy nie zobaczysz tego notesu.

Maddox spojrzał na zegarek. Minęło już trzy i pół minuty. Trzymając kierownicę jedną ręką,

nacisnął pedał gazu i wyjechał na szosę, zostawiając na parkingu ślad spalonej gumy.

–Jest w dawnym obozowisku w Madera Creek, znasz to miejsce? Sześćdziesiąt kilometrów na południe stąd nad Rio Grandę. Suka stawiała opór, krwawi, jest z moim wspólnikiem. Jeśli nie zrobisz tak, jak ci mówię, zadzwonię do niego i natychmiast ją zabije. A teraz wsadź telefon komórkowy do torby i wyrzuć ją.

–Posłuchaj mnie: jeśli coś jej się stanie, jesteś już trupem. Znajdę cię na końcu świata i zabiję.

–Przestań chrzanić i rób, co ci każę!

–Dobrze.

Maddox usłyszał szelest i rozmowa została przerwana. Odetchnął głęboko. Spojrzał na zegarek,

zapamiętał godzinę co do sekundy i spojrzał na prędkościomierz. Notes będzie jakieś sześć i pół kilometra na południe od sklepu. Wyłączył komórkę i jechał, nie przyśpieszając ani nie zwalniając. Wcześniej zrobił rozpoznanie, odmierzył odległości i ile czasu potrzeba na ich pokonanie. Wiedział z dokładnością do czterystu metrów, gdzie leży notes.

Maddox minął słupek podający odległość i zwolnił. Opuścił szyby w oknach i wybrał numer Broadbenta. Po sekundzie usłyszał słaby dźwięk dzwonka. I rzeczywiście, na skraju drogi leżała plastikowa torba. Minął ją i jednocześnie zapalił dodatkowy reflektor, zainstalowany w swoim range-roverze, żeby się upewnić, że Broadbent nie czeka gdzieś w pobliżu. Ale wokoło nie było widać żywej duszy. Nie wątpił, że Broadbent pędzi teraz na złamanie karku na południe, do obozowiska Madera. Prawdopodobnie zatrzyma się w Abiąuiu, by zawiadomić policję i pogotowie ratunkowe. Maddox nie miał zbyt dużo czasu, żeby zabrać notes i się stąd ulotnić.

Zawrócił wóz, podjechał do torby, wyskoczył z auta i ją zabrał. Po chwili znów mknął szosą. Prawą ręką rozerwał torbę i zaczął macać w śmieciach w poszukiwaniu notesu.

Jest. Wyciągnął go i spojrzał na niego. Był oprawiony w starą skórę, z tyłu widać było nawet smugę krwi. Otworzył go. Szeregi ośmiocyfrowych liczb, tak jak powiedział Corvus. A więc udało się.

Ciekaw był, co zrobi Broadbent, kiedy się przekona, że w obozie w Madera nikogo nie ma. *Na końcu świata.*

Zdobył notes. Teraz pora pozbyć się kobiety.

5

JAKIEŚ OSIEMSET metrów na południe od miejsca, gdzie wyrzucił notes, Tom wyłączył światła i zjechał z szosy, przejechał przez rów i ogrodzenie z drutu kolczastego. Jechał tak długo w głąb prerii, aż uznał, że jest wystarczająco daleko od drogi. Wyłączył silnik i czekał. Serce mu waliło.

Kiedy mężczyzna mu powiedział, że Sally jest w obozowisku Madera, Tom wiedział, że to kłamstwo. O tej porze roku przebywało tam mnóstwo dzieciaków, a drewniane domki były zbyt widoczne, zbyt uczęszczane. Ta historyjka z obozowiskiem Madera miała sprawić, by pojechał na południe.

Kilka minut później zobaczył daleko z tyłu reflektory samochodu. Minął range-rovera już wcześniej, ten sam wóz widział przed sklepem monopolowym. Kiedy teraz zobaczył, jak auto zwalnia na tym odcinku szosy, gdzie wyrzucił notes, utwierdził się w przekonaniu, że to samochód porywacza. Zapalił się dodatkowy reflektor i oświetlił prerię. Toma nagle ogarnął strach, że porywacz go zobaczy, ale światło reflektora miało niewielki zasięg. Samochód zawrócił, mężczyzna wyskoczył z niego i zabrał notes. Z takiej odległości Tom widział jedynie, że porywacz jest wysoki i szczupły. Po chwili mężczyzna wsiadł do samochodu i z piskiem opon ruszył na północ.

Tom zaczekał, aż samochód porywacza oddali się spory kawałek, a potem, nie włączając reflektorów, uruchomił silnik i wrócił na szosę. Musiał jechać po ciemku: gdyby zapalił światła, mężczyzna zorientowałby się, że jest śledzony – Chevrolet z okrągłymi, staromodnymi reflektorami był zbyt charakterystyczny.

Kiedy znalazł się na szosie, przyśpieszył o tyle, o ile miał odwagę bez świateł, utkwiwszy wzrok w nikłym blasku tylnych światełek, ale samochód przed nim jechał szybko i Tom uświadomił sobie, że nie ma mowy, by nadążył za nim, jeśli nie włączy reflektorów. Musiał zaryzykować.

Akurat dojeżdżał do sklepu monopolowego i zobaczył, że zatrzymała się jakaś furgonetka, żeby zatankować. Zahamował gwałtownie, skręcił na stację benzynową i zatrzymał się po drugiej stronie dystrybutora. Samochód, stary dodge dakota, stał obok dystrybutora, kluczyk tkwił w stacyjce, kierowca poszedł do

sklepu zapłacić. W schowku na drzwiach dostrzegł kolbę rewolweru.

Tom wyskoczył ze swojego wozu, wsiadł do dodge'a, uruchomił silnik i odjechał z piskiem opon. Docisnął gaz do dechy i skierował się na północ, gdzie w ciemnościach zniknęły tylne światła range-rovera.

6

TELEFON ZADZWONIŁ o jedenastej wieczorem. Wprawdzie Melodie spodziewała się go, ale i tak podskoczyła, kiedy w cichym, pustym laboratorium rozległ się ostry sygnał.

–Melodie? Jak postępują prace?

–Świetnie, doktorze Corvus, po prostu świetnie. – Głośno przełknęła ślinę, kiedy się zorientowała, że dyszy do słuchawki.

–Wciąż pani pracuje?

–Tak.

–Ma pani wyniki analiz?

–Tak. Są… niewiarygodne.

–Proszę mi wszystko powiedzieć.

–Próbka zawiera bardzo dużo irydu. Takiego samego, jaki występuje na granicy kredy i

trzeciorzędu, tylko w o wiele większej ilości. Ta próbka jest wprost nafaszerowana irydem.

–W jakiej postaci i koncentracji?

–Jest związany w różnych izometrycznych postaciach heksaoktaedrów w stężeniu ponad czterysta trzydzieści części na miliard. To, jak pan wie, dokładnie taka postać, jaką kojarzy się z upadkiem asteroidy Chicxulub.

Melodie czekała na reakcję, ale na próżno.

–Ta skamieniałość… – zaryzykowała -…nie znajduje się przypadkiem na granicy kredy i

trzeciorzędu?

–Bardzo możliwe.

Po kolejnej długiej ciszy Melodie znów się odezwała.

–W zewnętrznej skale macierzystej, otaczającej próbkę,

znalazłam bardzo dużo mikrocząsteczek

sadzy, takich, jakie powstają podczas pożarów lasów. Zgodnie z niedawno opublikowanym artykułem w

„Journal of Geophysical Research", po upadku asteroidy Chicxulub spłonęła ponad jedna trzecia lasów na

Ziemi.

Znam ten artykuł – rozległ się cichy głos Corvusa.

–W takim razie wie pan, że granica kredy i trzeciorzędu składa się z dwóch warstw, pierwsza to

wzbogacone w iryd materiały, będące wynikiem samej impakcji, a druga zawiera drobiny sadzy powstałej

podczas pożarów lasów o zasięgu globalnym. – Urwała, czekając na reakcję, ale w słuchawce znów zaległa

cisza. Do Corvusa jakby nic nie docierało, a może wprost przeciwnie?

–Wydaje mi się… – Urwała, niemal bojąc się to powiedzieć. – A raczej doszłam do wniosku, że ten

dinozaur zginął w wyniku upadku asteroidy albo katastrofy ekologicznej, która później nastąpiła.

Ten rewolucyjny wniosek trafił w pustkę. Corvus milczał.

–Przypuszczam, że przyczyniło się to również do wyjątkowego stanu, w jakim zachowała się skamielina.

–Czemu? – rozległo się ostrożne pytanie.

–Podczas lektury tamtego artykułu doszłam do wniosku, że upadek asteroidy, pożary i wzrost temperatury powietrza stworzyły wyjątkowe warunki dla powstania skamieniałości. Po pierwsze, zabrakło padlinożerców, którzy rozszarpaliby ścierwo i rozrzucili kości. Upadek asteroidy spowodował wzrost temperatury całej planety, powietrze było tak gorące jak na Saharze, na wielu obszarach jego temperatura osiągnęła dwieście, a nawet trzysta stopni. To idealne warunki do błyskawicznej mumifikacji martwych zwierząt. Na dodatek

powstały pył zapoczątkował olbrzymie zmiany klimatu. Za sprawą gwałtownych powodzi szczątki zostały szybko pogrzebane.

Melodie nabrała głęboko powietrza w płuca i czekała na reakcję Corvusa: podniecenie, zdumienie, sceptycyzm. Ale na próżno.

–Jeszcze coś? – spytał Corvus.

–Cóż, są jeszcze te cząsteczki Wenus.

–Cząsteczki Wenus?

–Tak nazwałam te czarne cząsteczki, które pan zauważył, ponieważ pod mikroskopem wyglądają trochę jak symbol astrologiczny Wenus – pierścień z wychodzącym z niego krzyżem. No wie pan, symbol pierwiastka żeńskiego.

–Symbol pierwiastka żeńskiego – powtórzył Corvus.

–Zbadałam te cząstki. Nie są to formacje mikrokrystaliczne ani produkt procesu fosylizacji.

Cząstka jest kulką nieorganicznego węgla z wystającym ramieniem; wewnątrz są pierwiastki śladowe,

których analizy jeszcze nie przeprowadziłam.

–Rozumiem.

–Wszystkie mają identyczną wielkość i kształt, co świadczyłoby o ich biologicznym pochodzeniu. Wygląda na to, że były obecne w ciele dinozaura w chwili jego śmierci i zachowały się w niezmienionej postaci przez sześćdziesiąt pięć milionów lat. Są… bardzo dziwne. Trzeba jeszcze wielu badań, by móc bez cienia wątpliwości określić, co to takiego, ale pomyślałam sobie, że może to rodzaj jakichś drobnoustrojów chorobotwórczych.

W słuchawce znów zapanowała ta dziwna cisza. Kiedy Corvus w końcu przemówił, jego głos był cichy. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

–Jeszcze coś, Melodie?

–To wszystko. – Jakby mu było mało. O co Corvusowi chodzi? Czy jej nie uwierzył?

Głos kustosza był tak spokojny, że aż było to straszne.

–Melodie, świetnie się pani spisała. Jestem pełen uznania. A teraz proszę uważnie mnie wysłuchać

i zrobić to, co pani powiem. Chcę, żeby wzięła pani wszystkie płyty kompaktowe, fragmenty okazu,

wszystko, co jest w laboratorium i ma związek z tą sprawą, i zamknęła to w szafce na okazy. Jeśli

przypadkiem coś zostało w pamięci komputera, proszę to skasować, posługując się programem, który

całkowicie czyści twardy dysk. Potem proszę iść do domu i się wyspać.

Nie wierzyła własnym uszom. Czy to wszystko, co ma jej do powiedzenia? Żeby położyła się spać?

–Może pani to zrobić, Melodie? – rozległ się cichy głos. – Proszę wszystko zamknąć, usunąć dane z komputera, iść do domu, wyspać się, zjeść coś pożywnego. Porozmawiamy rano.

–Dobrze.

–Świetnie. – Chwila milczenia. – Do zobaczenia jutro.

Rozłączywszy się, Melodie siedziała w laboratorium zaszokowana. Po tym wszystkim, co zrobiła,

po jej niezwykłych ustaleniach, Corvus zachował się, jakby go to mało obchodziło – a nawet jakby jej nie wierzył. *Jestem pełen uznania.* Dokonała jednego z najdonioślejszych odkryć paleontologicznych w dziejach, a jedyne, na co potrafił się zdobyć, to *pełne uznanie?* I rada, żeby położyła się spać?

Spojrzała na zegar. Wskazówka minutowa akurat się przesunęła. Kwadrans po jedenastej. Spojrzała na bransoletkę połyskującą na przegubie jej ręki, na swoje żałośnie małe piersi, cienkie dłonie, ogryzione paznokcie, brzydkie, piegowate ramiona. Oto ona, Melodie Crookshank, trzydzieści trzy lata, laborantka bez nadziei na dożywotni etat, naukowe zero. Poczuła narastające poczucie krzywdy. Przypomniała sobie swojego srogiego ojca, profesora uniwersytetu, którego pragnieniem było – jak to często powtarzał – żeby nie wyrosła na „jeszcze jedną głupią babę". Przypomniała

sobie, jak bardzo starała się sprawić mu przyjemność. I pomyślała o swojej matce, która nienawidziła być jedynie panią domu i żyła sukcesami córki. Melodie starała się zadowolić również ją. Przypomniała sobie wszystkich nauczycieli, którym starała się przypodobać, profesorów, promotora jej pracy doktorskiej.

A teraz dołączył do tej galerii również Corvus.

I co jej przyszło z tej chęci sprawiania przyjemności innym? Obrzuciła spojrzeniem przygnębiające laboratorium w suterenie.

Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, jak Corvus zamierza przedstawić ich odkrycie. Bo to było ich odkrycie – nie dokonałby tego wszystkiego sam. Nie wiedział, jak obsługiwać aparaturę, właściwie nie umiał korzystać z komputera, był kiepskim mineralogiem. Ona przeprowadziła analizy, zadawała odpowiednie pytania o próbkę, wyciągała z niego odpowiedzi. Ona dostrzegała powiązania, wysnuwała wnioski na podstawie danych, budowała teorie.

Zaczęło do niej docierać, dlaczego Corvusowi tak bardzo zależało, żeby całą sprawę utrzymać w

absolutnej tajemnicy. Takie spektakularne odkrycie wywołałoby ogromną sensację, zaczęłyby się intrygi, rywalizacja i wyścig, by zdobyć resztę skamieliny. Corvus mógłby z łatwością stracić kontrolę nad odkryciem – a wraz z tym wszelkie zasługi z tym związane. A doskonale rozumiał znaczenie pojęcia „zasługi". W świecie nauki była to żywa gotówka.

Zasługi. Bardzo śliska sprawa, jeśli się nad tym poważniej zastanowić.

Od miesięcy, bodaj nawet od lat, nie miała tak jasnego umysłu. Może dlatego, że była taka zmęczona – zmęczona sprawianiem przyjemności innym, zmęczona pracą dla innych, zmęczona tym laboratorium, przypominającym grobowiec. Jej wzrok padł na bransoletkę z szafirów. Zdjęła ją i zaczęła nią machać przed oczami, klejnoty mrugały do niej uwodzicielsko. Corvus ubił jeden z najlepszych interesów w swojej karierze, dając jej tę bransoletkę. Uważał, że kupi za nią milczenie Melodie, zastraszonej, uległej kobiety. Ze wstrętem wsadziła bransoletkę do kieszeni.

Melodie zaczęła teraz rozumieć, dlaczego Corvus tak zareagował, dlaczego był taki powściągliwy, a nawet zaniepokojony podczas ostatniej rozmowy telefonicznej. Zbyt dobrze się spisała. Bał się, że za dużo odkryła, że może uzurpować sobie prawo do tego odkrycia.

Melodie Crookshank jakby doznała olśnienia. Wiedziała, co musi zrobić.

M-LOGOS 455 do przetwarzania masywnie równoległego był najpotężniejszym komputerem, jaki do tej pory stworzył człowiek. Znajdował się w stale klimatyzowanym pomieszczeniu o zaostrzonych wymaganiach co do czystości i sterylności powietrza w podziemiach głównej siedziby Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Mead w stanie Maryland. Nie skonstruowano go, by przewidywał pogodę, symulował wybuch termojądrowy o sile piętnastu megaton ani obliczał wartość n z dokładnością do biliarda miejsc po przecinku. Został stworzony w znacznie bardziej prozaicznym celu: by słuchać.

Niezliczone punkty nasłuchowe, rozmieszczone na całym świecie, łapczywie zbierały informacje w postaci cyfrowej. Przechwytywały ponad czterdzieści procent całego ruchu w Internecie, ponad dziewięćdziesiąt procent wszystkich rozmów, prowadzonych przez telefony komórkowe, praktycznie rzecz biorąc, wszystkie audycje radiowe i telewizyjne, wiele rozmów telefonicznych, przekazywanych liniami naziemnymi, i dużą część informacji przesyłanych za pośrednictwem rządowych i firmowych lokalnych sieci komputerowych oraz sieci prywatnych.

Ten strumień informacji w postaci cyfrowej trafiał w czasie rzeczywistym do M455MPP z szybkością szesnastu terabajtów na sekundę.

Komputer tylko słuchał.

Słuchał wiadomości, przekazywanych niemal w każdym znanym języku na Ziemi, każdym dialekcie, każdym protokole, niemal każdym algorytmie komputerowym, kiedykolwiek napisanym dla analizy języka. Ale to nie wszystko: M455MPP był pierwszym komputerem, wykorzystującym nową, wysoce tajną metodę analizy danych, zwaną Stutterlogic. Stutterlogic opracowali najlepsi teoretycy cybernetyki i programiści z Agencji Wywiadu Obronnego, żeby można było ominąć wielką rafę Sztucznej Inteligencji, o którą rozbiły się nadzieje wielu programistów komputerowych w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Stutterlogic było całkiem nowym sposobem patrzenia na informację. Zamiast próbować naśladować sposób rozumowania ludzi, jak to bez powodzenia starała się robić Sztuczna Inteligencja, Stutterlogic działał zgodnie z całkiem nowym rodzajem logiki, która nie była

oparta ani na inteligencji maszynowej, ani na Sztucznej Inteligencji.

Nawet przy wykorzystaniu Stutterlogic nie można powiedzieć, że komputer „rozumiał" to, co słyszał. Jego zadaniem było jedynie wychwycenie „interesujących informacji", czyli II w żargonie operatorów, i przesłanie ich ludziom do oceny.

Większość II przekazywanych przez M455MPP stanowiły e-maile i rozmowy prowadzone przez telefony komórkowe. Te drugie były rozdzielane pomiędzy stu dwudziestu analityków. Ich zajęcie wymagało rozległej wiedzy, biegłości w danym języku czy dialekcie i niemal nadprzyrodzonej intuicji.

Bycie dobrym „słuchaczem" to sztuka, a nie rzemiosło.

O godzinie dwudziestej trzeciej minut cztery trzydzieści cztery i dziewięćdziesiąt osiem setnych sekundy czasu letniego wschodniego wybrzeża moduł 3656070 komputera M455MPP, rejestrując czwartą minutę trwającej w sumie jedenaście minut rozmowy prowadzonej przez telefon komórkowy, uznał ją za potencjalną II. Komputer, nagrywający rozmowę od samego początku, zaczął ją analizować, chociaż jeszcze się nie zakończyła. Nim o godzinie dwudziestej trzeciej minut szesnaście cztery i pięćdziesiąt osiem setnych sekundy rozmówcy się rozłączyli, ich konwersację już przepuszczono przez serię filtrów algorytmicznych, które przeprowadziły analizę języka i pojęć, zbadały modulację głosu, by ocenić kilkanaście wskaźników stanu psychiki rozmówców, między innymi poziom stresu, podniecenia, gniewu, pewności siebie i strachu. Programy wynikowe ustaliły, kto do kogo zadzwonił, a następnie przeszły do sprawdzania tysięcy baz danych, by wydobyć z nich każdą, nawet najdrobniejszą informację o rozmówcach, istniejącą w formie elektronicznej w sieci gdziekolwiek na świecie.

Ta konkretna II po wstępnej obróbce otrzymała ocenę 0,003. Następnie przesłano ją przez zaporę sieciową do podsystemu M455, gdzie została poddana drobiazgowej analizie przez Stutterlogic. Po tej analizie jej ocenę podniesiono do 0,56 i przekazano ją z powrotem do modułu głównej bazy danych z „pytaniami". Ten odesłał II do modułu Stutterlogic z „odpowiedziami" na „pytania". Na podstawie tych odpowiedzi moduł Stutterlogic podniósł ocenę II do 1,20.

Każda wiadomość, która uzyskała ocenę większą od jedynki, była przekazywana do analizy człowiekowi.

Była godzina dwudziesta trzecia minut dwadzieścia dwie sześć i trzydzieści jedna setna sekundy.

Rick Muzinsky pasjonował się sprawami innych już jako chłopiec, godzinami podsłuchując swoich rodziców pod drzwiami ich sypialni, z wypiekami na twarzy śledząc wszystko, co robili. Ojciec Muzinsky'ego był dyplomatą, Rick poznał dzięki temu cały świat i biegle opanował trzy języki obce. Dorastał jak ktoś z zewnątrz, zaglądający do środka, nie miał przyjaciół ani miejsca, które mógł nazwać swoim domem. Był człowiekiem żyjącym życiem innych, a zatrudniwszy się w Departamencie Bezpieczeństwa Wewnętrznego, przekonał się, że można całkiem przyzwoicie na tym zarabiać. Płace były wyjątkowo wysokie. Pracował wszystkiego cztery godziny dziennie, i to bez przygłupich szefów, durnych współpracowników, niekompetentnych asystentów i niedouczonych sekretarek. Nie musiał z nikim dyskutować przy automacie z kawą ani kserokopiarce. Mógł przyjść na te cztery godziny wtedy, kiedy mu to najbardziej pasowało w ciągu całej doby. A najlepsze było to, że pracował sam – taki istniał wymóg. Nie wolno mu było z nikim rozmawiać o swojej pracy. Absolutnie z nikim. Więc jeśli ktoś mu zadawał to nieuchronne, okropne pytanie: „Czym się zajmujesz?", mógł powiedzieć wszystko, co tylko chciał, z wyjątkiem prawdy.

Niektórzy pewnie uznaliby za okropnie nudne słuchanie jednej II po drugiej; prawie wszystkie z

nich były niemądrymi rozmowami idiotów, pełnymi czczych pogróżek, psychopatycznych monologów, politycznych wynurzeń, kretyńskich oświadczeń i pobożnych życzeń – gadaniny najsmutniejszych, najgłupszych, oszukujących samych siebie ludzi, jakich Muzinsky kiedykolwiek słyszał. Ale chłonął każde ich słowo.

Od czasu do czasu trafiała się inna rozmowa. Często trudno było powiedzieć dlaczego. Zwykle wynikało to z pewnej doniosłości tonu wypowiedzi. Czuło się, że powiedziano coś innego, niż można by sądzić na podstawie pierwszego wrażenia. Po kilkakrotnym przesłuchaniu rozmowy, jeśli to wrażenie się utrzymywało, mógł sprawdzić, kim są rozmówcy. To zazwyczaj rzucało nowe światło na sprawę.

Muzinsky nie zajmował się dalszym śledzeniem losów II, którą uznał za niebezpieczną. Jego rola kończyła się na przekazaniu tych II do odpowiedniej agencji w celu dalszej obróbki. Czasami komputer nawet wskazywał agencję, do której powinna trafić II – gdyby Muzinsky uznał to za stosowne – ponieważ poszczególne agencje zajmowały się różnymi tajnymi sprawami. Ale przekazywał tylko jedną II na dwa, trzy tysiące rozmów, których wysłuchał. Większość trafiała do różnych biur Agencji Bezpieczeństwa Narodowego lub Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Część kierował do Pentagonu, Departamentu Stanu, FBI, CIA, ATF, INS i wielu innych urzędów, kryjących się pod akronimami. Istnienie niektórych było objęte ścisłą tajemnicą. Muzinsky musiał zadecydować, i to szybko, gdzie powinna trafić dana II. Nie można było pozwolić, żeby II błądziła, szukając właściwego adresata. Właśnie dlatego doszło do tragedii jedenastego września. Agencje miały obowiązek zająć się otrzymanymi informacjami niezwłocznie, nawet w ciągu kilku minut po ich odebraniu. To kolejna nauka, jaką wyciągnięto z wypadków jedenastego września.

Ale Muzinsky nie miał już z tym nic do czynienia. Z chwilą, kiedy przesłał II, tracił ją z oczu na zawsze.

Muzinsky siedział ze słuchawkami na uszach przed terminalem w swojej zamkniętej na klucz kabinie. Nacisnął guzik GOTÓW, co oznaczało, że może wysłuchać kolejnej II. Komputer nie przekazywał mu wstępnych danych ani ogólnych informacji o rozmowie, niczego, co mogłoby wpłynąć na jego ocenę tego, co miał usłyszeć. Zawsze na początek otrzymywał gołą II.

Muzinsky przez chwilę słyszał jedynie szum. Potem rozległ się dzwonek telefonu, od razu po pierwszym sygnale ktoś podniósł słuchawkę i potoczyła się rozmowa:

Melodie? Jak postępują prace?

Świetnie, doktorze Corvus, po prostu świetnie.

8

TUŻ ZANIM SKRĘCIŁ w drogę Służby Leśnej, prowadzącą do Perdiz Creek, Maddox zwolnił i zjechał z szosy. Z tyłu pojawiła się para reflektorów i chciał się upewnić, że nie należą do samochodu Broadbenta. Wyłączył silnik i czekał, aż samochód go minie.

Z ogromną szybkością nadjechała furgonetka, odrobinę zwolniła i pognała dalej. Maddox odetchnął z ulgą – to był tylko jakiś stary, zdezelowany dodge. Uruchomił silnik i skręcił. Samochód podskoczył na kratownicy przykrywającej rów stanowiący barierę dla bydła i pojechał porytą koleinami drogą gruntową. Maddox czuł się podniesiony na duchu. Opuścił szyby w oknach, by wpuścić świeże powietrze. Noc była chłodna i pachnąca, gwiazdy świeciły nad ciemnymi krawędziami gór stołowych. Jego plan się powiódł: miał notes. Teraz nic go już nie powstrzyma. Kiedy Broadbent zgłosi porwanie żony, przez kilka dni w okolicy częściej będą krążyły patrole policyjne, ale on będzie bezpieczny w Perdiz Creek, pisząc swoją powieść… A kiedy pojawią się u niego, by go przesłuchać, niczego nie znajdą – ani ciała, ani nic. Bo nigdy nie znajdą jej zwłok. Ma już idealne miejsce ich ukrycia: głęboki, zalany wodą szyb w jednej z pobliskich kopalń. Strop nad szybem podpierały przegniłe stemple; po wrzuceniu zwłok do szybu podłoży niewielki ładunek wybuchowy, by tunel się zawalił. I będzie po wszystkim. Sally zniknie jak Jimmy Hoffa.

Spojrzał na zegarek. Dziewiąta czterdzieści. Za pół godziny będzie w Perdiz Creek. Już nie mógł się doczekać, kiedy tam dotrze.

Jutro zadzwoni z budki telefonicznej do Corvusa i przekaże mu dobrą wiadomość. Spojrzał na telefon komórkowy. Korciło go, żeby od razu do niego zadzwonić. Ale nie, nie wolno mu popełnić żadnego błędu, nie może ryzykować.

Dodał gazu, samochód przechylał się na wyboistej, gruntowej drodze, pokonując szereg wzniesień. Dziesięć minut później dotarł do miejsca, gdzie las sosnowo-jałowcowy ustępował miejsca wysokim sosnom żółtym, ciemnym i kołyszącym się w podmuchach nocnego wiatru.

W końcu dotarł do bramy w brzydkim ogrodzeniu z siatki, otaczającym posiadłość. Wysiadł, otworzył bramę, przejechał,

znów wysiadł i zamknął bramę za sobą. Po paruset metrach znalazł się przed domkiem. Księżyc jeszcze nie wzeszedł i stary dom majaczył ponuro na tle rozgwieżdżonego nieba. Maddoksa aż przeszedł dreszcz. Postanowił, że następnym razem zostawi zapalone światło na ganku.

Potem pomyślał o kobiecie czekającej na niego w mrocznej kopalni, co wywołało falę przyjemnego ciepła w całym ciele.

9

SALLY BOLAŁY nogi od stania w tej samej pozycji, bez możliwości poruszenia się, zimna stal otarła jej skórę na przegubach rąk i kostkach nóg. Chłodne powietrze z głębi kopalni przenikało ją na wskroś. Nikły płomień lampy naftowej chwiał się i przygasał, napełniając ją irracjonalnym lękiem, że w ogóle zgaśnie. Ale najbardziej przerażała ją cisza zakłócana jedynie monotonnym kapaniem wody. Nie potrafiła ocenić, ile minęło czasu, czy była noc, czy dzień.

Nagle zesztywniała, słysząc brzęk. Ktoś otwierał metalową kratę u wejścia do kopalni. Przyszedł. Usłyszała, jak krata zatrzaskuje się za nim i jak dzwoni łańcuch, gdy znów ją zamyka na kłódkę. Teraz słyszała jego kroki, stawały się coraz głośniejsze. Snop światła z latarki zamigotał za belkami, a chwilę później pojawił się mężczyzna. Odkręcił kluczem nasadkowym śruby mocujące belki w wejściu i rzucił je na ziemię. Potem wsunął latarkę do tylnej kieszeni spodni i wszedł do jej małego, kamiennego więzienia.

Sally bezwładnie zawisła na łańcuchach, na wpół przymknęła oczy. Jęknęła cicho.

–Cześć, Sally.

Znów jęknęła. Spod przymkniętych powiek widziała, jak mężczyzna rozpina koszulę, na jego

twarzy widniał uśmiech.

–Jeszcze tylko chwilka – powiedział. – Dobrze się zabawimy. Usłyszała, jak koszula ląduje na ziemi, usłyszała brzęknięcie, kiedy rozpinał klamrę paska.

–Nie – jęknęła słabo.

–Tak. O tak. Koniec czekania, moja droga. Teraz albo nigdy. Słyszała, jak zdejmuje spodnie i rzuca je na ziemię. Kolejny szelest i ciche plaśnięcie, kiedy ściągnął bieliznę.

Obserwowała go ukradkiem, jej oczy przypominały szparki. Stał przed nią nagi, napalony, w jednym ręku trzymał kluczyk, w drugim – broń. Jęknęła i znów spuściła głowę.

–Proszę, nie. – Zwisała bezwładnie, bez życia, słaba, zupełnie bezbronna.

–Chciałaś powiedzieć: proszę, tak. Podszedł do niej, chwycił ją za lewą rękę, wsunął klucz do zamka kajdanek. Kiedy to robił, pochylił

się nad nią, przybliżył twarz do jej włosów. Słyszała, jak wciąga powietrze nosem. Przesunął ustami po jej szyi, drapiąc ją w policzek zarostem na brodzie. Wiedziała, że za chwilę uwolni z kajdanek jej lewą rękę. Potem się cofnie, by kazać jej oswobodzić się z pozostałych obręczy. Taki schemat postępowania sobie obmyślił.

Czekała, zwisając bezwładnie. Usłyszała ciche szczęknięcie, kiedy kluczyk przekręcał się w zamku, i poczuła, jak stalowa bransoletka opada. W tej samej chwili z całych sił zamachnęła się lewą ręką i wytrąciła mu rewolwer. W myślach sto razy powtarzała sobie ten ruch. Zaskoczyła porywacza. Pozbawiła go broni. Nim zdążył pomyśleć, przejechała mu paznokciami po twarzy – paznokciami, które przez godzinę pocierała o skałę, aż stały się ostre i spiczaste. Nie dosięgnęła jego oczu, ale udało jej się mocno rozorać

mu skórę.

Zatoczył się do tyłu, wydając jakiś nieartykułowany okrzyk, i podniósł ręce do twarzy, by się osłonić, upuszczając przy tym latarkę.

Natychmiast sięgnęła wolną ręką do otwartej obręczy. Tak! Wciąż tkwił w niej klucz, częściowo przekręcony. Wyciągnęła go i oswobodziła nogę w samą porę, by z całych sił kopnąć mężczyznę w brzuch, kiedy się podnosił. Uwolniła drugą nogę, a na koniec prawą rękę.

Była wolna!

Klęczał, kaszląc, wyciągnął rękę i już chwycił broń, którą przed chwilą upuścił.

Tak jak przez ostatnie godziny przećwiczyła to sobie w myślach niezliczoną ilość razy, skoczyła do stolika, jedną ręką złapała pudełko zapałek, drugą strąciła lampę naftową na ziemię. Lampa się rozbiła i pomieszczenie pogrążyło się w ciemnościach. Sally

padła na ziemię, kiedy mężczyzna wypalił z rewolweru w jej kierunku. W mikroskopijnym pomieszczeniu huk wystrzału był wprost ogłuszający.

Strzałowi towarzyszył wściekły okrzyk: „Suka!".

Sally, kucnąwszy, szybko przesuwała się w ciemnościach w stronę, gdzie – jak zapamiętała – było wyjście. Już wiedziała, że nie uda jej się uciec z kopalni przez tunel prowadzący na zewnątrz – słyszała, jak mężczyzna zamykał kratę. Jej jedyną szansą było skierowanie się w głąb kopalni i odszukanie drugiego wyjścia – albo jakiejś kryjówki.

–Zabiję cię! – dobiegł ją gardłowy krzyk, po którym rozległ się w ciemnościach kolejny strzał. W błysku eksplodującego naboju dostrzegła rozwścieczonego nagiego mężczyznę, ściskającego broń, rzucającego się dziko; wytatuowany na plecach dinozaur wyglądał groteskowo.

Dzięki błyskowi podczas wystrzału zobaczyła wyjście. Wybiegła przez nie na oślep i rzuciła się w głąb tunelu, ile sił w nogach. Dopiero po pewnym czasie odważyła się zapalić zapałkę. Korytarz się rozwidlał. Szybko upuściła zapałkę i skierowała się do jednego odgałęzienia, mając nadzieję, modląc się w duchu, że zaprowadzi ją do bezpiecznego miejsca gdzieś w głębi kopalni.

10

IAIN CORVUS siedział w taksówce, stojącej naprzeciwko muzeum. W końcu ujrzał szczupłą, dziewczęcą figurę Melodie, mijającej budkę wartownika przy wyjściu dla pracowników. Spojrzał na zegarek: północ. Niezbyt się śpieszyła. Obserwował, jak skręca w lewo, w Central Park West, kierując się do centrum – z pewnością wracała do jakiejś ponurej klitki w Upper West Side.

Corvus jeszcze raz przeklął swoją głupotę. Niemal od początku ich rozmowy tego wieczoru zrozumiał, jaki kolosalny błąd popełnił. Podał Melodie na tacy jedno z najważniejszych odkryć naukowych wszech czasów, a ona skwapliwie postanowiła skorzystać z okazji. Pewnie, że jego nazwisko pierwsze będzie figurowało pod tekstem referatu, bo miał dłuższy staż naukowy, ale lwia część uznania przypadnie jej i nikt nie uwierzy, że samodzielnie dokonał odkrycia. Melodie przyćmi jego wkład, jeśli zupełnie go nie zaćmi.

Na szczęście istniało proste rozwiązanie jego problemu i Corvus pogratulował sobie, że pomyślał o tym, nim było za późno.

Zaczekał, aż Melodie zniknie w mrocznej Central Park West, rzucił taksówkarzowi banknot pięćdziesięciodolarowy i wysiadł. Przeszedł na drugą stronę ulicy i skierował się do wejścia służbowego, machnął swoim identyfikatorem i szybko skinął głową. Dziesięć minut później stał w laboratorium Działu Mineralogii przed zamkniętą na klucz szafką na okazy. Wsadził klucz uniwersalny do zamka i otworzył ją. Poczuł ulgę na widok stosu CD-ROM-ów, dyskietek i spreparowanych fragmentów okazu, starannie poukładanych na półce. Wprost nie mógł uwierzyć, jak dużo Melodie zdołała zrobić w ciągu zaledwie pięciu dni, jak wiele informacji wydobyła z okazu, informacji, których zebranie mniej zdolnemu naukowcowi zajęłoby rok – jeśli w ogóle by mu się to udało.

Wziął płyty kompaktowe; wszystkie były opatrzone nalepkami i opisane. W tym wypadku posiadanie płyt kompaktowych i okazu oznaczało więcej niż dziewięć dziesiątych prawa do odkrycia - zapewniało mu wyłączność. Bez tego Melodie nie mogła domagać się uznania swojego wkładu pracy. Cały splendor spłynie wyłącznie na niego. Ostatecznie to on wszystko ryzykował – nawet wolność – by zdobyć skamielinę tyranozaura dla muzeum.

To on nie dopuścił, by trafiła na czarny rynek. To on podał wszystko Melodie na srebrnej tacy. Gdyby nie zaryzykował, Melodie nie miałaby czego analizować.

Będzie się musiała pogodzić z tym, że skradziono jej wyniki prac. Czy miała inne wyjście? Mogła wprawdzie podjąć walkę z nim. Ale gdyby się odważyła na coś takiego, już nigdy nie zatrudniłby jej żaden uniwersytet. Właściwie nie jest złodziejem. Dokona jedynie korekty rozdziału zasług, odbierze to, co mu się słusznie należy.

Corvus ostrożnie przełożył wszystkie materiały do swojej teczki. Potem podszedł do komputera,

zalogował się i sprawdził wszystkie pliki. Nic. Zrobiła to, co jej kazał, wyczyściła dysk. Odwrócił się i już miał wyjść, kiedy nagle przypomniał sobie jeszcze coś. Musi sprawdzić rejestr wykorzystania sprzętu. Każdy, kto korzystał z drogiej aparatury laboratoryjnej, musiał wpisywać do specjalnej księgi, kiedy i w jakim celu korzystał z urządzeń. Ciekaw był, jak Melodie poradziła sobie z tym wymogiem. Wrócił do pomieszczenia z elektronowym mikroskopem skaningowym, otworzył dziennik i przejrzał go. Z ulgą stwierdził, że nawet tu Melodie postąpiła dokładnie tak, jak należało, wpisując swoje nazwisko i czas pracy z urządzeniem, ale w rubryce „cel" podała nieprawdziwe informacje, dotyczące różnych zleceń, otrzymanych od innych kustoszy.

Wspaniale.

Zamaszystym, lekko pochyłym pismem dokonał nowego wpisu pod własnym nazwiskiem. W rubryce „okaz" zanotował *Góry stołowe! Rzeka Chama, N.M.T. Rex.* Po chwili w kolumnie „Uwagi" wpisał: *Trzecie badanie niezwykłego fragmentu kręgu T. Rex. Nadzwyczajne! To przejdzie do historii.* Złożył swój podpis, dodając datę i godzinę. Przewrócił kilka kartek i w pustych linijkach na końcu stron umieścił dwa podobne wpisy pod odpowiednimi datami i godzinami. To samo zrobił w rejestrach wykorzystania innego nowoczesnego sprzętu.

Już miał opuścić pokój z elektronowym mikroskopem skaningowym, kiedy nagle zawładnęła nim chęć osobistego obejrzenia okazu. Otworzył teczkę, wyjął z niej pudełko z preparatami i wyciągnął z niego jedną płytkę cienką. Obrócił ją wolno w rękach, pozwalając, by światło padło na jej powierzchnię,

powleczoną dwudziestoczterokaratowym złotem. Włączył urządzenie, zaczekał, aż się nagrzeje, a potem umieścił szlif na stoliku preparacyjnym u podstawy mikroskopu.

TAO

Kilka minut później ujrzał przed sobą obraz z mikroskopu elektronowego tkanki kości gąbczastej dinozaura, w której wyraźnie widoczne były komórki i jądra komórkowe. Aż go zatkało. Znów musiał przyznać, że umiejętności Melody jako laborantki były godne podziwu. Obraz był wyraźny, wprost idealny. Corvus nastawił na powiększenie dwa tysiące razy i ekran wypełniła pojedyncza komórka. Dostrzegł w niej jedną z tych czarnych cząsteczek, które Melodie nazwała cząsteczką Wenus. Cóż to takiego, u diabła? Wyglądało dość niepozornie, kulka z dziwacznym, rurkowatym ramieniem, sterczącym pod kątem, z poprzeczką na końcu. Zdumiał go wygląd cząstki: nie była popękana, podziurawiona ani w żaden sposób uszkodzona, czego można byłoby się spodziewać. Idealnie się zachowała przez tych sześćdziesiąt pięć milionów lat.

Corvus pokręcił głową. Był paleontologiem zajmującym się kręgowcami, nie mikrobiologiem. Cząstka była ciekawa, ale stanowiła tylko dodatek do głównej atrakcji: samego dinozaura. Dinozaura, który zginął w wyniku upadku asteroidy Chicxulub. Na myśl o tym aż mu ciarki przeszły po plecach. Znów starał się zapanować nad swoim entuzjazmem. Miał przed sobą jeszcze długą drogę, nim

skamieniałość trafi do muzeum. Przede wszystkim potrzebny mu był ten cholerny notes – w przeciwnym razie może do końca życia błąkać się po górach stołowych i kanionach. Wyjął preparat i wyłączył mikroskop. Starannie zamknął płyty kompaktowe i próbki w teczce, po czym jeszcze raz obszedł laboratorium, sprawdzając, czy nie pozostał najmniejszy ślad. Usatysfakcjonowany, włożył marynarkę i wyszedł z laboratorium, najpierw zgasiwszy światło. Zamknął za sobą drzwi na klucz.

Znalazł się w mrocznym korytarzu w suterenie, oświetlonym szeregiem czterdziestowatowych żarówek, wzdłuż ścian ciągnęły się spocone rury. Okropne miejsce pracy. Zastanowił się, jak Melodie mogła tu wytrzymać. Nawet zastępcy kustoszów mieli gabinety z oknami na czwartym piętrze.

W miejscu, gdzie korytarz zakręcał, Corvus przystanął. Czuł dziwne łaskotanie na karku, jakby ktoś go obserwował. Obejrzał się za siebie, ale w korytarzu za nim nikogo nie było. Jasna

cholera, pomyślał, zrobił się taki nerwowy jak Melodie.

Ruszył przed siebie, przechodząc obok kolejnych laboratoriów, wszystkich zamkniętych na dziesięć spustów. Minął następny zakręt i zawahał się. Mógłby przysiąc, że usłyszał za sobą ciche szuranie podeszwy o cement. Czekał na kolejny odgłos stąpnięcia, spodziewając się, że za chwilę zza rogu ktoś się wyłoni, ale się nie doczekał. Zaklął w duchu; to prawdopodobnie strażnik robiący obchód.

Ściskając teczkę, znów zaczął iść, aż znalazł się przed podwójnymi drzwiami, prowadzącymi do przestronnego magazynu kości dinozaurów. Przystanął, bo wydawało mu się, że znów coś usłyszał za sobą.

–Czy to ty, Melodie? – Jego głos zabrzmiał głośno i nienaturalnie w pustym korytarzu.

Żadnej odpowiedzi.

Ogarnęła go irytacja. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy przyłapano by jednego ze słuchaczy studiów

doktoranckich, jak węszy, albo zaproszonego kustosza, próbującego dostać w swoje ręce czyjeś dane o lokalizacji. Może nawet chodziło im o jego dane – niewykluczone, że ktoś słyszał o tyranozaurze. Albo Melodie się wygadała. Nagle się ucieszył, że okazał się na tyle przezorny, by osobiście zaopiekować się próbką i wynikami analiz. Czekał, nasłuchując.

–Nie wiem, kim jesteś, ale nie pozwolę, żebyś mnie śledził – powiedział ostro. Zrobił jeden krok,

zamierzając zawrócić i stanąć twarzą w twarz ze swoim prześladowcą, ale nerwy go zawiodły. Uświadomił

sobie, że się boi.

To niedorzeczne. Rozejrzał się dookoła, zobaczył błyszczące, metalowe drzwi magazynu kości dinozaurów. Podszedł do nich i możliwie najciszej wsunął swoją kartę do magnetycznego czytnika. Światełko zmieniło się z czerwonego na zielone i drzwi cicho się odblokowały. Pchnął je, wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą. Usłyszał, jak elektroniczne rygle znów się uaktywniły.

W drzwiach było małe okienko z szybą ze szkła zbrojonego, przez które mógł obserwować korytarz. Będzie się teraz mógł przekonać, kto za nim szedł. Wniesie ostrą skargę przeciwko niemu,

kimkolwiek jest; tego rodzaju zachowanie jest niedopuszczalne.

Minęła minuta, a potem szybę nagle przesłonił czyjś cień. Pojawiła się czyjaś twarz; najpierw z profilu, a potem *en face.* Ktoś odwrócił głowę w stronę drzwi z okienkiem.

Corvus, wstrząśnięty, pośpiesznie się cofnął w głąb ciemnego magazynu, ale wiedział, że mężczyzna go zobaczył. Czekał otulony płaszczem kompletnych ciemności, spoglądając na twarz mężczyzny. Była oświetlona od tyłu i częściowo ukryta w cieniu; ale i tak widział rysy, napiętą skórę na wydatnych kościach policzkowych, strzechę kruczoczarnych włosów, mały, bardzo kształtny nos i usta przypominające cienkie wałeczki gliny. Nie widział jego oczu, tylko dwa kręgi cienia pod brwiami mężczyzny. Nie znał tego człowieka. Nie był pracownikiem muzeum ani studentem. Jeśli jest zaproszonym przez muzeum paleontologiem, musi być naprawdę mało znany, skoro Corvus go wcześniej nie spotkał -tworzyli nieliczne grono.

Corvus prawie wstrzymał oddech. Było coś w absolutnym opanowaniu, malującym się na twarzy mężczyzny, co obudziło w nim strach – to i te szare, martwe usta. Mężczyzna stał bez ruchu na wprost okienka. Potem rozległ się cichy szelest, odgłos pocierania, słabe szczęknięcie. Gałka w drzwiach wolno zrobiła ćwierć obrotu, a następnie równie wolno wróciła do pierwotnej pozycji.

Corvus nie mógł w to uwierzyć: ten łobuz próbował się dostać do środka. Akurat! Tylko garstka ludzi miała dostęp do magazynu dinozaurów, mieszczącego okazy warte miliony dolarów. A ten mężczyzna z całą pewnością nie należał do tej garstki. Corvus wiedział, że drzwi są wykonane z dwóch półcentymetrowej grubości arkuszy blachy stali nierdzewnej, między którymi jest tytanowy rdzeń o strukturze plastra miodu, i wyposażone w zamek, praktycznie rzecz biorąc, nie do sforsowania.

Kolejny cichy szelest, jedno kliknięcie, drugie. Światełko po wewnętrznej stronie drzwi nadal było czerwone, tak jak to przewidywał Corvus. Niemal miał ochotę roześmiać się na głos,

szyderczo i wyniośle, ale sama obecność mężczyzny budziła jego zdumienie i niepokój. Czego, u diabła, od niego chce?

Corvus nagle przypomniał sobie o telefonie w głębi magazynu, gdzie były stoły do pracy. Zadzwoni po strażników, żeby aresztowali tego gnojka. Odwrócił się, ale było tak ciemno, a pomieszczenie tak wielkie, stało tu tyle półek i swobodnie rozmieszczonych okazów dinozaurów, że Corvus zrozumiał, iż nie udałoby mu się tutaj wrócić, nie zapaliwszy światła. A jeśli zapali światło, mężczyzna ucieknie. Wyjął z marynarki telefon komórkowy, lecz naturalnie tak głęboko pod ziemią nie było zasięgu. Mężczyzna nadal majstrował przy gałce, starając się dostać do środka. Wprost nie do wiary.

Jeszcze kilka cichych szmerów, głośniejsze szczęknięcie – i Corvus z niedowierzania szeroko otworzył oczy.

Lampka nad drzwiami zmieniła się z czerwonej na zieloną.

MINĄWSZY SAMOCHÓD porywacza, który zjechał z szosy i zgasił światła, Tom pojechał dalej, aż zniknął z pola widzenia mężczyzny, i dopiero wtedy zawrócił. Na szosie było ciemno. Porywacz najwidoczniej skręcił w jedną z wielu leśnych dróg, prowadzących w góry Canjilon.

Tom dodał gazu i po kilku minutach znalazł miejsce, gdzie mężczyzna zjechał na pobocze, zostawiając na piasku wyraźne ślady. Kawałek dalej zaczynała się leśna droga, zobaczył na niej identyczne ślady opon.

Tom wolno ruszył dodge'em, jadąc z wyłączonymi światłami. Droga prowadziła na pogórze Canjilon nad Mesa de los Viejos. W miarę jak się pięła w górę, sosny pińón i jałowce stopniowo ustępowały miejsca mrocznemu lasowi sosen żółtych. Przezwyciężył chęć włączenia świateł i zwiększenia prędkości jazdy; jego jedynym atutem było zaskoczenie. Czuł w głębi serca, że Sally wciąż żyje. Nie mogła być martwa. Wiedziałby o tym.

Droga wiła się w górę stromego grzbietu, gęsto porośniętego sosnami żółtymi, a na samym szczycie prowadziła nad urwisko. Tutaj pomiędzy drzewami rozciągał się rozległy widok na góry stołowe, dominował duży, ciemny kontur Mesa de los Viejos. Droga zakręcała z powrotem w las i wkrótce z mroku wyłoniło się ogrodzenie z siatki błyszczącej nowością. Drogę przegradzała brama. Na zniszczonej tabliczce można było przeczytać:

OBÓZ CKOP PERDIZ CREEK

A na płocie wisiała nowa tabliczka:

WŁASNOŚĆ PRYWATNA WSTĘP WZBRONIONY

OSOBY NARUSZAJĄCE ZAKAZ ZOSTANĄ POCIĄGNIĘTE DO ODPOWIEDZIALNOŚCI ZGODNIE Z OBOWIĄZUJĄCYMI PRZEPISAMI PRAWA

Była to jakaś wydzielona działka na terenie lasów państwowych. Tom zjechał z drogi i zgasił silnik. Dopiero teraz miał czas, żeby wyciągnąć broń ze schowka w drzwiach. Był to mocno zużyty rewolwer J.C. Higgins model 88, kaliber pięć i pół milimetra, prawdziwy szajs. Sprawdził bębenek – dziewięć komór nabojowych, wszystkie puste.

Ze schowka w drzwiach wyciągnął plik starych map i pustą półlitrówkę jima beama. Pomacał, ale nie natrafił na naboje. Otworzył schowek na drobne przedmioty i przeszukał go, wygarniając kolejne mapy i puste butelki. Na samym dnie znalazł jeden porysowany nabój, który włożył do bębenka, po czym wsunął broń za pasek. Do kieszeni wsadził latarkę Maglite, znalezioną w schowku, a następnie przeszukał całą furgonetkę – zajrzał pod fotele i w każdy zakamarek, mając nadzieję, że natknie się na jakieś naboje. Ale nie znalazł ani jednego.

Wysiadł z wozu. Panowała cisza, jeśli nie liczyć szmeru nocnego wietrzyku między drzewami i pohukiwania sowy. Brama była zamknięta na kłódkę. Widział, że droga zakręca i ginie wśród drzew. W oddali dostrzegł słabe światełko.

Domek.

Tom wspiął się na parkan, zeskoczył po drugiej stronie, a potem ruszył biegiem w kierunku światła.

12

SALLY WOLNO czołgała się ciemnym tunelem, ale po chwili się zatrzymała i zaczęła nasłuchiwać. Usłyszała, jak mężczyzna maca w ciemnościach, przeklinając. Najwyraźniej szukał latarki.

Spojrzała przed siebie w mrok. Dokąd prowadził tunel? Dotknęła zapałek, ale nie odważyła się zapalić, bo wiedziała, że wtedy stanie się wyraźnie widocznym celem. Znów ruszyła przed siebie, starając się robić możliwie najmniej hałasu. Rozległy się kolejne strzały, ale mężczyzna strzelał na chybił trafił. Czołgała się najszybciej, jak mogła, ocierając sobie kolana o kamieniste dno tunelu, macając ręką przed sobą. Po kilku minutach natrafiła dłonią na coś zimnego – oślizgłe, przegniłe drewno. Czuła zimne, wilgotne powietrze kopalni, wydobywające się z szybu. Położyła się na brzuchu, przesunęła ręką wzdłuż balustrady i natrafiła na ostrą krawędź skały. Pomalutku posuwała się do przodu, macając ręką – skała była śliska i mokra, najpewniej stanowiła pionową ścianę szybu.

Mając nadzieję, że wokół szybu jest przejście, przykucnęła i zaczęła się posuwać, cały czas trzymając się balustrady.

Rozległ się krzyk:

–Nie wydostaniesz się stąd, suko. Krata jest zamknięta na kłódkę, a klucz mam ja. – Porywacz

umilkł, a po chwili znów przemówił, starając się nieco opanować: – Hej, słuchaj, nic ci nie zrobię.

Zapomnijmy o wszystkim. Zachowujmy się rozsądnie. Porozmawiajmy.

Sally dotarła do ściany tunelu. Wyglądało na to, że szyb rozciągał się na całą jego szerokość, blokując dalszą drogę. Znieruchomiała, serce waliło jej jak oszalałe.

–Słuchaj, przepraszam cię za to wszystko. Poniosło mnie. Wciąż słyszała, jak po omacku szuka

latarki, którą upuścił. Latarka mogła nadal działać. Sally musi znaleźć drogę w dół szybu, i to prędko.

Wycofała się wzdłuż barierki, aż dotarła do przerwy w niej. Czy w tym miejscu było zejście? Znów położyła się płasko na brzuchu i wychyliła poza krawędź szybu, macając mokre kamienie ściany. Drabina! Pierwszy szczebel był przegniły ze starości.

Musi go obejrzeć, zanim zacznie schodzić w dół. Musi zaryzykować i zapalić zapałkę.

–Ej, wiem, że tam jesteś. Więc bądź rozsądna. Obiecuję, że puszczę cię wolno.

Wyciągnęła pudełko zapałek, otworzyła je, wyjęła zapałkę. Potem znów nachyliła się nad

krawędzią i potarła zapałkę, starając się, żeby płomień rozbłysnął poniżej krawędzi szybu. Wznoszące się powietrze sprawiło, że płomień zamigotał i zrobił się niebieski, ale dał dość światła, żeby mogła w nim zobaczyć przegniłą drewnianą drabinę, niknącą w czarnej, zda się, bezdennej czeluści. Wiele szczebli było złamanych albo przegniłych lub pokrytych białym grzybem. Próba zejścia po tej drabinie równała się samobójstwu.

Bum! **Rozległ się huk wystrzału, kula odłupała skałę tuż obok niej z prawej strony, na jej ramię posypały się odłamki kamieni.**

Upuściła zapałkę, wydając mimo woli zduszony okrzyk. Przez moment płomień migotał, nim zgasł.

–Ty suko! Zabiję cię!

Spuściła nogę w czarną studnię i postawiła stopę na przegniłym szczeblu. Sprawdziła, czy

wytrzyma ciężar jej ciała, a potem wolno opuściła się w dół, wypróbowując kolejne szczeble.

Usłyszała zduszony okrzyk triumfu, a potem pstryknięcie – i nagle nad jej głową mignął snop światła.

Schyliła głowę i zaczęła szybciej schodzić po drabinie. Niemal od razu jeden szczebel się złamał i noga zawisła jej w próżni, nim znalazła dla niej oparcie. Cała drabina skrzypiała i chybotała się.

Schodziła w dół, szczebel po szczeblu, dysząc z wysiłku, drabina się chwiała, wokół kapały krople wody. Kolejny szczebel

złamał się pod ciężarem jej ciała, już drugi, i zawisła na rękach w ciemnościach. Wstrzymała oddech, opuściła się nieco i szukała nogami, aż znów natrafiła na mocny szczebel.

Nagle u wylotu szybu pojawił się snop światła, jego blask ją oślepił. Rzuciła się w bok, kiedy usłyszała odgłos strzału. Kula utkwiła w szczeblu, cała drabina chybotała się od gwałtownych ruchów Sally.

Rozległ się śmiech.

–To było tylko na próbę. Ale teraz koniec żartów.

Znów spojrzała w górę. Pochylał się nad otworem szybu siedem metrów nad nią, w jednym ręku

trzymał latarkę, w drugim wycelowaną broń. Wykluczone, by spudłował. Wiedział, że ją ma, więc się nie śpieszył. Zaczęła szybko schodzić po skrzypiącej drabinie. W każdej chwili mógł pociągnąć za spust. Spojrzała w górę i zobaczyła tylko zarys jego głowy w blasku latarki. Przestała schodzić – to było bezcelowe.

–Nie – wykrztusiła. – Proszę, nie.

Wyprostował rękę, stalowa muszka broni błysnęła w świetle. Widziała, jak on napina mięśnie ręki i

naciska spust.

–Pocałuj mnie w dupę, suko.

Sally zrobiła jedyne, co mogła: puściła się drabiny i zleciała w ciemną czeluść.

13

CORVUS GAPIŁ się na zieloną diodę elektroluminescencyjną, sparaliżowany strachem. Jak ten człowiek zdołał pokonać muzealne zabezpieczenia? Czego, u diabła, chciał?

Drzwi się otworzyły, klin żółtego światła na podłodze powiększał się, dosięgnął stojącego szkieletu allozaura, przemieniając go w monstrum ze święta Halloween. Cień jego prześladowcy padł na dinozaura. Kiedy intruz zrobił kolejny krok, Corvus zobaczył, że mężczyzna trzyma jakąś broń o długiej lufie.

Ten widok wyrwał Corvusa z osłupienia i zdopingował go do działania, odwrócił się więc i pobiegł w głąb ciemnego magazynu wąskim przejściem między solidnymi stalowymi półkami, na których leżały stosy kości i czaszek. Przyśpieszył kroku i skręcił w prawo, pobiegł kolejnym przejściem, by skręcić, tym razem w lewo. Przystanął, dysząc, przyczaiwszy się za dużą czaszką centrozaura. Obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy mężczyzna go ściga. Serce waliło mu tak głośno, że słyszał rytmiczny szum krwi w uszach. Spojrzał przez otwór w czaszce dinozaura i zobaczył, że mężczyzna się nie poruszył: jego czarna sylwetka była wyraźnie widoczna w progu otwartych drzwi. W końcu uniósł broń, odsunął się i pozwolił, żeby drzwi się zamknęły, rygle automatycznie się zablokowały. W magazynie znów zapanowały ciemności.

Corvus myślał gorączkowo. To szaleństwo: ktoś poluje na niego w jego własnym muzeum. To musi mieć jakiś związek z tyranozaurem z Nowego Meksyku. Ten człowiek chciał zdobyć dane o jego lokalizacji i aby to osiągnąć, był gotów nawet go zabić.

Kustosz usłyszał czyjś głośny oddech. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to on tak dyszy, i spróbował się opanować. W miarę bezszelestnie zdjął buty i w samych skarpetkach wycofał się jeszcze głębiej między ciemne szeregi skamielin, do tej części magazynu, gdzie trzymano największe, stojące okazy, ściśnięte jeden obok drugiego.

Tam najlepiej się mógł ukryć. Lecz jak długo można siedzieć w ukryciu? Magazyn był wielki jak hala, ale mężczyzna miał dość czasu, by go wytropić.

W ciemnościach rozległ się spokojny i beznamiętny głos.

–Chciałbym z panem porozmawiać, panie profesorze.

Corvus nie odpowiedział. Musiał dotrzeć do bezpieczniejszej kryjówki. Szedł na czworakach, macając drogę przed sobą, ostrożnie, żeby nie narobić hałasu. Przypomniał sobie, że gdzieś tu jest potężny szkielet tryceratopsa, przykryty plastikową płachtą; mógł się w nim ukryć. Nawet po zapaleniu światła będzie się znajdował w głębokim cieniu szkieletu, a lity, kostny kołnierz w kształcie wachlarza osłoni go niczym kaptur. Tryceratops znajdował się pomiędzy kilkunastoma częściowo złożonymi szkieletami dinozaurów; wszystkie były przykryte plastikiem. Zaczął się czołgać wśród lasu kości, pod zwisającymi

płachtami plastiku, zapuszczając się coraz głębiej w bezładny gąszcz skamielin. W pewnej chwili zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać, ale nie dobiegł go odgłos kroków. Dziwne, że mężczyzna nie zapalił światła.

–Doktorze Corvus, tracimy cenny czas. Proszę wyjść.

Corvus doznał wstrząsu: głos rozległ się już nie od strony drzwi. Dobiegł z mniejszej odległości,

nieco na prawo od niego. Mężczyzna poruszał się w ciemnościach, ale tak cicho, że nic nie było słychać.

Corvus znów zaczął się czołgać, bardzo ostrożnie, macając kości stóp każdego dinozaura, próbując je zidentyfikować, a potem sobie przypomnieć, w którym miejscu zagraconego magazynu jest przechowywany.

Potrącił coś i kość upadła z grzechotem.

–To zaczyna być męczące.

Głos był bliżej – znacznie bliżej. Corvus miał ochotę zapytać: *Kim jesteś?* Ale nie zrobił tego;

doskonale wiedział, kim jest mężczyzna – cholernym rywalem, paleontologiem albo kimś, kto pracuje dla jakiegoś paleontologa i przyszedł tu, żeby ukraść jego odkrycie. Przeklęci Amerykanie to sami przestępcy i złodzieje.

Corvus uniósł w górę jeszcze jedną płachtę plastiku, która głośno zaszeleściła. Znieruchomiał, wstrzymując oddech, a potem znów zaczął macać przed sobą. Gdyby tylko udało mu się rozpoznać któregoś z tych cholernych dinozaurów, wiedziałby, gdzie jest – tak, to widełki owiraptora *Ingenia.* Skręcił w prawo, omijając plastikowe płachty, i macał w ciemnościach, aż natrafił na jeden krąg ogona, potem kolejny, i zagięty żelazny pręt, który je podtrzymywał. To był tryceratops. Wyciągnął rękę, ujął grubą plastikową płachtę, nadzwyczaj ostrożnie uniósł ją i wślizgnął się pod nią. Kiedy już się znalazł pod płachtą, wymacał jedno żebro, potem następne. Posuwał się do przodu, gdzie mógł przycupnąć pod hakowatym dziobem dinozaura o czaszce długości dwóch metrów, uzbrojonej w trzy rogi. Ostrożnie przesuwał się ku pustej przestrzeni, gdzie kiedyś były serce i płuca zwierzęcia. Nawet przy zapalonym świetle cholernie trudno będzie go wypatrzyć. Mężczyźnie może zająć wiele godzin odnalezienie go, może nawet całą noc. Czekał przykucnięty, nie ruszając się, serce mu waliło w piersiach.

–Ukrywanie się jest bezcelowe. Idę do pana.

Głos rozległ się bliżej, znacznie bliżej. Corvusa ogarnął strach. Czuł się, jakby ktoś mu wpuścił do

głowy rój pszczół. Nie mógł wyrzucić z pamięci obrazu tej długiej lufy. To nie żarty: ten facet go zabije.

Potrzebna mu broń.

Pomacał klatkę piersiową dinozaura, złapał żebro, próbował je wyrwać, ale było solidnie umocowane. Spróbował jeszcze kilka, w końcu znalazł jedno, które trochę się poruszyło, kiedy je szarpnął. Pomacał żelazne rusztowanie, szukając nakrętki motylkowej i śruby przytrzymującej kość. Znalazł ją i spróbował odkręcić. Na próżno. Wymacał inną nakrętkę, ale ta też ani drgnęła.

Jasna cholera, powinien wziąć jakąś luzem leżącą kość, kiedy miał okazję, by się nią posłużyć jako bronią.

–Doktorze Corvus, powtarzam: to się staje męczące. Idę do pana. *Głos był jeszcze bliżej.* W jaki

sposób ten człowiek poruszał się tak

bezszelestnie w ciemnościach? Skąd tak dobrze orientował się

w tym pomieszczeniu? Zupełnie jakby unosił się w mroku. W przypływie desperacji Corvus zaczął się szamotać z nakrętką motylkową, szarpiąc ją, próbując odkręcić; czuł, jak zardzewiała nakrętka wpija mu się w ciało, a po skórze płynie ciepła krew – ale nakrętka ani drgnęła.

Zrezygnował. Głośno przełknął ślinę, opanował oddech. Serce waliło tak mocno, że wydawało mu się, że je słychać – ale przecież nie można usłyszeć bicia czyjegoś serca, prawda? Jeśli będzie siedział bez ruchu, nie odezwie się, mężczyzna nigdy go nie znajdzie w tych ciemnościach. To niemożliwe.

–Doktorze Corvus – usłyszał głos mężczyzny – chodzi mi jedynie o drobną informację na temat

tyranozaura. Kiedy ją uzyskam, zostawię pana w spokoju.

Corvus siedział skulony, nie mogąc opanować drżenia ciała. Głos rozległ się w odległości niespełna trzech metrów.

TOM BIEGŁ przez las w kierunku żółtego światła, widocznego między drzewami. Zwolnił, kiedy znalazł się w pobliżu domku. Zaczął się ostrożnie skradać, trzymając się w cieniu. Był to duży, piętrowy dom z gankiem. W świetle lampy zobaczył range-rovera zaparkowanego przed domem.

Nagle uświadomił sobie, że już tu kiedyś był, wiele lat temu, z grupką przyjaciół, którzy chcieli zwiedzać opuszczone miasta w górach. Wtedy teren ten był nieogrodzony, a dom niewyremontowany.

Tom przywarł do szorstkich bali ściany i zaczął się skradać, aż znalazł się obok okna. Zajrzał do środka. Zobaczył pokój o drewnianych ścianach, z kamiennym kominkiem i indiańskimi dywanikami na podłodze; na ścianie wisiał łeb łosia. Paliła się tylko jedna lampa i Tom odniósł wrażenie, że w domu nikogo nie ma. Nasłuchiwał. Dom pogrążony był w ciszy, w oknach na piętrze było ciemno.

Sally tutaj nie było. Okrążył dom i spojrzał na wymarłe miasto w słabym świetle lampy na ganku. Pochylony, poruszając się cicho i co chwila przystając, by nasłuchiwać, podkradł się do samochodu i położył rękę na masce – silnik był jeszcze ciepły. Przykucnął obok drzwi dla pasażera, wyjął latarkę znalezioną w schowku w dodge'u i zapalił ją. Skierował snop światła w dół i uważnie przyjrzał się śladom na ziemi. Na sypkim piasku widział liczne odciski kowbojskich butów. Spojrzał kawałek dalej. Tuż za samochodem zobaczył coś, co wyglądało jak dwa równoległe rowki, pozostawione przez obcasy. Oświetlił ślady latarką i zobaczył, że biegną niebrukowaną ulicą w kierunku wąwozu na drugim końcu miasta.

Serce szarpnęło mu się gwałtownie w piersiach. Czy ciągnął tędy Sally? Czy była nieprzytomna? Wąwóz, o ile dobrze pamiętał, prowadził do jakiejś nieczynnej kopalni złota. Przystanął, próbując sobie przypomnieć ukształtowanie terenu. Rękę bezwiednie położył na kolbie rewolweru zatkniętego za pasek.

Jeden nabój.

Podążył za śladami wzdłuż ulicy na drugi koniec starego obozowiska. Tam ślady ginęły w lasach u wylotu wąwozu. W

świetle latarki dostrzegł świeżo stratowane chwasty, zarastające dróżkę. Nasłuchiwał, ale słyszał jedynie westchnienia wiatru wśród sosen. Podążył szlakiem i po czterystu metrach znalazł się na odkrytym terenie w miejscu, gdzie dolina się rozszerzała. Szlak prowadził w górę zbocza wzgórza. Ruszył sprintem. Droga biegła poniżej grzbietu pomiędzy kępami sosen i kończyła się przed starą, drewnianą szopą.

Sally uwięziono w kopalni. I obydwoje tam teraz byli.

Drzwi szopy zamknięto na kłódkę. Przystanął, opierając się chęci roztrzaskania jej, i zaczął nasłuchiwać. Panowała absolutna cisza. Przyjrzał się dokładnie kłódce i stwierdził, że wcale nie była zatrzaśnięta, jedynie wisiała na łańcuchu; zgasił latarkę, pchnął drzwi i wślizgnął się do środka.

Osłonił ręką latarkę i włączył ją tylko na tak długo, by się zorientować, gdzie jest. Przed nim znajdował się wjazd do kopalni, paszcza wycięta w skalistym zboczu wzgórza, ziejąca wilgotnym,

stęchłym powietrzem. Wejście blokowała ciężka, żelazna krata, zamknięta na wielką kłódkę z hartowanej stali.

Tom nasłuchiwał, wstrzymawszy oddech. Z tunelu kopalni nie dobiegał żaden odgłos. Obejrzał kłódkę, ale ta była zamknięta. Przykucnął i wyjąwszy latarkę, przyjrzał się ziemi. Ślady w miałkim pyle były wyjątkowo wyraźne, należały do mężczyzny noszącego buty numer jedenaście albo dwanaście. Z boku zobaczył odcisk obcasów Sally oraz pozostawiony na ziemi ślad w miejscu, gdzie leżała. Położył ją tam, kiedy otwierał kratę. Sally musiała być nieprzytomna. Tom zdusił w zarodku kolejne myśli.

Próbował się zastanowić, co może zrobić. Musiał się dostać do środka – albo wywabić mężczyznę z kopalni i zastrzelić go, jak tylko pojawi się w pobliżu wyjścia.

Słysząc jakiś cichy odgłos, dobiegający z kopalni, Tom znieruchomiał. Krzyk? Nie miał odwagi odetchnąć. Po chwili usłyszał kolejny odgłos, słaby okrzyk, zniekształcony po przebyciu długiej drogi w kamiennej gardzieli. Głos należał do mężczyzny.

Tom złapał kłódkę i zaczął nią szarpać, próbując ją otworzyć, ale na próżno. Krata była wykuta z grubej stali i zabetonowana w

kamieniu. Nie miał co się łudzić nadzieją, że uda mu sieją wyłamać.

Kiedy rozglądał się dookoła, usłyszał kolejny gniewny krzyk, znacznie wyraźniejszy i głośniejszy. Wyłowił z niego tylko jedno słowo: suka.

Sally była tam. I żyła. A potem dobiegł go stłumiony huk wystrzału.

15

BOB BILER włączył radio w chevrolecie z pięćdziesiątego siódmego roku i zaczął kręcić gałką, mając nadzieję, że znajdzie swoją ulubioną radiostację gdzieś z okolic Albuquerque, nadającą stare przeboje, ale znów usłyszał tylko szumy i gwizdy. Wyłączył radio i na pocieszenie pociągnął łyk z półlitrowej butelki jima beama, którą wziął z miejsca dla pasażera. Cmoknął i oblizał z zadowoleniem usta, potem rzucił butelkę z powrotem na fotel, przesunął dłonią po kilkudniowym zaroście i uśmiechnął się. To się nazywa mieć fart.

Biler dał spokój próbom zrozumienia dziwacznego incydentu przed Sunrise. Ktoś ukradł jego dodge'a i zostawił mu ślicznego, zabytkowego chevroleta z kluczykiem w stacyjce, wartego przynajmniej dziesięć razy więcej od jego starego grata. Może powinien zadzwonić na policję, ale uznał, że ma prawo do tego auta, jeśli ktoś zwinął jego wóz. Zresztą opróżnił już jedną butelkę jima beama i w takim stanie nie powinien dzwonić na policję. Ostatecznie skradziono jego furgonetkę, a nie ma obowiązku zgłaszania kradzieży własnego wozu, prawda? –

Niespodziewanie wjechał prawymi kołami na pobocze, więc gwałtownie skręcił kierownicą w lewo, niemal zjechał na lewe pobocze, aż opony zapiszczały, ale w końcu znów udało mu się wyprowadzić auto na środek szosy. Przerywana żółta linia biegła prosto jak strzelił i ginęła w ciemnościach. Zaczął jechać okrakiem wzdłuż niej, żeby sobie ułatwić życie. Spokojna głowa, zobaczy światła samochodu nadjeżdżającego z naprzeciwka z odległości miliona kilometrów, będzie miał masę czasu, by zjechać na swój pas. Dla poprawy koncentracji pociągnął kolejny łyk alkoholu i cmoknął głośno, kiedy oderwał butelkę od ust.

Było już po dziesiątej, Biler dotrze do Espańoli o wpół do jedenastej. Jezu, ale był zmęczony, miał za sobą kawał drogi z Dolores, gdzie pojechał w odwiedziny do swej córki i tego nicponia, jej bezrobotnego męża. Gdyby tylko udało mu się złapać tę stację z Albuquerque, nadającą stare przeboje -jakaś piosenka Elvisa naprawdę podniosłaby go na duchu. Włączył radio, znów zaczął kręcić gałką, wśród szumów wyłowił coś, co przypominało muzykę, i zaprzestał dalszych poszukiwań. Może kiedy znajdzie się bliżej, sygnał stanie się silniejszy.

Zobaczył reflektory w oddali i skręcił na swój pas ruchu. Minął go radiowóz. Obserwował, jak się oddala, spojrzał jeszcze raz, kiedy czerwone tylne światła zaczęły niknąć w ciemnościach. Potem zobaczył zaniepokojony, że światła nagle pojaśniały – gliniarz zahamował – następnie zamigotały, a na koniec zastąpiły je wyraźniejsze, białe światła reflektorów, kiedy kierowca zawrócił.

Jasna cholera. Biler zrzucił butelkę z siedzenia i kopnął ją pod fotel. Wóz znów zboczył z szosy, więc Biler szybko skupił całą uwagę na drodze przed sobą i furgonetka zakołysała się, kiedy wyprowadził ją na prostą. Cholera, lepiej, jeśli nieco zwolni i zacznie jechać jak stara baba. Przenosił wzrok z drogi na

prędkościomierz i na lusterko wsteczne. Jechał równo dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę i był prawie pewien, że kiedy gliniarz go mijał, on nie przekroczył setki, czyli jechał o dziesięć kilometrów wolniej, niż wynosiła dopuszczalna prędkość. Biler, jak większość kierowców jeżdżących po pijanemu, nigdy nie przekraczał dopuszczalnej prędkości. Po kilku minutach zaczął się uspokajać. Gliniarz nie włączył koguta i nie przyśpieszył, żeby go dogonić. Jechał z taką samą szybkością jak on, może ze czterysta metrów za nim, spokojnie i równo – jakiś policjant na służbie. Biler trzymał ręce na kierownicy na godzinie drugiej i dziesiątej, patrząc przed siebie, jadąc z szybkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Gotów był się założyć o wszystko, że nie ma lepszego kierowcy od niego.

PRZEZ CHWILĘ Sally leżała w płytkiej wodzie, ogłuszona upadkiem. Właściwie nie leciała długo i była bardziej przestraszona niż potłuczona. Ale wciąż groziło jej niebezpieczeństwo. Nim zdążyła zebrać myśli, zobaczyła snop światła padający z góry. Po chwili oświetlił ją i Sally rzuciła się w bok, kiedy zaczęły świstać kule, rozpryskując wodę. Pobiegła przez sadzawkę tam, gdzie w blasku latarki dostrzegła tunel niknący w ciemnościach. Moment później znalazła się za rogiem, poza zasięgiem kul.

Oparła się o ścianę, głośno dysząc. Czuła ból w całym ciele, ale chyba nic sobie nie złamała. Wymacała w kieszeni na piersiach pudełko zapałek. Jakimś cudem pudełko w środku pozostało suche, chociaż na zewnątrz się zmoczyło. Zapałki były długie, drewniane, sztormowe. Potarła jedną z nich o skalną ścianę raz, drugi. Zapałka zapłonęła przy trzeciej próbie. W jej nikłym świetle Sally ujrzała przed sobą długi korytarz, podparty przegniłymi dębowymi stemplami. Dnem tunelu płynął płytki strumień, miejscami tworzący bajora. Stan sztolni był tragiczny; na ziemi leżały belki, skalne bloki, które oderwały się od ścian i stropu, częściowo tarasowały przejście. Stemple, które jeszcze stały, wyglądały, jakby za chwilę miały się złamać, w skalistym sklepieniu widoczne były duże pęknięcia, dębowe belki uginały się pod ciężarem przemieszczonych skał.

Biegła tunelem, osłaniając zapałkę, aż płomień zaczął parzyć jej palce i musiała ją rzucić. Szła po ciemku tak długo, jak miała odwagę, odtwarzając w pamięci to, co znajdowało się przed nią. Kiedy zbyt się bała, by iść dalej, przystanęła i zaczęła nasłuchiwać. Czy podążał za nią? Wydawało się mało prawdopodobne, by zaryzykował zejście po drabinie, po której ona zeszła – nikt przy zdrowych zmysłach by tego nie zrobił, zresztą zbyt wiele szczebli się złamało, kiedy Sally schodziła. Będzie musiał znaleźć linę, to da jej przynajmniej chwilę wytchnienia. Ale nie więcej niż chwilę: przypomniała sobie, że w nogach jej posłania w celi leżał zwój liny.

Sally starała się skupić i myśleć racjonalnie. Przypomniała sobie, że gdzieś przeczytała, że wszystkie jaskinie oddychają i najlepszym sposobem, by wyjść z jaskini, jest podążanie za jej „oddechem" – to znaczy za strumieniem powietrza. Zapaliła

zapałkę. Płomień skierował się w kierunku, z którego przyszła. Ruszyła w przeciwną stronę, w głąb kopalni, brodząc w wodzie, idąc tak szybko, jak tylko mogła, w panujących ciemnościach. Sztolnia skręcała w prawo i otwierała się na dużą galerię, której strop wspierał się na słupach wykutych w skale. W płomieniu drugiej zapałki zobaczyła, że wychodzą z niej dwa tunele. Woda wpływała do lewego. Sally przystanęła, płomień był tak nikły, że ledwo widziała, gdzie kieruje się strumień powietrza. Postanowiła skręcić w prawy korytarz, ten, który biegł lekko w górę.

Zapałka się wypaliła, Sally rzuciła ją na ziemię. Po ciemku policzyła, ile jej jeszcze zostało zapałek w pudełku. Piętnaście.

Próbowała posuwać się do przodu w ciemnościach, ale szybko się zorientowała, że za wolno się

porusza. Musiała maksymalnie zwiększyć odległość, jaka ją dzieli od mężczyzny. Teraz była odpowiednia pora, by korzystać z zapałek, nie ma co ich oszczędzać na później.

Zapaliła kolejną i ruszyła w górę tunelu, minęła zakręt i zobaczyła, że drogę blokuje zawał. Spojrzała w ciemną dziurę w stropie, przez którą spadła olbrzymia masa skał, tworząc w dole bezładny stos. Kilka bloków wielkości samochodów wciąż wisiało nad jej głową pod zwariowanymi kątami, podpartych przewróconymi stemplami. Wyglądały, jakby przy lada potrąceniu miały się zawalić.

Sally zawróciła i skręciła w lewy tunel, ten, który opadał w dół i którym płynął strumień. Ogarniała ją coraz większa panika; w każdej chwili porywacz mógł ją dopaść. Podążała za płynącą wodą, miejscami brodziła w sadzawkach. Miała nadzieję, że strumień zaprowadzi ją do wyjścia. Tunel początkowo biegł w dół, ale potem zaczął prowadzić poziomo. Woda była coraz głębsza i Sally stwierdziła, że coś tamuje odpływ; wkrótce woda sięgała jej prawie do pasa. Za kolejnym zakrętem Sally zrozumiała, co jest tego powodem: zawał zupełnie blokował tunel i woda nie mogła dalej swobodnie spływać. Przeciskała się przez szczeliny między zawalonymi skałami, ale nie było między nimi wystarczająco dużego otworu, by Sally mogła się przedostać.

Zaklęła pod nosem. Czy był jeszcze jakiś tunel, który przeoczyła? Wiedziała w głębi serca, że nie. W ciągu pięciu minut zbadała cały dostępny jej fragment kopalni. Krótko mówiąc,

znalazła się w potrzasku.

Drżącymi rękami zapaliła kolejną zapałkę. Rozglądała się, rozpaczliwie szukając jakiejś drogi, tunelu albo korytarza, który mogła przeoczyć. Poparzyła sobie palce, zaklęła pod nosem i zapaliła następną zapałkę. Musi być stąd jakieś wyjście.

Znów wróciła po swoich śladach, lekkomyślnie zapalając zapałkę za zapałką, aż dotarła do pierwszego zawału. Tworzył sprasowaną masę bez widocznych szpar. Zapalała kolejne zapałki i szukała w stosie głazów szczeliny, w którą mogłaby się wcisnąć. Na próżno.

Policzyła zapałki. Zostało siedem. Zapaliła następną, spojrzała w górę i zobaczyła otwór w stropie. Niedorzecznością było marzyć o wspięciu się tam. Płomień zapałki był zbyt nikły, by mogła się przyjrzeć zakamarkom, ale wydawało się, że jest tam dość szeroko, by się wczołgać i przynajmniej ukryć – jeśli się odważy wejść na stos luźnych głazów.

Było to bardzo ryzykowne. Kiedy tak stała, drżąca i niezdecydowana, z dopalającą się zapałką w ręku, z otworu wyleciał jakiś mały kamyczek, odbijając się jak kula bilardowa od plątaniny belek i skał, i upadł tuż u jej stóp.

A więc to tak. Mogła wybierać: albo wrócić i spotkać się ze swoim porywaczem, albo zaryzykować i wspiąć się do otworu utworzonego przez zawał.

Zapałka zgasła. Miała ich jeszcze sześć. Wyjęła z pudełka dwie i zapaliła je jednocześnie, mając nadzieję, że dadzą dość światła, by mogła zobaczyć, co kryje otwór. Płonęły, a ona wpatrywała się bacznie,

ale było za ciemno, by zobaczyć cokolwiek poza bezładną stertą skał i belek.

Zapałki zgasły.

Nie miała czasu. Zapaliła kolejną zapałkę, przytrzymała ją zębami, chwyciła się pierwszej skały, tworzącej zwał, i zaczęła się wspinać. W tej samej chwili usłyszała w oddali głos, odbijający się złowrogim echem w kamiennych tunelach.

–Czy jesteś gotowa, czy nie, suko, nadchodzę!

CORVUS SIEDZIAŁ w kucki między żebrami tryceratopsa, w uszach słyszał pulsowanie krwi. Mężczyzna stał trzy metry od niego. Corvus przełknął ślinę, bo w ustach mu zupełnie zaschło. Usłyszał, jak ręka ociera się o powierzchnię kości, słabe szurnięcie buta na betonowej posadzce, cichy chrzęst okruchów skamielin pod podeszwami butów zbliżającego się mężczyzny. *Jak, u diabła, nieznajomy mógł tak sprawnie poruszać się w ciemnościach?*

–Widzę cię – rozległ się cichy głos; jakby mężczyzna czytał w jego myślach. – Ale ty nie widzisz

mnie.

Serce Corvusa waliło jak bęben: głos rozległ się tuż obok niego. Miał tak sucho w gardle, że nawet gdyby chciał, i tak nic nie zdołałby powiedzieć.

–Głupio wyglądasz tak w kucki.

Kolejny odgłos stąpnięcia. Corvus poczuł zapach drogiego płynu po goleniu.

–Potrzebne mi jedynie dane dotyczące lokalizacji. Obojętne jakie: współrzędne GPS, nazwa

formacji lub kanionu, tego typu informacje. Chcę wiedzieć, gdzie jest dinozaur.

Corvus przełknął ślinę i zmienił pozycję ciała. Dalsze ukrywanie się nie miało sensu; mężczyzna wiedział, gdzie Corvus się schował. Prawdopodobnie posługuje się jakimś urządzeniem do widzenia w ciemnościach.

–Nie mam takich informacji – wychrypiał Corvus. – Nie wiem, gdzie jest ten cholerny dinozaur. –

Usiadł, ściskając aktówkę.

–Jeśli postanowiłeś tak grać, to obawiam się, że będę musiał cię zabić.

Głos mężczyzny był taki cichy, taki łagodny, że Corvus nie miał

ani cienia wątpliwości, że

nieznajomy nie rzuca słów na wiatr. Mocniej ścisnął teczkę, ręce miał zimne od potu.

–Nie mam ich. Naprawdę – usłyszał Corvus swój błagalny głos.

–W takim razie jak zdobyłeś okaz?

–Przez osobę trzecią.

–Aha. Nazwisko i adres tej osoby trzeciej? Zapadła cisza. Corvus poczuł, że oprócz przerażenia ogarnia go inne uczucie: gniew. Furia. Jego

cała kariera, całe życie zależały od znalezienia tego dinozaura. Nie zamierzał oddać swojego odkrycia jakiemuś łobuzowi, trzymającemu go na muszce. Woli zginąć. Przeklęty łajdak miał noktowizor albo podobne urządzenie. Gdyby Corvusowi udało się dotrzeć do jednego z szeregów włączników lamp, mężczyzna przestałby mieć nad nim przewagę. Corvus mógłby się posłużyć teczką jak bronią…

–Proszę o nazwisko i adres tej osoby trzeciej – powtórzył mężczyzna, nie podnosząc głosu.

–Wychodzę.

–Mądra decyzja. Corvus przeczołgał się na tył szkieletu, a potem wyłonił się spod plastikowej płachty. Wyprostował

się. Wciąż było ciemno, choć oko wykol, i miał jedynie ogólne pojęcie, gdzie stoi mężczyzna.

–Nazwisko tej osoby trzeciej?

Corvus skoczył w kierunku, skąd dobiegł głos, zamachnął się teczką i uderzył; trafił; nieznajomy

stęknął i cofnął się zaskoczony. Corvus się odwrócił i zaczął iść po omacku przez las szkieletów w stronę, gdzie – jak pamiętał – były włączniki świateł. Wpadł na jakiś szkielet i upadł; w tej samej chwili usłyszał syk, a później odgłos stali chirurgicznej, która trafiła w skamielinę.

Ten łobuz strzelał do niego.

Odskoczył w bok, zderzył się z jakimś szkieletem, który zaskrzypiał w proteście, kilka kości z grzechotem upadło na posadzkę. Kolejne syknięcie, kolejny odgłos metalu trafiającego w kość na prawo od niego. Ruszył po omacku przed siebie, rozpaczliwie przedzierając się przez las kości. W końcu wydostał się z gąszczu szkieletów i znów znalazł się między półkami; pobiegł na oślep, raz zbytnio zboczył, upadł, ale zaraz się podniósł. Gdyby tylko udało mu się dotrzeć do włączników światła i odebrać mężczyźnie przewagę.

Pognał przed siebie, nie bacząc na to, co może być na drodze, i dosłownie wpadł na rząd kontaktów. Krzyknął i zaczął je naciskać, lampy zapalały się po kilka naraz, szumiąc i migając, kiedy przestarzałe świetlówki rozbłyskiwały jedna po drugiej.

Odwrócił się, chwytając równocześnie z półki jedną ze skamieniałych kości. Zaczął nią wymachiwać jak maczugą, gotów do walki.

Mężczyzna stał spokojnie, niespełna trzy metry od niego, na lekko rozstawionych nogach. Miał na sobie niebieski dres, noktowizor przesunął na czoło. Sfatygowana skórzana teczka stała na podłodze koło jego nogi. Trzymał w obu rękach dziwnie wyglądającą broń z lśniącą lufą, wycelowaną prosto w Corvusa. Kustosz gapił się na mężczyznę, zaskoczony, że jego prześladowca jest taki zwyczajny, ma obojętną twarz urzędasa. Usłyszał syk sprężonego powietrza, zobaczył błysk srebra, poczuł ukłucie w splot słoneczny i ze zdumieniem spojrzał w dół; ujrzał strzykawkę z nierdzewnej stali, sterczącą mu z brzucha. Otworzył usta i sięgnął ręką, żeby ją wyjąć, ale już zaczęła go ogarniać dziwna ciemność niczym fala przypływu, grzebiąc go w huczących odmętach.

FORD SIEDZIAŁ oparty plecami o skałę, rozkoszując się ciepłem małego ogniska z suchych łusek kaktusów. Wokół niego wznosiły się czarne ściany Kanionu Tyranozaura, a nad głową rozciągało się aksamitne niebo, usiane gwiazdami.

Ford właśnie zjadł kolację składającą się z soczewicy i ryżu. Wziął puszkę po soczewicy, włożył ją do ogniska i podgrzewał, aż ogień wypalił wszelkie resztki jedzenia. W taki sposób mył naczynia, kiedy woda była zbyt cenna. Wyciągnął patykiem puszkę z ognia, poczekał, aż ostygnie, po czym napełnił ją wodą z manierki. Trzymając puszkę za metalowe wieczko, umieścił ją wprost między płonącymi łuskami. Po kilku minutach woda się zagotowała. Wyciągnął puszkę, wsypał do niej łyżkę mielonej kawy, zamieszał, znów wsadził puszkę do ogniska. Pięć minut później kawa była gotowa.

Pił ją, trzymając puszkę za wieczko, rozkoszując się gorzkim, wędzonym smakiem napoju. Uśmiechnął się z goryczą na wspomnienie zatłoczonej małej kafejki tuż za rogiem w pobliżu Panteonu w Rzymie, do której chodzili razem z Julie i pili wyborne espresso przy małym stoliku. Jak się nazywał ten lokal? Tazza d'Oro.

To było na drugim końcu świata.

Wypił kawę do ostatniej kropli, wytrząsnął fusy do ogniska i odstawił puszkę na bok, żeby rano zaparzyć sobie kolejną kawę. Z westchnieniem oparł się o skałę, szczelniej owinął się swoim habitem i spojrzał na gwiazdy. Była prawie północ i niepełna tarcza księżyca przesuwała się nad krawędzią kanionu. Wypatrzył kilka gwiazdozbiorów, które znał: Wielką Niedźwiedzicę, Kasjopeę, Plejady. Skrzący się motek Mlecznej Drogi przecinał niebo; podążając za nią wzrokiem, odnalazł gwiazdozbiór zwany Cygnus, Łabędź, na zawsze zatrzymany w swoim locie przez środek galaktyki. Czytał, że w centrum galaktyki znajduje się olbrzymia czarna dziura, Cygnus X-1, sto milionów słońc połkniętych i sprasowanych w matematyczny punkt – i zaczął rozmyślać nad zuchwałością ludzi sądzących, że potrafią zrozumieć prawdziwą naturę Boga.

Ford westchnął i wyciągnął się na piasku, zastanawiając się, czy takie rozważania są odpowiednie dla kogoś, kto wkrótce zostanie

benedyktynem. Czuł, że wydarzenia kilku ostatnich dni wywołały w nim jakiś kryzys duchowy. Poszukiwania tyranozaura obudziły ten sam dawny głód, to pragnienie polowania, o których myślał, że się ich pozbył. Sam Bóg wie, że w swoim życiu zaznał już dość przygód. Mówił czterema językami, żył w kilkunastu egzotycznych krajach i miał wiele kobiet, nim poznał największą miłość swego życia. Cierpiał nieznośnie na jej wspomnienie, nadal czuł ból. Skąd więc to ciągłe zamiłowanie do przygód i niebezpieczeństw? Oto szuka dinozaura, który nie należy do niego, który nie przysporzy mu żadnych zasług, pieniędzy ani sławy. Więc dlaczego? Czy te szalone poszukiwania wynikały z jakiejś skazy jego charakteru?

Ford niechętnie wrócił wspomnieniami do tamtego brzemiennego w skutki dnia w Siem Reap w Kambodży. Razem ze swoją żoną Julie opuścił poprzedniego dnia Phnom Penh w drodze do Tajlandii. Zatrzymali się na kilka dni w Siem Reap, by obejrzeć świątynie Angkor Wat – udawanie turystów stanowiło część ich przykrywki. Zaledwie tydzień wcześniej dowiedzieli się, że Julie jest w ciąży, dla uczczenia tego faktu zarezerwowali apartament w hotelu Royal Khampang. Nigdy nie zapomni ostatniego wieczoru z nią, kiedy stali obok Balustrady Świętego Węża w Angkor Wat, patrząc na słońce zachodzące za pięcioma wielkimi wieżami świątyni. Słyszeli dobiegające niewyraźnie z ukrytego w lesie klasztoru tajemnicze, ciche śpiewy buddyjskich mnichów.

Realizacja zleconego im zadania przebiegła gładko, bez żadnych niespodzianek. Tamtego ranka dostarczyli CD-ROM z danymi tajnemu agentowi w Phnom Penh. Spisali się na medal – tak przynajmniej sądzili. Był tylko jeden drobiazg – Ford się zorientował, że podąża za nimi stara toyota land cruiser. Ale pokrzyżował facetowi szyki – zgubił go na zatłoczonych ulicach stolicy, nim wyjechał z miasta. Nie wyglądało to na nic poważnego, już wcześniej wiele razy był śledzony.

Po zachodzie słońca zjedli kolację w jednej z tanich restauracji pod gołym niebem nad rzeką Siem Reap, żaby skakały na podłodze, ćmy wpadały na żarówki wiszące na kablach. Wrócili do swojego nieprzyzwoicie drogiego hotelu i spędzili dużą część wieczoru na miłosnych igraszkach. Spali do jedenastej, zjedli śniadanie na tarasie. A potem Julie poszła po samochód, a on zniósł ich bagaże.

Usłyszał stłumiony odgłos eksplozji, kiedy otworzyły się drzwi windy na parterze. Pomyślał, że wybuchła jakaś stara mina lądowa – w Kambodży nadal stanowiły one prawdziwą plagę. Pamiętał, jak szedł przez porośnięty palmami dziedziniec i widział przez drzwi do holu hotelowego słup dymu, wznoszący się przed budynkiem. Wybiegł na ulicę. Samochód leżał do góry kołami, niemal rozerwany na pół, buchał z niego gryzący dym, w jezdni ziała dziura. Jedna z opon leżała piętnaście metrów dalej na wypielęgnowanym trawniku, płonąc.

Nawet wtedy się nie zorientował, że to ich samochód. Przypuszczał, że chodzi o kolejny zamach polityczny, które aż nadto często zdarzają się w Kambodży. Stał u szczytu schodów, patrząc to w prawo, to w lewo, czy Julie nie nadjeżdża ich wozem, i denerwując się, że może wybuchnąć kolejna bomba. Kiedy tak stał, zobaczył kawałek materiału, porwany przez wiatr; strzęp uniósł się w górę stopni przed hotelem i opadł niemal u jego stóp. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że to kołnierzyk bluzki, którą dziś rano włożyła Julie.

Największym wysiłkiem woli Ford zmusił się do powrotu do chwili obecnej, do ogniska, do ciemnego kanionu, do nieba usianego gwiazdami. Wszystkie te okropne wspomnienia wydawały się takie odległe, jakby dotyczyły kogoś innego, wydarzyły się w innym życiu.

No właśnie: czy naprawdę zaczął teraz nowe życie i był innym człowiekiem?

19

ŚWIATŁA ESPAŃOLI migotały w nocnym powietrzu, kiedy Bob Biler dojeżdżał do miasta. Gliniarz wciąż jechał za nim, ale Biler przestał się tym przejmować. Nawet żałował, że w chwili paniki kopnął butelkę pod siedzenie, i kilka razy próbował ją wydostać czubkiem buta, ale furgonetka zaczęła gwałtownie skręcać, więc dał spokój. Mógł w każdej chwili się zatrzymać i ją wyłowić, lecz nie był pewien, czy wolno się tutaj zatrzymywać, a nie chciał zrobić nic, co zwróciłoby uwagę gliniarza. Przynajmniej sygnał stacji nadającej stare przeboje stał się w końcu silniejszy. Biler rozkręcił głos na cały regulator i nucił, fałszując niemiłosiernie.

Pół kilometra przed sobą zobaczył pierwszą sygnalizację uliczną na obrzeżu miasta. Jeśli akurat trafi na czerwone światło, będzie miał dość czasu, żeby wyłowić butelkę. Jazda samochodem wzmagała pragnienie.

Biler podjechał do świateł i zahamował ostrożnie, obserwując w lusterku wstecznym radiowóz. Jak tylko samochód się zatrzymał, pochylił się i sięgnął pod fotel; macał jakiś czas, póki pod tłustą ręką nie poczuł zimnej szklanej butelki. Wyciągnął ją i – wciąż pochylony – otworzył i przytknął do ust, starając się wypić możliwie jak najwięcej w jak najkrótszym czasie.

Nagle usłyszał pisk opon i zawodzenie syren. Wyprostował się, zapominając, że ma w ręku butelkę, i oślepiło go białe światło reflektora punktowego. Wyglądało na to, że został okrążony przez radiowozy, wszystkie miały włączone koguty. Biler był oszołomiony, nie rozumiał, co się dzieje. Skrzywił się, zmrużył oczy przed oślepiającym światłem, w głowie miał całkowitą pustkę.

Usłyszał z megafonu skrzeczący głos, który coś powiedział, a po chwili powtórzył:

–Proszę wysiąść z samochodu z rękami w górze. Proszę wysiąść z samochodu z rękami w górze.

Czy mówili do niego? Biler się rozejrzał dookoła, ale nie zobaczył nikogo, tylko oślepiające światło migających syren.

–Proszę wysiąść z samochodu z rękami w górze.

Zwracali się do niego. Ogarnięty paniką Biler zaczął się szamotać z klamką przy drzwiach, ale była

to jedna z tych klamek, które trzeba nacisnąć, a nie podnieść, i jakiś czas zmagał się z nią, próbując otworzyć drzwi. Nagle zamek niespodziewanie puścił i Biler wypadł na jezdnię, a zapomniana półlitrowa butelka jima beama wyleciała mu z ręki i rozbiła się o chodnik. Leżał na asfalcie obok samochodu, zbyt zaszokowany i zdezorientowany, żeby wstać.

Czyjaś postać wyrosła nad nim, zasłaniając światło, w jednej ręce trzymała odznakę, a w drugiej rewolwer.

–Porucznik Willer z komendy policji w Santa Fe – usłyszał. – ***Nie ruszać się.***

Nastąpiła chwila ciszy. Biler nic nie widział poza czarną sylwetką mężczyzny. Skądś dobiegało go

zawodzenie Elvisa, śpiewającego: ***Jesteś zwyczajnym łajdakiem.***

Po chwili policjant schował broń do kabury i pochylił się nad nim, wpatrując się z uwagą w jego twarz. Wyprostował się i Biler usłyszał, jak policjant znów przemówił, tym razem do kogoś, kogo nie widział.

–Co to za jeden, do jasnej cholery?

SALLY WSPINAŁA SIĘ po chwiejnej stercie skał, ściskając zapałkę w zębach, szukając, czego mogłaby się chwycić i gdzie postawić nogę. Przy każdym kroku czuła, jak skały się przesuwają, niektóre toczą się na samo dno. Wydawało się, że cały stos trzeszczy i rusza się.

Oddech Sally stał się tak ciężki, że zgasił zapałkę.

Pomacała w pudełku – została ostatnia. Postanowiła ją zachować na później.

–Idę! – Chrapliwy głos odbijał się echem w tunelach, dziwacznie zniekształcony. Sally dalej się

wspinała, poruszając się po omacku; więcej kamieni z turkotem stoczyło się w dół. Potem usłyszała nad

sobą głębokie westchnienie przesuwającego się drewna i skał, po którym posypał się grad kamieni.

Kolejny krok, kolejne skrzypnięcie. Za chwilę wszystko się zawali. Ale nie miała wyboru.

Wyciągnęła rękę, szukając czegoś, czego mogłaby się uchwycić, sprawdziła, czy skała mocno się trzyma, podciągnęła się. Znów się czegoś złapała, znów wspięła się wyżej. Poruszała się bardzo ostrożnie, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

–Sally, gdzie jesteeeś?

Słyszała, jak jej prześladowca idzie tunelem, rozchlapując wodę. Podciągnęła się wyżej i uchwyciła

belki nad głową. Sprawdziła, czy stempel utrzyma jej ciężar. Belka skrzypnęła i lekko się przesunęła, ale Sally uznała, że jest wystarczająco mocna. Przerwała swoją wspinaczkę, starając się nie myśleć, co to znaczy być żywcem pogrzebaną, nim znów się podciągnęła. Kolejne skrzypnięcie, lawina kamyków. Jej ręce natrafiły nad głową na plątaninę połamanych belek i spiętrzenie pokruszonych skał.

Będzie musiała zapalić ostatnią zapałkę.

Potarła ją o bok pudełka. Nad sobą widziała ciemną czeluść, do której musi dotrzeć. Zbliżyła pudełko do zapałki, aż zajęło się płomieniem, dając znacznie więcej światła, ale za mało, by zobaczyć, co się kryje w czarnej dziurze.

Jedną ręką trzymając palące się pudełko, podciągnęła się na kolejną belkę. Po chwili stała na chybotliwej półce w ciemnym otworze. W gasnącym płomieniu palącego się pudełka po zapałkach zobaczyła, że komin kończy się szeroką szczeliną w kształcie sierpa pod kątem około trzydziestu stopni. Szpara wydawała się wystarczająco szeroka, by się w nią wcisnąć.

Rozległ się łoskot w dole, kiedy od stropu oderwał się duży blok skalny. Płomień zgasł.

–Tu jesteś!

Snop światła latarki przecinał ciemności, przeczesując stertę skał w dole. Sally wyciągnęła rękę,

uchwyciła się czegoś i podciągnęła. Snop światła latarki przesuwał się to tu, to tam. Wspinała się szybko, nawet lekkomyślnie, kierując się ku dwóm wilgotnym kamiennym ścianom. Wślizgnęła się do szerokiej szczeliny. Szpara ciągnęła się w górę pod niewielkim kątem i była na tyle szeroka, że mogła się w nią

wcisnąć i, wijąc się jak wąż, przesuwać coraz wyżej. Nie miała już zapałek, nie miała możliwości zobaczyć, dokąd zmierza, nie wiedziała nawet, czy szczelina w ogóle dokądkolwiek prowadzi. Przesuwała się w górę, zapierając się rękami i nogami. Przez chwilę ogarnęła ją panika, że skała ją sprasuje. Zrobiła chwilę przerwy, odzyskała miarowy oddech, zapanowała nad strachem i kontynuowała wspinaczkę.

–Zaraz cię dopadnę!

Głos dobiegał bezpośrednio z dołu. Dalej się czołgała, ogarnięta coraz większym lękiem, bo

szczelina się zwężała. Wkrótce stała się tak wąska, że Sally musiała wypuścić nieco powietrza z płuc, żeby się w niej zmieścić. Poczuła kolejną falę paniki, kiedy zrozumiała, że znalazła się w ślepym zaułku, z którego nie będzie się mogła wycofać. Nie mając od czego odpychać się nogami, nigdy się

stąd nie wydostanie.

–Wiem, że tam jesteś, suko!

Usłyszała łoskot spadających skał, kiedy jej prześladowca zaczął się wspinać na osuwisko.

Podciągnęła nogi, skręciła tułów i w ten sposób zyskała wolną rękę, by móc wymacać, co jest przed nią. Szpara chyba się bardziej nie zwężała, może nawet robiła się trochę szersza. Gdyby Sally udało się przecisnąć przez ten wąski odcinek, może dostałaby się do innego tunelu.

Wypuściła powietrze z płuc i zaparłszy się nogami, wcisnęła się głębiej, odrywając sobie kieszeń koszuli i guziki. Udało jej się nieco przesunąć. Jeszcze raz się odepchnęła, zrobiła jeszcze jeden wydech, by stać się chudsza. Zrobiła sobie przerwę, oddychając płytko. Czuła się tak, jakby miażdżyła ją prasa. Usłyszała odgłos staczających się skał.

Zaparła się i z całych sił wcisnęła się głębiej w szczelinę. Ledwo mogła zapanować nad lękiem, że zostanie zmiażdżona w ciemnościach. Woda kapała i ściekała jej po twarzy. Teraz wiedziała, że nigdy się stąd nie wydostanie. Lepiej byłoby dać się zastrzelić, niż umrzeć w tej szczelinie. Gdyby tylko udało jej się przecisnąć przez to zwężenie; może dalej szpara znów się poszerza. Zaparła się, wytężając wszystkie siły. Czuła, jak drze ubranie na sobie. Jeszcze raz się zaparła i pomacała ręką przed sobą. Szczelina zwężała się gwałtownie, miała nie więcej niż dwa centymetry szerokości. Sally macała ręką w ciemnościach tu i tam, szukając szerszej szpary. Na próżno. Znów zaczęła przesuwać ręką po skale, niemal oszalała ze strachu, ale nie ulegało wątpliwości: szczelina zwężała się do kilku centymetrów, odchodziło od niej wiele mniejszych szpar. Rozpaczliwie macała skałę rękami, ale na darmo.

Sally poczuła, jak ogarnia ją nieopisany, nie do opanowania lęk. Próbowała się wycofać, zmagając się jak oszalała, ledwo mogąc oddychać. Ale nie miała od czego się odepchnąć; nie miała wystarczająco silnych rąk, by się stąd wydostać. Zaklinowała się. Nie mogła się przesunąć dalej. I nie mogła się wycofać.

TOM NA WSZELKIE sposoby próbował wyłamać kłódkę przy kracie. Walił w nią kamieniami, podważał ją drągiem, ale na próżno. Niewyraźne odgłosy z głębi kopalni ustały i ta cisza doprowadzała go do szaleństwa. Wszystko mogło się stać z Sally – jedna minuta mogła decydować o życiu lub śmierci. Krzyczał, nawoływał przez kratę, by zwrócić na siebie uwagę porywacza, ale na próżno.

Cofnął się, gorączkowo się zastanawiając, co teraz. Księżyc właśnie zaczął się wynurzać nad jodłami porastającymi grzbiet góry. Tom zapanował nad oddechem i starał się zebrać myśli. Wiele lat temu badał niektóre z tych kopalń i przypomniał sobie, że w okolicy jest ich więcej. Może były połączone; do kopalni złota często prowadziło kilka wejść.

Wspiął się na grań i spojrzał w dół po drugiej stronie. Tak jest! Jakieś dwieście metrów niżej znajdowała się jeszcze jedna szopa przy wylocie sztolni, mniej więcej na tym samym poziomie co ta, z długą hałdą poniżej.

Z pewnością się łączą.

Zbiegł w dół wzgórza, osuwając się i przeskakując przez głazy, i po chwili dotarł do celu. Wyciągnąwszy broń, kopnięciem otworzył drzwi i wszedł do środka. Poświecił sobie latarką. Zobaczył jeszcze jedno wejście do kopalni; tego nie przegradzała metalowa krata. Wszedł do długiego poziomego tunelu. Niemal się dusił, ogarnięty paniką. Pobiegł korytarzem i zatrzymał się przy pierwszym rozwidleniu. Zaczął nasłuchiwać. Minęła jedna minuta, druga. Czuł, że za chwilę oszaleje.

Nagle coś usłyszał: słabe echo wrzasku. Obie kopalnie się łączyły.

Pognał w kierunku, skąd dobiegł krzyk, w świetle latarki widział szereg szybów wentylacyjnych po lewej stronie. Minął zakręt i znów zobaczył dwa tunele, jeden biegł w górę, drugi – w dół. Przystanął i zaczął nasłuchiwać. Czekał, coraz bardziej zniecierpliwiony, aż rozległ się kolejny zniekształcony krzyk.

Znów głos mężczyzny. Pełen furii.

Tom pobiegł lewym tunelem, chwilami musiał się schylać, bo strop się obniżał. Z przodu dochodziły kolejne okrzyki, wciąż słabe, ale z każdą chwilą wyraźniejsze.

Tunel kilka razy ostro zakręcał i kończył się w centralnej komorze, z której cztery korytarze prowadziły w różnych kierunkach. Tom się zatrzymał, dysząc ciężko. Poświecił latarką, zobaczył kilka starych podkładów kolejowych, rozbity wózek na rudę, zwój zardzewiałego łańcucha, konopne liny, pogryzione przez szczury. Będzie musiał poczekać, aż znów coś usłyszy, nim dalej pójdzie.

Cisza. Czuł, że zaraz zwariuje.

Odezwij się, do cholery.

Nagle dobiegł go słaby okrzyk.

Natychmiast skierował się tam, skąd usłyszał odgłos. Korytarz kończył się ślepo poziomym

szybem, otoczonym barierką. Szyb był zbyt głęboki, światło latarki Toma nie docierało do jego dna. Nie było żadnej drogi w dół – żadnych drabin ani lin.

Obejrzał uważnie ostre krawędzie szybu i postanowił zaryzykować. Ściągnął swoje włoskie pantofle i skarpetki, po czym rzucił je do szybu, licząc, ile czasu upłynie, nim dotrą na dno. Półtorej sekundy, dziesięć metrów.

Wsunąwszy broń z powrotem za pasek, trzymając latarkę w zębach, chwycił się barierki i spuścił nogi w głąb studni, wczepiając się stopami w skałę. Wolno, z bijącym sercem, zsunął się niżej.

Spuścił drugą nogę, uchwycił się ręką kolejnego występu. Zakręciło mu się w głowie i przez chwilę bał się, że spadnie. Ostre skały kaleczyły mu palce. Bardzo wolno opuszczał się w głąb szybu, w końcu z ulgą poczuł twardy grunt pod nogami. Poświecił sobie latarką, podniósł buty i skarpetki, znów je włożył. Znajdował się w kolejnym tunelu kopalni, prowadzącym w głąb góry. Nasłuchiwał przez chwilę. Cisza.

Pobiegł wyrobiskiem, zatrzymał się po stu metrach, żeby znów posłuchać. Światło latarki było coraz słabsze – baterie od

początku nie były zbyt mocne i szybko się wyczerpywały. Ruszył dalej, zatrzymał się, nasłuchując. Z tyłu dobiegł go jakby stłumiony krzyk. Wyłączył latarkę i wstrzymał oddech. Głos wciąż dobiegał z daleka, ale teraz był znacznie wyraźniejszy niż wcześniej. Mógł odróżnić poszczególne słowa.

Wiem, że tam jesteś. Złaź albo zacznę strzelać.

Tom nasłuchiwał z bijącym sercem.

Słyszysz mnie?

Poczuł falę ulgi, aż się zachwiał. Sally żyje – i najwyraźniej uciekła porywaczowi. Słuchał w skupieniu, próbując określić kierunek, z którego dobiega głos.

Jesteś już martwa, suko.

Słowa przepełniły go taką wściekłością, że na moment odebrało mu dech. Przeszedł jeszcze sześć metrów, tam i z powrotem, próbując określić, gdzie jest mężczyzna. Głos zdawał się dobiegać z dołu, jakby przez skałę. Ale to niemożliwe. Jakieś trzy metry na lewo od siebie widział siateczkę pęknięć w kamiennej podłodze tunelu, gdzie się zapadła i pokruszyła. Uklęknął i przysunął rękę do jednej ze szpar. Poczuł wypływające nią chłodne powietrze. Przytknął ucho do szczeliny.

Rozległ się nagły huk broni dużego kalibru, a potem krzyk – tak blisko, że aż podskoczył.

WILLER I HERNANDEZ pędzili na północ szosą numer osiemdziesiąt cztery, za nimi niknęły światła Espanoli, przed nimi rozciągała się niczym niezmącona czerń pustyni. Dochodziła północ i Willer wprost nie posiadał się z wściekłości, że przez tego półgłówka Bilera stracili tyle godzin cennego czasu.

Willer wyjął z kieszeni koszuli papierosa i wsadził go do ust. Nie powinien palić w radiowozie, ale był w takim stanie, że miał to w nosie.

–Do tej pory Broadbent może już być za przełęczą Cumbres – zauważył Hernandez.

Willer zaciągnął się głęboko.

Wykluczone. Sprawdzali wszystkie pojazdy przekraczające przełęcz, nie było wśród nich

samochodu Bilera. Nie mijał też blokady na drodze na południe od Espanoli.

Mógł porzucić samochód na pierwszym lepszym parkingu w Espanoli i zaszyć się w jakimś motelu.

Mógłby, ale tego nie zrobił. – Willer dodał gazu. Wskazówka prędkościomierza przesunęła się ze stu osiemdziesięciu na sto dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, wóz podskakiwał na drodze, mknąc w ciemnościach.

A więc co zrobił, według ciebie?

Uważam, że pojechał do klasztoru Chrystus na Pustyni spotkać się z tym mnichem. Czyli tam, dokąd i my jedziemy.

Dlaczego tak sądzisz?

Willer znów się zaciągnął. Zwykle lubił dociekliwe pytania Hernandeza – pomagały mu rozwikłać sprawy, ale tym razem jedynie go irytowały.

–Nie wiem, dlaczego tak sądzę, ale tak właśnie uważam – burknął. – Broadbent i jego żona są w to zamieszani, mnich jest w to zamieszany, istnieje jeszcze ktoś, zabójca, który też tkwi w tym

gównie po uszy. Znaleźli coś w tych kanionach i walczą o to na śmierć i życie. Cokolwiek to jest, musi to być coś ważnego. Na tyle ważnego, że Broadbent oszukał nas i ukradł samochód. Jezu, Hernandez, sam zadaję sobie pytanie, co może być tak ważne, żeby taki gość ryzykował dziesięć lat odsiadki w więzieniu w Santa Fe. Ten facet ma już wszystko.

–Tak.

–Nawet jeśli Broadbenta nie będzie w klasztorze, chciałbym sobie porozmawiać z tym rzekomym mnichem.

23

TOM Z NIEDOWIERZANIEM stwierdził, że to krzyczy Sally. Przycisnął usta do szpary.

–Sally! Usłyszał stłumiony okrzyk.

–Tom?

–Sally! Co się dzieje? Nic ci nie jest?

–Mój Boże, Tom! To ty… – Ledwo mogła mówić. – Utknęłam. Strzela do mnie. – Kolejny zduszony szloch.

–Sally, jestem tutaj, wszystko będzie dobrze. – Tom poświecił latarką i doznał wstrząsu, kiedy niespełna pół metra od siebie ujrzał twarz Sally wciśniętą w szparę.

Kolejny huk wystrzału i Tom usłyszał wizg i brzęk kuli wśród skał w dole.

–Strzela do szczeliny, ale mnie nie widzi. Tom, jestem w potrzasku!…

–Wyciągnę cię stąd. – Poświecił latarką. Skała już była spękana, wystarczy jedynie ją rozbić i usunąć okruchy. Skierował snop światła w głąb tunelu, szukając jakiegoś narzędzia. W jednym kącie leżał stos zbutwiałych skrzyń i lin.

–Zaraz wracam. Kolejny strzał.

Tom podbiegł do sterty, złapał zwój zbutwiałej liny, zaczął szperać w stosie sparciałych worków z

grubego płótna. Pod nimi znalazł złamany oskard. Zabrał go i wrócił biegiem.

–Tom!

–Już jestem. Wydostanę cię stamtąd. Kolejny strzał. Sally krzyknęła.

–Trafił mnie! Trafił mnie!

–Boże, gdzie?

–W nogę. Och, Tom, wyciągnij mnie stąd.

–Zamknij oczy. Tom wcisnął stalowe ostrze w szczelinę, wziął kamień i zaczął raz za razem walić nim w oskard.

Popękana skała zaczęła się kruszyć. Padł na kolana i rękami wygarnął odłamki skał. Skała była zwietrzała i kiedy usunął jeden jej fragment, praca poszła znacznie szybciej. Przez cały czas mówił do Sally, powtarzając jej w kółko, że wszystko będzie dobrze, że za chwilę ją stamtąd wydostanie. Kolejny strzał.

–Tom!

–*Ty suko! Tylko ponownie naładuję broń, a już jesteś martwa.*

Tom podważył kawałek skały, odrzucił go na bok, podważył kolejny i kolejny, kalecząc sobie ręce

o ostre krawędzie, pracując zawzięcie.

–Sally, gdzie cię trafił?

–W nogę. To chyba nic poważnego. Pośpiesz się! Kolejny strzał. Tom walił w skałę, raz za razem uderzał oskardem, podważał kolejne odłamki i

powiększał otwór. Widział twarz Sally. Teraz skała szybko ustępowała. *Trzask!* Sally podskoczyła.

–Na litość boską, pośpiesz się! Odłamał się czubek oskarda, Tom zaklął, obrócił oskard i wsunął w szczelinę drugi koniec.

–Jest wystarczająco szeroka! – krzyknęła Sally. Tom wyciągnął rękę, złapał Sally i zaczął ciągnąć, a ona odpychała się nogami, przeciskając się

przez szczelinę; kolejne guziki odrywały się od jej koszuli. Otwór okazał się za mały; zaklinowała się biodrami.

–Już jesteś martwa!

Tom wsunął oskard w szczelinę w skale i odłupał fragment kruchego kwarcu. Z całkowitą

obojętnością stwierdził, że pod nim znajduje się żyła złota, którą górnicy jakoś przeoczyli. Odrzucił skałę i podważył kolejny fragment.

–Teraz!

Złapał Sally pod pachy i wyciągnął ją. W dole rozległ się kolejny strzał. Leżała na ziemi, brudna, mokra, w podartym ubraniu.

–Gdzie cię trafił? – Oglądał ją gorączkowo.

–W nogę. Tom rozerwał własną koszulę i wytarłszy krew, zobaczył kilka płytkich zadraśnięć na łydce Sally.

Wydobył z nich parę odłamków skał.

–Wszystko w porządku. Nic ci nie będzie.

–Tak myślałam.

***Suka!* – rozległ się histeryczny wrzask porywacza. Dwa kolejne strzały. Zabłąkana kula wleciała przez dziurę i utkwiła w stropie.**

–Musimy zablokować ten otwór – powiedziała Sally.

Ale Tom już toczył skalne bloki. Zasłonili nimi szczelinę, zaklinowując je mocno. Po pięciu

minutach otwór był zablokowany. Tom objął Sally i mocno ją przytulił.

–Boże, myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę – wyznała Sally ze szlochem. – Nie mogę w to

uwierzyć, nie mogę uwierzyć, że mnie odnalazłeś.

Znów ją przytulił, sam ledwo mogąc w to uwierzyć. Czuł, jak jej wali serce.

–Chodźmy.

Pomógł jej wstać i pobiegli z powrotem tunelami, Tom od czasu do czasu potrząsał latarką, żeby

zupełnie nie zgasła. Wspięli się w górę szybu i pięć minut później opuścili kopalnię.

–Wyjdzie drugą sztolnią – powiedziała Sally. Tom skinął głową.

–Pójdziemy na okrągło. Zamiast wspiąć się na grzbiet wzniesienia i przejść na drugą stronę, pobiegli ku drzewom na dnie

wąwozu. Tam się zatrzymali, żeby nieco odsapnąć.

–Jak twoja noga? Możesz iść?

–W porządku. Masz rewolwer?

–Tak. Kaliber pięć i pół milimetra i jeden nabój. – Tom obejrzał się za siebie, na osrebrzone zbocze wzgórza, podtrzymując Sally ramieniem.

–Mój samochód stoi przed bramą.

–Będzie tam przed nami – powiedziała Sally.

Ruszyli dnem wąwozu. Między wysokimi sosnami panował mrok, dywan igieł pod ich nogami był

miękki i tylko lekko skrzypiał, ich kroki zagłuszał nocny wietrzyk, szumiący w koronach drzew. Tom przystawał od czasu do czasu i nasłuchiwał, by się upewnić, czy porywacz nie idzie za nimi, ale panowała kompletna cisza.

Po dziesięciu minutach marszu wąwóz przemienił się w szerokie, wyschnięte koryto rzeki. Przed nimi nieco w dole widać było światła domku. Nic się tam nie zmieniło, zniknął jedynie range-rover porywacza.

Okrążyli starą osadę, ale sprawiała wrażenie wymarłej.

–Myślisz, że spanikował i odjechał? – spytała Sally.

–Wątpię. Minęli domek i ruszyli szybko między drzewami, równolegle do drogi gruntowej. Do furgonetki

została im niespełna pół kilometra. Tom usłyszał coś i zatrzymał się, serce mu waliło. Znów jakiś odgłos -ciche nawoływanie sowy. Ścisnął rękę Sally i ruszyli dalej. Po kilku minutach dojrzał słaby zarys ogrodzenia z siatki, migający między drzewami.

Podsadził Sally.

Złapała się siatki, ogrodzenie cicho zaskrzypiało. Po chwili była po drugiej stronie. Tom poszedł w jej ślady. Pobiegli wzdłuż ogrodzenia i po kilku chwilach Tom zobaczył, jak blask księżyca odbija się od maski ukradzionej przez niego furgonetki. Wciąż stała zaparkowana tam, gdzie ją zostawił, w pobliżu zamkniętej bramy. Tylko że teraz brama była otwarta na całą szerokość.

–Gdzie on jest, u diabła? – szepnęła Sally. Tom ścisnął ramię Sally i szepnął:

–Nie wyłaniaj się z cienia, trzymaj głowę cały czas pochyloną, wsiądź do samochodu możliwie jak

najciszej. Potem uruchomię silnik i odjedziemy tak szybko, jak tylko się da.

Sally skinęła głową. Podkradła się od strony pasażera i przykucnęła; Tom otworzył drzwiczki i

zajął miejsce za kierownicą. Minutę później oboje siedzieli w wozie. Nie podnosząc głowy, Tom wyjął kluczyki i wsunął je do stacyjki. Nacisnął sprzęgło i zwrócił się do Sally:

–Trzymaj się mocno.

Przekręcił kluczyk i rozległ się warkot silnika. Wrzucił wsteczny bieg i dodał gazu, furgonetka

cofała się, a Tom kręcił kierownicą. W tej samej chwili na skraju lasu rozbłysła para reflektorów. Rozległo się *brzęk! brzęk!,* kiedy kule dużego kalibru uderzały o stal, i szoferkę zasypał grad potłuczonego szkła i plastiku.

–*Schyl się!*

Przygarbiwszy się, wrzucił pierwszy bieg i wcisnął pedał gazu do dechy. Furgonetka wyjechała na

drogę, wzbijając w powietrze żwir. Tom wrzucił drugi bieg i przyśpieszył, słysząc, jak kolejne pociski trafiają w karoserię. Koła się ślizgały, tył furgonetki zarzucało. Uniósł głowę, ale nic nie zobaczył: przednia szyba przemieniła się w pajęczynę roztrzaskanego szkła. Uderzył w nią pięścią i wybił w niej wystarczająco duży otwór, by móc przez niego patrzeć. Wciąż dodawał gazu, chociaż tył zarzucało na gruntowej drodze.

–Nie podnoś głowy!

Minął pierwszy zakręt i strzały chwilowo ucichły, ale usłyszał z tyłu ryk silnika samochodu i

wiedział, że porywacz ruszył za nimi w pościg. Po chwili zza zakrętu wyłonił się range-rover, przeszywając mrok światłem reflektorów.

***Bang! Bang!* - rozległy się kolejne strzały. Mężczyzna trafił w dach szoferki, na Toma posypał się grad plastikowych odłamków z reflektora na dachu. Furgonetka jechała teraz prędko, Tom kręcił kierownicą to w prawo, to w lewo, żeby było w nich trudniej trafić. Nagle poczuł, jak zarzuciło tył, i wiedział, że kula przebiła przynajmniej jedną tylną oponę.**

–Benzyna! – krzyknęła Sally, leżąca na podłodze. – Czuję zapach benzyny! Kula trafiła w zbiornik paliwa. Kolejnemu *bang!* towarzyszył syk. Tom natychmiast poczuł falę ciepła i zobaczył łunę za nimi.

–Palimy się! – krzyknęła Sally. Trzymała rękę na klamce. – Skacz!

–Nie! Jeszcze nie! Przejechał kolejny zakręt i ogień na chwilę przygasł. Tom zobaczył, że przed nimi droga okrąża

krawędź urwiska. Dodał gazu, kierując się prosto w przepaść.

–Sally, chcę, żeby samochód spadł z urwiska. Kiedy powiem „teraz", skacz. Odturlaj się jak

najdalej od furgonetki. Potem uciekaj. Kieruj się ku płaskowyżom. Dasz radę to zrobić?

–Jasne!

Dodał gazu, urwisko było coraz bliżej. Złapał klamkę i nieco otworzył drzwi, ani na chwilę nie

zwalniając.

–Przygotuj się! Jeszcze sekunda.

Teraz!

Wyskoczył, upadł na ziemię, przekoziołkował, – ale zaraz się podniósł i zaczął biec. Widział ciemną sylwetkę Sally po drugiej stronie. Zerwała się na nogi w tej samej chwili, kiedy płonąca furgonetka z wyciem silnika zniknęła za urwiskiem niczym nurkujący orzeł. Rozległ się stłumiony huk, a potem nad przepaścią pojawiła się pomarańczowa łuna.

Kierowca range-rovera zahamował w ostatniej chwili i zatrzymał się na skraju urwiska. Drzwiczki się otworzyły. Tom zobaczył, jak jakiś człowiek bez koszuli wyskoczył, trzymając w jednej ręce broń, a w drugiej latarkę, przez ramię miał przewieszony karabin. Tom pobiegł w stronę stromego zbocza tuż za urwiskiem, ale mężczyzna zobaczył Sally i zaczął ją gonić, mierząc do niej z pistoletu.

–Ty skurwielu! – wrzasnął Tom, kierując się ku mężczyźnie, mając nadzieję, że ten zawróci, ale on

uparcie biegł za Sally. Odległość między nimi szybko malała, bo ranna w nogę Sally utykała. Piętnaście

metrów, dwanaście… Lada chwila znajdzie się wystarczająco blisko, by ją zastrzelić.

Tom wyciągnął rewolwer zza paska.

–Ej, ty łobuzie!

Mężczyzna spokojnie przyklęknął na jedno kolano i ściągnął karabin z ramienia. Tom zatrzymał się

i wycelował z rewolweru. Nigdy nie trafi z tej odległości, ale może strzał przynajmniej rozproszy uwagę porywacza. Warto zaryzykować jedyny nabój, jaki ma – to jedyna szansa, by uratować Sally.

Mężczyzna przytknął karabin do policzka i wycelował. Tom wystrzelił. Porywacz odruchowo padł na ziemię.

Tom zaczął biec w jego stronę, wymachując rewolwerem jak szaleniec.

–Zabiję cię! Mężczyzna podniósł się z ziemi i wycelował, tym razem w Toma.

–Dopadnę cię! – krzyczał Tom, nie zatrzymując się. Porywacz nacisnął spust i Tom padł na ziemię. Mężczyzna spojrzał tam, gdzie wcześniej biegła Sally – ale kobieta zniknęła. Przerzucił karabin

przez ramię, wyciągnął pistolet i ruszył w kierunku Toma.

Tom wstał i co sił w nogach pobiegł w dół zbocza, przeskakując przez głazy i przewrócone drzewa, zadowolony, że mężczyzna goni teraz jego. Snop światła latarki porywacza przesuwał się jak szalony nad jego głową, migocząc pomiędzy nisko rosnącymi gałęziami drzew. Usłyszał podwójne *pif! paf!,* kula utkwiła w pniu drzewa po jego prawej stronie. Padł na ziemię, przekoziołkował, znów się podniósł i pobiegł na skos w dół zbocza. Mężczyzna był jakieś trzydzieści metrów za nim.

Na Toma padł snop światła. Dwie kolejne kule utkwiły w drzewach po obu jego stronach. Tom dawał susy, lawirował, robił uniki, biegł zygzakiem między drzewami. Wzgórze stawało się coraz bardziej strome, drzewa rosły coraz gęściej. Mężczyzna wciąż biegł za nim, odległość między nimi się zmniejszała.

Tom nie przestawał biec, żeby odciągnąć go jak najdalej od Sally.

Specjalnie zwolnił, skręcając w lewo, dalej od Sally. Kolejne kule świsnęły koło jego głowy, zdzierając kawałek kory z pnia drzewa rosnącego z prawej strony.

Tom dalej biegł.

„CHUDZIELEC" MADDOX zobaczył, że dogania Broadbenta. Zatrzymał się trzy razy, żeby wystrzelić, ale dzieliła ich jeszcze zbyt duża odległość i Broadbent tylko na tym zyskiwał, bo udawało mu się trochę zwiększyć dystans między nimi. Musi uważać; Broadbent ma jakąś broń małego kalibru, bez porównania gorszą od jego glocka, ale i tak niebezpieczną. Najpierw załatwi jego, a potem zajmie się kobietą.

Wzgórze było coraz bardziej strome, drzewa rosły coraz gęściej. Broadbent biegł teraz w dół zbocza ku wyschniętemu korytu strumienia. Był szybki, cholernie szybki, ale Maddox i tak go doganiał. Przydało się szkolenie w wojsku, regularna gimnastyka, bieganie i joga. Broadbent mu nie umknie.

Zobaczył, że Broadbent zbacza w lewo. Maddox pobiegł na skróty, coraz bardziej zmniejszając dzielącą ich odległość. Jeszcze kilka minut i ten łobuz będzie leżał u jego stóp z rozwaloną czaszką. Broadbent kluczył, starając się, żeby między nimi było jak najwięcej drzew. Stok opadał jeszcze bardziej stromo, wąwóz przemienił się w jar. Maddox był teraz zaledwie dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów za Broadbentem. Gra była prawie skończona; Broadbent znalazł się między dwoma grzbietami niczym w imadle. Piętnaście metrów.

Broadbent zniknął za jakimiś grubymi drzewami. Po chwili Maddox okrążył drzewa i zobaczył przed sobą wychodnię – urwisko – szerokości około sześćdziesięciu metrów, tworzące literę V tam, gdzie biegło koryto wyschniętej rzeki.

Zatrzymał się. Mężczyzna zniknął.

Maddox oświetlał urwisko. Ani śladu Broadbenta. Cholerny łobuz zeskoczył z urwiska. Albo schodzi w dół. Stanął nad krawędzią przepaści i poświecił latarką. Chociaż widział prawie całą zakrzywioną ścianę, nigdzie nie dostrzegł Broadbenta ani na urwisku, ani na dnie. Poczuł przypływ wściekłości. Co się stało? Czy Broadbent zawrócił i pobiegł z powrotem? Oświetlił wzgórze, ale na zboczu nie było nikogo, nie dostrzegł żadnego ruchu między drzewami. Znów podszedł nad skraj urwiska i oświetliwszy jego ścianę, wypatrywał ciała na dnie wśród skał.

Jakieś pięć metrów od urwiska rósł wysoki świerk. Maddox

usłyszał trzask gałęzi i zobaczył, że dolne gałęzie po przeciwnej stronie się poruszają.

Skurwiel wdrapał się na drzewo.

Maddox ściągnął karabin z pleców i przyklęknął, celując tam, gdzie poruszyły się gałęzie. Strzelił raz, drugi, trzeci, ale na próżno. Broadbent schodził z drzewa, wykorzystując pień w charakterze tarczy. Maddox ocenił odległość. Pięć metrów. Musiałby wziąć duży rozbieg, żeby przeskoczyć, co oznaczało konieczność ponownego wspięcia się na wzgórze. Nawet wtedy będzie to bardzo ryzykowne. Odważyłby

się na to tylko człowiek, któremu grozi śmierć.

Maddox pobiegł wzdłuż krawędzi urwiska, szukając lepszego miejsca, z którego mógłby strzelić do Broadbenta, kiedy ten zejdzie z drzewa. Przyklęknął, wycelował, wstrzymał oddech i czekał na pojawienie się Broadbenta.

Broadbent zeskoczył z najniższej gałęzi w tej samej chwili, kiedy Maddox strzelił. Przez moment Maddox myślał, że go trafił – ale łobuz przewidział wszystko i przekoziołkował, kiedy dotknął ziemi, potem podniósł się i znów zaczął biec.

Cholera.

Maddox przerzucił karabin przez ramię i rozejrzał się za kobietą, ale ona już dawno uciekła. Stał na krawędzi urwiska, nie posiadając się z wściekłości. Uciekli mu.

Ale niezupełnie. Kierowali się ku rzece Chama, będą musieli pokonać krainę płaskowyżów, pięćdziesiąt kilometrów w zabójczych warunkach. Maddox wiedział, jak tropić wroga, brał udział w wojnie na pustyni, i znał płaskowyże. Dopadnie ich.

Pozwolić im uciec było jednoznaczne z powrotem za kratki z wyrokiem dożywocia bez prawa do zwolnienia warunkowego. Musi ich zabić albo sam zginie, próbując ich dopaść.

25

WILLER POSTAWIŁ jedną nogę na zakurzonym placyku parkingowym przed klasztorem, a potem włączył na chwilę syrenę, żeby poinformować o ich obecności. Nie wiedział, o której godzinie mnisi udają się na spoczynek, ale był prawie pewien, że o wpół do drugiej nad ranem śpią w najlepsze. W klasztorze było ciemno, nie paliły się nawet żadne lampy na zewnątrz. Księżyc wyłonił się zza krawędzi kanionu, zalewając wszystko złowrogim światłem.

Jeszcze raz włączył syrenę. Niech wyjdą do niego. Po półtoragodzinnej jeździe chyba najgorszą drogą w stanie nie był w najlepszym humorze.

–Zapaliło się światło.

Willer spojrzał tam, gdzie pokazywał Hernandez. W morzu ciemności nagle pojawił się żółty

prostokąt.

–Naprawdę sądzisz, że zastałeś tu Broadbenta? Parking jest pusty. Willer poczuł świeżą falę irytacji, – słysząc zwątpienie w głosie Hernandeza. Wyciągnął papierosa z kieszeni, wsadził go do ust i zapalił.

–Wiemy, że Broadbent był na szosie numer osiemdziesiąt cztery i jechał tamtym skradzionym dodge'em. Nie minął żadnej blokady na drodze i nie ma go na Ranczu Upiora. Gdzie jeszcze mógłby być?

–Jest dużo leśnych dróg, odchodzących od szosy.

–Tak. Ale istnieje tylko jedna droga do krainy płaskowyżów, czyli ta. Jeśli go tu nie ma, będziemy musieli przycisnąć tego mnicha.

Zaciągnął się i wypuścił kłąb dymu. Na drodze pojawiło się światło latarki. Zbliżała się jakaś zakapturzona postać, jej twarz spowijał mrok. Willer dalej stał w otwartych drzwiczkach radiowozu, zahaczywszy obcasem o próg.

Mnich wyciągnął rękę, podchodząc do nich.

–Brat Henry, opat klasztoru Chrystus na Pustyni.

Mężczyzna był mały, ale żwawy. Miał jasne oczy i krótko przystrzyżoną kozią bródkę. Willer

uścisnął dłoń mnicha, kompletnie zaskoczony serdecznym, ciepłym powitaniem.

–Porucznik Willer z wydziału zabójstw policji w Santa Fe – powiedział, wyjmując odznakę. – A to sierżant Hernandez.

–Bardzo mi miło. – Mnich przyjrzał się uważnie odznace, przyświecając sobie latarką, po czym ją oddał. – Panie poruczniku, czy mógłby pan wyłączyć syrenę? Bracia śpią.

–Jasne. Naturalnie.

Hernandez zanurkował do radiowozu i wyłączył koguta. Willer czuł się skrępowany w obecności

mnicha. Może nie powinien był włączać syreny.

–Szukamy mężczyzny nazwiskiem Thomas Broadbent – powiedział. – Zdaje się, że przyjaźni się z jednym z mnichów, Wymanem Fordem. Mamy powody przypuszczać, że może być tutaj albo gdzieś w okolicy.

–Nie znam pana Broadbenta – oświadczył opat. – A brata Wymana nie ma w klasztorze.

–A gdzie jest?

–Trzy dni temu udał się na pustynię, żeby pomodlić się w samotności. *Akurat,* pomyślał Willer.

–A kiedy wróci?

–Powinien wrócić wczoraj.

–Czyżby? Willer uważnie przyjrzał się mężczyźnie. Trudno byłoby znaleźć bardziej szczerą twarz. A

przynajmniej mówił prawdę.

–A więc nie zna brat Broadbenta? O ile wiem, był tu parę razy.

Rudawoblond włosy, wysoki, jeździ chevroletem z pięćdziesiątego siódmego roku.

–Ach, to ten człowiek z fantastyczną furgonetką. Teraz wiem, o kogo wam chodzi. Był tu dwa razy, o ile mi wiadomo. Ostatni raz prawie tydzień temu.

–Zgodnie z moimi informacjami, był tu cztery dni temu. Dzień przed tym, nim ten wasz mnich, Ford, udał się na pustynię, „żeby pomodlić się w samotności".

–Zgadza się – przytaknął łagodnie mnich. Willer wyjął notes i coś w nim zapisał.

–Poruczniku, czy mogę zapytać, o co chodzi? – spytał opat. – Nie jesteśmy przyzwyczajeni do wizyt policji w środku nocy.

Willer głośno zatrzasnął notes.

–Mam nakaz aresztowania Broadbenta. Opat przez chwilę przyglądał się Willerowi i jego spojrzenie okazało się dziwnie deprymujące.

–Nakaz aresztowania?

–Właśnie to powiedziałem.

–Pod jakim zarzutem, jeśli wolno spytać?

–Z całym należnym szacunkiem, ojcze, nie mogę tego w tej chwili ujawnić. Zapadło milczenie.

–Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać? – spytał Willer.

–Tak, naturalnie. Zwykle w klasztorze obowiązuje nas milczenie, ale możemy porozmawiać w Sali Dysput. Zechcą panowie pójść ze mną?

–Proszę iść przodem – powiedział Willer, rzucając spojrzenie Hernandezowi.

Ruszyli za mnichem krętą dróżką, prowadzącą do małego domku z suszonej cegły za kościołem. Opat zatrzymał się pod drzwiami i spojrzał pytająco na Willera. Willer wytrzymał jego

wzrok.

–Przepraszam, poruczniku, pański papieros…

–Ach tak, racja. – Willer rzucił niedopalonego papierosa na ziemię i zgasił go obcasem buta, czując pełne dezaprobaty spojrzenie mnicha, zły, że został w pewien sposób pokonany.

Mnich się odwrócił i weszli za nim do środka. W małym domku były dwie puste, pobielone izby. W większej stały ławki wzdłuż ścian, a w głębi wisiał krucyfiks. W drugim pomieszczeniu było tylko drewniane biurko, lampa, laptop i drukarka.

Mnich zapalił światło i usiedli na twardych ławkach. Willer zaczął się wiercić, starając się przybrać jak najwygodniejszą pozycję, wyjął z kieszeni notes i pióro. Z każdą minutą stawał się coraz bardziej poirytowany, kiedy pomyślał o tym, że nie zastali Forda ani Broadbenta, i ile czasu zmarnowali, jadąc tutaj. Dlaczego, u diabła, mnisi nie założyli tutaj telefonu?

–Ojcze, muszę ojcu powiedzieć, że mam powód przypuszczać, że Wyman Ford może być w to

jakoś zamieszany.

Opat zsunął kaptur z głowy. Uniósł brwi ze zdumieniem.

–W co zamieszany?

–Jeszcze nie jesteśmy pewni… Ma to chyba związek z morderstwem popełnionym w Labiryncie w zeszłym tygodniu. Może wiąże się to z jakąś działalnością przestępczą.

–Uważam, że jest absolutnie wykluczone, by brat Wyman był zamieszany w coś, co jest niezgodne z prawem, nie mówiąc już o morderstwie. To człowiek niezłomnego charakteru.

–Czy ostatnio Ford dużo czasu spędzał na płaskowyżach?

–Nie więcej niż normalnie.

–Ale spędza tam dużo czasu?

–Zawsze dużo tam przebywał, odkąd przyjechał do nas trzy lata temu.

–Zdaje sobie ojciec sprawę z tego, że Ford pracował w CIA?

–Poruczniku, „zdaję sobie sprawę" z wielu rzeczy, ale na tym kończy się moja wiedza. Nie interesujemy się przeszłością naszych braci. Wiemy tylko tyle, ile nam wyznają w konfesjonale.

–Czy ostatnio zauważył ojciec jakąś zmianę w zachowaniu Forda?

Opat się zawahał.

–Cóż, dość dużo pracował na komputerze. Widziałem jakieś liczby. Ale jak już powiedziałem, jestem pewien, że nie jest zamieszany w…

–Na tamtym komputerze? – przerwał mu Willer, wskazując głową drugi pokój.

–To nasz jedyny komputer. Willer znów coś sobie zanotował.

–Brat Ford jest sługą bożym i mogę zapewnić, że… Willer uciszył go niecierpliwym gestem ręki.

–Czy orientuje się ojciec, gdzie Ford się udał, żeby „pomodlić się w samotności"?

–Nie.

–I nie wrócił na czas?

–Spodziewam się go w każdej chwili. Obiecał, że wróci wczoraj. Zwykle dotrzymuje słowa. Willer zaklął w duchu.

–Jeszcze coś?

–Na razie nie.

–Wobec tego chciałbym się udać na spoczynek. Wstajemy o czwartej.

–Proszę bardzo. Mnich wyszedł. Willer kiwnął głową na Hernandeza.

–Nic tu po nas.

–Kiedy znaleźli się na dworze, znów zapalił.

–No i co myślisz? – spytał Hernandez.

–Cała ta sprawa śmierdzi. Zamierzam przycisnąć tego Forda, nawet jeśli miałaby to być ostatnia rzecz, którą zrobię. „Pomodlić się w samotności". – Akurat. – Willer spojrzał na zegarek. Dochodziła druga. Czuł, że na próżno tracą czas. – Idź do radiowozu i zadzwoń do Santa Fe po śmigłowiec. I przy okazji poproś o nakaz zajęcia tamtego laptopa.

–Śmigłowiec?

–Tak. Chcę, żeby tu był skoro świt. Poszukamy tych skurwieli. To teren federalny, więc zadbaj o to, żeby policja w Santa Fe porozumiała się z Biurem Zarządzania Gruntami Publicznymi i każdym, kto mógłby marudzić, że działamy za jego plecami.

–Jasna sprawa, panie poruczniku.

Willer patrzył, jak latarka Hernandeza porusza się na drodze na parking. Po chwili radiowóz ożył,

rozległ się trzask i szum radia. Przez dłuższy czas trwała rozmowa, której nie słyszał. Wypalił jednego papierosa i zdążył zapalić drugiego, nim Hernandez wrócił.

Hernandez przystanął, lekko zasapany po wspinaczce na wzniesienie.

–Co jest?

–Zamknęli przestrzeń powietrzną od Espanoli do granicy z Kolorado.

–Kto zamknął?

–Federalna Agencja Nadzoru Transportu Lotniczego. Nikt nie wie dlaczego, rozkaz przyszedł z góry. Wstrzymano loty komercyjne, prywatne, wszystkie.

–Na jak długo?

–Do odwołania.

–Pięknie. A co z nakazem?

–Nie ma mowy. Obudzili sędziego; wściekł się, jest katolikiem i chce wiedzieć więcej, nim wyda zgodę na zajęcie komputera

należącego do klasztoru.

–Ja też jestem katolikiem. Co to ma do rzeczy, u diabła? – Willer ze złością ostatni raz zaciągnął się papierosem, rzucił go na ziemię, przydeptał butem niedopałek i zaczął go rozgniatać, aż zostały z niego tylko kłaczki filtra. Potem skinął głową w kierunku ciemnych kanionów i gór stołowych ciągnących się za klasztorem. – Coś ważnego się tam dzieje. A my nie mamy zielonego pojęcia co takiego.

CZĘŚĆ CZWARTA

DIABELSKIE CMENTARZYSKO

Tyrannosaurus rex był bardzo inteligentnym stworzeniem. Posiadał jeden z największych mózgów w stosunku do masy ciała wśród gadów, żyjących i wymarłych. W liczbach bezwzględnych jego mózg byl największy, jaki kiedykolwiek wyewoluował u zwierząt lądowych, miał wielkość zbliżoną do wielkości mózgu człowieka. Ale prawie nie wykształciły się półkule mózgowe, w których odbywają się procesy kojarzeniowe. Mózg tyranozaura był stworzonym przez naturę komputerem, gwarantującym zachowania instynktowne. Oprogramowanie tego „komputera" było niezwykłe. Tyranozaur nie myślał o tym, co robił. Po prostu to robił.

Nie miał pamięci długotrwałej. Pamięć jest dla słabych. Nie istniały drapieżniki, które musiał rozpoznawać, ani zagrożenia, których należało unikać, niczego nie potrzebował się uczyć. Wystarczał mu instynkt, by zaspokajać potrzeby życiowe, które ograniczały się do tych podstawowych. Dinozaur przede wszystkim musiał jeść mięso. Dużo mięsa.

Istota nie posiadająca pamięci jest prawdziwie wolna. Piaszczyste wzgórza, gdzie przyszła na świat ona, jej matka i rodzeństwo, oślepiające zachody słońca z czasów dzieciństwa, ulewne deszcze, po których rzeki stawały się czerwone, a niziny pustoszyły gwałtowne powodzie, dotkliwe susze, od których pękała ziemia – nie pamiętała takich rzeczy. Żyła daną chwilą, na jej egzystencję składały się poszczególne doznania i reakcje, w żaden sposób ze sobą niepowiązane.

Obojętnie przyglądała się, jak piętnaścioro jej rodzeństwa ginęło. Ich śmierć nie miała dla niej znaczenia, liczyło się jedynie to, że ich ciała przemieniły się w padlinę. Odłączywszy się od matki, nie poznałaby jej, gdyby ją w przyszłości spotkała.

Polowała, zabijała, jadła, spała, wędrowała. Nie wiedziała, że ma swoje „terytorium" – torowała sobie drogę wśród zdewastowanej przez wielkie stada hadrozaurów roślinności i wyrwanych z korzeniami paproci, nie rozpoznając krajobrazów. Ich zwyczaje były jej zwyczajami.

Takie uczucia wyższe, jak miłość, nienawiść, współczucie, smutek, żal czy szczęście, były jej obce. Wiedziała jedynie, co to ból i przyjemność. Była zaprogramowana w taki sposób, że robienie tego, co nakazywał instynkt, sprawiało jej przyjemność, nie robienie tego było nie do pomyślenia.

Nie rozmyślała nad znaczeniem swojej egzystencji. Nie uświadamiała sobie, że istnieje. Po prostu była.

1

KRZYŻUJĄCE SIĘ pasy startowe na poligonie White Sands Missile Rangę w Nowym Meksyku drzemały w świetle przedświtu, dwie asfaltowe nitki na płaskim jak stół polu gipsowego piasku, białego jak śnieg. Budynek terminalu lotniczego znajdował się obok pasa startowego, oświetlały go żółte sodowe lampy, kawałek dalej były hangary. Krystalicznie czyste powietrze stało niemal nieruchomo.

Jakiś punkcik pojawił się na jaśniejącym od wschodu niebie. Wolno przemienił się w myśliwiec F-14 Tomcat z dwoma pionowymi statecznikami i skrzydłami o zmiennej geometrii. Podchodził do lądowania, ryk silników był wprost ogłuszający. Samolot wylądował, wypuszczając dwie chmury kauczukowego dymu i wprawiając w drżenie rząd suchych juk rosnących wzdłuż pasa startowego. Pilot odwrócił ciąg w obu silnikach turbowentylatorowych, zwolnił, dojechał do końca pasa startowego, zakręcił i zatrzymał się przed budynkiem terminalu. Dwóch ludzi z obsługi naziemnej zajęło się odrzutowcem, podłożyło klocki pod koła i podciągnęło przewody zaopatrujące w paliwo.

Uniosła się osłona kabiny i z miejsca dla drugiego pilota wstał szczupły człowiek, po czym lekko zeskoczył na ziemię. Mężczyzna miał na sobie niebieski dres, w ręku trzymał zniszczoną, skórzaną teczkę. Wielkimi krokami przeszedł przez pas kołowania do terminalu i zasalutował dwóm żołnierzom, strzegącym wejścia, którzy też oddali mu honory, zaskoczeni oficjalnym zachowaniem przybysza.

Wszystko w mężczyźnie było zimne, czyste i symetryczne, jakby został wytoczony ze stali. Czarne, proste włosy opadały mu na czoło. Miał wydatne kości policzkowe i gładką twarz. Małe dłonie były tak zadbane, jakby robił sobie manikiur. I jeszcze te cienkie, szare usta, usta martwego człowieka. Mógłby być Azjatą, gdyby nie jego przenikliwe niebieskie oczy, które zdawały się wyskakiwać z twarzy, tak ostro kontrastowały z czarnymi włosami i białą cerą.

J.G. Masago przekroczył próg i znalazł się w terminalu z pustaków. Zatrzymał się pośrodku pomieszczenia, niezadowolony, że nikt go nie wita. Masago nie miał ani chwili do

stracenia.

Ale ta chwila pozwoliła mu na refleksję, że jak do tej pory wszystko przebiega bez zarzutu. Rozwiązał problem w muzeum i skonfiskował dane. Błyskawicznie przeprowadzona analiza próbek w Narodowej Agencji Bezpieczeństwa dała wyniki, które przeszły ich oczekiwania. Wreszcie wydarzyło się to, na co oddział LS480, tajna agencja, którą kierował, czekał od powrotu na Ziemię Apolla 17 ponad trzydzieści lat temu. Rozpoczął się końcowy etap gry.

Masago było przykro z powodu tego, co zrobił Angolowi w muzeum. Śmierć człowieka jest zawsze tragedią. Żołnierze giną na wojnie, cywile podczas pokoju. Ofiary są nieuniknione. Inni zajmą się laborantką, Crookshank, która nie była teraz najważniejsza, kiedy w pełni zabezpieczono dane i próbki.

Szkoda, że kolejna osoba poniesie śmierć, ale nie da się tego wyeliminować.

Masago był synem Japonki i Amerykanina, został poczęty w ruinach Hiroszimy w parę tygodni po zrzuceniu bomby na miasto. Matka zmarła kilka lat później, w wielkich męczarniach, na raka wywołanego przez czarny deszcz. Ojciec, naturalnie, zniknął jeszcze przed przyjściem na świat swojego syna. Masago trafił do Ameryki jako piętnastolatek. Jedenaście lat później, kiedy liczył sobie dwadzieścia sześć lat, ładownik Apollo 17 dotknął powierzchni Księżyca w okolicy gór Taurus i krateru Littrow, na skraju Mare Serenitatis. Masago nie wiedział wtedy, że podczas tamtego lotu dokonano bezsprzecznie największego odkrycia naukowego wszech czasów – i że tę tajemnicę kiedyś powierzą jemu.

Wtedy Masago był już młodszym oficerem w CIA. Z uwagi na biegłą znajomość japońskiego i swoje wybitne zdolności matematyczne kroczył zawiłą i krętą ścieżką kariery przez różne wydziały Agencji Wywiadu Obronnego. Udało mu się dzięki wyjątkowej ostrożności, skromności i osiągnięciom, którymi się nie przechwalał. W końcu powierzono mu kierowanie małym, tajnym oddziałem, zwanym LS480, i dopuszczono go do tajemnicy.

Największej tajemnicy w dziejach ludzkości.

Było to z góry przesądzone, ponieważ Masago znał prostą

prawdę, której żaden z jego kolegów nie miał odwagi stawić czoła. Wiedział, że ludzkość czeka zagłada. Ludzie osiągnęli zdolność samounicestwienia i zrobią to. Co było do okazania. Było to dla Masago takie proste i oczywiste, jak dwa plus dwa to cztery. Czy w całych dziejach ludzkości był taki okres, kiedy ludzie powstrzymali się przed użyciem broni, jaką dysponowali? Pytanie było nie czy, tylko kiedy. I Masago czuwał właśnie nad częścią równania, zawierającą owo „kiedy". Mógł opóźnić zagładę. Jeśli spełni swój obowiązek, osobiście przedłuży istnienie rodzaju ludzkiego o jeszcze pięć lat, może dziesięć, a może nawet tyle, ile wynosi długość życia jednego pokolenia. Była to szlachetna misja, ale jej realizacja wymagała dyscypliny moralnej. Czyjaś przedwczesna śmierć stanowiła w tej sytuacji niewielką cenę. Jeśli śmierć jednego człowieka może opóźnić katastrofę choćby o pięć minut… jakie kwiaty mogą jeszcze zakwitnąć? Ostatecznie, tak czy inaczej, wszyscy skazani jesteśmy na zagładę.

Przez dziesięć lat kierował LS480, pozostając w cieniu. Byli w strefie oczekiwania, grali na przetrzymanie, trwało coś w rodzaju bezkrólewia. Ale zawsze wiedział, że kiedyś odnajdzie się drugi pantofelek.

I właśnie się odnalazł.

A do tego w najmniej spodziewanym miejscu i w najbardziej nieprawdopodobny sposób. Lecz Masago był gotów. Dziesięć lat czekał na tę chwilę. I działał szybko i zdecydowanie.

Masago drugi raz przypatrzył się budynkowi terminalu swoimi szafirowymi oczami. Zobaczył szereg automatów z napojami, szarą poliestrową wykładzinę dywanową, rzędy plastikowych krzesełek, przytwierdzonych do podłogi, lady i biura – ponure, oszczędne, funkcjonalne, typowo wojskowe wnętrze.

Odczekał dwie minuty; to stawało się niemal nie do zniesienia. W końcu z jakiegoś pomieszczenia wyszedł mężczyzna w pomiętym polowym mundurze z dwiema gwiazdkami na ramieniu i strzechą stalowych włosów.

Masago zaczekał, aż wojskowy podejdzie do niego, nim wyciągnął rękę.

–Generał Miller?

Generał mocno, po żołniersku uścisnął mu dłoń.

–A pan z pewnością nazywa się Masago. – Uśmiechnął się szeroko i skinął głową w stronę

myśliwca na pasie startowym, który tankował paliwo. – Służył pan kiedyś w marynarce? Nieczęsto

widujemy tutaj takie maszyny.

Masago ani się nie uśmiechnął, ani nie zaspokoił ciekawości generała.

–Wszystko przygotowane zgodnie z instrukcjami, panie generale? – zapytał.

–Naturalnie. Generał się odwrócił i Masago ruszył za nim do pustego pokoju na samym końcu hali. Na

metalowym biurku leżało kilka teczek, odznaka i małe urządzenie, które mogło być tajną wersją wojskowego telefonu satelitarnego. Generał wziął odznakę i telefon, po czym bez słowa wręczył je Masago. Mężczyzna podniósł pierwszą teczkę, opatrzoną szeregiem czerwonych pieczęci.

–A więc to to.

Masago przez kilka minut przeglądał zawartość teczki. Właśnie coś takiego poprosił, bezzałogowy

statek powietrzny, wyposażony w radar z aperturą syntetyczną do zobrazowań wielospektralnych hiperspektralnych. Z zadowoleniem zauważył, że na potrzeby jego misji przeznaczono jednego satelitę do robienia zdjęć w podczerwieni SIGINT KH-11.

–A ludzie?

–Dziesięciu, już wcześniej odkomenderowanych przez Naczelne Dowództwo z Połączonej Grupy Szturmowej i Jednostki Antyterrorystycznej do dyspozycji Zarządu Operacyjnego CIA. Są gotowi do akcji.

–Czy zostali sprawdzeni?

–Tych ludzi nie trzeba sprawdzać, brali udział wyłącznie w tajnych operacjach. Otrzymali pańskie zarządzenie przygotowawcze, ale jest ono dość ogólnikowe.

–Specjalnie. – Masago zamilkł. – Z misją tą wiąże się niezwykły,

że się tak wyrażę, czynnik psychologiczny, co właśnie teraz sobie uzmysłowiłem.

–To znaczy?

–Możemy zażądać od tych ludzi, żeby zabili kilku amerykańskich obywateli na terenie USA.

–Cóż to, u diabła, ma znaczyć? – ostro spytał generał.

–Chodzi o bioterrorystów, którzy wpadli na trop czegoś ważnego.

–Rozumiem. – Generał przez dłuższą chwilę wpatrywał się uporczywie w twarz Masago. – Ci

ludzie są psychologicznie przygotowani do zrobienia niemal wszystkiego. Ale chciałbym prosić o wyjaśnienie…

–Nie odpowiem na żadne pańskie pytania. Mogę jedynie powiedzieć, że ta sprawa dotyczy

bezpieczeństwa kraju.

Generał Miller głośno przełknął ślinę.

–Kiedy ludzie dostaną rozkaz operacyjny, należy jasno postawić tę kwestię.

–Panie generale, będę postępował tak, jak to uznam za stosowne. Spodziewałem się od pana zapewnienia, że ci żołnierze są zdolni do wykonania tego niezwykłego zadania. Sądząc po pańskiej reakcji, obawiam się, że mogę potrzebować lepszych ludzi.

–Nie znajdzie pan nikogo lepszego od tej dziesiątki. To najlepsi żołnierze, jakich mam.

–Trzymam pana za słowo. A śmigłowiec? Generał skinął siwą głową w kierunku lądowiska dla helikopterów.

–Gotowy do startu.

–MH 60G Pave Hawk?

–Zgodnie z życzeniem. – Głos generała stał się lodowaty.

–Proszę mi coś powiedzieć o dowódcy oddziału.

–Starszy sierżant Anton Hitt, jego życiorys jest w teczce. Masago rzucił Millerowi pytające

spojrzenie.

–*Sierżant?*

–Prosił pan o najlepszych, nie najwyższych rangą – odparł sucho generał. Po chwili spytał: – Misja nie będzie prowadzona na terenie Nowego Meksyku? Bylibyśmy wdzięczni, gdyby nas uprzedzono, jeśli ta operacja ma przebiegać na naszym podwórku.

–Kierujemy się zasadą, według której każdy dysponuje takimi informacjami, jakie są mu niezbędne do działania, panie generale.

–Usta Masago po raz pierwszy rozciągnęły się lekko w czymś, co przypominało uśmiech. I

jednocześnie zrobiły się białe.

–Załoga śmigłowca Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych czeka na odprawę…

–Wszyscy uczestniczący w akcji otrzymają karty misji oraz współrzędne, kiedy będą w powietrzu. Oddział pozna rozkaz operacyjny w drodze.

Generał nie zareagował, jedynie lekko mu drgnął mięsień szczęki.

–Potrzebny mi śmigłowiec transportowy, gotowy do lotu w każdej chwili, zdolny do przewiezienia ładunku do piętnastu ton.

–Mogę zapytać o zasięg lotu? – spytał generał. – Żeby uniknąć kłopotów z paliwem.

–Śmigłowiec ma mieć baki wypełnione w siedemdziesięciu dwóch procentach. – Masago zamknął

teczkę i wsunął ją do swojej aktówki.

–Proszę mnie odprowadzić na lądowisko dla helikopterów.

Podążył za generałem przez poczekalnię, wyszedł bocznymi drzwiami i skierował się przez asfaltowy placyk do lśniącego czarnego śmigłowca Sikorsky Pave Hawk, wirniki już się obracały. Niebo na wschodzie pojaśniało, zmieniając kolor z niebieskiego na bladożółty. Dwadzieścia stopni nad horyzontem widać było Wenus, jasny punkcik, niknący w świetle zbliżającego się wschodu słońca.

Masago kroczył zamaszyście, nawet się nie zasłonił przed wywołanym przez wirniki wiatrem, który rozburzył jego fryzurę. Wskoczył do środka i zasunął za sobą drzwi. Wirniki zaczęły się szybciej obracać, wzbijając tumany kurzu. Po chwili potężna maszyna uniosła się w powietrze i skierowała na północ, po czym szybko zniknęła na porannym niebie.

Generał obserwował, jak śmigłowiec ginie w oddali, potem się odwrócił i kiwając głową, wymamrotał ze złością: – Cholerny cywil.

2

JAKOŚ UDAŁO im się odnaleźć siebie nawzajem w kanionach. Szli przez całą noc, kierując się światłem niepełnej tarczy księżyca. W końcu Tom przystanął, żeby odsapnąć. Sally podeszła do niego, położyła mu głowę na ramieniu i opierała się o niego. Wokoło panowała całkowita cisza, tysiące małych, szarych wzniesień przypominało kupki popiołu. Przed nimi rozciągało się zagłębienie w piasku, popękany muł był miejscami biały od zasadowych wykwitów. Niebo pojaśniało na wschodzie, wkrótce pojawi się słońce.

Sally kopnęła w ziemię, wzbijając w górę białawy pióropusz pyłu, który rozpłynął się w powietrzu.

–To piąty wyschnięty wodopój, jaki mijamy.

–Wygląda na to, że deszcze, które padały w zeszłym tygodniu, nie dotarły tutaj. Usiadła na skale i spojrzała na Toma z ukosa.

–Widzę, że zupełnie zniszczył pan ten garnitur.

–Valentino byłby niepocieszony – powiedział Tom, zdobywszy się na uśmiech. – Rzućmy okiem na twoją ranę.

–Pozwoliła mu, by podciągnął jej dżinsy. Ostrożnie zdjął prowizoryczny opatrunek.

–Nie ma śladu zakażenia. Boli?

–Jestem taka zmęczona, że nawet nie czuję.

Wyrzucił opatrunek i wyjął z kieszeni czysty kawałek jedwabnej podszewki marynarki. Delikatnie

obwiązał nim nogę Sally, ogarnięty nagle falą wściekłości na porywacza.

–Wejdę na tę górę stołową, żeby się przekonać, czy ten łobuz wciąż za nami podąża. Ty sobie

odpocznij.

–Chętnie.

Tom wdrapał się po zboczu pobliskiego wąskiego i stromego garbu, starając się nie wychylać

ponad jego linię. Ostatnie trzy metry czołgał się, a potem ostrożnie wystawił głowę nad krawędź. W innych okolicznościach poczułby radość na widok wspaniałej krainy, przez którą szli, ale tym razem ogarnęło go jedynie zmęczenie. W ciągu ostatnich pięciu godzin pokonali przynajmniej trzydzieści kilometrów, starając się maksymalnie powiększyć odległość dzielącą ich od prześladowcy. Nie przypuszczał, by mężczyźnie udało się podążać za nimi w ciemnościach nocy, ale chciał się upewnić, że rzeczywiście go zgubili.

Przygotował się na dłuższe czekanie. Krajobraz za nim wydawał się pozbawiony życia, ale wiele zagłębień i dno kanionów pozostawały osłonięte; mogło upłynąć nieco czasu, nim ich prześladowca się pojawi na otwartej przestrzeni. Tom leżał na brzuchu, spoglądając na pustynię, wypatrując ruchomego punkciku, ale nic nie widział. Minęło pięć minut, dziesięć. Tom czuł coraz większą ulgę. Słońce wzeszło,

jego ognista tarcza rzucała pomarańczowe światło, które ozłociło najwyższe szczyty i krawędzie, powoli zalewając zbocza niczym płynne złoto. W końcu światło dotarło i do skalistego pustkowia i Tom poczuł, jak go pali tył głowy. Ale wciąż nie widział ani śladu ich prześladowcy. Mężczyzna zniknął. Prawdopodobnie wciąż był w kanionie Daggett. Tom miał przynajmniej taką nadzieję. Wyobraził sobie, jak ich prześladowca idzie, zataczając się, dręczony pragnieniem, nad jego głową krążą sępniki różowogłowe.

Pokrzepiony tą myślą, zszedł na dół. Sally leżała oparta o skałę i spała. Przez chwilę spoglądał na nią, na jej długie, jasne, potargane włosy, na jej brudną i podartą koszulę, na dżinsy i buty pokryte kurzem. Pochylił się i pocałował ją lekko.

Otworzyła oczy, przypominające dwa zielone klejnoty. Tom poczuł, jak mu się ściska gardło. Niemal ją stracił.

–Widziałeś coś? – spytała. Pokręcił głową.

–Jesteś pewien? Zawahał się.

–Nie do końca. Zastanawiał się, dlaczego to powiedział, dlaczego wciąż ma jakieś wątpliwości.

–Musimy iść dalej – oświadczyła. Jęknęła, kiedy pomagał jej wstać.

–Jestem sztywna jak matka Normana Batesa. Nie powinnam była siadać. Znów ruszyli wzdłuż kanału wyżłobionego przez wodę, Tom pozwolił Sally narzucić tempo

marszu. Słońce wspinało się po niebie. Tom wsadził kamyk do ust i zaczął go ssać, próbując nie zwracać uwagi na coraz bardziej dokuczliwe pragnienie. Mało prawdopodobne, by natrafili na wodę, póki nie dotrą nad rzekę, odległą jeszcze o dwadzieścia pięć kilometrów. W nocy było zimno, ale teraz, kiedy wzeszło słońce, już zrobiło się gorąco. Będzie skwarny dzień.

3

„CHUDZIELEC" MADDOX leżał na brzuchu za głazem, patrząc przez czterokrotnie powiększającą lunetkę swojego AR-15. Widział, jak Broadbent się pochylił i pocałował żonę. Wciąż go bolał nos po tym, jak go kopnęła, skórę na policzku miał czerwoną od jej zadrapań, nogi niczym z gumy, z każdą minutą coraz bardziej dokuczało mu pragnienie. Tych dwoje wędrowało w niemal nadludzkim tempie, nie zatrzymując się, żeby odpocząć. Zastanawiał się, jak im się to udaje. Gdyby nie to, że wzeszedł księżyc i że Maddox miał latarkę, z pewnością by ich zgubił. Ale to były dobre tereny do śledzenia ludzi, miał też tę przewagę nad nimi, że wiedział, dokąd się kierują – do rzeki. No bo dokąd jeszcze mogli pójść? Każde źródło wody, które mijali, było wyschnięte na kość.

Zmienił pozycję, bo zdrętwiała mu noga, i patrzył, jak ruszają wzdłuż kanionu. Z tego miejsca prawdopodobnie mógłby zabić Broadbenta, ale było to trochę ryzykowne, no i ta suka, jego żona, mogła uciec. Teraz, wraz z nadejściem dnia, będzie mógł ich dogonić, przyśpieszając kroku i idąc na skróty. Znał tu wiele miejsc, gdzie mógł zastawić na nich pułapkę.

Najważniejsze to nie zdradzić swojej obecności. Jeśli będą podejrzewać, że wciąż za nimi podąża, będzie mu znacznie trudniej ich zaskoczyć.

Przyjrzał się okolicom przez lunetkę swojego karabinu, pilnując się, żeby w obiektywie nie odbiło się światło słoneczne; nic szybciej go nie zdemaskuje niż błysk światła odbitego od soczewki. Dobrze znał krainę gór stołowych, zarówno z wędrówek, jak i wielogodzinnego studiowania map Służby Geologicznej USA, w które zaopatrzył go Corvus. Bardzo żałował, że nie ma teraz przy sobie jednej takiej mapy. Na południowym zachodzie rozpoznał wielką grań, zwaną Krawędzią Nawahów, wznoszącą się prawie dwieście pięćdziesiąt metrów nad rozciągającą się wkoło pustynią. Przypomniał sobie, że między miejscem, gdzie się znajduje, a granią jest skaliste pustkowie, badlandy zwane Echo, poprzecinane głębokimi kanionami i upstrzone dziwnymi formacjami skalnymi; do tęgo dochodziła jeszcze głęboka rozpadlina w ziemi, Kanion Tyranozaura. Jakieś dwadzieścia kilometrów dalej Maddox widział skraj Płaskowyżu Przodków, z tej odległości przypominający niewyraźną linię na

horyzoncie. W jego zbocza wrzynały się liczne wąwozy, z których kanion Joaquin był najdłuższy. Prowadził do Labiryntu, gdzie zabił poszukiwacza dinozaurów. Stamtąd było już niedaleko do rzeki.

I właśnie tam się kierowali.

Wydawało mu się, że upłynął wiek od chwili, kiedy zastawił sidła na tamtego poszukiwacza. Aż trudno uwierzyć, że minęło zaledwie… Ile, osiem dni? Od tamtej pory wiele spraw potoczyło się nie tak, jak należy.

Miał notes i był bliski naprawienia wszystkiego, co schrzanił. Będą się kierowali do jedynego szlaku przez Krawędź Nawahów, czyli podążą na południowy zachód przez skaliste pustkowia, nieopodal

wejścia do Kanionu Tyranozaura. Tam, do miejsca, gdzie powstało naturalne przewężenie, dochodziło kilka bocznych kanionów. Muszą pójść tamtędy.

Mógł skręcić na południe, okrążyć Krawędź Nawahów i zawrócić na północ, by zastawić na nich pułapkę u wylotu doliny. Musi się pośpieszyć, ale za niespełna godzinę będzie po wszystkim.

Zgramolił się ze swojego punktu obserwacyjnego, pilnując się, żeby go nie zobaczyli, i ruszył żwawym krokiem na południe przez skaliste pustkowie w kierunku wapiennej ściany Krawędzi Nawahów.

Jutro o tej porze będzie wsiadał do pierwszego samolotu, lecącego do Nowego Jorku.

4

MELODIE CROOKSHANK szła na wschód Siedemdziesiątą Dziewiątą Ulicą. Przed nią wznosił się gmach muzeum, w szybach okien na ostatnim piętrze odbijało się światło wczesnego ranka. Nie mogła spać i większość nocy spędziła, chodząc tam i z powrotem ruchliwym odcinkiem Broadwayu, nie mogąc powstrzymać gonitwy myśli. Wstąpiła na burgera w czynnej całą dobę restauracji gdzieś w pobliżu Times Square, a potem na herbatę w barze niedaleko Lincoln Center. To była długa noc.

Skręciła w uliczkę tylko dla pojazdów służbowych, prowadzącą do wejścia dla pracowników, i spojrzała na zegarek. Za kwadrans ósma. Zarwała wiele nocy, kiedy pisała pracę doktorską, i była do tego przyzwyczajona, ale tym razem odnosiła wrażenie, że jest inaczej. Miała niezwykle jasny i świeży umysł. Nacisnęła dzwonek przy drzwiach i wsunęła do czytnika przepustkę pracownika muzeum.

Przeszła przez znajdującą się pośrodku rotundę i minęła kilka przestronnych sal wystawowych. Zawsze przebiegał ją dreszcz, kiedy wczesnym rankiem szła przez puste muzeum, mijając ciemne i milczące gabloty, jedynym odgłosem było stukanie jej obcasów o marmurową posadzkę.

Jak zwykle udała się na skróty, przez Wydział Szkolenia, wsunęła kartę do czytnika, żeby ściągnąć windę. Czekała, aż winda wjedzie z szumem, i ponownie posłużyła się kartą, żeby zjechać do sutereny.

Drzwi się rozsunęły i Melodie znalazła się w korytarzu. We wnętrzach muzeum panował chłód i cisza niby w jakiejś jaskini. Zawsze wywoływało to u niej gęsią skórkę. Powietrze było nieruchome i jak zwykle odniosła wrażenie, że unosi się w nim słaby zapach starego mięsa.

Przyśpieszyła kroku, kierując się do laboratorium Działu Mineralogii. Mijała drzwi do magazynów skamielin: dinozaurów z okresu triasu, dinozaurów z okresu jury, dinozaurów z okresu kredy, ssaków z epoki oligocenu, ssaków z epoki eocenu – przypominało to spacer przez kolejne etapy ewolucji. Jeszcze jeden zakręt i znalazła się w holu z błyszczącymi drzwiami z nierdzewnej stali, prowadzącymi do różnych laboratoriów – teriologii, herpetologii, entomologii. Dotarła do drzwi z tabliczką

MINERALOGIA, wsunęła magnetyczną kartę-klucz, pchnęła drzwi i pomacała ścianę, szukając kontaktu. Rozbłysły jarzeniówki.

Przystanęła. Przez półki z próbkami zobaczyła, że Corvus już jest – zasnął przed mikroskopem stereoskopowym, obok niego stała jego aktówka. Co on tu robi? Natychmiast odpowiedziała sobie na to pytanie: przyszedł wcześniej, by osobiście sprawdzić to, o czym od niej usłyszał – i to w niedzielny ranek.

Niepewnie zrobiła jeden krok i chrząknęła. Nie poruszył się.

–Doktorze Corvus?

Pewniej ruszyła przed siebie. Kustosz zasnął przy biurku, oparłszy głowę na ramieniu. Podeszła do

niego na paluszkach. Oglądał próbkę przez mikroskop. Trylobita.

–Doktorze Corvus? – Zbliżyła się do stołu. Mężczyzna ani drgnął. Melodie ogarnął lekki niepokój.

Czyżby dostał zawału? Mało prawdopodobne; był zbyt młody. – Doktorze Corvus? – powtórzyła szeptem. Obeszła stół i pochyliła się, żeby spojrzeć na jego twarz. Odskoczyła gwałtownie z cichym okrzykiem, zasłaniając ręką usta.

Kustosz miał szeroko otwarte, zamglone oczy.

A więc jednak Corvus dostał zawału. Cofnęła się jeszcze o krok. Wiedziała, że powinna sprawdzić mu puls, zrobić coś, może oddychanie usta-usta, ale sama myśl dotknięcia go budziła w niej wstręt. Te oczy… Nie ulegało wątpliwości, że nie żyje. Cofnęła się jeszcze o krok, podniosła słuchawkę telefonu i… zawahała się.

Coś się nie zgadzało. Gapiła się na martwego kustosza, zgarbionego nad mikroskopem, z głową na ramieniu, jakby oparł ją, zmęczony, i usnął. Coś jej tu nie pasowało. Nagle doznała olśnienia: Corvus oglądał trylobita.

Wzięła skamielinę i przyjrzała jej się. Zwyczajny trylobit z kenozoiku, z rodzaju tych, jakie można kupić za kilka dolarów w każdym sklepie ze skamieniałościami. W muzeum były ich tysiące. Corvus, który dokonał najbardziej spektakularnego odkrycia paleontologicznego stulecia, wybrał sobie akurat ten

moment, by oglądać zwykłego trylobita?

Wykluczone.

Ogarnął ją strach. Podeszła do szafki z okazami, przekręciła zamek szyfrowy i otworzyła drzwiczki.

Płyty kompaktowe i próbki, które o północy zamknęła w szafce, zniknęły.

Rozejrzała się dookoła, dostrzegła aktówkę Corvusa. Wyjęła ją z jego bezwładnie zwisającej ręki, położyła na stole, otworzyła i sprawdziła jej zawartość.

Nic.

Wszystkie dane o dinozaurze zniknęły. Wszystkie próbki, płyty kompaktowe. Jakby nigdy nie istniały. A potem przypomniała sobie jeszcze jeden drobny fakt: kiedy weszła do laboratorium, nie paliło się światło. Jeśli Corvus usnął podczas pracy, to kto zgasił światło?

To nie zawał.

Poczuła się tak, jakby w żołądku miała kawałek suchego lodu. Ten, kto zabił Corvusa, mógł też zabić ją. Musi postępować bardzo, bardzo ostrożnie.

Podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer do strażników. Odpowiedział jej czyjś znudzony głos.

–Mówi doktor Crookshank z laboratorium mineralogii. Przyszłam przed chwilą i zastałam w

laboratorium doktora Corvusa. Nie żyje.

Po chwili, odpowiadając na nieuchronne pytanie, oznajmiła niespiesznie:

–Wygląda to na atak serca.

5

PORUCZNIK WILLER stał w drzwiach Sali Dysput i obserwował słońce wyłaniające się zza ostańców nad rzeką. Z kościoła za nim dobiegały odgłosy śpiewów, wznosząc się i opadając w pustynnym powietrzu.

Rzucił niedopałek przedostatniego papierosa, przydeptał go, chrząknął i splunął. Ford nie wrócił i nie było ani śladu Broadbenta. Hernandez poszedł do radiowozu zadzwonić. Na policyjnym lądowisku w Santa Fe już stał gotowy do lotu helikopter, ściągnięty z Albuquerque, ale przestrzeń powietrzna nadal pozostawała zamknięta i nie wiadomo było, kiedy zostanie otwarta.

Zobaczył, jak Hernandez wysiada z radiowozu, usłyszał trzaśniecie drzwiczek. Kilka minut później jego zastępca znalazł się obok niego po mozolnej wspinaczce pod górę. Zauważył spojrzenie Willera i pokręcił głową.

–Bez zmian.

–Wiadomo coś o Broadbencie albo jego wozie?

–Nie. Jakby się rozpłynął. Wilier zaklął.

–Nie mamy tu nic do roboty. Zacznijmy przeszukiwać leśne drogi, odchodzące od szosy numer osiemdziesiąt cztery.

–Dobrze.

Wilier ostatni raz rzucił okiem na kościół. Zmarnowali tyle czasu. Jak tylko wróci Ford, zaciągnie

rzekomego mnicha za włosy do miasta i dowie się, co, u diabła, porabiał na płaskowyżach. A jak pojawi się Broadbent, z przyjemnością sobie popatrzy, jak temu weterynarzowi-milionerowi będzie odpowiadało dzielenie celi z kokainistą i spożywanie na kolację parówek w cieście.

Wilier ruszył w dół ścieżki, pałka i kajdanki podskakiwały przy każdym jego kroku. Hernandez podążył za nim. Kupią kilka *burritós* i parę litrów kawy w Bode's. I nowy karton marlboro. Nie lubił, kiedy mu zostawał ostatni papieros.

Złapał klamkę radiowozu i już miał szarpnąć drzwiczki, kiedy gdzieś z oddali dobiegł go warkot. Zadarł głowę i zobaczył czarny punkcik na porannym niebie.

–Ej! – wykrzyknął Hernandez, mrużąc oczy. – Czy to nie helikopter?

–Z całą pewnością.

–Niespełna pięć minut temu powiedzieli mi, że jeszcze stoi na lądowisku.

–Idioci. Willer wyjął ostatniego papierosa i zapalił go – Freddie, pilot, zawsze miał przy sobie kilka paczek.

–Teraz możemy kontynuować naszą akcję. Obserwował nadlatujący helikopter, gdzieś zniknęło jego poczucie bezsilności. Dopadną tych

łobuzów w kanionach. Teren był rozległy, ale Willer był prawie pewien, że są w Labiryncie, i tam w pierwszej kolejności skieruje helikopter.

Czarny punkcik robił się coraz większy i Willer wpatrywał się w niego z narastającym zdumieniem. Nie był to policyjny śmigłowiec, przynajmniej nigdy takiego nie widział. Był czarny i znacznie większy, miał dwa podwieszone zbiorniki, przypominające pontony. Nagle Willer zrozumiał, co tu naprawdę jest grane. Zamknięcie przestrzeni powietrznej, czarny helikopter. Odwrócił się do Hernandeza.

–To samo sobie pomyślałeś co ja?

–FBI.

–No właśnie. Willer zaklął cicho. To takie typowe dla federalnych, nic nie powiedzieć, pozwolić miejscowej

policji kręcić się jak ślepym idiotom, a potem pojawić się, by przeprowadzić błyskawiczną akcję, i zwołać konferencję prasową.

Nadlatujący śmigłowiec przechylił się lekko, zwolnił i zawisnął w powietrzu, nim opadł na ziemię. Podczas lądowania zadarł wysoko nos, strumień powietrza, wywołany ruchem wirników, wzbił w górę ostre drobiny pyłu. Jeszcze nim zatrzymały się

wirniki, rozsunęły się drzwi i wyskoczył przez nie jakiś mężczyzna w mundurze polowym, trzymający karabinek automatyczny M4.

–Co to ma znaczyć, do cholery?

Pojawiło się jeszcze dziewięciu żołnierzy, kilku z nich dźwigało jakiś sprzęt elektroniczny i

urządzenia łączności. Ostatni wysiadł wysoki, szczupły mężczyzna o czarnych włosach i kościstej twarzy, ubrany w dres. Ośmiu żołnierzy pobiegło gęsiego w kierunku kościoła, dwóch zostało z mężczyzną w dresie.

Willer ostatni raz się zaciągnął, rzucił niedopałek na ziemię, wypuścił dym z płuc i czekał. To nawet nie byli federalni – przynajmniej nie ci, których znał.

Mężczyzna w dresie podszedł do niego i zatrzymał się.

–Czy mogę prosić o przedstawienie się? – powiedział władczym tonem. Willer odczekał chwilę.

–Porucznik Willer z policji w Santa Fe. A to sierżant Hernandez.

–Nie poruszył się.

–Czy możecie się odsunąć od radiowozu? Willer znów zwlekał chwilę, nim powiedział:

–Proszę pana, jeśli ma pan odznakę, teraz pora, żeby ją pokazać. Mężczyzna niemal niedostrzegalnie spojrzał na jednego z żołnierzy. Żołnierz zbliżył się –

muskularny osiłek, ostrzyżony na rekruta, z pomalowaną twarzą, cały nadęty z poczucia własnej ważności. Willer widywał takich w wojsku i nie darzył ich sympatią.

–Proszę odsunąć się od radiowozu – powiedział żołnierz.

–Kim, u diabła, pan jest, by mi rozkazywać? – Nie pozwoli traktować się w taki sposób,

przynajmniej póki nie zobaczy odznaki.

–Pracuję w wydziale zabójstw w komendzie policji w Santa Fe, jestem tutaj służbowo, mam nakaz

aresztowania, ścigam zbiega. Kto, u diabła, pozwolił się tu wam tak szarogęsić?

Mężczyzna w dresie przemówił spokojnie:

–Nazywam się Masago, pracuję w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego przy rządzie Stanów

Zjednoczonych Ameryki. Na tym terenie prowadzona jest operacja jednostki specjalnej, dlatego

wprowadzono na nim stan wyjątkowy i zamknięto obszar powietrzny. Ci ludzie stanowią część oddziału

komandosów Delta Force i wykonują zadanie związane z bezpieczeństwem narodowym. A teraz

powtarzam po raz ostatni: proszę się odsunąć od radiowozu.

–Najpierw muszę zobaczyć…

Następne, co zobaczył Willer, to to, że leży na ziemi zgięty w kabłąk, rozpaczliwie próbując

wciągnąć nieco powietrza w płuca, podczas gdy żołnierz z wprawą pozbawiał go broni służbowej. W końcu zdołał zaczerpnąć nieco powietrza. Udało mu się podeprzeć na rękach i kolanach, zakaszlał i splunął, starając się nie wymiotować; mięśnie brzucha skręcały mu się, jakby połknął zająca. Wstał i wyprostował się.

Hernandez stał oszołomiony. Jemu też zabrali broń. Willer z niedowierzaniem patrzył, jak jeden z żołnierzy podchodzi do radiowozu - *jego radiowozu* – ze śrubokrętem. Po chwili wyłonił się trzymając w jednej ręce radiostację ze zwisającymi przewodami. W drugiej miał kluczyki samochodowe.

–Proszę oddać przenośne radio – zwrócił się do Willera mężczyzna w dresie.

Willer wciągnął w płuca jeszcze jeden haust powietrza i wręczył mu radio.

–Proszę oddać pałkę, kajdanki, gaz łzawiący oraz wszelką inną broń i urządzenia łączności. Jak

również zapasowe kluczyki do radiowozu.

Willer posłuchał. Widział, że od Hernandeza zażądano tego samego.

–Teraz zaprowadzimy was do kościoła. Pan i Hernandez pójdziecie przodem.

Willer i Hernandez ruszyli w kierunku kościoła. Kiedy mijali Salę Dysput, Willer dostrzegł laptopa

należącego do klasztoru. Leżał na ziemi roztrzaskany na kawałki; obok znajdowała się połamana antena satelitarna. Willer zauważył, że żołnierze uwijają się, rozstawiając jakiś sprzęt elektroniczny. Jeden mocował na dachu dużą antenę.

Weszli do kościoła. Śpiewy ucichły, nikt się nie odzywał. Mnisi zbili się w ciasny krąg, pilnowani przez dwóch komandosów. Jeden z żołnierzy dał znak Willerowi i Hernandezowi, by dołączyli do zakonników.

Mężczyzna w dresie stanął przed milczącymi mnichami.

–Nazywam się Masago, pracuję dla Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego przy rządzie Stanów

Zjednoczonych Ameryki. Wykonujemy na tym terenie specjalną operację. Dla waszego bezpieczeństwa nakazujemy, żebyście pozostali tutaj, w tym pomieszczeniu, i nie próbowali nawiązać z kimkolwiek kontaktu, póki nie ukończymy naszej misji. Operacja potrwa od dwunastu do dwudziestu czterech godzin. Macie tutaj wszystko, co niezbędne: łazienkę, wodę, małą kuchenkę, jedzenie w lodówce. Przepraszam za niedogodności.

Skinął na Willera i wskazał boczny pokój. Willer poszedł za nim. Mężczyzna zamknął drzwi, odwrócił się i powiedział cicho:

–A teraz, poruczniku, chciałbym się dowiedzieć, dlaczego pan tu jest i kogo pan ściga.

SŁOŃCE WZESZŁO wiele godzin temu i dolina przemieniła się w strefę śmierci, morze rozpalonych głazów, odbijających żar słońca. Ford szedł wzdłuż wyschniętego koryta rzeki na dnie wąwozu. Uznał, że nazwa Diabelskie Cmentarzysko jest jeszcze celniejsza w dzień niż o zmierzchu.

Ford usiadł na kamieniu, sięgnął po manierkę i pociągnął z niej mały łyk. Największym wysiłkiem woli powstrzymał się przed wypiciem więcej. Zakręcił manierkę i potrząsnął nią. Ocenił, że został w niej jeszcze litr. Na płaskiej skale u swych stóp ostrożnie rozpostarł mapę, która już zaczęła się rozdzierać w miejscach zagięć, i wyciągnął ogryzek ołówka. Zaostrzył go scyzorykiem i zaznaczył kolejny kwadrat, który przeszukał.

Od świtu przemierzał niegościnne okolice i powoli zaczęła go opuszczać pewność, że jest blisko znalezienia skamieliny. Trzy duże kaniony i wiele mniejszych tworzyły splątany chaos – prawdziwą martwą krainę, zniszczoną erozją, gwałtownymi powodziami, lawinami. Zupełnie, jakby Pan Bóg wykorzystał ją jako wysypisko śmieci po dziele stworzenia świata, zgromadziwszy tu stosy piasku i kamieni, które nigdzie mu się nie przydały.

Na dodatek Ford nie dostrzegł żadnych śladów skamieniałości – nawet najmniejszych fragmentów skamieniałego lasu, które tak często spotykało się na płaskowyżach. Był to krajobraz pozbawiony wszelkich śladów życia.

Znów potrząsnął manierką, pomyślał sobie „a, co tam", pociągnął kolejny łyk i spojrzał na zegarek. Wpół do jedenastej. Przeszukał z połowę doliny. Została mu do zbadania druga część, a poza tym nie wiadomo ile bocznych kanionów i ślepo zakończonych jarów – zajmie to przynajmniej jeszcze jeden dzień. Ale nie uda mu się tego dokonać, jeśli nie znajdzie wody; a było dość oczywiste, że w tym diabelskim miejscu nie ma wody. Jeśli nie chce umrzeć z pragnienia, będzie musiał skierować się ku rzece nie później niż jutro skoro świt.

Złożył mapę i przerzucił manierkę przez ramię. Określił swoje położenie, posługując się kompasem i wykorzystując jako punkt orientacyjny wapienną iglicę, która oderwała się od ściany kanionu i sterczała pod dziwnym kątem. Powlókł się przez

piaszczystą równinę, minął jeszcze jeden wyschnięty wodopój, jego sandały wzbijały w powietrze biały, zasadowy pył. Wyrównał rytm kroków i przyśpieszył. Minął iglicę i podążył w górę wyschniętego koryta, biegnącego za nią. Tamtego ranka zjadł bardzo niewiele -kilka łyżek płatków owsianych, ugotowanych w cynowym kubku – i czuł w żołądku dziwną pustkę, do której już przywykł. Było to coś więcej niż zwykły głód. Bolały go nogi, miał poobcierane stopy, a oczy czerwone od pyłu. Z jednej strony, Ford z radością przyjmował takie umartwienia, odmawianie sobie wygód. Sam żal za grzechy dawał pocieszenie. Z drugiej strony, zbyt daleko posunięta surowość wobec

siebie od pewnego punktu przemieniała się w pobłażanie sobie. W tej chwili znajdował się w niebezpiecznej okolicy, gdzie nie było miejsca na pomyłki. Złamanie nogi, nawet skręcenie kostki równało się wyrokowi śmierci: mając tak mało wody, umarłby, nim ktokolwiek zdołałby go odnaleźć. Ale to nic nowego; w swoim życiu już mu się zdarzało znacznie bardziej ryzykować.

Szedł dalej, miotany sprzecznymi uczuciami. Wyschnięte koryto biegło ostrym łukiem wzdłuż wapiennej ściany, w którą się wcinało, tworząc pięciometrowej wysokości wnękę, rzucającą cień. Ford przystanął na chwilę, żeby odsapnąć. W pobliżu rósł samotny jałowiec, nieruchomy, jakby ogłuszony skwarem. Ford zrobił kilka głębokich wdechów, walcząc z chęcią napicia się wody. Widział w głębi kanionu, że w jednym miejscu część ściany urwiska zawaliła się, tworząc olbrzymi rumosz, stupięćdziesięciometrowy stos głazów wielkości samochodów.

W tym stosie bloków skalnych coś przykuło jego uwagę. Gładki bok jednego z głazów znajdował się pod takim kątem, że padało na niego słońce. Na głazie odciśnięte były wyraźnie tropy dinozaura -wielkiego dinozaura o trójpalczastej stopie, zakończonej potężnymi pazurami, który szedł tędy dawno temu, gdy była tu podmokła nizina. Ford z powrotem przerzucił manierkę przez ramię i podszedł do podnóża rumowiska, czując nagły przypływ sił; całe jego zmęczenie w jednej chwili wyparowało. Jest na dobrym tropie, dosłownie i w przenośni. *Tyrannosaurus rex* był tutaj, gdzieś w tym labiryncie skał – i Bóg mu świadkiem, że mogły to być odciski jego nóg.

Właśnie wtedy Ford usłyszał jakiś odgłos, ledwie słyszalny w panującej wokół niego grobowej ciszy. Przystanął i spojrzał w górę, ale pomiędzy sterczącymi dookoła skałami widać było tylko

fragment nieba. Odgłos stawał się coraz wyraźniejszy i Ford doszedł do wniosku, że to warkot małego samolotu. Warkot ucichł, nim Fordowi udało się zlokalizować samolot na błękitnym niebie. Wzruszył ramionami i wspiął się na stos skał, by dokładniej obejrzeć odciski stóp. Skała pękła wzdłuż spodniej warstwy, ukazując pomarszczoną powierzchnię mułowca niemal czarnej barwy, z obu stron ograniczoną ceglastoczerwonymi warstwami. Ford powiódł dookoła wzrokiem i dostrzegł ciemną smugę grubości około dziesięciu centymetrów, widoczną na otaczających go formacjach. Jeśli to były ślady stóp największego tyranozaura -a z całą pewnością je przypominały – to ten ciemny pas był jak znacznik, wskazujący warstwę, w pobliżu której prawdopodobnie znajdował się *Tyrannosaurus rex.*

Zszedł na dół i ruszył dalej w głąb małego kanionu, ale wąwóz, zakręciwszy kilkakrotnie, kończył się urwiskiem i Ford był zmuszony zawrócić. Znów usłyszał warkot, tym razem wyraźniej. Zadarł głowę, zmrużył oczy przed oślepiającym blaskiem i dostrzegł błysk światła, odbijający się od małego samolotu, przelatującego niemal bezpośrednio nad nim. Osłonił oczy, ale samolot zniknął w oślepiających promieniach słonecznych. Wyjął lornetkę, przeszukał niebo i w końcu udało mu się zlokalizować samolot.

Ford gapił się zaskoczony. Był to mały, biały, pozbawiony okien samolocik, długości niespełna ośmiu metrów, z kartoflowatym nosem i silnikiem zamontowanym z tyłu. Natychmiast rozpoznał maszynę:

MQ-1A Predator, bezzałogowy statek powietrzny.

Śledził go przez lornetkę, zastanawiając się, czemu, u diabła, CIA czy Pentagon skierowały ten ściśle tajny samolocik nad tereny stanowiące własność państwową. Ford wiedział, że jest on kolejnym prototypem tego, co znajdowało się zaledwie na etapie planowania w czasach, kiedy pracował w CIA; był to samolot zdalnie sterowany komputerowo, co umożliwiało mu loty nawet wtedy, kiedy chwilowo znalazł się poza zasięgiem kierującego nim pilota. To znacznie ograniczało liczbę osób koniecznych do obsługi maszyny latającej; teraz wystarczał trzyosobowy zespół z przenośną stacją naziemną zamiast dziesięciometrowej przyczepy i dwudziestu ludzi. Ford zauważył, że ten konkretny samolot wyposażony jest w dwa pociski rakietowe Hellfire C, naprowadzane wiązką laserową.

Patrzył, jak samolocik przelatuje, kierując się na zachód. Po chwili, jakieś pięć kilometrów dalej, leniwie zakręcił i znów się pojawił nad nim. Tracił wysokość i nabierał prędkości – i to szybko. Co on, u diaska, robi? Ford jak zauroczony wciąż obserwował samolot przez lornetkę; wyglądał, jakby dokonywał pozorowanego ataku.

Pojawił się mały obłoczek i maszyna jakby lekko uniosła się w górę – właśnie wystrzelił jeden z pocisków. Wprost nie do wiary: kto albo co mogło stanowić cel? Ułamek sekundy później osłupiały Ford zrozumiał, kto jest celem.

On.

7

MADDOX WSPIĄŁ SIĘ na ostatnią krawędź i przystanął, by spojrzeć na kanion w dole. W tym miejscu łączyły się dwa wąwozy, przemieniając się w jeden większy i tworząc skalny amfiteatr z równym dnem, pokrytym żółtym piaskiem. Ciężko dyszał, bo pędził na złamanie karku, by tutaj dotrzeć. W głowie mu się kręciło – nie wiedział, czy z upału, czy z pragnienia. Otarł pot z czoła i karku, ostrożnie dotykając spuchniętych miejsc, gdzie ta suka go kopnęła i podrapała. Bolała go rana na udzie od draśnięcia kulą, słońce paliło go niemiłosiernie w gołe plecy. Ale najbardziej dokuczał mu brak wody: musiało być teraz ze czterdzieści stopni, słońce wisiało niemal pionowo nad jego głową. W rozpalonym powietrzu wszystko drżało. Z każdą minutą pragnienie stawało się coraz dotkliwsze.

Powiódł wzrokiem wzdłuż głębokiej rozpadliny środkowego kanionu. Tym wąwozem przyjdą Broadbentowie.

Z trudem przełknął ślinę, czuł się tak, jakby miał w ustach klajster. Powinien był wrzucić manierkę do samochodu, zanim ruszył za nimi – ale teraz już za późno na takie rozważania. Pocieszał się tym, że Broadbent i ta suka jego żona muszą cierpieć z pragnienia nie mniej od niego.

Maddox rozejrzał się dookoła, szukając odpowiedniego miejsca, skąd mógłby ich zabić. Mógł grymasić, ponieważ liczne głazy, które stoczyły się z krawędzi kanionu, stwarzały wiele możliwości. Przyglądając się osypisku, dostrzegł miejsce, gdzie się zaklinowały dwie potężne skały – dokładnie naprzeciwko kanionu, z którego wyjdą jego ofiary. Idealnie nadawało się na zasadzkę, jeszcze lepiej od tamtego, z którego zabił Weathersa. A potrzebował właśnie czegoś takiego, bo musiał zabić dwie osoby, a niejedną, poza tym Broadbent był uzbrojony. Na dodatek Maddox nie czuł się najlepiej. Nie zamierzał się z nimi patyczkować; żadnych dyskusji, żadnych gierek, zabije ich i zmywa się z tego piekła.

Wybrał drogę w dół zbocza, potykając się i ślizgając, zszedł, przytrzymując się karłowatych zarośli i bylic, by nie stracić równowagi. W jednym miejscu grzechotnik ukrywający się w cieniu skały z sykiem rzucił się przed siebie. Maddox ominął go szerokim łukiem; to już piąty wąż, którego spotkał tego ranka.

Dotarł na dno kanionu, przeszedł przez wyschnięte koryto rzeki i zaczął się wdrapywać na osypisko, przez cały czas pilnując się, żeby nie zostawiać śladów. Przystanął obok kilku głazów i rozejrzał się, czy nie ma tu grzechotników, ale nie zobaczył żadnego. Miejsce znajdowało się w pełnym słońcu, było tu goręcej niż w piekle, ale rozciągał się stąd idealny widok na znajdujący się naprzeciwko kanion. Maddox ściągnął z pleców karabin AR-15 kaliber pięć i pół milimetra i usiadł po indiańsku, położywszy broń na kolanach. Sprawdził stan broni i usatysfakcjonowany zajął pozycję strzelecką. Dwa głazy nachylały się, tworząc

literę V, idealną szczelinę do oddania strzału. Wsunął w nią lufę, ukucnął i spojrzał przez czterokrotnie powiększającą lunetkę, przesuwając karabin tam i z powrotem. Nie mógł nawet marzyć o lepszym polu rażenia: patrzył wprost na kanion, z którego wyjdą jego ofiary. Dwie ściany z piaskowca, a między nimi płaskie piaszczyste dno. Nie było za czym się ukryć, żadnych zarośli, nie mieli dokąd uciec, mogli jedynie zawrócić w głąb kanionu. Dzięki wbudowanemu w lunetkę dalmierzowi cyfrowemu wiedział, że jego ofiary będą w odległości czterystu metrów, kiedy się wyłonią zza ostatniego zakrętu; pozwoli im przejść jeszcze przynajmniej dwieście metrów, nim zacznie strzelać. Nie ma obawy, żeby spudłował.

Chociaż Maddox był cały obolały, uśmiechnął się, wyobrażając sobie tę scenę: jak trafiają ich kule, jak krew tryska na piasek. W powietrzu unosił się zapach pyłu i rozgrzanych skał. Znów zakręciło mu się w głowie. Jezu Chryste. Zamknął oczy i powtórzył swoją mantrę, starając się odzyskać jasność umysłu, ale zbyt go męczyło pragnienie, by się móc skupić. Otworzył oczy i znów spojrzał w głąb kanionu. Ma jeszcze przynajmniej dziesięć minut. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej notes; był zatłuszczony, z oślimi uszami, mierzył nie więcej niż piętnaście na dziesięć centymetrów. Wprost nie mógł uwierzyć, jak niepozornie wygląda. Przewrócił kilka stron. Zapełniały je liczby, jakiś szyfr. A na końcu widniały dwa duże wykrzykniki. Cokolwiek znaczą, to już nie jego zmartwienie; Corvus będzie wiedział, co z tym zrobić. Wsunął notes z powrotem do kieszeni, zmienił pozycję, otarł spocony kark chusteczką. Mimo wyczerpania czuł, jak mu rośnie poziom adrenaliny, wszystko widział wyraźniej. Kolory wydawały się bardziej jaskrawe, powietrze bardziej przejrzyste, odgłosy wyraźniejsze. To dobrze. Dzięki temu wytrzyma jeszcze kolejnych dziesięć minut.

Ostatni raz sprawdził karabin, bardziej, by czymś się zająć. Broń kosztowała go prawie dwa papiery, ale to była dobra inwestycja. Pogładził lufę i szybko cofnął rękę: wprost parzyła. Boże Wszechmogący.

Przypomniał sobie, że nie robi tego dla pieniędzy, jak jakiś wynajęty zabójca. Powodowały nim szlachetne pobudki. Corvus wyciągnął go z więzienia, ale mógł sprawić, by z powrotem tam trafił. I dlatego Maddox naprawdę miał poczucie obowiązku.

Ale przede wszystkim kierował się pragnieniem, by ujść stąd z życiem. Jeśli nie zabije tych dwojga, nikt, nawet Corvus, go nie uratuje.

8

PRZY KAŻDYM stąpnięciu Tom czuł rozpalony piasek przez podeszwy swoich włoskich skórzanych pantofli. Pęcherze dawno mu popękały i przy każdym kroku buty ocierały rany na stopach. Ale im bardziej dokuczało mu pragnienie, tym ból wydawał się mniej dotkliwy. Minęli kilka *tinajas,* zagłębień w skałach, w których zwykle gromadziła się woda. Ale wszystkie były suche.

Przystanął w cieniu rzucanym przez nawis skalny.

–Pięć minut przerwy?

–O tak. Usiedli, starając się w miarę możliwości pozostać w cieniu. Tom ujął Sally za rękę.

–Jak sobie radzisz? Potrząsnęła głową, aż zafalowały jej długie jasne włosy.

–Dobrze, Tom. A ty?

–Jakoś się trzymam. Dotknęła palcem jedwabnych spodni garnituru „pana Kima" i uśmiechnęła się blado.

–Udało ci się?

–Nie powinienem był zostawić cię samej.

–Tom, przestań się obwiniać.

–Czy wiesz, kim jest facet, który cię porwał?

–Strasznie się przechwalał. To płatny zabójca, działający na zlecenie jakiegoś kustosza z muzeum na wschodzie. Może nie ukończył szkół, ale z pewnością nie jest głupi. – Oparła się o głaz i zamknęła oczy.

–A więc zabił Weathersa, żeby zdobyć notes, a potem dopadł ciebie. Chryste, nie powinienem był lecieć do Tucson, wybacz mi…

Sally położyła mu dłoń na ramieniu.

–Zostawmy przeprosiny na później, kiedy się już stąd

wydostaniemy. – Umilkła, a po chwili

spytała: – Myślisz, że naprawdę go zgubiliśmy?

Tom nie odpowiedział.

–Wciąż się niepokoisz, prawda? Skinął głową, spoglądając w głąb kanionu.

–Nie podoba mi się sposób, w jaki zniknął. Zupełnie tak jak w wymarłym mieście.

–Jest tak, jak powiedziałeś. Zabłądził, podążając za nami.

–Wie, że jeśli nas nie zabije, już po nim. To dość silny bodziec. Sally wolno pokiwała głową.

–Nie należy do takich, co się poddają. – Znów oparła głowę o skałę i zamknęła oczy.

–Wdrapię się wyżej, żeby się rozejrzeć.

Tom wgramolił się po rumowisku na półkę skalną. Ale za nimi nie było nic, tylko kamienna

pustynia. Wciąż znajdowali się jakieś trzydzieści kilometrów od rzeki, lecz miał bardzo mgliste pojęcie, gdzie dokładnie są. Zaklął pod nosem, żałując, że nie ma mapy; jeszcze nigdy nie zapuszczał się tak daleko w głąb płaskowyżów, nie wiedział, co jest między tym miejscem a rzeką.

Zszedł na dół i przez chwilę stał nad Sally, patrząc na nią, nim jej dotknął. Otworzyła oczy.

–Pora ruszać dalej.

Jęknęła, kiedy pomagał jej wstać. Już mieli iść, kiedy głuchy łoskot, przypominający grzmot,

przetoczył się nad skalnym pustkowiem, odbijając się dziwnym echem w kanionie. Tom zadarł głowę.

–Dziwne. Na niebie nie ma ani jednej chmurki.

9

FORD LEŻAŁ skulony za urwiskiem, objąwszy głowę rękami, kiedy rozległ się ogłuszający huk eksplodującego pocisku, przypominający uderzenie stu piorunów, odbijające się echem w kanionach. Łoskot powoli cichł, ale z nieba wciąż padał deszcz piasku i żwiru. Ford odczekał, aż zapanuje całkowita cisza, i podniósł głowę.

Spowijała go pomarańczowa chmura. Zakaszlał, zasłonił usta skrajem habitu i próbował nabrać powietrza w płuca, wciąż na poły ogłuszony wybuchem. Huk był tak potężny, że wydawało się, iż samo to mogło go zabić. A jednak nic mu się nie stało. Fordowi aż trudno było w to uwierzyć.

Wstał, oparł się o ścianę kanionu, w głowie czuł pulsowanie, w uszach mu dzwoniło. Ukrył się w zagłębieniu w ścianie kanionu, co okazało się słusznym posunięciem. Ziemię wokół niego zaścielały wielkie odłamki skał, ale nawis skutecznie go osłonił. Pył zaczął wolno opadać i pomarańczowa mgła przemieniła się w opar. Uderzył go dziwny zapach, dławiąca mieszanka startej na proch skały i kordytu. Pył uwięziony między ścianami kanionu wolno osiadał.

Pył… Pył stanowił teraz jego ochronę. Ukryje go przed wzrokiem kamer wideo na pokładzie predatora, który niewątpliwie nadal krąży w górze, oceniając zniszczenia.

Ford wrócił pod skalny nawis, kiedy pył w końcu uległ rozproszeniu, porwany niewyczuwalnym ruchem powietrza. Przykucnął i znieruchomiał; pokrywała go tak gruba warstwa pyłu, że prawdopodobnie wyglądał jak jeszcze jedna skała. Wciąż słyszał warkot samolotu krążącego gdzieś w górze. Minęło dziesięć minut, nim ucichły wszelkie odgłosy.

Ford się wyprostował i zaczął kaszleć, by pozbyć się pyłu z płuc, otrzepał z niego habit i włosy, wytarł twarz. Dopiero teraz w pełni zaczęło do niego docierać to, czego przed chwilą był świadkiem: predator rozmyślnie wystrzelił pocisk w jego stronę. Dlaczego?

To z pewnością jakaś pomyłka, nieudana próba. Ale natychmiast odrzucił tę myśl. Po pierwsze, wiedział, że supertajny, zdalnie sterowany samolot nigdy nie byłby testowany nad terenami należącymi do państwa, szczególnie w Nowym

Meksyku, gdzie przecież znajdował się poligon White Sands Missile Rangę, największy w kraju teren do przeprowadzania prób pocisków. W żaden też sposób predator nie mógł się wymknąć z poligonu i trafić tutaj – nie miał takiego zasięgu. Zwrot, nurkowanie i odpalenie pocisku, wykonane przez samolot, nie mogły być zdalnie sterowane przez komputer; wszystkim tym kierował pilot, który wiedział, kim jest Ford i co tutaj robi.

Czy możliwe, by polowali na kogoś innego? Czy niechcący wzięli go właśnie za tego kogoś? Ford uznał, że to całkiem możliwe, ale coś takiego oznaczało poważne naruszenie pierwszej zasady prowadzenia operacji militarnej: identyfikacji celu. Jak mogliby go wziąć za kogoś innego, skoro jest w

habicie i sandałach? Czyżby CIA pragnęła go dopaść w związku z tym, co wiedział albo zrobił? Ale to wykluczone, żeby CIA chciała zabić jednego ze swoich: było to nie tylko sprzeczne z prawem, lecz – co ważniejsze – z obowiązującymi w CIA niepisanymi regułami. Nawet jeśli chcieli go zabić, nie posłużyliby się w tym celu tajnym, zdalnie sterowanym samolotem, wartym czterdzieści milionów dolarów, kiedy znacznie łatwiej byłoby go zamordować w jego własnym łóżku w celi niezamykanego na klucz klasztoru i upozorować wszystko tak, żeby wyglądało to na zwykły atak serca.

Tu chodziło o coś innego, ale o co?

Ford zdjął habit, strzepnął z niego resztę pyłu i ponownie go przywdział. Zlustrował niebo przez lornetkę, lecz zdalnie sterowany samolot zniknął. Następnie jego uwagę zwrócił ostaniec, w który trafił pocisk. Widział świeżą, pomarańczową szramę na ciemniejszym piaskowcu, wyrwę w skale, z której wciąż wydobywały się pióropusze piasku i pyłu. Gdyby nie ukrył się pod nawisem w ścianie kanionu, z pewnością by zginął.

Ford ruszył w dół kanionu, w uszach wciąż mu dzwoniło. Nadal nie mógł uwierzyć w to, co się przed chwilą wydarzyło, ale zaczynał podejrzewać, że ma to coś wspólnego ze skamieliną dinozaura. Nie potrafił powiedzieć dlaczego; raczej było to przeczucie niż wynik rozumowania. Bo wszelkie inne tłumaczenia absolutnie nie miały sensu. Jak brzmi ta stara maksyma Sherlocka Holmesa?

Wykluczyć Wszystko niemożliwe, a to, co zostanie, choćby

nawet nieprawdopodobne, musi być prawdziwe.

Z jakiegoś niezgłębionego powodu, doszedł do wniosku Ford, agencja rządowa tak rozpaczliwie pragnęła dostać w swoje ręce tę skamielinę dinozaura i nie zostawić żadnych świadków, że była gotowa zabić obywatela Stanów Zjednoczonych. Ale to rodziło kolejne pytanie: jak wpadli na to, że udał się na poszukiwanie dinozaura? Wiedział o tym tylko Tom Broadbent.

Podczas lat pracy w CIA Ford miał czasem do czynienia z różnymi tajnymi subagencjami, specjalnymi grupami operacyjnymi i „zakamuflowanymi oddziałami". Te ostatnie były kilkuosobowymi, ściśle tajnymi zespołami specjalistów, tworzonymi dla konkretnych zadań śledczych lub badawczych, rozwiązywanymi, gdy tylko się uporano z danym problemem. W żargonie CIA nazywano je kamforami. Formalnie kontrolę nad nimi sprawowały Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Agencja Wywiadu Obronnego albo Pentagon, ale właściwie miały całkowitą swobodę działania. Wszystko, co ich dotyczyło, było ściśle tajne: cel, budżet, personel, samo ich istnienie. Niektóre z nich były tak utajnione, że nawet szefostwo CIA nie miało zgody na kontaktowanie się z nimi. Przypomniał sobie kilka, z którymi się zetknął: wszystkie nosiły tajemnicze nazwy: GR-TIEM (Grupa Robocza do Badania Termonuklearnego Impulsu Elektromagnetycznego); ODPS (Oddział Dezinformacji Państw Sprzymierzonych); OOBBPZW (Oddział Obrony przed Bronią Biologiczną w Punkcie Zerowym Wybuchu).

Ford przypomniał sobie, jak bardzo on oraz jego koledzy z CIA nie lubili tych oddziałów: zbójeckie

agencje, nie odpowiadające przed nikim, prowadzone przez amatorów uważających, że cel uświęca środki – bez względu na to, o jaki cel i środki chodzi.

To wszystko z daleka śmierdziało „kamforą".

CZĘŚĆ PIĄTA

CZĄSTKA WENUS

Były takie okresy W roku, kiedy samiec tyranozaura walczył o samicę zgodnie z odwiecznym rytuałem. Podczas gdy samica obserwowała, samce okrążały się, rycząc i markując ataki, las aż się trząsł od ich ogłuszających wrzasków. Potem nacierały na siebie, zderzały się głowami, cofały, wyrywały drzewa, tratowały ziemię, zaślepione pożądaniem. Ich ryki sprawiały, że samicy aż drżały boki, a w lędźwiach palił ogień. Kiedy zwycięski samiec pokrywał ją, trąbiąc triumfalnie, ulegała mu, chociaż nerwy miała maksymalnie napięte i z trudem dławiła w sobie przemożną chęć rozprucia od szyi do pępka brzucha swemu zalotnikowi.

Gdy tylko było po wszystkim, natychmiast o tym zapominała.

Żeby złożyć jaja, samica udawała się na zachód, do łańcucha piaszczystych wzniesień u podnóża gór. Wygrzebywała w ziemi gniazdo. Po złożeniu jaj przykrywała je wilgotną, butwiejącą roślinnością, która fermentując, wydzielała ciepło. Często sprawdzała ją nosem i dokładała nowe warstwy. Prawie nie opuszczała gniazda, rezygnowała nawet z jedzenia. Strzegła swego potomstwa, uciekając się do przemocy, i opiekowała się nim troskliwie. Była większa od samców swego gatunku, by móc bronić młodych przed ich bezrozumną zachłannością na mięso. Tego, co czuła, kiedy to robiła, nie można nazwać „miłością". Przypominała automat realizujący skomplikowany program, którego celem było zachowanie opakowania w dobrym stanie do czasu, aż nadejdzie pora replikacji. Sama idea „opieki" była dla niej czymś abstrakcyjnym.

Kiedy młode osiągnęły odpowiednią wielkość, zaczynały polować grupowo, stopniowo powiększając swoje terytorium, w miarę jak rosło ich zapotrzebowanie na mięso. Wtedy zostawiała je i wracała tam, skąd przybyła, zapominajcie o ich istnieniu.

Kiedy szła, budziła strach, który wypełniał las niczym chmura trującego gazu. Cicho stawiała pięciometrowej długości kroki. Nie słychać było dudnienia, kiedy nadchodziła; ziemia nawet nie drgnęła. Stąpała

na palcach, lekko i bezgłośnie, a dzięki swemu ubarwieniu

zlewała się z otoczeniem.

Wiedziała, co to głód, wiedziała, co to sytość. Znała smak krwi. Wiedziała, co to światło, wiedziała, co to ciemność. Wiedziała, co to sen, wiedziała, co to budzenie się.

Biologiczny program działał bez zarzutu.

1

MELODIE OBSERWOWAŁA, jak ostatnia grupa strażników opuszcza laboratorium Działu Mineralogii, pobrzękując kluczami, z korytarza dobiegały ich donośne głosy. Zamknęła za nimi drzwi, przekręciła klucz w zamku, oparła się o drzwi i wypuściła powietrze z płuc. Dochodziła pierwsza. Przyszedł koroner, podpisał plik papierów; pogotowie ratunkowe zabrało ciało; znudzony gliniarz pobieżnie obejrzał laboratorium, robiąc jakieś notatki. Wszyscy przyjęli, że Corvus zmarł na atak serca, i Melodie była pewna, że sekcja zwłok to potwierdzi.

Tylko ona jedna podejrzewała, że to morderstwo. Zabójcy chodziło o dinozaura, co do tego Melodie nie miała wątpliwości – w przeciwnym razie dlaczego ukradł wszystkie wyniki ich badań, *jej* badań? Musi działać szybko.

Melodie zastanawiała się, czy słusznie postąpiła, nie zwierzając się nikomu ze swoich podejrzeń. Nie miała dowodu, nic konkretnego, co by świadczyło, że to morderstwo, poza tym, że Corvus nie poświęciłby trylobitowi choćby jednej chwili swego czasu. Gdyby podzieliła się z kimś swoimi wątpliwościami i dała się wplątać w tę historię, tylko zwróciłaby na siebie uwagę zabójcy. To była jedyna rzecz, na którą nie mogła sobie pozwolić – szczególnie teraz, kiedy stawka była tak wysoka. Miała, jak to się mówi, ważniejsze sprawy na głowie.

Wzięła ciężkie metalowe krzesło i podsunęła je pod drzwi w taki sposób, żeby zablokowało gałkę i żeby nikt nie mógł się dostać do środka, nawet jeśli miałby klucz. Gdyby ktoś ją zapytał, dlaczego to zrobiła, zawsze mogła powiedzieć, że czuła się nieswojo w laboratorium, w którym dopiero co zmarł człowiek. Ale niewielu kustoszy schodziło ze swoich wykładanych boazeriami gabinetów na czwartym piętrze do laboratorium w suterenie, szczególnie w niedzielę.

Będzie miała mnóstwo czasu, by móc pracować, nie niepokojona przez nikogo.

Melodie pośpieszyła do magazynu sąsiadującego z laboratorium. Na metalowych półkach, sięgających od podłogi do sufitu, przechowywano tutaj dziesiątki tysięcy minerałów i skamielin, wszystkie były ponumerowane i sklasyfikowane. Mniejsze okazy umieszczono w szufladach, większe – w

kartonach na półkach. Drabina jeżdżąca wzdłuż regałów zapewniała wygodny dostęp do najwyższych półek.

Z sercem bijącym z niepokoju Melodie popchnęła biblioteczną drabinę na szynach, aż znalazła się tam, gdzie chciała. Potem wspięła się po niej. Na najwyższej półce, tuż pod sufitem, stała stara drewniana skrzynia, pokryta napisami w języku mongolskim. Na wypłowiałej nalepce można było przeczytać:

***Pteroceratops andrewsii* jaja Bajn Dzak**

Nr 1923-5693A

W. Grainger, kolekcjoner

Drewniane wieko wyglądało jak przybite gwoździami, ale tylko sprawiało takie wrażenie. Melodie uniosła je, odłożyła na bok, a potem odchyliła słomianą matę.

W gnieździe pomiędzy jajami dinozaura leżały sporządzone przez Melodie kopie CD-ROM-ów, zawierające wszystkie dane i zdjęcia. Obok spoczywało maleńkie, plastikowe pudełeczko z trzema cienkimi jak opłatek plasterkami oryginalnej próbki, zbyt małymi, by zauważyć ich brak.

Zostawiwszy płyty kompaktowe na dotychczasowym miejscu, Melodie wzięła plastikowy pojemniczek z preparatami, z powrotem nakryła wszystko słomianą matą, umieściła wieko na skrzyni, zeszła po drabinie i odciągnęła ją tam, gdzie stała przedtem.

Zabrała pudełeczko ze sobą, usiadła przed polerką laboratoryjną, wyjęła jeden płatek i przykleiła go do szklanej płytki. Kiedy żywica zaschła, zaczęła go polerować, pragnąc uzyskać idealny, supercienki preparat, by otrzymać naprawdę dobre obrazy w transmisyjnym mikroskopie elektronowym. Było to zajęcie wymagające skupienia, tym trudniejsze, że drżały jej ręce. Kilka razy musiała robić przerwy, by głęboko odetchnąć i powtórzyć sobie, że nie ma powodu, by zabójca tu wrócił, że już zdobył to, na czym mu zależało, i nie ma pojęcia o istnieniu kopii danych. Kiedy preparat był gotowy, zaniosła go do pomieszczenia, w którym znajdował się transmisyjny mikroskop elektronowy. Włączyła przyrząd i czekała, aż się nagrzeje. Wtedy jej wzrok padł na leżący obok otwarty rejestr korzystania ze sprzętu. Zobaczyła ostatni wpis, dokonany zamaszystym,

pochyłym pismem:

Badacz: /. *Corvus*

Lokalizacja/Numer próbki: *Ptaskowyż/rzeka Chama, Nowy Meksyk T Rex.* Uwagi: *Trzecie badanie niezwykłego fragmentu kręgu T Rexa. Nadzwyczajne! To przejdzie do historii. I. C.*

Trzecie badanie? Przewróciła kilka stron i znalazła jeszcze dwa wpisy, oba na samym dole strony, gdzie najwidoczniej Corvus znalazł kilka wolnych linijek. Podejrzewała coś takiego, ale nie spodziewała się, że Corvus okaże się taki bezczelny. Łobuz zaplanował sobie, że ją okradnie, i to ze wszystkiego. A ponieważ była miłą, uczynną laborantką, niemal mu na to pozwoliła. Przeszła do pomieszczenia ze skaningowym mikroskopem elektronowym i przekartkowawszy rejestr korzystania z tamtego urządzenia, też znalazła kilka podobnych, nieprawdziwych wpisów. A więc dlatego tamtego wieczoru przyszedł do laboratorium: żeby ukraść wyniki jej pracy i dokonać wpisów w rejestrach.

Uświadomiła sobie, że ciężko oddycha. Niemal od pierwszej klasy chciała być naukowcem,

dorastała z przekonaniem, że nauka stanowi jedyną dziedzinę ludzkiej działalności, gdzie ludzie są altruistami i pracują nie dla siebie, ale by poszerzać zasób wiedzy całej ludzkości. Zawsze wierzyła, że nauka to dziedzina, w której nagradzane są zasługi.

Jaka była naiwna.

Był tylko jeden sposób, by zapewnić sobie uznanie i jednocześnie zabezpieczyć się przed zabójcą: musi dokończyć prace badawcze i pierwsza opublikować ich wyniki. Jeśli je przekaże do internetowego wydania „Journal of Paleontology", zostaną ocenione przez jej kolegów i ukażą się w Internecie w ciągu trzech dni.

Naturalnie nie pominie wkładu Corvusa, który był dość niewielki – ograniczał się do dostarczenia próbki. Skąd pochodzi skamielina, do kogo należy, w jaki sposób trafiła w jego ręce – te pytania wykraczały poza zakres jej badań naukowych. Jasne, że rozpęta się dyskusja. Próbka mogła zostać skradziona. Ale nie było to istotne: dostała próbkę do analizy i przeprowadziła ją. Kiedy wyniki jej badań ukażą się drukiem, nikt nie będzie miał

powodu, żeby ją zabić.

A wtedy to ona będzie mogła dyktować warunki.

2

MADDOX, UKRYWAJĄCY SIĘ za dużym głazem, zmienił pozycję ciała, wyciągnął zdrętwiałą nogę i zaczął nią poruszać, by znów napłynęła do niej krew. Słońce go parzyło w gołe plecy. Pot ściekał mu po głowie, karku, twarzy, szczypały go zadrapania. W ranie na udzie czuł pulsujący ból – z całą pewnością doszło do zakażenia.

Otarł twarz i kilka razy zamrugał powiekami. Wydawało mu się, że język pokrywa mu rdza, usta miał popękane. Chryste, ależ dokuczało mu pragnienie. Minęło dwadzieścia minut, lecz Broadbentowie się nie pojawili. Spojrzał przez lunetkę na pusty kanion. Czy poszli okrężną drogą, której nie znał, czy też znaleźli wodę? Jeśli tak było, mogli skręcić i podążyć na północ, do Llaves. Jeśli ich zgubił…

Nagle ich zobaczył.

Z okiem przy lunetce, z palcem na parzącym cynglu zmusił się do odczekania, aż znajdą się dwieście metrów od niego. Widział kolbę rewolweru za paskiem Broadbenta. Cóż, nie będzie miał czasu, by wyciągnąć broń, nie mówiąc już o tym, żeby wystrzelić. A nawet jeśli, z odległości dwustu metrów nic mu z tego nie przyjdzie.

Minutę później znaleźli się tam, gdzie tego chciał.

Nacisnął spust, wypuszczając całą serię z automatu, aż odrzuciło broń. Spojrzał i zobaczył, że oboje

biegną z powrotem w głąb kanionu. Oboje.

Co, u diabla?…

Chybił. Znów spojrzał przez lunetkę, wypatrzył kobietę, wystrzelił kolejną serię i jeszcze jedną -ale kule padały przed nimi, wzbijając piasek, a jego niedoszłe ofiary biegły zygzakiem w kierunku ściany kanionu. Zamierzają się ukryć za zakrętem.

Wstał, wrzeszcząc z bezsilnej złości, nastawił karabin na serie półautomatyczne i zaczął schodzić po osypisku. Zatrzymał się, przyklęknął, znów wystrzelił, ale była to głupota z jego strony –

już dotarli do miejsca, gdzie kanion zakręcał.

Jak mógł chybić? Co się z nim dzieje? Wyciągnął rękę, rozprostował dłoń zaciśniętą w pięść – i doznał wstrząsu, kiedy zobaczył, jak bardzo mu drży. Był wykończony, spragniony, ranny, prawdopodobnie miał gorączkę – ale mimo wszystko jak mógł chybić? Nagle zrozumiał. Nieprzyzwyczajony do strzelania pod tak dużym kątem, nie uwzględnił wpływu wysokości na miejsce padania kul. Powinien był wystrzelić na próbę i dokonać odpowiednich korekt.

Nie zrobił tego i zmarnował taką okazję.

Ale nie był bez szans. Ściany kanionu wznosiły się niemal pionowo. Znajdowali się w potrzasku. Jeszcze może tych dwoje zabić – jeśli uda mu się ich dopaść.

Zarzucił karabin na ramię, zbiegł w dół zbocza i popędził za nimi. Po minucie wyłonił się zza zakrętu. Widział ich trzysta, czterysta metrów przed sobą, biegli, mężczyzna podtrzymywał kobietę. Nawet z takiej odległości Maddox widział, że bardzo osłabła. Obydwoje szybko tracili siły. Nic dziwnego: kobieta nic nie jadła od trzydziestu sześciu godzin, pragnienie musi im dokuczać przynajmniej tak samo jak jemu. Na dodatek utykała.

Ruszył za nimi, niezbyt szybko, ale miarowym krokiem. Piasek był grząski, co utrudniało bieg, lecz to stanowiło dla niego okoliczność sprzyjającą. Sadził susy, oszczędzając siły, pewien, że ostatecznie zmęczą się wcześniej od niego. Początkowo, ogarnięci paniką, biegli szybko i odległość między tamtymi a nim rosła, ale Maddox zachowywał równe tempo, a oni wkrótce zaczęli coraz bardziej opadać z sił i zwalniać. Minął jeszcze jeden zakręt, drugi, trzeci, podążając za nimi. Kiedy wyłonił się zza trzeciego załomu skały, zobaczył, jak kobieta z trudem posuwa się naprzód, podtrzymywana przez mężczyznę. Maddoksowi udało się zmniejszyć dzielący go od nich dystans do niespełna dwustu metrów. Ale nadal nie przyśpieszał. Teraz wiedział, że może ich wziąć na przetrzymanie: w końcu i tak ich dopadnie. Zniknęli za kolejnym zakrętem. Kiedy wyłonił się zza niego, byli jeszcze bliżej. Słyszał, jak mężczyzna mówi coś do Sally, dodaje jej otuchy, cały czas ją podtrzymując.

Przyklęknął na jedno kolano, wycelował, wystrzelił serię. Padli na ziemię i Maddox skorzystał z okazji, by zmniejszyć dzielącą ich odległość. Znów zerwali się na nogi, ale teraz byli zaledwie sto

metrów przed nim.

Kobieta upadła i mężczyzna pomógł jej wstać. Czterdzieści metrów. Z takiej odległości nie może spudłować, nawet jeśli trzęsą mu się ręce. Broadbent próbował podtrzymywać ją na duchu, ale kobieta słaniała się ze zmęczenia. A potem nagle zrezygnowali. Odwrócili się i spojrzeli na niego bezczelnie.

Wycelował, ale się rozmyślił i podszedł bliżej. Dwadzieścia pięć metrów. Przełączył broń na pojedyncze strzały, przyklęknął, wycelował i wypalił.

Trzask!

Nic. Strzelając seriami, opróżnił magazynek. Krzycząc, ruszyli pędem w jego stronę. Wyszarpnął pistolet i wystrzelił z niego, ale Sally już rzuciła się na niego jak tygrysica i obiema rękami złapała broń. Przewrócili się, walcząc o nią, Maddoksowi udało się wyrwać Sally glocka, przydusił kobietę ciężarem swego ciała, przytknął jej lufę do skroni i próbował wsunąć palec w osłonę spustu.

Poczuł dotyk stali z tyłu własnej głowy. Kątem oka widział, że to rewolwer Broadbenta kaliber pięć i pół milimetra.

–Liczę do trzech – powiedział Broadbent.

–Zabiję ją, zobaczysz!

–Raz.

–Przysięgam, że rozwalę jej łeb! Zrobię to!

–Dwa. Wiedząc, że nie może oddać dwóch strzałów jednocześnie, odwrócił się, postanowiwszy najpierw

wyeliminować Broadbenta. Wystrzelił na oślep, a właściwie prosto w twarz Broadbenta, i mężczyzna padł; wycelował, by go dobić, ale suka z całych sił kopnęła go w krocze, aż doznał skurczu mięśni ręki. Pistolet wystrzelił, Maddox poczuł, jakby coś rozerwało mu nogę, która w następnej chwili mu zdrętwiała, a na piasku pojawiła się szkarłatna plama.

–Moja noga! – wrzasnął, wypuszczając broń, i rozdarł spodnie, by obejrzeć ranę. – Moja noga! –

Krew tryskała, *jego* krew, i to obficie! – Wykrwawię się na śmierć!

Kobieta cofnęła się, mierząc do niego z jego własnego glocka. Widząc, w jaki sposób trzyma broń, natychmiast się zorientował, że wie, jak się nią posługiwać.

–Nie! Zaczekaj! Błagam! Nie strzeliła.

Nie musiała. Krew tryskająca z uszkodzonej tętnicy udowej wsiąkała w nogawkę spodni. Wsunęła broń za pas i podbiegła do leżącego na ziemi Broadbenta. Przyklęknęła obok niego.

Maddox przyglądał się jej, czując ogromną ulgę, że go nie zabiła. Łzy wdzięczności płynęły mu po policzkach, ale potem zakręciło mu się w głowie, ściany kanionu zaczęły się przybliżać. Próbował wstać, był jednak tak osłabiony, że nawet nie mógł podnieść głowy. Z powrotem opadł na piasek, ogarnięty przemożną słabością. Czuł się zupełnie tak, jakby ktoś go przyduszał do ziemi.

–Moja noga… – wychrypiał. Chciał ją obejrzeć, ale nie mógł, był zbyt słaby, mógł teraz jedynie

patrzeć na błękitne niebo w górze. Miał wrażenie, że się unosi, jakby przemienił się w dym, unosił się, rozpływał, przemieniał w nicość.

A potem wszystko się urwało.

3

WYMAN FORD zatrzymał się obok skalnej kolumny i nasłuchiwał. Wyraźnie usłyszał strzały, najpierw trzy serie z broni automatycznej, całkiem możliwe, że z MI6, a potem dwa pojedyncze wystrzały, prawdopodobnie z pistoletu dużego kalibru. Odniósł wrażenie, że strzały dobiegły z samego końca Diabelskiego Cmentarzyska, mniej więcej z odległości półtora kilometra na północny wschód od niego.

Czekał, nasłuchując kolejnych odgłosów, ale po tej krótkiej strzelaninie zapanowała cisza.

Ford ukrył się głębiej w cieniu. Działo się coś niezwykłego. Jeśli czegoś się nauczył w CIA, to tego, że wygrywa ten, kto więcej wie. Mniejsza o uzbrojenie, szkolenie wojskowe, nowoczesny sprzęt. Operacje militarne wygrywa się przede wszystkim dzięki posiadanym informacjom. A właśnie tego mu teraz brakowało.

Ford potrząsnął manierką, odkręcił ją i pociągnął mały łyk wody. Zostało mu już tylko pół litra, a od najbliższego pewnego źródła wody dzieliło go trzydzieści kilometrów. Powinien ruszyć prosto w jego kierunku. Ale strzały padły niedaleko, wystarczy dwadzieścia minut marszu, by dotrzeć do wylotu doliny, gdzie wybuchła strzelanina.

Odwrócił się, postanowiwszy się dowiedzieć, co się dzieje. Skierował się przez Diabelskie Cmentarzysko do wylotu kanionu na północnym wschodzie, obok niskich, piaszczystych wydm. Wspiął się na szereg płaskich skał, minął kilka wzniesień, zszedł do wyschniętego koryta strumienia i podążył dalej.

Drugi koniec Diabelskiego Cmentarzyska był jeszcze bardziej osobliwy, niż to sobie wyobrażał. Kanion się rozszerzał, warstwy piaskowca przeplatały się z warstwami łupków ilastych i tufu wulkanicznego. Po obu stronach odchodziły boczne wąwozy, ślepo zakończone, w wielu z nich widać było skupiska nagich skalnych kopuł. Łatwo można było tutaj zabłądzić. Gdzieś tu znajdowała się skamielina dinozaura.

Pokręcił głową. Cóż z niego za głupiec, że nadal myśli o odszukaniu dinozaura. Będzie miał szczęście, jeśli uda mu się stąd wydostać.

TOM OTWORZYŁ oczy i zobaczył nad sobą pochyloną Sally, jej jasne włosy opadały mu na twarz, czuł ich zapach. Przecierała mu głowę kawałkiem tkaniny.

–Sally? Nic ci nie jest?

–Nie. Natomiast ciebie drasnęła kula. – Próbowała się uśmiechnąć, ale głos jej drżał. – Na chwilę straciłeś przytomność.

–A co z nim?

–Nie żyje… Chyba. Tom się uspokoił.

–Jak długo byłem?…

–Tylko kilka sekund. Boże, Tom, myślałam, że… – Umilkła. – Pół centymetra bardziej w prawo i… Mniejsza o to. Masz cholerne szczęście.

Tom próbował się podnieść. Skrzywił się, w głowie go łupało. Pomogła mu się z powrotem położyć.

–Jeszcze nie skończyłam. Kula cię drasnęła, może doszło do wstrząśnienia mózgu, ale kość jest

cała. Masz twardą głowę. – Przewiązała mu ranę kawałkiem niebieskiego jedwabiu. – Uważam, że

Valentino powinien zacząć projektować bandaże. Wyglądasz zachwycająco.

Tom spróbował się uśmiechnąć i skrzywił się.

–Za mocno? – Nie.

–A propos, powinnam ci podziękować. Wspaniale wykorzystałeś ten niezaładowany rewolwer. Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

–Pomóż, chcę usiąść. Już mi trochę lepiej. Posadziła go, a potem pomogła mężowi wstać. Zachwiał się, ale szybko mu minęły zawroty głowy.

–Na pewno dobrze się czujesz? – spytała.

–O wiele bardziej martwię się o ciebie niż o siebie.

–Mam pomysł: niech każde z nas martwi się o siebie. Tom się wyprostował, starając się nie zwracać uwagi na pragnienie. Jego wzrok padł na mężczyznę

leżącego na piasku – kanalię, łajdaka, który porwał jego żonę, a potem próbował ją zgwałcić i zamordować. Leżał na wznak, bez koszuli, z rękami wzdłuż ciała, zupełnie jakby spał. Obie nogi miał wyprostowane, ale w prawej nogawce dżinsów widać było wielką dziurę, a materiał zrobił się czarny od krwi. Sporo jej wsiąkło w piasek.

Przyklęknął. Mężczyzna miał zapadniętą, chudą twarz, był nieogolony, czarne włosy pokrywał mu pył. Usta rozciągał nienaturalny uśmiech, głowę odrzucił do tyłu tak, że widać było sterczącą grdykę i

zarost na szyi. W jednym kąciku ust zebrała się odrobina śliny. Oczy miał niezupełnie zamknięte. Był napakowany, przypominał skazańca.

Tom dotknął jego szyi, by wymacać puls, i stwierdził, że mężczyzna wciąż żyje.

–Umarł? – spytała Sally.

–Nie.

–Co zrobimy? Tom próbował oderwać mokrą od krwi nogawkę, ale materiał dżinsów okazał się zbyt mocny.

Wyciągnął nóż zza paska spodni rannego i rozciął tkaninę. Noga i krocze mężczyzny były zakrwawione, Tom nie miał czym ich wytrzeć, żeby obejrzeć ranę. Kula wyleciała z tyłu kolana i niemal całkowicie je roztrzaskała. Krew wciąż słabo pulsowała.

–Wygląda, jakby kula uszkodziła tętnicę udową. Sally odwróciła wzrok.

–Pomóż mi go zaciągnąć pod tę skałę, gdzie jest cień. Oparli go o skałę. Tom uciął kawałek koszuli i zrobił coś w rodzaju opaski uciskowej, by

powstrzymać krwawienie. Pogrzebał w kieszeniach mężczyzny i

wyciągnął portfel. Otworzył go, wyjął prawo jazdy ze zdjęciem ich prześladowcy który miał na nim zawadiackie spojrzenie, bezczelny uśmieszek – prawdziwy psychopata.

–Jimson A. Maddox – przeczytał na głos. Przeszukał portfel, wyjął z niego gruby plik banknotów,

karty kredytowe i pokwitowania. Jego uwagę zwróciła pobrudzona wizytówka:

IAIN CORVUS, DR FILOZOFII, OKSFORD, F.R.P.S.

Zastępca kustosza

Wydział Paleontologii Kręgowców

Amerykańskie Muzeum Historii Naturalnej

Central Park West róg Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy

Nowy Jork, NY 10024

Odwrócił wizytówkę. Zamaszystym pismem były tam zapisane adres klubu, numery telefonów komórkowych, adresy poczty elektronicznej. Podał Sally wizytówkę.

–To gość, dla którego pracował – oświadczyła. – To on wyciągnął go z więzienia.

–Trudno mi uwierzyć, żeby naukowiec z takiego renomowanego muzeum był zamieszany w

porwanie, kradzież i morderstwo.

–Kiedy stawka jest wysoka, niektórzy ludzie zdolni są do wszystkiego.

Oddała mu wizytówkę, Tom wsunął ją do kieszeni razem z prawem jazdy. Przeszukał do końca

portfel, a potem sprawdził zawartość pozostałych kieszeni spodni rannego. Znalazł notes i zabrał go.

–No, no, co my tu mamy – powiedziała Sally.

Tom wsadził notes do kieszeni. W małym chlebaku był

zapasowy magazynek do pistoletu.

Rozejrzał się, zobaczył broń na ziemi tam, gdzie Sally ją upuściła. Wsunął ją za pasek, wziął też chlebak.

–Naprawdę myślisz, że przyda ci się ta broń? – spytała Sally.

–Może miał wspólnika.

–Nie sądzę.

–Nigdy nic nie wiadomo. Mężczyzna nie miał przy sobie już nic, co by ich interesowało. Tom ponownie sprawdził mu puls.

Był nitkowaty, ale był. Żałował, że mężczyzna jeszcze żyje: sprawa byłaby znacznie prostsza, gdyby już był martwy. Zaskoczyło go, że nie potrafi się zdobyć nawet na odrobinę litości dla tamtego.

Karabin mężczyzny leżał na piasku kilka kroków dalej. Tom podniósł go, wyjął pusty magazynek i wyrzucił go. W chlebaku był drugi magazynek. Opróżnił go, rozsypał naboje na ziemi, a pusty magazynek wyrzucił.

–Chodźmy – powiedział.

–A co z nim?

–Jedyne, co możemy dla niego zrobić, tu wydostać się stąd i wezwać pomoc. Chociaż jeśli mam

być szczery, jest bez szans. – Tom otoczył ją ramieniem. – Gotowa?

Podtrzymując się nawzajem, kulejąc, ruszyli wzdłuż wyschniętego koryta. Przez dziesięć minut szli w milczeniu, gdy nagle Tom zatrzymał się zaskoczony.

Naprzeciwko nich szedł ktoś w habicie, uniósłszy rękę. Rozpoznał mnicha Wymana Forda.

–Tom! – krzyknął Ford i przyśpieszył kroku. – Tom! – Gorączkowo gestykulował, biegnąc w ich

stronę. W tej samej chwili Tom usłyszał niewyraźny warkot i zobaczył mały samolocik bez okien,

wynurzający się zza krawędzi kanionu i robiący wolny zwrot w ich kierunku.

5

MELODIE GAPIŁA się na monitor komputera, na którym przesuwały się wyniki ostatniego badania mikrosondą. Zamrugała, skierowała gałki oczne najpierw w lewo, potem w prawo, próbując odzyskać ostrość widzenia. Dziwne, jak czuła się jednocześnie wyczerpana i podminowana, głowa jej pękała, jakby napiła się martini. Spojrzała na duży zegar w laboratorium. Czwarta po południu. Akurat kiedy patrzyła, duża wskazówka z cichym tyknięciem przesunęła się o jedną minutę. Melodie nie spała od ponad pięćdziesięciu godzin.

Nacisnęła klawisz, by zapisać dane. Przeprowadziła wszystkie podstawowe analizy próbki, jakie należało przeprowadzić, i znalazła odpowiedzi na większość najważniejszych pytań. Została do wyjaśnienia jedynie kwestia cząsteczki Wenus. Postanowiła to rozwikłać przed przesłaniem swojego opracowania do opublikowania w Internecie. W przeciwnym razie zrobi to za nią jakiś inny naukowiec – a jest już tak blisko.

Wzięła ostatni z przygotowanych preparatów, umieściła go na stoliku i spojrzała na niego przez okular mikroskopu. Przy pięćsetkrotnym powiększeniu ledwo widziała skupiska malutkich czarnych drobinek, rozrzuconych tu i tam w komórkach. Wyjęła preparat, umieściła go w moździerzu laboratoryjnym, delikatnie rozgniotła i wymieszała z odrobiną wody, aż uzyskała gładką maź, którą wlała do plastikowej zlewki.

Podeszła do szafki zamykanej na klucz i wyjęła z niej butelkę dwunastoprocentowego kwasu fluorowodorowego. Było wielką nieostrożnością ze strony niewyspanej i zmęczonej Melodie użycie takiej agresywnej substancji chemicznej, rozpuszczającej nawet szkło, ale był to jedyny kwas, który nadawał się do tego, co zamierzała zrobić: mógł całkowicie rozpuścić zmineralizowane części skamieliny, nie niszcząc węglowej powłoki cząsteczki Wenus. Chciała uwolnić cząsteczki, by móc się im przyjrzeć ze wszystkich stron. Postawiła butelkę pod okapem wyciągowym na miejscu, opatrzonym napisem TYLKO DO HF. Potem włożyła okulary ochronne, rękawiczki z kauczuku nitrylowego, gumowy fartuch i ochraniacze na rękawy. Opuściła okap wyciągowy na wysokość piętnastu centymetrów, by chronić twarz, włączyła go i przystąpiła do pracy. Odkręciła nakrętkę i wlała odrobinę kwasu fluorowodorowego do plastikowej probówki, zawierającej roztartą

skamielinę, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że gdyby choć kropla kwasu prysnęła jej na skórę, miałoby to poważne konsekwencje. Obserwowała, jak pieni się i mętnieje, co do sekundy odliczając czas. Potem szybko rozcieńczyła kwas w proporcji pięćdziesiąt do jednego, by przerwać reakcję, odlała nadmiar roztworu, rozcieńczyła go drugi i trzeci raz, by usunąć kwas.

Uniosła probówkę pod światło. Na jej dnie znajdowała się cienka warstewka osadu mineralnego, w którym – wiedziała to na pewno – musi być przynajmniej kilka interesujących ją cząsteczek.

Mikropipetą pobrała większość osadu, osuszyła go, a następnie, posługując się rozdzielaczem i roztworem metawolframianu sodu, oddzieliła lżejsze osady od cięższych zanieczyszczeń. Ponownie je przepłukała i nabrała małą ilość cząsteczek mikropipetą, po czym naniosła ją na komorę Thoma. Przy stukrotnym powiększeniu naliczyła około trzydziestu cząstek Wenus, w większości nieuszkodzonych, pozbawionych wszelkich zanieczyszczeń.

Ustawiła ostrość na wyjątkowo dobrze zachowaną cząsteczkę i zwiększyła powiększenie do siedmiuset pięćdziesięciu razy. Cząsteczka wypełniła całe pole widzenia. Melodie przyglądała się jej z coraz większym zdumieniem. Rzeczywiście przypominała symbol Wenus: z kulki węgla sterczała długa wypustka z poprzeczką zakończoną jakby włoskami. Otworzyła notatnik i naszkicowała w nim to, co widziała pod mikroskopem.

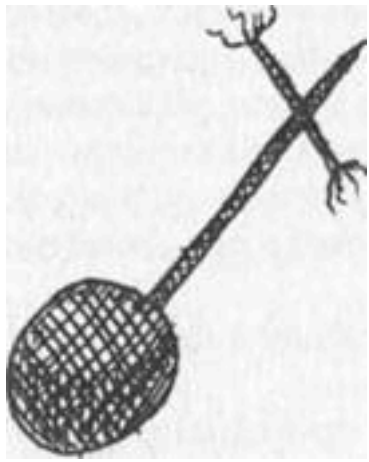

Kiedy skończyła, rozsiadła się na krześle i spojrzała na swój

rysunek. Była wielce zaintrygowana. Cząstka nie przypominała żadnej inkluzji, która mogłaby się naturalnie wykrystalizować w skale. Prawdę mówiąc, Melodie nigdy nie widziała czegoś takiego – może przypominała nieco radiolarie, które kiedyś przez dwa dni badała i rysowała do referatu w liceum. Z całą pewnością była pochodzenia organicznego -przynajmniej co do tego Melodie nie miała cienia wątpliwości.

Kobieta pobrała kilka cząsteczek Wenus z komory Thoma i przeniosła je na stolik preparacyjny w skaningowym mikroskopie elektronowym. Następnie umieściła go w komorze próżniowej, by móc obejrzeć preparat pod mikroskopem. Nacisnęła guzik i rozległ się cichy szum, kiedy stolik preparacyjny przesuwał się do kolumny próżniowej.

Pora się temu dokładnie przyjrzeć, **pomyślała.**

F.P, IV! AS AGO stał w pobielonej sali komputerowej klasztoru, teraz służącej jako Naziemne Stanowisko Kierowania Predatorem. Oczy utkwił w płaskim ekranie wideo, na którym widać było obrazy przekazywane z głównej kamery predatora. Nieoheblowany drewniany stół zastawiony był rozmaitym sprzętem elektronicznym, obsługiwanym przez trzech operatorów. Głównym operatorem był żołnierz zwiadu i naprowadzania z 615. Specjalnej Grupy Taktycznej Dowództwa Skrzydła w hełmie do symulacji lotu samolotem bezzałogowym. Konsola, przed którą siedział, wyświetlała wskazania wszystkich przyrządów, obsługiwanych przez pilota samolotu: wolantu, przepustnicy, prędkościomierza, wariometru i wysokościomierza, a także drążka sterowego, podobnego do tych z F-16.

Masago na moment przeniósł wzrok z ekranu na dwóch wspomagających komandosów-operatorów. Pracowali w skupieniu, obojętni na wszystko poza wirtualnym światem, w którym byli pogrążeni. Jeden obsługiwał konsolę, szereg przełączników, klawiatur i ekranów z odczytami cyfrowymi, umożliwiających sterowanie rozpoznawczo-zwiadowczymi operacjami predatora. Wśród dwustu kilogramów sprzętu specjalistycznego, zamontowanego na pokładzie maszyny, były kamery elektrooptyczne i na podczerwień, radar z apertura syntetyczną do lotów podczas złej pogody, czarno-biała kamera telewizyjna z obiektywem zmiennoogniskowym i teleskop o ogniskowej 955 milimetrów, a także radar do obserwacji przedniej półsfery w podczerwieni o dużej rozróżnialności, z sześcioma polami widzenia od 19 do 560 mm.

Chłopaki z Delta Force byli w śmigłowcu. Na nich przyjdzie kolej później.

Masago przeniósł wzrok na drugiego kontrolera. Obsługiwał trzy multispektralne systemy naprowadzania bezpiłotowca z laserowym podświetlaczem celu, dalmierzem, pasywnymi środkami wykrywania i aktywnymi przeciwdziałania oraz urządzenie do śledzenia ruchów celu. Samolot bezzałogowy już wystrzelił jeden z dwóch pocisków Hellfire C, zabijając mnicha.

Masago znów skupił swoją uwagę na ekranie wideo. Nagle zesztywniał.

–Mam coś – rozległ się w słuchawkach Masago bezbarwny głos jednego z operatorów.

Masago zobaczył dwoje ludzi, a sto metrów od nich jeszcze jedną osobę, idącą ku nim. Pół

kilometra dalej w górę kanionu ktoś leżał na wznak.

–Zrób najazd do dziewięciuset milimetrów na cel najdalej na południe – polecił Masago.

Na ekranie pojawił się nowy obraz: mężczyzny leżącego pod ścianą kanionu i dużej plamy krwi.

Mężczyzna był martwy. Masago po przepytaniu gliniarza, Willera, wiedział o mnichu i tamtej dwójce. Kim więc jest ten martwy człowiek?

–Powrót do dwustu czterdziestu milimetrów.

Teraz znów ujrzał trzy postacie. Ta najdalej na północ zaczęła biec. Przez chwilę widział jej białą, zwróconą w górę twarz. To ten wścibski typek z CIA, rzekomy mnich. Masago gapił się na niego ze zdumieniem.

–Wygląda na to, że nie trafiliśmy faceta w sukience – mruknął specjalista od łączności. Masago pochylił się, bacznie wpatrując się w obraz, jakby chciał wyciągnąć z niego całą esencję.

–Pokaż z bliska środkowy cel.

Po zmianie ogniskowej kamery ekran wypełniła postać Broadbenta. Mężczyzny, którego szukał. Od niego zależało powodzenie misji Masago. To Broadbent znalazł konającego poszukiwacza dinozaurów, więc to on najprawdopodobniej wie, gdzie dokładnie znajduje się skamielina. Według słów Willera, zarówno żona Broadbenta, jak i mnich byli w to zamieszani, chociaż pozostawało niejasne, jaką odgrywali w tym wszystkim rolę. Ale to nieistotne. Zadanie Masago było proste: ustalić lokalizację skamieliny, oczyścić teren z osób postronnych, wydobyć skamielinę i wyjechać. Niech jakiś urzędas zbierze dane do tajnego raportu *ex post facto.*

–Daj jeszcze raz obraz ze stu sześćdziesięciu milimetrów – powiedział do operatora zasobnika

rozpoznawczego.

Obraz na ekranie się zmienił. Cała trójka biegła teraz razem, żeby się schronić w kanionie.

–Aktywuję system naprowadzania – zameldował kontroler.

–Nie – mruknął Masago.

Kontroler rzucił mu zdumione spojrzenie.

–Potrzebni mi są żywi.

–Tak jest.

Masago zlustrował kanion. Miał prawie dwieście pięćdziesiąt metrów głębokości, strome ściany, zwężał się przy wylocie, a potem przemieniał w dużą kamienną dolinę. Kilka bocznych wąwozów kończyło się ślepo. Teren był ograniczony ze wszystkich stron i idealnie się nadawał do zastawienia pułapki.

–Widzisz miejsce, gdzie kanion się zwęża? Na drugiej godzinie na monitorze.

–Tak jest.

–To twój cel.

–Słucham?

–Chcę, żebyś w taki sposób trafił w tę ścianę kanionu, by zawaliło się dość materiału, żeby zablokować im drogę. Zastawimy na nich pułapkę.

–Tak jest.

–Kurs jeden osiemdziesiąt, zmniejszam pułap do sześciuset metrów – zameldował pilot.

–Cel nieruchomy namierzony. Gotów do odpalenia.

–Zaczekaj na mój znak – powiedział Masago do mikrofonu. – Stop. – Już widział, że bezzałogowiec nie trafi. Wyrosła krawędź kanionu i nagle cele zniknęły, przesłonięte trzystumetrową kamienną ścianą.

–Sukinsyn – mruknął pilot.

–Zmień kurs na jeden sześćdziesiąt – polecił Masago. – Obniż pułap lotu, niech automat leci wzdłuż kanionu.

–Zobaczą…

–I o to chodzi. Niech się przestraszą. Niech wpadną w panikę. Obraz się przesunął, kiedy samolot się przechylił.

–Daj obraz z pięćdziesięciu milimetrów.

Pojawił się obraz szerokokątny. Teraz Masago widział obie krawędzie kanionu. Kiedy predator

znów nadleciał, ponownie pojawiły się trzy cele: trzy czarne mrówki, biegnące wzdłuż pionowych ścian kanionu, kierujące się ku dolinie.

–Idealny cel – mruknął operator.

–Jeszcze nie – powstrzymał go Masago. Na obrazie szerokokątnym widział, jak kanion zakręca, a potem biegnie prosto przez przynajmniej czterysta metrów. Przypominało to zaganianie antylop gnu ze śmigłowca. Przyglądał się trójce ludzi, która z tej wysokości zdawała się poruszać tak wolno i być tak bezradna jak owady. Nie mogli wiele zrobić uwięzieni między urwiskami o wysokości dwustu czterdziestu metrów. Minęli zakręt i teraz biegli prostym odcinkiem kanionu, wciąż trzymając się blisko jego ściany w nadziei, że ich osłoni.

–Po odpaleniu – polecił Masago – przełącz mnie na przekaz wideo z pocisku.

–Tak jest. Cel namierzony.

–Zaczekaj…

Nastąpiła długa chwila ciszy. Tamci biegli niepewnie, wyraźnie wyczerpani. Kobieta upadła,

mężczyzna i mnich pomogli jej wstać. Byli teraz czterysta metrów od celu. Trzysta pięćdziesiąt. Trzysta dwadzieścia pięć…

–*Ognia.*

Ekran znów drgnął, kiedy urządzenie przestało odbierać obraz z

kamery predatora, a włączyła się

kamera zamontowana na pocisku. Najpierw pojawił się fragment nieba, potem ziemia, lewa ściana kanionu. Ściana nagle urosła, kiedy laser naprowadził pocisk na cel. W chwili zderzenia się pocisku z ziemią obraz automatycznie przełączył się na ten z kamery telewizyjnej predatora. Nagle znaleźli się znów w górze i spoglądali w dół – na wznoszącą się chmurę pyłu i odłamków skalnych. Ludzie padli na ziemię. Masago czekał. Chciał, żeby doznali poważnego szoku, ale przeżyli.

Ruch powietrza w kanionie zaczął rozpraszać chmurę pyłu. I znów pojawiły się postacie – biegły z

powrotem tam, skąd przybyły.

–Patrzcie, jak się miotają te sukinsyny – mruknął kontroler. Masago się uśmiechnął.

–Zwiększyć pułap lotu samolotu bezzałogowego i śledzić ich. Za chwilę wystartuje śmigłowiec. Mamy ich, trzy szczury w gorącej blaszanej puszce.

TOM **BIEGŁ tuż za Sally, w uszach wciąż mu dzwoniło od huku eksplozji, chmura pyłu po wybuchu posuwała się kanionem w ich stronę. Na chwilę przystanęli tuż pod ścianą wąwozu, żeby zaczerpnąć tchu. Tom oparł się o skałę, ciężko dysząc. Ford dołączył do nich.**

–Co się, u diabła, dzieje? – wysapał Tom. Mnich pokręcił głową.

–Z czego do nas strzelano?

–Z samolotu bezzałogowego. Wciąż krąży w górze i obserwuje nas. Ale już nie ma pocisków. Przenoszą tylko dwa.

–To jakaś paranoja.

–Według mnie, wystrzelili jedynie, żeby zablokować kanion. Chcą nas złapać w potrzask.

–Kto?

–Później, Tom. Musimy się stąd wydostać.

Broadbent zmrużył oczy i spojrzał w lewo, a potem w prawo, lustrując ściany kanionu. Jego wzrok

przykuł szeroki uskok, biegnący ukośnie, u którego podstawy zalegała wysoka sterta rumoszu skalnego. Można się było tamtędy bez trudu wspiąć, bo skały utworzyły naturalne schody.

–Tamtędy – powiedział Tom. – Spróbujemy się wdrapać tamtym żlebem. – Odwrócił się do Sally. – Dasz radę?

–Jasne.

–A ty, Wyman?

–Bez trudu.

–Najłatwiej będzie iść po prawej stronie od tamtej półki skalnej.

–Idź przodem – powiedział Ford.

–Wiesz, co jest po drugiej stronie?

–Jeszcze nigdy nie zapuszczałem się tak daleko.

Tom spojrzał na swoje włoskie, ręcznie szyte pantofle za czterysta dolarów, zniszczone nie do

poznania, ale wciąż całe. Dobrze przynajmniej, że zamówił buty na gumowej podeszwie. Obejrzał się za siebie; chmura pyłu po eksplozji leniwie sunęła nad nimi, przesłaniając niebo siarkowożółtą mgiełką.

–Chodźmy.

Chwycił się skały i podciągnął się.

–Patrzcie, gdzie stawiam nogi i czego się łapię, i naśladujcie mnie. Utrzymujcie trzymetrowe

odstępy. Sally, ty idź za mną.

Tom oparł się kolanem na głazie i ruszył w górę. Starał się nie zwracać uwagi na to, że czuł się tak,

jakby usta miał pełne piachu. Pragnienie sprawiało mu fizyczny ból.

Wspinaczka była mozolna, przyprawiająca o zawrót głowy, ale przynajmniej mieli się czego chwytać. Tom wspinał się metodycznie, co minutę sprawdzając, jak sobie radzi Sally. Była wysportowana i migiem się połapała, w czym rzecz. Ford wdrapywał się zwinnie jak małpa, jak urodzony alpinista. W miarę jak się wspinali, przepaść pod nimi się powiększała. Wchodzili bez lin, bez karabińczyków, bez żadnych zabezpieczeń. Skałkowcy eufemistycznie nazywają taką wspinaczkę „wspinaczką bezupadkową" – upadek oznacza pewną śmierć.

Tom skupił uwagę na skalnej ścianie przed sobą. Nie czuł już zmęczenia. Dotarli do małej półki skalnej i wdrapali się na nią, żeby odpocząć. Ford wyciągnął manierkę.

–O mój Boże, czy to woda? – spytała Sally.

–Odrobina. Wypij dwa łyki. Sally ujęła manierkę drżącymi dłońmi i napiła się. Potem podała manierkę Tomowi. Woda była

ciepła, miała smak plastiku, ale Tomowi wydawało się, że to najwspanialszy nektar, jaki kiedykolwiek miał w ustach.

Wymagało od niego najwyższego wysiłku woli powstrzymanie się od wypicia wszystkiego. Oddał manierkę Fordowi, który wsadził ją z powrotem do plecaka.

–Ty nie pijesz?

–Nie – odparł krótko. Tom spojrzał w górę. Wciąż słyszał słaby warkot samolotu bezzałogowego, przypominający

bzyczenie komara, ale nie widział maszyny. Nadal próbował zrozumieć, dlaczego do nich strzelano.

–Co się dzieje, u diabła?

–To, co na nas poluje, to wart czterdzieści milionów dolarów samolot bezzałogowy Predator, tajny od czubka do ogona.

–Ale dlaczego? Ford pokręcił głową.

–Nie wiem.

Od ściany kanionu biło ciepło. Tom przyjrzał się urwisku nad nimi, wybrał trasę i zaczął się

wspinać. Sally i Ford podążyli za nim w milczeniu. Pokonali już sześćdziesiąt metrów, ale teraz wspinaczka stała się łatwiejsza. Po pięciu minutach przebyli stromy odcinek zbocza. Obecnie pozostało im jedynie wyczerpujące wchodzenie po piargu. Kiedy znaleźli się na górze, Sally padła na płaski kamień, dysząc, a Tom obok niej. Spojrzał na puste niebo. Nie dobiegał ich żaden odgłos, samolot widocznie odleciał.

Ford wyciągnął z kieszeni zniszczoną mapę i rozłożył ją.

–Gdzie jesteśmy? – spytał Tom.

–Poza zasięgiem mapy. – Złożył ją z powrotem. Tom rozejrzał się dookoła. Znajdowali się na górze stołowej z piaskowca, która powstała za sprawą

działania wody i wiatru. W niektórych zagłębieniach w gładkiej skale zgromadził się naniesiony przez wiatr piasek. Gdzieniegdzie ze szczeliny wyrastał jałowiec smagany przez wiatr. Ostaniec kończył się czterysta metrów dalej. Tom zmrużył oczy.

–Chciałbym wiedzieć, co jest za tamtą krawędzią. Stanowimy

tutaj łatwy cel.

–Wszędzie stanowimy łatwy cel, obserwowani przez ten samolot bezzałogowy.

–Nadal nas obserwują? – spytała Sally.

–Możesz być pewna, że tak. I założę się, że wyślą po nas śmigłowiec. Przypuszczam, że mamy dziesięć, dwadzieścia minut.

–To jakaś paranoja. Naprawdę nie domyślasz się, co się dzieje? Ford pokręcił głową.

–Jedyne, co mi przychodzi na myśl, to ten dinozaur.

–Dlaczego mieliby się interesować dinozaurem? Według mnie, bardziej prawdopodobne, że

bombowiec przypadkiem zgubił bombę wodorową albo rozbił się tajny satelita lub coś w tym rodzaju.

Ford pokręcił głową.

–Wątpię.

–Ale nawet jeśli chodzi im o dinozaura, to czego chcą od nas? – spytał Tom.

–Informacji.

–Jakich informacji? Nie mamy pojęcia, gdzie on jest.

–Może o tym nie wiedzą. Ty jesteś w posiadaniu notesu, a ja – wykresu badania radarem do penetracji gruntu. Mając to, można odnaleźć dinozaura w ciągu kilku dni.

–A kiedy już uzyskają od nas to, co ich interesuje?

–Zabiją nas.

–Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz.

–To nie kwestia wiary, Tom. Ja to wiem. Już próbowali mnie zabić. Ford wstał. Tom poszedł za jego przykładem i pomógł podnieść się Sally. Mnich ruszył przez kamienny płaskowyż, jak zwykle gnając na złamanie karku, i przy każdym kroku zamiatając

ziemię brązowym habitem. Kierował się ku krawędzi góry stołowej.

WIRNIKI JUŻ SIĘ obracały, kiedy Masago wskoczył do helikoptera, osłaniając twarz przed pyłem i piaskiem. Przecisnął się między siedmioma komandosami, oddelegowanymi do wykonania zadania, i zajął miejsce z przodu, skierowane w stronę kabiny. Dowódca załogi wręczył mu parę słuchawek z mikrofonem, dyndających na czarnym kablu. Masago nałożył je na głowę i ustawił mikrofon. Helikopter wzbił się w powietrze, zanim jeszcze zamknięto drzwi. Wzniósł się nad krawędź kanionu i zaczął lecieć nad ostańcami i płaskowyżami, od czasu do czasu mijając głębokie rozpadliny w ziemi. Słońce stało niemal pionowo nad ich głowami i kraina w dole zdawała się rozpalona do czerwoności.

Na wyłożonej matą podłodze śmigłowca Masago rozwinął mapę topograficzną interesującego ich terenu w skali 1:24 000, sporządzoną przez Służbę Geologiczną USA. Wciąż wolał mapy na papierze od elektronicznych map GPS; jakoś lepiej widział krajobraz na papierze, niż kiedy miał do czynienia z wersją elektroniczną. Obrazy z samolotu bezzałogowego, krążącego na wysokości prawie ośmiu tysięcy metrów, pokazały cele, którym jednak udało się wydostać z kanionu i które teraz kierowały się do głębokiej doliny. To było najgorsze z możliwych miejsc do szukania kogokolwiek, ale z drugiej strony, miało ono jeden plus: ograniczoną powierzchnię i możliwość pilnowania granic.

Kiedy Masago skończył znaczyć mapę czerwonym ołówkiem, przekazał ją dowódcy oddziału, starszemu sierżantowi Antonowi Hittowi. Hitt w milczeniu przyjrzał się mapie i zaczął wprowadzać współrzędne punktów zaznaczonych na mapie do swojego GPS-a. Żołnierze otrzymali ostateczny rozkaz tuż przed startem, nie komentując go ani nie protestując, nawet kiedy Masago wspomniał o ewentualnej konieczności zabicia amerykańskich cywilów. Naturalnie powiedział im otwarcie, że chodzi o bioterrorystów dysponujących bakteriami mogącymi sprowadzić zagładę na ludzkość. Większość ludzi nie umie sobie radzić z całą skomplikowaną prawdą, więc lepiej nie mówić im wszystkiego.

Obserwował Hitta przy pracy. Dowódca oddziału był małomównym Afroamerykaninem w świetnej kondycji fizycznej, o wysokim, mahoniowym czole i jasnobrązowych oczach. Sprawiał wrażenie człowieka całkowicie opanowanego. Miał na sobie

mundur polowy i żołnierskie buty, uzbrojony był w karabinek M4, przystosowany do nabojów specjalnego przeznaczenia kaliber 6.8 milimetra, wyposażony w celownik Aimpoint. Oprócz tego Hitt miał rugera kaliber pięć i pół milimetra, dość osobliwy wybór jak na żołnierza sił specjalnych, ale Masago się to spodobało. Podobnie jak nóż Trace'a Rinaldiego, co też dobrze świadczyło o sierżancie. Masago pozwolił Hittowi decydować o wyposażeniu, a sierżant doszedł do wniosku, że jego ludzie nie powinni być zbytnio obciążeni, żeby mogli szybko biec, nie mieli więc zapasowej amunicji, tylko litrowe manierki, żadnych granatów ani dodatkowych magazynków, żadnych kamizelek kuloodpornych. A także broni automatycznej… Ostatecznie nie była to operacja w centrum

Mogadiszu przeciwko silnie uzbrojonym złym facetom, wybiegającym zza każdego węgła. Hitt skończył i oddał mapę Masago.

–Czterech ludzi, których zrzucimy, nie będzie musiało zachowywać ciszy w eterze. Ustalimy

granicę obszaru wokół naszych celów i będziemy zacieśniać pętlę. To bardzo prosty plan. Jestem

zwolennikiem prostych rozwiązań.

Masago skinął głową i zapytał:

–Jeszcze jakieś pytania? Hitt pokręcił głową.

–Sierżancie Hitt – rzekł powoli Masago. – Zbliża się moment, kiedy poproszę o zabicie kilku nieuzbrojonych obywateli amerykańskich. Osoby te stanowią zbyt wielkie zagrożenie, by można je było oddać w ręce wymiaru sprawiedliwości. Czy to dla pana problem?

Hitt wolno zwrócił swoje jasne oczy na Masago.

–Jestem żołnierzem. Wykonuję rozkazy.

Masago rozsiadł się wygodnie i skrzyżował ramiona. Generał Miller miał jednak rację: Hitt był

dobry.

Helikopter leciał nad pustkowiem. W pewnej chwili Hitt, sprawdziwszy GPS, wskazał palcem jednego z mężczyzn.

–Halber, za dziesięć minut będziemy nad punktem zrzutu Tango. Mężczyzna, ogolony na zero

dwudziestolatek, skinął głową i zaczął sprawdzać broń. Lecieli teraz wzdłuż długiego, głębokiego kanionu, dochodzącego do doliny, do której zmierzały ich cele; cień maszyny przesuwał się bezpośrednio pod nimi. Były to przygnębiające, zniszczone erozją tereny, otwarta rana na powierzchni ziemi. Masago już się nie mógł doczekać, kiedy znów wróci do parnego, zielonego Marylandu.

–Pięć minut – powiedział Hitt.

Pave Hawk przechylił się, okrążając kamienny ostaniec, i poleciał pod skarpę, po czym zawisł

nieruchomo tam, gdzie boczny kanion dochodził do kamienistego pustkowia. Halber wstał. Wyrzucono linę, która leżała starannie zwinięta obok otwartych drzwi. Halber uchwycił się jej i zniknął w dole. Po chwili wciągnięto linę i śmigłowiec poderwał się w górę.

–Sullivan. – Hitt wskazał kolejnego mężczyznę. – Punkt zrzutu Fokstrot, osiem minut.

Helikopter znów leciał nad czerwoną pustynią. Na północy Masago widział nieregularny, czarny

garb lawy, która wypłynęła w zamierzchłych czasach; daleko z prawej strony porośnięte lasem pogórze wznosiło się na spotkanie z ośnieżonymi szczytami. Dość dobrze się orientował w okolicy.

–Sullivan, jedna minuta.

Sullivan sprawdził broń, wstał, chwycił się siatki, kiedy helikopter zawisł w powietrzu. Znów

wyrzucono linę, kolejny żołnierz zniknął im z oczu.

Pięć minut później zrzucili ostatniego, czwartego komandosa i helikopter skierował się do miejsca lądowania w dolinie u wylotu

wielkiej rozpadliny, noszącej nazwę Kanionu Tyranozaura.

FORD PIERWSZY dotarł do krawędzi i spojrzał w dół na dolinę. Z przerażeniem stwierdził, że są znów na samym końcu Diabelskiego Cmentarzyska. Był zaskoczony, że mając takie doświadczenie w poruszaniu się po pustkowiach i tak dobrze znając te okolice, stracił orientację w terenie. Wyjął mapę, sprawdził jeszcze raz i ustalił, że dotarli tu od północnego zachodu.

Rozejrzał się dookoła, w każdej chwili spodziewając się dostrzec czarny punkt na horyzoncie i usłyszeć znajomy warkot nadlatującego śmigłowca.

Wiele razy w swoim życiu znajdował się w opałach, ale jeszcze nigdy sytuacja nie była aż tak beznadziejna. Wcześniej zawsze dysponował informacjami, teraz działał na oślep. Wiedział jedynie, że jego własny rząd próbuje go zabić.

Ford zaczekał na Toma i Sally. Okazali się zdumiewająco odporni, jeśli uwzględnić, że obydwoje byli ranni, wyczerpani i poważnie odwodnieni. Kiedy znajdą się u kresu sił, po prostu zostaną tam, gdzie ich dopadnie kryzys. Może to nawet przybrać formę udaru cieplnego, stanu, w którym organizm przestaje panować nad mechanizmem utrzymywania odpowiedniej temperatury ciała. Ford był raz świadkiem tego w dżungli Kambodży; jego człowiek nagle przestał się pocić, ciepłota jego ciała wzrosła do czterdziestu jeden stopni, dostał tak silnych drgawek, że powypadały mu zęby, a pięć minut później nie żył.

Zmrużył oczy przed ostrym światłem. Do gór było dwadzieścia pięć kilometrów, do rzeki -trzydzieści. Zostało im niespełna pół litra wody, a upał przekraczał trzydzieści pięć stopni. Nawet gdyby nikt ich nie ścigał, położenie było niewesołe.

Ford z rosnącym przerażeniem patrzył na urwisko.

–Tędy można zejść – powiedział Tom, stojąc na krawędzi.

Ford spojrzał na budzącą lęk pionową szczelinę. Dobiegł go ledwo słyszalny warkot. Zlustrował

horyzont i w odległości trzech, może czterech kilometrów dostrzegł czarny punkcik. Nawet nie musiał wyjmować lornetki:

wiedział, co to takiego.

–Chodźmy.

10

MELODIE CROOKSHANK z nabożną czcią wpatrywała się w trójwymiarowy obraz cząsteczki Wenus na ekranie podłączonym do elektronowego mikroskopu skaningowego. Chociaż cząsteczka liczyła sobie sześćdziesiąt pięć milionów lat, wyglądała tak, jakby powstała wczoraj. Obraz z elektronowego mikroskopu skaningowego był znacznie wyraźniejszy od tych, jakie można uzyskiwać dzięki mikroskopowi optycznemu, i ujawnił wszystkie szczegóły budowy cząsteczki – idealnej kuli ze sterczącą z niej wypustką z poprzeczką na końcu, przypominającą drzewce masztu statku. Poprzeczka zwieńczona była jakimiś złożonymi strukturami, wiązkami cewek, przypominającymi dmuchawce.

Analiza dyfrakcji promieni rentgenowskich potwierdziła przypuszczenia Melodie, że kuleczka węgla była tym, co chemicy nazywają fulerenem lub „buckminsterfulerenem" – pustą w środku sferą, zbudowaną z atomów węgla o podwójnych wiązaniach, tworzących kopułę geodezyjną Buckminstera Fullera. Fulereny odkryto całkiem niedawno i rzadko spotykało się je w stanie naturalnym. Zwykle osiągały mikroskopijne rozmiary; ten był olbrzymi. Najistotniejszą cechę fulerenu stanowiła niezniszczalność – cokolwiek znalazło się w jego środku, było w pełni zabezpieczone. Tylko najsilniejsze enzymy, stosowane w warunkach laboratoryjnych, mogły rozpuścić fuleren.

I właśnie tego udało się dokonać Melodie.

Wewnątrz sfery znajdowała się zdumiewająca mieszanina minerałów, wśród nich niezwykła forma plagioklazu, $Na_0\ Ca_0\ _5Si_3A10_8$, z domieszką tytanu, miedzi, srebra i zasadowych jonów metali – właściwie złożony koktajl materiałów domieszkowanych, tlenków metali i krzemianów. Wyrostek sterczący prostopadle z fulerenu okazał się olbrzymią nanorurką z poprzeczką, do której były przytwierdzone boczne grupy, zawierające mieszaninę związków ceramicznych i tlenków metali.

Bardzo osobliwe.

Otworzyła ciepłego Dr. Peppera i odchyliła się na krześle, pijąc w zamyśleniu. Po wyniesieniu zwłok Corvusa zrobiło się cicho niczym w grobie, nawet jak na niedzielę. Ludzie trzymali się z daleka. To jej przypomniało, jak mało przyjaciół ma w muzeum. Nikt nie zadzwonił, żeby spytać, czy już dobrze się czuje, nikt nie zaprosił jej na obiad ani na kawę, by ją po tym wszystkim podnieść na duchu. Częściowo sama była sobie winna, bo zaszyła się w laboratorium w podziemiach jak mniszka. Ale w dużym stopniu wiązało się to z jej niską pozycją i przypiętą łatką nieudacznicy, biednej doktorantki, która od pięciu lat wszędzie rozsyła swój życiorys. Wszystko to niebawem się zmieni.

Wyświetliła kilka wcześniejszych obrazów cząsteczki, które zapisała na CD-ROM-ie, szukając więcej dowodów na uzasadnienie teorii, która zakiełkowała w jej głowie. Zauważyła, że cząsteczki Wenus najsilniej skupiają się wokół jądra komórkowego. Kiedy przestudiowała kilka obrazów, które przygotowała

wcześniej dla Corvusa, zauważyła coś charakterystycznego: znaczna liczba komórek, w których pojawiły się cząstki, była wydłużona. Co więcej, wiele cząsteczek zdawało się występować w dwóch sąsiadujących ze sobą komórkach. Oba te zjawiska były bezpośrednio ze sobą powiązane i Melodie szybko je skojarzyła. Przeszły ją ciarki. Dziwne, że nie zauważyła tego wcześniej. Cząstki przede wszystkim znajdowały się w komórkach w fazie mitozy. Innymi słowy, cząstki Wenus dostały się do komórek dinozaura i właściwie wywołały proces ich podziału. Wiele współczesnych wirusów zachowywało się identycznie; w taki sposób ostatecznie doprowadzały do śmierci swego gospodarza, który umierał w wyniku nowotworu spowodowanego przez wirusy.

W tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku paleontolog Henry Fairfield Osborn z muzeum, w którym teraz pracowała, pierwszy wysunął tezę, że masowe wymieranie dinozaurów zostało spowodowane jakąś epidemią podobną do dżumy, która objęła wszystkie kontynenty. Teorię tę rozwinął Robert Bakker w swojej książce „Herezje o dinozaurach". Utrzymywał, że masową zagładę można wyjaśnić pojawieniem się nowych drobnoustrojów, które „dostały amoku" w zetknięciu z dinozaurami. Te „obce" mikroby pojawiły się w wyniku połączenia Azji i Ameryki Północnej. Gatunki, krzyżując się między sobą, przyczyniały się do rozprzestrzeniania się nowych zarazków.

Książka Bakkera ukazała się ponad dwadzieścia lat temu. Ale kiedy naukowcy zaczęli się skłaniać ku wnioskowi, że przyczyną masowego wymierania dinozaurów był upadek asteroidy, teoria Bakkera stopniowo popadła w zapomnienie.

Teraz wszystko świadczyło o tym, że Bakker miał jednak rację. Do pewnego stopnia.

Dinozaury wyginęły za sprawą epidemii, myślała Melodie, i właśnie teraz ona patrzy na winowajcę. Ale epidemia nie wybuchła w wyniku połączenia się kontynentów. Zapoczątkował ją upadek asteroidy. Impakcja wywołała pożary lasów na całym świecie, ciemności, głód, katastrofalne zniszczenie środowiska naturalnego. Z przeprowadzonych obliczeń wynikało, że przez wiele miesięcy na Ziemi panowały takie ciemności jak w nocy, powietrze wypełniały duszące sadze i pył, padały tak kwaśne deszcze, że rozpuszczały skały. Upadek asteroidy stworzył idealne warunki do szerokiego rozprzestrzeniania się chorób pośród tych, którzy przeżyli – Ziemia była zasłana martwymi i konającymi zwierzętami, pozostałe głodowały, poparzone, ranne, ich system odpornościowy uległ osłabieniu. W tych warunkach wybuch epidemii nie tylko był czymś możliwym… Był czymś nieuchronnym. Asteroida zabiła większość dinozaurów; a epidemia, która wybuchła później, dokończyła dzieła zniszczenia.

Ta teoria pozwalała na wysnucie jeszcze jednego wniosku – bardzo odważnego. Melodie wciąż nie była zdecydowana, czy ta teza nie jest zbyt szalona, by o niej napisać w rozprawie, czy to nie efekt pięćdziesięciu godzin bez snu. A teza była następująca: ta cząsteczka Wenus nie przypominała form życia spotykanych na Ziemi. Wyglądała, jakby przybyła z kosmosu.

Być może cząsteczka Wenus dotarła na Ziemię razem z asteroida.

MASAGO WYSKOCZYŁ ze śmigłowca, nad jego głową cichł gwizd łopatek wirnika. Odszedł od helikoptera i rozejrzał się po okolicy. Z informacji przekazanych przez predatora wynikało, że ich cele zeszły z płaskowyżu do tej bezimiennej doliny. Helikopter wylądował w samym jej środku, w centralnym punkcie, do którego będą zmierzać czterej żołnierze.

Hitt stanął obok niego, po chwili dołączyli do nich dwaj ostatni członkowie oddziału, starsi szeregowi Gowicki i Hirsch. Teren był trudny, ale ich przeciwnicy pozostawali w większym czy mniejszym stopniu uwięzieni w dolinie otoczonej urwiskami. Czterech żołnierzy zrzucono w jedynych czterech punktach, którędy można się było stąd wydostać, i teraz zaciskali pętlę. Hittowi zatem i jego dwóm ludziom pozostało jedynie iść i wykurzyć przeciwników. Absolutnie wykluczone, by tamci się im wymknęli.

Dowódca z dwójką komandosów już wyładował sprzęt i teraz rozmawiał na częstotliwości wojskowej z tymi, którzy wykonywali manewr okrążający.

–Idziemy – powiedział Masago.

Hitt skinął głową i na jego znak mężczyźni utworzyli trójkątną formację, idealną do śledzenia ludzi.

Masago, zgodnie z planem, podążył za nimi w odległości stu metrów, w pochwie miał berettę 8000 Cougar, broń, którą się zwykle posługiwał. Starszy szeregowy Gowicki i sierżant Hitt szli po bokach, a Hirsch z przodu. Ostrożnie posuwali się w górę suchego koryta rzeki w kierunku, w którym udała się tamta trójka zgodnie z danymi przekazanymi przez samolot bezzałogowy. Masago przyglądał się piaszczystemu dnu doliny, wypatrując śladów stóp, niczego jednak nie zobaczył. Ale to tylko kwestia czasu.

Dotarli do miejsca, gdzie suche koryto rzeki się rozwidlało. Tam przystanęli, Hitt wspiął się wyżej i rozejrzał. Kilka minut później zszedł i krótko skinął głową. Dał znak i ruszyli w kierunku szeregu skał przypominających grzyby.

Nikt nie odzywał się ani słówkiem. Rozciągnęli się, kiedy koryto

zrobiło się szersze, i posuwali się w stronę osobliwego lasu sterczących skał; niektóre z nich spowijał cień.

–Mam tu ślad buta – powiedział cicho Gowicki. – I drugi. Masago przyklęknął. Odciski były

świeże, należały do mężczyzny w sandałach – mnicha. Rozejrzał się dookoła i dostrzegł ślady pozostałych –

małe kobiece, numer buta sześć, siedem, i mężczyzny, rozmiar buta jedenaście i pół albo dwanaście. Ci

troje szli szybko. Wiedzieli, że są ścigani.

Hitt poprowadził ludzi pomiędzy rzucające cienie głazy. Masago był właściwie pewien, że nic im nie grozi ze strony cywilów: byłoby samobójstwem spróbować pokonać oddział komandosów, dysponując

jedynie kilkoma sztukami broni, jeśli tamci w ogóle byli uzbrojeni. Ukryją się pod ziemią… i zostaną wytropieni. Pierwszy etap operacji wkrótce się zakończy.

Znaleźli się w miejscu, gdzie kilka olbrzymich skał pochylało się, zmuszając wszystkich do przeczołgania się przez szczelinę w dole. Hitt zaczekał, aż Masago się z nimi zrównał. Wskazał kilka świeżych rys na stwardniałym piasku. Ci, których ścigali, przechodzili tędy, i to całkiem niedawno.

Masago skinął głową.

Hitt przecisnął się pierwszy na czworakach, Masago – ostatni. Kiedy się wyprostował, zobaczył, że ze wszystkich stron otaczają ich rude urwiska, wznoszące się niczym stopnie. Przystanął na chwilę, żeby spojrzeć na mapę. Zdaje się, że ich zwierzyna znalazła się w zablokowanym kanionie, w ślepej uliczce, z której nawet oni nie dadzą rady się wydostać.

Masago powiedział cicho do mikrofonu:

–Muszę ich mieć żywych, póki nie wydobędę od nich potrzebnych informacji.

–ZACZEKAJCIE TUTAJ – powiedział Ford. – Wejdę wyżej i się rozejrzę.

Tom i Sally odpoczywali, kiedy Ford wdrapał się na głaz, żeby rzucić okiem dookoła. Byli

pośrodku kamienistego pustkowia, zasłanego budzącymi grozę skałami. Widzieli, jak niespełna półtora kilometra stąd wylądował helikopter, i Ford był pewien, że ścigający są na ich tropie. Dzięki szkoleniom odbytym w CIA wiedział również, że musieli zrzucić ludzi w miejscach, którymi oni ewentualnie mogliby się wymknąć. Teraz z pewnością zbliżają się ku nim, żeby ich okrążyć. A więc ostatnią nadzieją było znalezienie jakiejś niezwykłej drogi ucieczki z kanionu – albo kryjówki.

Spojrzał tam, gdzie kanion się kończył. Szereg szarych, nagich wzniesień ustępował miejsca kolejnemu skupisku gładkich skał, przypominających zwarte szeregi zakapturzonych mnichów. Kilka kilometrów dalej majaczył ciąg cynobrowych urwisk, tworzących jakby stopnie prowadzące na kolejne płaskowzgórze. Gdyby dotarli tam, może udałoby się im uciec, chociaż nie wyglądało to obiecująco. Spojrzał na Sally i Toma. Szybko opadali z resztek sił i podejrzewał, że nie pociągną długo. Trzeba znaleźć jakąś kryjówkę.

Zszedł na dół.

–Widziałeś coś? – zapytał Tom. Ford pokręcił głową.

–Musimy iść dalej. Ruszyli w górę kamienistego koryta i wkrótce znaleźli się w gąszczu sterczących skał. Skwar był

nie do wytrzymania. Ale szli dalej, wspinali się na leżące skały i przeciskali między blokami piaskowca, czasami w słońcu, czasami w cieniu, starając się zapuścić jak najgłębiej w las sterczących skał. Czasami głazy były tak bardzo pochylone, że musieli się czołgać, żeby się pod nimi przedostać.

Niespodziewanie znaleźli się naprzeciwko pionowej ściany, która zakręcała z obu końców, tworząc coś w rodzaju amfiteatru. Jakieś piętnaście metrów nad dnem kanionu dawno wyschnięta

rzeka wyżłobiła jaskinię. Ford widział szereg wgłębień w skale, wyrąbanych przed laty przez Indian Anasazi, by można się było dostać do jaskini.

–Przekonajmy się, jak to wygląda z bliska – zaproponował. Podeszli do podnóża urwiska i Tom uważnie przyjrzał się dawnemu szlakowi. Spojrzał w górę.

–Znajdą nas tam, Wyman – powiedział.

–Nie mamy innego wyjścia. Może jaskinia jest połączona z jakąś inną. I niewykluczone, że nas nie znajdą, jeśli zatrzemy za sobą ślady.

Tom zwrócił się do Sally.

–Co myślisz?

–Nie jestem już w stanie myśleć.

–Zróbmy tak. Zatarłszy za sobą ślady najlepiej, jak potrafili, wspięli się po zboczu. Nie było to trudne i po kilku

minutach znaleźli się w jaskini. Ford przystanął, głośno dysząc. Sam powoli zbliżał się do kresu wytrzymałości i dziwił się, jak Sally i Tom jeszcze w ogóle mogą iść. Oboje wyglądali okropnie. Na dobre czy na złe, ta jaskinia była końcem ich drogi.

Miała sklepienie okazałej, katedralnej kopuły, jej dno pokrywał miałki piasek, a ściany były z piaskowca. Światło słoneczne, które tu docierało, wypełniało ją czerwonawą poświatą, w powietrzu unosił się zapach pyłu. W głębi jaskini znajdował się olbrzymi głaz, który widocznie całe wieki temu odpadł od sklepienia. Był zniszczony i wyokrąglony dzięki działaniu wody wpadającej przez siateczkę szczelin w stropie.

Kiedy ruszyli w głąb jaskini, spłoszyli kolonię gniazdujących tu jaskółek, które zaczęły śmigać w górze, przeraźliwie skrzecząc.

–Może jaskinia dalej się ciągnie za tym głazem – powiedział Ford. Poszli w głąb jaskini, tam gdzie

sterczała skala.

–Spójrz – powiedział Tom. – Ślady stóp.

Piasek był starannie zamieciony, ale w wąskim przejściu między

skałą a ścianą jaskini zobaczyli

ślady butów turystycznych o żłobionej podeszwie.

Przecisnęli się przez szczelinę i znaleźli się w tylnej części jaskini, za masywnym głazem.

Ford się odwrócił i zobaczył szczęki i przednią łapę wielkiego tyranozaura, sterczące ze skały.

Wszyscy milczeli. To był niezwykły widok. Zwierzę wyglądało, jakby zaciekle walczyło, by się uwolnić, wydostać się z kamiennego grobowca. Dinozaur leżał na boku, ale głaz, oderwawszy się, upadł pod kątem, więc teraz dinozaur wyglądał, jakby stał wyprostowany, co dodatkowo pogłębiało wrażenie, że wciąż żyje. Patrząc na niego, Ford niemal ujrzał przed oczami ostatnie chwile zmagań zwierzęcia.

W milczeniu podeszli do podnóża skały. Na piasku leżało kilka odłamków, które odpadły od skamieliny – wśród nich jeden długi czarny ząb. Tom podniósł go, zważył w dłoni, przesunął palcem wzdłuż pożłobionej wewnętrznej krawędzi kości. Gwizdnął cicho i podał ząb Fordowi.

Skamielina była ciężka i chłodna w dotyku.

–Niewiarygodne – mruknął, ponownie spoglądając na wielkiego, milczącego potwora.

. – Spójrz na to – powiedział Tom, wskazując jakieś dziwne przedmioty, częściowo zagrzebane w

piasku: kilka starych figurek wyrzeźbionych w drewnie. Uklęknął i odgarnął piasek. Ukazało się więcej figurek i małe naczynie wypełnione grotami strzał.

–Ofiary – powiedział Ford. – To tłumaczy, skąd tu ten indiański szlak. Oddawali cześć potworowi. I

nic dziwnego.

–A to co?

Tom wskazał fragment metalu, wystający z piasku. Odgarnął piasek i ukazała się okopcona,

metalowa puszka. Podniósł ją i podważył jej wieko. W środku była plastikowa torebka, a w niej plik listów w zaklejonych kopertach, opatrzonych datami i zaadresowanych do Robbie Weathers. Na pierwszej było napisane:

Dla mojej córki Robbie. Mam nadzieję, że spodoba ci się ta opowieść. **Tyrannosaurus rex *jest twój. Całuję. Tata.***

Tom bez słowa złożył listy i wsadził je z powrotem do puszki. Sally, stojąca bliżej wejścia do jaskini, nagle syknęła.

–Słyszę czyjeś głosy! Ford drgnął, jakby się ocknął ze snu. Szybko wrócił do rzeczywistości.

–Musimy się ukryć. Zobaczmy, jak daleko w głąb ciągnie się jaskinia. Tom wyjął latarkę, którą wciąż miał przy sobie, i poświecił nią w głąb jaskini. Spojrzeli tam w

milczeniu. Jaskinia kończyła się wąską szczeliną, wyżłobioną przez wodę, o wiele za wąską, by przecisnął się przez nią człowiek. Tom skierował snop światła w górę, w lewo i w prawo.

–Znaleźliśmy się w ślepym zaułku – oznajmił cicho Ford.

–A więc to już koniec? – spytała Sally. – Co teraz zrobimy? Poddamy się? Ford nie odpowiedział. Szybko przeszedł do wylotu jaskini, przywarł płasko do jej ściany i spojrzał

w dół. Po chwili wrócił.

–Są na dnie kanionu, trzech żołnierzy i cywil.

Tom też podszedł do wyjścia jaskini i spojrzał na mały amfiteatr. Zobaczył dwóch mężczyzn w mundurach polowych, z karabinami szturmowymi. Potem pojawił się trzeci i czwarty. Oglądali ziemię tam, gdzie Broadbentowie i mnich zatarli ślady po sobie. Jeden z nich wskazał jaskinię.

–A więc to już koniec – powiedział cicho Ford.

–Cholera. – Tom wyciągnął broń z chlebaka oficerskiego, wyjął magazynek, umieścił w nim parę nabojów, znów go zatrzasnął. Uniósł wzrok i zobaczył, że Ford kręci głową.

–Strzelanie na chybił trafił do tych żołnierzy to samobójstwo.

–Nie poddam się bez walki.

–Ja też nie. – Ford urwał i zamyślił się głęboko. Jakby bezwiednie wyjął z kieszeni ząb dinozaura i zważył go w dłoni, po czym schował z powrotem. – Tom, masz tamten notes?

Tom wyciągnął notatnik.

–Daj mi go. I broń.

–Co chcesz…

–Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia.

13

MASAGO PRZYGLĄDAŁ się z dołu, jak Hitt i jego dwóch ludzi, wdrapawszy się na strome zbocze z piaskowca, przypłaszczyli się do niego tuż poniżej wylotu jaskini. Zwiększyli odległości między sobą, by spod trzech różnych kątów wziąć na cel ludzi, którzy skryli się w środku. Był to klasyczny manewr, może w tym konkretnym wypadku zastosowany niepotrzebnie, bo przeciwnicy prawdopodobnie nie byli uzbrojeni.

Kiedy zajęli swoje pozycje, Hitt powiedział niezbyt głośno, ale władczo:

–Wiemy, że jesteście w jaskini. Mamy nad wami przewagę liczebną i w uzbrojeniu. Wchodzimy do

środka. Nie próbujcie uciekać. Ręce podnieście do góry.

Masago obserwował wylot jaskini. Czuł się dziwnie spięty, co było dla niego nietypowe. Hitt się wyprostował, ukazując się ludziom w jaskini. Jego dwaj żołnierze ubezpieczali go.

–Bardzo dobrze. Ręce nad głową. Nikomu nic się nie stanie. - Dał znak komandosom, którzy

wyłonili się ze swoich kryjówek.

Było po wszystkim. Trzy osoby stały pośrodku jaskini z rękami w górze.

–Ubezpieczajcie mnie. Hitt podszedł do cywilów i sprawdził, czy nie są uzbrojeni. Powiedział do mikrofonu:

–Jesteśmy w jaskini. Może pan tu teraz przyjść. Masago złapał pierwszy uchwyt, podciągnął się i po kilku minutach stał u wylotu jaskini, patrząc na

trzy najbardziej żałosne postacie, jakie widział w życiu: mnicha, Broadbenta i jego żonę.

–Są nieuzbrojeni? Hitt skinął głową.

–Przeszukajcie ich jeszcze raz. Chcę zobaczyć wszystko, co przy sobie mają. Wszystko. Połóżcie to na piasku przede mną.

Hitt skinął na jednego ze swoich żołnierzy, który zaczął przeszukiwać cywilów. Na ziemi pojawiły się latarka, portfele, kluczyki, prawo jazdy. W plecaku mnicha była opróżniona manierka, zapałki, kilka pustych metalowych puszek i inny sprzęt turystyczny.

Na koniec wyciągnęli coś z fałdów habitu mnicha.

–A cóż to takiego, u diabła? – spytał żołnierz, unosząc przedmiot w górę. Masago z kamienną miną polecił:

–Podaj mi to. Komandos wręczył mu przedmiot. Masago gapił się na żłobkowany ząb, obrócił go w palcach,

zważył w dłoni.

–Ty. – Wskazał mnicha. – Nazywasz się Ford. Mnich niemal niezauważalnie skinął głową.

–Zbliż się. Mnich zrobił jeden krok do przodu. Masago uniósł ząb.

–A więc znalazł go pan. Wie pan, gdzie jest.

–Zgadza się – potwierdził mnich.

–Proszę mi powiedzieć, gdzie on się znajduje.

–Jestem jedyną osobą, która posiada informację, na której panu zależy. Ale nie powiem ani słówka,

póki nie odpowie pan na moje pytania.

Masago wyciągnął z kabury swoją berettę i wycelował broń w Forda.

–Mów.

–Spadaj.

Masago strzelił, kula świsnęła obok ucha Forda. Mnich nawet nie drgnął. Masago opuścił broń. Zrozumiał, że ten człowiek nie da się zastraszyć.

–Zabij mnie, a nigdy nie odnajdziesz dinozaura. Nigdy. Masago uśmiechnął się lekko.

–Zgoda. Może pan zadać jedno pytanie.

–Dlaczego tak wam zależy na tym dinozaurze?

–Zawiera bardzo niebezpieczne, chorobotwórcze drobnoustroje, które mogą zostać wykorzystane jako broń bioterrorystyczna. – Widział, jak mnich przetrawia tę informację. Nie powie nic więcej: nic, co byłoby sprzeczne z rozkazem wydanym żołnierzom.

–Jak się nazywa wasz wydział?

–To już drugie pytanie.

–W takim razie idź do diabła – zaproponował mnich.

Masago postąpił krok i uderzył mnicha pięścią w splot słoneczny; mężczyzna bezwładnie osunął się

na ziemię. Masago stał nad nim, kiedy ten, kaszląc, podparł się na kolanach, rękami konwulsyjnie ryjąc piasek, i usiłując się podnieść.

–Panie Ford, gdzie jest dinozaur?

–Wody… Błagam… Masago wziął swoją manierkę i potrząsnął nią.

–Najpierw muszę usłyszeć, gdzie jest dinozaur. – Otworzył manierkę i pochylił się nad dygocącym

mnichem, z trudem opierającym się na dłoniach i kolanach.

Nagle mnich rzucił się jak wąż. Kiedy wyciągnął rękę z piasku, ku zaskoczeniu wszystkich błysnęła w niej broń. Zanim Masago zdołał cokolwiek zrobić, Ford objął mężczyznę lewą ręką za szyję, niemal go dusząc. Masago poczuł lufę pistoletu przy uchu, ręce miał wykręcone do tyłu, więc nie mógł sięgnąć po berettę.

–A teraz – zwrócił się Ford do żołnierzy, posługując się Masago jak tarczą – ten człowiek powie

nam wszystkim, o co tu naprawdę chodzi… albo już jest martwy.

CZĘŚĆ SZÓSTA

CZARCI OGON

Koniec nastąpił w zwykłe czerwcowe popołudnie. Skwar spowijał las niczym pled, liście zwisały nieruchomo, na zachodzie gromadziły się burzowe chmury.

Szła przez las, polując.

Nie zauważyła przez drzewa nagłego rozbłysku światła na południu. Nie towarzyszył mu żaden dźwięk, żółta poświata wznosiła się ku blademu niebu.

Las pozostał milczący, czujny.

Sześć minut później ziemia zatrzęsła się gwałtownie i samica dinozaura aż musiała przykucnąć, żeby nie stracić równowagi. Po niespełna trzydziestu sekundach drżenie ustało i samica wróciła do przerwanego polowania.

Osiem minut później ziemia znów się zatrzęsła; tym razem kołysanie następowało jakby falami. Dopiero wtedy zauważyła niezwykłą żółtą łunę, która wznosiła się nad południowym horyzontem. Była widoczna między cieniami rzucanymi przez potężne pnie araukarii. Wiesie zrobiło się widno. Poczuła falę ciepła, która napłynęła z południa. Przerwała polowanie, czujna, ale jeszcze spokojna.

Po dwunastu minutach usłyszała szum, jakby nadciągał wiatr. Szum przemienił się w ryk i nagle drzewa się pochyliły, las wypełniły odgłosy łamanych i rozrywanych drzew. Coś, co nie było ani wiatrem, ani szumem, ani falą, ale kombinacją tego wszystkiego, spadło na nią z ogromną siłą, ciskając o ziemię. Zasypał ją grad patyków, gałęzi i konarów.

Leżała oszołomiona i obolała, nim instynkt kazał jej wstać, wstać i walczyć. Przekręciła się na bok, podniosła się i przycupnęła, obserwując burzę. Wściekle kłapała paszczą, rycząc na huragan roślinności, który ją atakował.

Burza z wolna przycichła, zostawiając zniszczony las. I w panującej ciszy rozległ się nowy dźwięk, tajemnicze brzęczenie,

niemal śpiew. Jasny zygzak pojawił się na niebie, potem drugi i trzeci. Spadały na zdewastowaną ziemię, aż przemieniły się w deszcz ognia. Ze wszystkich

stron rozległy się nawoływania i trąbienie zdezorientowanych i przerażonych zwierząt, niczym chór w greckiej tragedii. Stada drobnej zwierzyny biegały tu i tam przez zniszczony las, a deszcz ognia stawał się coraz in tensy wn iejszy.

Przebiegło obok niej stado nie baczących na nic celofyzów, rzuciła się na nie i wkrótce ziemię zasłały podrygujące konwulsyjnie kończyny, torsy i ogony. Niespiesznie się posilała, od czasu do czasu gniewnie kłapiąc na deszcz ognia, który niebawem przemienił się w grad skalnych okruchów. Skończyła jeść i odpoczywała, nie myśląc o niczym. Nie widziała, że słońce zniknęło, że niebo zmieniło kolor z

żółtego na pomarańczowy, a następnie na krwistoczerwony, z każdą chwilą intensywniejszy, promieniując ciepłem zewsząd i znikąd. Powietrze stawało się coraz cieplejsze, aż osiągnęło taką temperaturę, jakiej nie pamiętała.

Skwar pobudził ją do działania, podobnie jak ból z ran na grzbiecie. Wstała i skierowała się do trzęsawiska, porośniętego cyprysami, w którym się zwykle taplała. Przykucnęła i zaczęła się tarzać, aż pokryła ją warstwa chłodnego, czarnego błota.

Stopniowo zapadły ciemności. Uspokoiła się. Wszystko będzie dobrze.

1

MELODIE CROOKSHANK skończyła porządkowanie danych w formacie HTML, przycinanie obrazów, opatrywanie ich podpisami i nanoszenie ostatnich drobnych poprawek redakcyjnych w krótkim artykule, który stworzyła w przypływie energii. Goniła resztkami sił – sześćdziesiąt godzin bez snu – ale nadal była podekscytowana. To będzie jedno z najbardziej doniosłych opracowań w dziejach paleontologii kręgowców i wywoła prawdziwą sensację. Znajdą się niedowiarki, pesymiści i samozwańczy demaskatorzy, mogą się nawet pojawić oskarżenia o oszustwo – ale zebrany materiał został solidnie opracowany. Nie będzie łatwo do czegokolwiek się przyczepić. A obrazy były bez zarzutu. Co więcej, miała jeszcze jeden nieobrobiony fragment próbki, który zamierzała podarować albo Smithsonian Institution, albo Harvardowi, żeby tamtejsi paleontolodzy mogli przeprowadzić niezależne badania.

Rozpęta się wrzawa, jak tylko przekaże artykuł na stronę internetową „Journal of VP". Wystarczy, żeby przeczytała o tym jedna osoba, wtedy zaczną czytać wszyscy, a jej życie już nigdy nie będzie takie jak dotychczas.

Skończyła – albo prawie skończyła. Trzymała palec nad klawiszem ENTER, gotowa do wysłania artykułu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Melodie aż podskoczyła i odwróciła się. Gałkę wciąż blokowało krzesło. Spojrzała na zegar: piąta.

–Kto tam?

–Sprzątacz. Westchnęła i wstała od stołu, podeszła do drzwi i odsunęła krzesło. Już miała otworzyć drzwi, ale

zawahała się.

–Sprzątacz?

–Jak powiedziałem.

–Frankie?

–A któż by inny? Przekręciła klucz w zamku i z ulgą stwierdziła,

że w progu rzeczywiście stoi dobrze jej znany

Frankie: mały, chudy, nieogolony, śmierdzący podłymi cygarami i jeszcze podlejszą whisky. Wszedł do środka, szurając nogami, i Melodie zamknęła za nim drzwi na klucz. Zaczął sprzątać laboratorium, opróżniać zawartość koszy na śmieci do dużego plastikowego worka, pogwizdując fałszywie. Schylił się, żeby wyciągnąć spod jej biurka kosz wypełniony po brzegi puszkami po napojach gazowanych i opakowaniami po batonach Mars. Kiedy się prostował, uderzył się w głowę i wypadło mu na biurko kilka

pustych puszek po Dr. Pepperze. Resztki napoju ochlapały mikroskop stereoskopowy.

–O, przepraszam.

–Nic nie szkodzi. – Czekała niecierpliwie, aż sobie pójdzie. Opróżnił kosz, wytarł blat rękawem, trącając przy okazji mikroskop wart pięćdziesiąt tysięcy

dolarów. Melodie zastanowiła się, jak to możliwe, że niektórzy ludzie potrafią wymyślić algebrę, a inni nie umieją nawet wyrzucić śmieci. Zawstydziła się. Nie powinna tak myśleć. Nigdy nie pozwoli sobie na aroganckie traktowanie innych, jak to robią niektórzy uczeni, z którymi miała do czynienia w ciągu ostatnich kilku lat. Zawsze będzie miła wobec personelu technicznego, nierozgarniętych sprzątaczek i słuchaczy studiów podyplomowych.

–Dziękuję, Frankie.

–Do zobaczenia. – Frankie wyszedł, zaczepiając workiem o drzwi, i w laboratorium znów

zapanowała cisza.

Melodie z westchnieniem spojrzała na mikroskop stereoskopowy. Małe kropelki Dr. Peppera spryskały obudowę mikroskopu, kilka spadło na mokry preparat.

Spojrzała przez okular, żeby się upewnić, że preparat nie uległ uszkodzeniu. Zostało bardzo niewiele cennej próbki i liczyła się każda jej odrobinka, szczególnie sześć czy siedem cząsteczek, które z takim trudem udało jej się wyizolować ze skały

macierzystej.

Preparat nie ucierpiał. Dr Pepper go nie uszkodził – kilka molekuł cukru nie może zniszczyć cząsteczki, która przetrwała sześćdziesiąt pięć milionów lat w ziemi i kąpiel w dwunastoprocentowym roztworze kwasu fluorowodorowego.

Nagle znieruchomiała. Jeśli oczy nie płatały jej jakiegoś figla, jedna z poprzeczek na ramieniu cząsteczki poruszyła się.

Czekała, wpatrując się przez okular w cząsteczki, czując, jak ciarki przebiegają po jej plecach. Kolejne ramię cząsteczki się poruszyło, niby w mikroskopijnym zegarku, zajmując nową pozycję. Jednocześnie cząsteczka się przesunęła. Melodie obserwowała, zafascynowana i zaniepokojona, jak inne cząsteczki zaczynają się poruszać w taki sam sposób. Po chwili poruszały się wszystkie, wypustki działały niczym malutkie śruby napędowe. Te cząsteczki są wciąż żywe.

To wszystko spowodował chyba cukier, który dostał się do roztworu. Melodie sięgnęła pod biurko i wyciągnęła ostatnią puszkę Dr. Peppera. Otworzyła ją i mikropipetą nabrała małą ilość napoju, którą umieściła na końcu mokrego preparatu, tworząc w jednym miejscu roztwór o większym stężeniu cukru.

Cząsteczki stały się bardziej ruchliwe, małe wypustki obracały się w taki sposób, że cząstki kierowały się tam, gdzie było większe stężenie cukru.

Melodie ogarniał coraz większy niepokój. Nie brała pod uwagę tego, że cząstki nadal mogą być niebezpieczne. A jeśli wciąż żyją, z całą pewnością są groźne – przynajmniej dla dinozaura.

W laboratorium herpetologicznym kawałek dalej jeden z kustoszów w ramach długofalowego eksperymentu naukowego hodował jaszczurki, rozmnażające się przez dzieworództwo. W laboratorium był inkubator z kulturami komórek *in vitro.* Byłby to idealny materiał, by się przekonać, czy cząsteczka może wywołać chorobę u współczesnych gadów.

Melodie wyszła z laboratorium. Na korytarzu było pusto – w niedzielę po piątej istniało znikome prawdopodobieństwo spotkania kogokolwiek. Laboratorium herpetologiczne było zamknięte, ale otworzyła zamek swoim magnetycznym kluczem i po pięciu minutach trzymała płytkę Petriego, pełną żywych

komórek jaszczurki. Wróciła z nią do swojego laboratorium, oddzieliła kilka komórek, wstrzyknąwszy nieco roztworu soli, i przeniosła je na szkiełko.

Potem przybliżyła oczy do okularu.

Cząsteczki Wenus przestały podążać ku roztworowi cukru. Jednocześnie wykonały zwrot, niemal jak wataha wilków, która zwietrzyła ofiarę, i skierowały się ku komórkom jaszczurki. Melodie poczuła, jak jej się nagle ściska gardło. Po chwili cząsteczki dotarły do grupy komórek, skupiły się wokół nich, przytwierdzając się do błony komórkowej swoimi długimi wypustkami; potem jednym krótkim, zdecydowanym ruchem przedostały się do wnętrza komórek.

Melodie jak zauroczona czekała, co nastąpi teraz.

FORD ZACIĄGNĄŁ mężczyznę w dresie za skałę, gdzie był osłonięty z boków i od tyłu. Trzej komandosi wycelowali w nich broń. Sierżant skinął ręką i dwaj żołnierze zaczęli się przybliżać.

–Zatrzymajcie się i opuśćcie broń.

Dowódca dał znak swoim ludziom, by się zatrzymali.

–Jak powiedziałem, ten człowiek powie nam wszystkim, o co chodzi, albo go zabiję. Jasne? Chyba nie chcecie wrócić do bazy z kierownikiem całej operacji w plastikowym worku, co?

–Ty będziesz w drugim worku – cicho powiedział Hitt.

–Robię to dla was, sierżancie.

–Dla nas?

–Wy też powinniście wiedzieć, co tu się naprawdę dzieje. Zaległa cisza. Ford mocniej przycisnął broń do głowy Masago.

–Mów.

–Puść go albo zacznę strzelać – ostrzegł Hitt, nie podnosząc głosu. – Raz…

–Zaczekaj – przerwał mu Tom. – Jesteśmy obywatelami amerykańskimi. Nie zrobiliśmy nic złego.

Czy wstąpiliście do wojska, żeby zabijać amerykańskich cywilów?

Po chwili ledwo dostrzegalnego wahania Hitt powiedział:

–Dwa…

–Proszę mnie posłuchać – ciągnął Tom, zwracając się bezpośrednio do sierżanta. – Nie wie pan, co pan robi. Proszę nie wykonywać ślepo rozkazów. Proszę przynajmniej zaczekać, aż się pan dowie, o co w tym wszystkim chodzi.

Sierżant znów się zawahał. Jego żołnierze patrzyli na niego. On

tu decydował. Hitt opuścił broń.

Ford przemówił cicho, pamiętając to, czego wiele lat temu nauczono go na temat przesłuchiwania ludzi.

–Okłamał ich pan, prawda?

–Nie. – Już się pocił.

–Tak. A teraz powie im pan prawdę albo pana zabiję. Nie dostanie pan drugiej szansy, strzelę bez ostrzeżenia, tak po prostu. Kula w łeb, a potem przyjmę to, co mnie czeka.

Ford nie żartował, a to było ważne. Masago wiedział o tym.

–A więc pierwsze pytanie. Dla kogo pan pracuje?

–Jestem kierownikiem oddziału LS480.

–Czyli?

–Utworzono go w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku, po misji Apolla 17 na

Księżyc. Zlecono nam zbadanie próbki gruntu księżycowego, znanej jako LS480.

–Skały księżycowej?

–Tak.

–Proszę mówić dalej. Masago głośno przełknął ślinę. Pocił się.

–Był to okruch impaktytu z Krateru Van Serga. Zawierał odłamki meteorytu, który utworzył krater. Wśród nich były cząstki. Drobnoustroje.

–Jakie drobnoustroje?

–Nieznane. Wyglądało na to, że stanowią formę życia pozaziemskiego. Zachowały aktywność biologiczną. Można ich było użyć jako broni.

–Jaki to ma związek z dinozaurem?

–Takie same cząsteczki znaleziono w skamielinie dinozaura.

Dinozaur zginął w wyniku infekcji spowodowanej przez cząsteczkę LS480.

Ford się zamyślił.

–Twierdzi pan, że dinozaur zginął przez formę życia pozaziemskiego?

–Tak.

–A jaki to ma związek ze skałą księżycową? Trochę się pogubiłem.

–Krater Van Serga liczy sobie sześćdziesiąt pięć milionów lat. Dinozaury wyginęły sześćdziesiąt pięć milionów lat temu, po upadku Chicxulub.

–Chicxulub?

–Asteroidy, która spowodowała masowe wymieranie dinozaurów.

–Proszę mówić dalej.

–Krater Van Serga powstał w wyniku upadku fragmentu tej samej asteroidy. Zdaje się, że sama asteroida była nafaszerowana cząstkami LS480.

–Jaki jest cel tej operacji?

–Oczyścić teren, utajnić informacje o istnieniu dinozaura, wydobyć go stąd i dokładnie zbadać w tajemnicy przed całym światem.

–Rozumiem, że chodzi o oczyszczenie terenu z nas.

–Zgadza się.

–A „utajnienie informacji o istnieniu dinozaura" oznacza zabicie nas, tak?

–Nie traktuję lekko sprawy zabijania amerykańskich obywateli. Ale to kwestia bezpieczeństwa

narodowego. Zagrożone jest istnienie naszego kraju. To nic nagannego oddać życie za ojczyznę – nawet nie

z własnej woli. Czasami nie ma innego wyjścia. Był pan w CIA. Rozumie to pan. – Urwał, utkwiwszy w Fordzie wzrok. – Cząsteczki LS480 spowodowały masowe wymarcie dinozaurów. Gdyby się dostały w niewłaściwe ręce, mogłyby spowodować drugie masowe wymarcie – rodzaju ludzkiego.

Ford go puścił.

Masago odskoczył, dysząc ciężko, a potem wyciągnął z kabury berettę. Zajął miejsce nieco za Hittem.

–Sierżancie Hitt, proszę zlikwidować te trzy osoby. Nie potrzebuję od nich żadnych informacji.

Uzyskamy je w inny sposób.

Znów zapadła długa cisza.

–Nie zrobi pan tego – powiedziała Sally. – Teraz pan wie, że to byłoby morderstwo.

–Czekam, żeby wykonał pan mój rozkaz, sierżancie – powtórzył cicho Masago. Nikt się nie odezwał. Nikt się nie poruszył.

–Pozbawiam pana dowództwa, Hitt – oświadczył Masago. – Szeregowy Gowicki, proszę wykonać

mój rozkaz. Proszę zlikwidować te trzy osoby.

Znów zapadła cisza.

–Gowicki, nie usłyszałem, że przyjęliście mój rozkaz do wykonania.

–Tak jest. Gowicki uniósł broń. Mijały sekundy.

–Gowicki? – odezwał się Masago.

–Nie – powiedział Hitt. Masago wycelował berettę w głowę Hitta.

–Gowicki, wykonać mój rozkaz. Tom skoczył i złapał Masago za kolana. Beretta zatoczyła łuk w powietrzu i upadła, nikomu nie

czyniąc krzywdy. Masago gwałtownie się odwrócił, ale Hitt wyćwiczonym ruchem uderzył go w splot słoneczny. Masago upadł ciężko. Leżał na ziemi zwinięty w kłębek, nie mogąc wydobyć głosu. Hitt kopnął broń.

–Zakuć go w kajdanki.

Gowicki i Hirsch podeszli do Masago i wykręcili mu ręce, po czym założyli mężczyźnie plastikowe

kajdanki. Ten z trudem chwytał powietrze, krztusił się, tarzał w piasku, z ust kapała mu krew. Nastąpiła długa chwila milczenia.

–W porządku – zwrócił się Hitt do swoich żołnierzy. – Przejmuję dowodzenie operacją. Wydaje mi

się, że ci ludzie chętnie się trochę napiją.

Gowicki odpiął swoją manierkę. Po kolei napiła się z niej cała trójka.

–Dobra – powiedział Hitt. – Teraz, kiedy wiemy, o co naprawdę chodzi, musimy dokończyć naszą

operację. Zdaje się, że mamy odszukać skamielinę dinozaura. A pan wie, gdzie ona jest – zwrócił się do Forda.

–Co zamierza pan zrobić z nami?

–Zabiorę całą waszą trójkę na poligon White Sands Missile Rangę. Generał Miller zadecyduje, co ma z wami być. To on naprawdę tutaj dowodzi, a nie ten… – Urwał i spojrzał na Masago. – …cywil.

Ford skinął głową w stronę wielkiego głazu w głębi jaskini.

–Jest tam.

–Naprawdę? – Hitt zwrócił się do Gowickiego. – Pilnuj ich, a ja pójdę i sprawdzę. Zniknął za głazem i wyłonił się po chwili.

–Jest, skurczybyk – powiedział i oświadczył swoim ludziom: – Według mnie, wykonaliśmy

pierwszą część misji. Zlokalizowaliśmy skamielinę. Wezwę resztę oddziału. Spotkamy się przy

helikopterze, wrócimy do bazy, zameldujemy się generałowi Millerowi z tą trójką i poczekamy na dalsze

rozkazy. – Zwrócił się do Masago: – Proszę iść spokojnie i nie

stawiać oporu.

3

HELIKOPTER PRZYCUPNĄŁ na alkalicznej równinie niczym olbrzymi czarny owad, gotów do lotu. Zbliżali się do niego w milczeniu, Tom utykając, ale o własnych siłach, Sally podtrzymywał jeden z żołnierzy. Hitt szedł ostatni, tuż za Masago.

Czterej pozostali członkowie oddziału, wezwani przez Hitta, siedzieli w cieniu pobliskiej skały, paląc papierosy. Kiedy sierżant na nich skinął, wstali, wyrzucając niedopałki. Tom ruszył za nimi do śmigłowca, Hitt wskazał im miejsca na metalowych ławeczkach pod ścianą.

–Połącz się z bazą – polecił sierżant drugiemu pilotowi. – Zamelduj, że wykonaliśmy pierwszą część zadania. Powiedz, że uznałem za konieczne pozbawić cywila Masago dowództwa i rozbroić go.

–Tak jest.

–Szczegóły przekażę osobiście generałowi Millerowi.

–Tak jest.

Żołnierz zasunął drzwi do przedziału towarowego, a śmigłowiec, zwiększywszy obroty wirnika,

oderwał się od ziemi. Tom oparł się o siatkę obok Sally. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak wyczerpany. Spojrzał na Masago. Mężczyzna nie odzywał się ani słowem. Twarz miał dziwnie obojętną.

Helikopter wzniósł się nad dolinę o stromych ścianach i skierował nad płaskowyżami na południowy zachód. Słońce przypominało dużą kroplę krwi na horyzoncie. Kiedy śmigłowiec nabrał

wysokości, Tom zobaczył Krawędź Nawahów, a za nią Płaskowyż Przodków, jego środek przecinały kaniony, noszące nazwę Labiryntu. W oddali widać było niebieskie zakole rzeki Chama.

Kiedy helikopter leniwie zakręcał na południowy wschód, Tom kątem oka dostrzegł, jak Masago się zerwał ze swojego miejsca.

Próbował się dostać do kokpitu. Tom rzucił się na Masago, ale mężczyzna z całej siły uderzył go rękami zakutymi w kajdanki. Obiema dłońmi wyciągnął nóż z pochwy na nogawce spodni, odwrócił się i dał nura przez otwarte drzwi do kokpitu. Pozostali zerwali się z miejsc, żeby go zatrzymać, ale helikopter nagle przechylił się i wszyscy wpadli na siatkę, a jednocześnie z kabiny pilotów dobiegł gardłowy krzyk.

–Chce rozbić śmigłowiec! – krzyknął Hitt.

Helikopter zanurkował, aż wirniki wpadły w drgania. Tom wstał, chwycił się siatki i starał się

utrzymać równowagę, kiedy śmigłowiec opadał, obracając się wokół własnej osi. Przez drzwi do kokpitu zobaczył, że drugi pilot mocuje się z Masago. Pierwszy pilot leżał martwy na podłodze w kałuży krwi.

Kiedy helikopter się zakołysał, Tom wykorzystał tę chwilę, by rzucić się do kabiny pilotów. Wpadł na pulpit sterowniczy, usiadł w fotelu, uderzył Masago pięścią, trafiając go w ucho. Kiedy Masago zatoczył się do tyłu, drugi pilot złapał go za skute ręce i uderzył nimi w pulpit sterowniczy, aż nóż wypadł Masago z dłoni. Obaj zwalili się na podłogę, Masago chwycił drugiego pilota i zaczął go dusić. Tarzali się po podłodze śliskiej od krwi. Tom walnął głową Masago o podłogę i uwolnił drugiego pilota od napastnika.

–Przejmij stery! – krzyknął Tom do drugiego pilota, któremu nie trzeba było tego dwa razy

powtarzać.

Mężczyzna zerwał się na nogi i ujął drążek. Helikopter zakołysał się gwałtownie. Tylne wirniki zawarczały głośno i maszyna wykonała zwrot, aż wszystkim żołądki podeszły do gardła. Masago wciąż się rzucał, walcząc z niemal nadludzką siłą, ale Hitt przyszedł teraz z odsieczą Tomowi i we dwójkę go obezwładnili. Przez warkot silników Tom słyszał, jak drugi pilot wzywa pomoc, zmagając się z kontrolkami.

Wtem przed przednią szybą wyrosła ściana urwiska; po chwili helikopterem mocno szarpnęło i rozległa się seria jak z karabinu maszynowego, gdy fragmenty wirników zaczęły rozrywać kadłub niczym szrapnele. Fruwające w powietrzu odłamki trafiły drugiego pilota, którego krew zbryzgała popękane pleksi w oknie kabiny.

Rozległ się zgrzyt metalu ocierającego się o skałę, potem przez chwilę wszyscy znaleźli się w stanie nieważkości, kiedy maszyna spadała swobodnie, nim zderzyła się z ziemią.

Wszystko ucichło.

Tom czuł się, jakby wypływał z morza ciemności, i minęła chwila, nim sobie uprzytomnił, gdzie jest – we wraku helikoptera. Spróbował się poruszyć i stwierdził, że jest zaklinowany w kącie, przywalony stosem pogiętego żelastwa. Słyszał krzyk dobiegający jakby skądś z daleka, kapanie oleju hydraulicznego

(a może to krew?), czuł zapach paliwa lotniczego i spalonych urządzeń elektronicznych. Wszystko znieruchomiało. Próbował się wydostać. W kadłubie helikoptera widać było szerokie rozdarcie, przez które zobaczył, że maszyna spadła na strome zbocze pękniętej skaty. Rozległ się zgrzyt i helikopter się osunął, metalowe nity zaczęły puszczać. Powietrze wypełnił dym.

Tom wydostał się spod powyginanych metalowych fragmentów śmigłowca i zobaczył, że Sally jest zaplątana w sieć i przywalona plandekami. Odsunął sieć na bok.

–Sally!

Poruszyła się i otworzyła oczy.

–Zaraz cię wydostanę. – Złapał ją za ramiona i wyciągnął. Z ulgą stwierdził, że wygląda jedynie na

oszołomioną.

–Tom! – rozległ się głos Wymana Forda.

Odwrócił się. Ford wyczołgał się spod powyginanych fragmentów maszyny, po twarzy leciała mu

krew.

–Palimy się – wydyszał. – Palimy się.

W tej samej chwili rozległ się syk i tylna część śmigłowca stanęła w ogniu. Uderzyła ich fala

gorąca.

Tom objął Sally ramieniem i zaniósł ją ku rozdarciu w kadłubie. Tylko tamtędy można było się wydostać. Złapał się sieci i podciągnął, zaczepił ramieniem o krawędź i podniósł Sally. Chwyciła się poszarpanej blachy i Tom pomógł jej się wygramolić na zewnątrz. Znalazła się na kadłubie śmigłowca, dwa i pół metra nad ziemią. Tom widział, że ogień gwałtownie się rozprzestrzenia wzdłuż przewodów paliwowych i instalacji elektrycznej, za chwilę ogarnie cały śmigłowiec.

–Dasz radę zeskoczyć? Sally skinęła głową. Zsunęła się po kadłubie, a potem zeskoczyła.

–Uciekaj!

–A ty? – zawołała z dołu. – Pośpiesz się!

–Jest tu Ford!

–Za chwilę wszystko wybuchnie!… Ale Tom jej nie słuchał, tylko spojrzał do środka helikoptera. Ford, ranny, próbował się dostać po

siatce do rozdarcia w kadłubie. Jedna ręka zwisała mu bezwładnie.

Tom położył się na brzuchu, wyciągnął ręce, złapał Forda za zdrową rękę i wyciągnął go. Chmura czarnego dymu buchnęła ze środka, kiedy położył mnicha na kadłubie, a potem spuścił na ziemię.

–Tom! Uciekaj! – krzyknęła z dołu Sally, pomagając Fordowi odejść od wraku.

–Jest tu jeszcze Hitt! Z rozbitego śmigłowca buchał dym. Tom zanurzył się w nim i przykucnął. Niżej była warstwa

powietrza. Doczołgał się do miejsca, gdzie ostatni raz widział Hitta. Nieprzytomny sierżant leżał na boku w kabinie załogi pośród powyginanych metalowych fragmentów wraku. Tom czuł, jak piecze go skóra od fali gorącego powietrza. Wsunął ręce pod plecy Hitta i spróbował go podnieść. Ale sierżant był ciężki i ani drgnął.

Rozległo się głuche stuknięcie, kiedy coś zajęło się ogniem w maszynie. Toma uderzyła fala dymu i gorącego powietrza.

–Hitt!

Uderzył mężczyznę w twarz. Sierżant nieco uniósł powieki. Tom jeszcze raz go spoliczkował, z

całych sił, i Hitt spojrzał przytomniej.

–Uciekaj!

Tom objął Hitta za szyję i go podniósł. Hitt z trudem stanął na czworakach i potrząsnął głową, z

włosów spadły mu kropelki krwi.

–Cholera…

–Uciekaj! Palimy się!

–Jezu… Hitt chyba w końcu oprzytomniał do reszty i zaczął się gramolić o własnych siłach. Dym był już tak

gęsty, że Tom ledwo widział cokolwiek. Czołgał się po podłodze po omacku, a Hitt tuż za nim. Minęła chyba cała wieczność, nim dotarli do miejsca, gdzie kadłub śmigłowca wznosił się pionowo. Tom się odwrócił, złapał Hitta za rękę, zaczepił jego silną dłoń o siatkę.

–Wyłaź! Brakowało mu powietrza, gryzący dym wypełniał płuca niczym potłuczone szkło.

–Wyłaź, do cholery! Mężczyzna zaczął się wspinać niemal jak żywy trup, krew płynęła mu po rękach. Tom wspinał się

obok, pokrzykując na niego, w głowie mu się kręciło. Za chwilę zemdleje, już za późno. To już koniec. Poczuł, jak opuszczają go siły…

I wtedy czyjeś ręce złapały go i wyciągnęły, a potem zrzuciły z rozbitego kadłuba na ziemię. Ciężko upadł na piasek, po chwili obok niego z jękiem upadł Hitt. Sally zeskoczyła obok nich – z powrotem wdrapała się na wrak helikoptera, żeby ich uratować.

Czołgali się, starając się znaleźć jak najdalej od płonącego śmigłowca. Tom w końcu padł, krztusząc się i próbując łapać powietrze, niezdolny do najmniejszego ruchu. Leżąc na piasku, usłyszał głośny huk i poczuł nagłą falę gorąca, kiedy wybuchł ostatni zbiornik paliwa. Wrak śmigłowca stanął w ogniu.

Nagle ujrzał dziwny obraz: z morza ognia wyłonił się jakiś człowiek. Ubranie na nim płonęło, w uniesionej ręce trzymał pistolet. Zatrzymał się, wolno wycelował i wystrzelił raz – a potem padł jak posąg i

zniknął w morzu płomieni. Tom zemdlał.

4

NOC SPOWIŁA Muzeum Historii Naturalnej na Manhattanie. Łagodny wietrzyk szeleścił liśćmi starych jaworów w parku muzealnym, a kamienne gargulce, straszące z góry, przycupnęły cichutko, odznaczając się na tle ciemnego nieba. W piwnicach muzeum, w laboratorium Działu Mineralogii, paliło się światło. Melodie Crookshank siedziała pochylona nad mikroskopem stereoskopowym, obserwując, jak dzieli się grupka komórek.

Trwało to już od trzech i pół godziny. Cząsteczki Wenus wyzwoliły zdumiewające zjawisko -spowodowały gwałtowny wzrost tempa podziału komórek. Początkowo Melodie przypuszczała, że cząsteczki w jakiś sposób doprowadziły do niekontrolowanego rozmnażania się komórek, powstania grupy niezróżnicowanych złośliwych nowotworów. Ale szybko się zorientowała, że te komórki nie dzielą się jak komórki rakowe ani nawet jak normalne komórki w kulturze.

Nie – te komórki się różnicowały.

Grupa komórek zaczęła przybierać charakterystyczną postać blastocysty, skupiska komórek wokół zapłodnionego zarodka. W miarę jak komórki się dzieliły, Melodie dostrzegła ciemną pręgę w środku blastocysty. Wyglądała dokładnie tak, jak tak zwana smuga pierwotna, która powstaje w zarodkach wszystkich strunowców. To z niej w procesie rozwoju wykształci się rdzeń kręgowy i kręgosłup żywego organizmu.

Żywego organizmu.

Melodie, która była u kresu wytrzymałości, uniosła głowę. Nie zdawała sobie dokładnie sprawy z tego, czym może być ten rosnący twór, jaszczurką czy czymś innym, a proces ontogenezy był jeszcze niewystarczająco zaawansowany, by to ustalić.

Przeszedł ją dreszcz. Cóż, do diabła, ma zrobić? Byłoby szaleństwem czekanie, żeby się przekonać, co się narodzi. To, co teraz robiła, było nie tylko głupie, ale również skrajnie nieodpowiedzialne. Te cząsteczki powinny być badane przy zachowaniu czwartej klasy bezpieczeństwa biologicznego, a nie w takim otwartym laboratorium jak to.

Spojrzała na zegar, ledwo mogąc skupić wzrok na jego tarczy.

Zamrugała powiekami, potarła oczy, obróciła gałki w prawo, a potem w lewo. Była tak zmęczona, że niemal miała halucynacje.

Melodie nie wiedziała, co to za cząsteczki, co robią, jak funkcjonują. Stanowiły formę życia pozaziemskiego, która trafiła na naszą planetę dzięki asteroidzie Chicxulub. To dla niej zbyt trudne – o wiele za trudne!

Odsunęła krzesło i wstała. Zachwiała się lekko i musiała się złapać skraju biurka, żeby nie upaść, ręce jej się trzęsły. Zaczęła rozważać, co powinna zrobić. Rozejrzała się po laboratorium i jej wzrok padł

na butelkę osiemdziesięcioprocentowego kwasu solnego w szafce z chemikaliami. Otworzyła szafkę, wyjęła z niej butelkę z kwasem, zaniosła ją pod okap wyciągowy, złamała pieczęć i nalała odrobinę cieczy do płytkiego szklanego naczynia. Z największą ostrożnością wyjęła preparat spod okularu mikroskopu, zaniosła go pod okap wyciągowy i wrzuciła do kwasu solnego. Rozległ się cichy syk, kiedy kwas w jednej chwili zniszczył i rozpuścił złowrogie, rosnące skupisko komórek, aż nic z niego nie pozostało.

Odetchnęła z ulgą. To był pierwszy krok: zniszczyć organizm rozwijający się na szkiełku mikroskopowym. Teraz należało zniszczyć same cząsteczki Wenus.

Dodała do kwasu mocną zasadę, by go zneutralizować, na dnie naczynia pojawiła się warstwa wytrąconych soli. Postawiła pod wyciągiem palnik Bunsena, nad nim umieściła szklany pojemnik i zaczęła odparowywać roztwór. Po kilku minutach cała ciecz wyparowała i została jedynie warstewka soli. Melodie maksymalnie rozkręciła palnik. Minęło pięć minut, dziesięć i rozgrzana do czerwoności sól przemieniła się w skorupę. Temperatura zbliżyła się do punktu, w którym topi się szkło. Żadna forma węgla, nawet fuleren, nie przetrwa w takiej temperaturze. Przez pięć minut trzymała nad palnikiem naczynie z pyreksu, które przybrało wiśniowy kolor, potem wyłączyła palnik i odczekała, aż naczynie ostygnie.

Została jej do zrobienia jeszcze jedna rzecz, najważniejsza. Musiała dokończyć artykuł, uzupełniając go o to, co właśnie odkryła. Dziesięć minut zajęło jej napisanie dwóch ostatnich akapitów, w których najbardziej suchym, naukowym językiem, na

jaki potrafiła się zdobyć, przedstawiła to, co przed chwilą zaobserwowała. Zapisała artykuł na dysku, przeczytała go po raz ostatni i uznała, że jest dobry.

Melodie w duchu ganiła się za swój brak rozwagi. Czymkolwiek były cząsteczki, teraz nie miała cienia wątpliwości, że mogą być bardzo niebezpieczne. Nie wiadomo, co mogłyby wyrządzić żywym organizmom, człowiekowi. Przeszedł ją dreszcz, kiedy zaczęła się zastanawiać, czy się zaraziła. Ale to niemożliwe – cząsteczki były zbyt duże, by unosić się w powietrzu, a poza tym, nie licząc tych, które z takim trudem wyizolowała ze skały, reszta nadal bezpiecznie spoczywała w kamieniu. Liczyły sobie sześćdziesiąt pięć milionów lat, ale nadal zachowały zdolność funkcjonowania.

No właśnie.

To było najistotniejsze. Jaką pełniły rolę? Ale kiedy zadała sobie to pytanie, wiedziała, że znalezienie odpowiedzi na nie zajmie miesiące, jeśli nie lata.

Dołączyła artykuł do listu i przygotowała go do wysłania. Położyła palec na klawiszu ENTER. Nacisnęła klawisz ENTER.

Następnie rozsiadła się wygodnie na swoim krześle i głęboko westchnęła. Nagle poczuła, że jest kompletnie wyczerpana. Nacisnąwszy ten klawisz, odmieniła swoje życie. Na zawsze.

5

TOM OTWORZYŁ oczy. Słońce rzucało smugi na jego łóżko, gdzieś z tyłu cicho brzęczał monitor, zegar na ścianie tykał. Zamroczony bólem, ujrzał Sally siedzącą na krześle naprzeciwko niego.

–Obudziłeś się! – Poderwała się i ujęła jego rękę. Tom nawet nie próbował podnieść głowy, w której czuł łupanie.

–Gdzie?…

–Jesteś w szpitalu. Nagle wszystko sobie przypomniał: pościg w kanionach, kraksę śmigłowca, pożar.

–Sally, jak się czujesz?

–Znacznie lepiej od ciebie. Tom spojrzał na siebie i zaskoczyło go, że jest cały w bandażach.

–A co mi dolega?

–Jesteś tylko poparzony, masz zwichnięty nadgarstek, połamane żebra, wstrząs mózgu, stłuczoną nerkę i poparzone płuco. To wszystko.

–Jak długo byłem nieprzytomny?

–Dwa dni.

–A jak się czuje Ford?

–W każdej chwili powinien się pojawić. Ma złamaną rękę i kilka skaleczeń. Twardy z niego zawodnik. Ty najwięcej ucierpiałeś.

Tom chrząknął, w głowie wciąż czuł łupanie. Kiedy odzyskał ponownie jasność umysłu, dostrzegł w kącie czyjąś zwalistą postać. Porucznik Willer.

–Co on tu robi?

Willer wstał i na powitanie uniósł rękę do głowy, po czym znów usiadł.

–Cieszę się, że się pan obudził, Broadbent. Nie musi się pan denerwować, nic panu nie grozi…

chociaż nieźle pan narozrabiał.

Tom nie wiedział, co powiedzieć.

–Wpadłem tylko, żeby zobaczyć, jak się pan czuje.

–To bardzo miło z pana strony.

–Pomyślałem sobie, że chciałby pan zadać kilka pytań. Na przykład, czego się dowiedzieliśmy o zabójcy Marstona Weathersa, tego samego człowieka, który porwał pańską żonę.

–Owszem.

–A w zamian, kiedy już będzie pan w stanie mówić, chciałbym usłyszeć pańskie pełne zeznania. –

Uniósł brwi pytająco.

–Zgoda.

–A więc facet nazywał się Maddox, Jimson Alvin Maddox, był skazany za morderstwo. Pracował dla niejakiego Iaina Corvusa, kustosza w Amerykańskim Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku, który załatwił Maddoksowi wcześniejsze zwolnienie z więzienia. Sam Corvus zmarł tej samej nocy, której porwano obecną tu Sally, najwyraźniej na atak serca. Z uwagi na to, kiedy się to stało, FBI zajęło się tą sprawą.

Tom skinął głową. Cholera, ale go bolała.

–A więc jak ten Corvus dowiedział się o dinozaurze?

–Usłyszał pogłoski o tym, że Weathers trafił na coś wyjątkowego, posłał Maddoksa, by go śledził. Maddox zabił Weathersa i, zdaje się, zabrał mu próbkę, którą Corvus kazał zbadać w muzeum. Właśnie coś na ten temat pojawiło się w Internecie, wywołując wielką wrzawę. Piszą o tym w gazetach. – Willer pokręcił głową. – Skamielina dinozaura… Chryste, brałem pod uwagę wszystko, od kokainy do sztabek złota, ale nigdy by mi nie przyszło na myśl, że chodzi o tyranozaura.

–Co się stało ze skamieliną? Odpowiedziała mu Sally.

–Władze zajęły się jej wydobyciem. Mówi się o budowie specjalnego laboratorium, by ją zbadać, może nawet tutaj, w Nowym Meksyku.

–A Maddox? Naprawdę nie żyje?

–Znaleźliśmy jego zwłoki tam, gdzie je zostawiliście – wyjaśnił Willer. – A przynajmniej to, co z nich zostało po tym, jak zainteresowały się nimi kojoty.

–A predator i cała ta historia? Willer rozsiadł się wygodnie na krześle.

–Wciąż staramy się to rozwikłać. Wszystko wskazuje na jakąś zbójecką agencję rządową.

–Ford ci o tym opowie, kiedy przyjdzie – obiecała Sally.

Jak na zawołanie weszła pielęgniarka i Tom ujrzał za nią pobrużdżoną twarz Forda, częściowo

zabandażowaną. Jedną rękę miał w gipsie. Był w kraciastej koszuli i dżinsach.

–Tom! Cieszę się, że się obudziłeś. – Ford podszedł i oparł się o łóżko. – Jak się czujesz?

–Bywało lepiej. Wyman ostrożnie usiadł na tanim, plastikowym szpitalnym krzesełku, w którym ledwo się mieściła

jego potężna postać.

–Skontaktowałem się z kilkoma moimi dawnymi kumplami z firmy. Zdaje się, że poleciały głowy za sposób, w jaki przeprowadzono całą tę akcję, za bezduszny brak poszanowania dla ludzkiego życia, nie wspominając już o spartaczonej operacji. Tajną agencję, która kierowała całym przedsięwzięciem, rozwiązano. Sprawę bada komisja rządowa, ale wiesz, jak to bywa…

–Tak.

–Jest jeszcze coś, w co aż trudno uwierzyć. Naukowiec z Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku zdobyła fragment dinozaura, zbadała go i opublikowała artykuł na ten temat. To prawdziwa rewelacja. *Tyrannosaurus rex* zginął w wyniku infekcji

mikrobami, które trafiły na Ziemię na asteroidzie. To one były powodem ich masowej zagłady. Nie żartuję. Dinozaur padł w wyniku zarażenia drobnoustrojem z kosmosu. Przynajmniej tak mówią. – Ford opowiedział, jak załoga Apolla 17 przywiozła na Ziemię kilka cząsteczek w próbce księżycowego gruntu. – Kiedy się zorientowali, że skała jest nafaszerowana drobnoustrojami z kosmosu, przekazali ją Agencji Wywiadu Obronnego, która z kolei powołała specjalny zespół do jej zbadania. Agencja Wywiadu Obronnego nadała tajnej agencji nazwę LS480, co stanowi skrót od Lunar Sample 480. Próbka księżycowa 480. Prowadzili badania tych cząstek przez ostatnie trzydzieści lat, przez cały czas zachowując czujność, na wypadek gdyby pojawiło się ich więcej.

–Ale to nadal nie wyjaśnia, w jaki sposób dowiedzieli się o dinozaurze.

–Agencja Bezpieczeństwa Narodowego posiada ogromne możliwości inwigilacji obywateli. Nigdy nie poznamy szczegółów, ale zdaje się, że podsłuchali jakąś rozmowę telefoniczną. Natychmiast wkroczyli do akcji. Czekali trzydzieści lat i byli przygotowani.

Tom skinął głową.

–Jak się czuje Hitt?

–Wciąż leży w sali na górze. Ale szybko wraca do zdrowia. Pilot i drugi pilot nie żyją. Podobnie jak Masago i kilku żołnierzy. Prawdziwa tragedia.

–A notes?

Willer wstał, wyjął go z kieszeni i położył na łóżku.

–To dla ciebie. Sally mówi, że zawsze dotrzymujesz danego słowa.

MELODIE NIGDY nie była w gabinecie Cushmana Peale'a, prezesa muzeum, i czuła się przytłoczona panującą w nim atmosferą nowojorskiego snobizmu i hermetyczności. Wrażenie to jeszcze pogłębiał człowiek za zabytkowym biurkiem z palisandru, w szarym garniturze z Brooks Brothers, z grzywą błyszczących, siwych włosów, zaczesanych do tyłu. Jego wyszukana grzeczność i autoironiczny język słabo maskowały niezachwiane poczucie własnej, wyższości.

Peale zaprowadził ją do drewnianego fotela bujanego, stojącego przed marmurowym kominkiem, a sam usiadł naprzeciwko. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął wydruk jej artykułu i położył papier na

stole, starannie go wygładzając dłonią o nabrzmiałych żyłach.

–No, no, Melodie. Dobra robota.

–Dziękuję, doktorze Peale.

–Proszę mi mówić po imieniu.

–Zgoda, Cushman. Melodie rozsiadła się wygodniej. Nigdy nie będzie się czuła swobodnie w fotelu, w którym

wierciłby się każdy purytanin, ale przynajmniej mogła udawać. Cierpiała na ostry syndrom oszusta, ale doszła do wniosku, że kiedyś jej to minie.

–A więc popatrzmy… – Peale zerknął na notatki, które zrobił na pierwszej stronie artykułu. – Jesteś zatrudniona w naszym muzeum od pięciu lat, tak?

–Zgadza się.

–Zrobiłaś doktorat na Columbii… I cały czas pracujesz w laboratorium mineralogii jako…

laborantka? – Zdawał się niemal zaskoczony, jak niskie stanowisko ona zajmuje.

Melodie nic nie odpowiedziała.

–Cóż, niewątpliwie zasłużyłaś sobie na awans. – Peale rozsiadł się wygodnie i skrzyżował nogi. – Ten artykuł świadczy, że świetnie się zapowiadasz, Melodie. Naturalnie wywołał kontrowersje, jak można się było tego spodziewać, ale Komitet Naukowy bardzo starannie się z nim zapoznał i jest wielce prawdopodobne, że przedstawione w nim tezy się obronią.

–Z całą pewnością.

–To słuszna postawa, Melodie. – Peale chrząknął cicho. – Komitet jest zdania, że hipoteza, iż ta… cząsteczka Wenus może być drobnoustrojem z kosmosu, wydaje się zbyt śmiała.

–Wcale mnie to nie dziwi, Cushman. – Melodie urwała, bo miała trudności ze zwracaniem się do niego po imieniu. Lepiej się do tego przyzwyczaić, pomyślała. Pełna uszanowania, uczynna laborantka to już przeszłość. – Każdy milowy krok w nauce wiąże się z postawieniem wszystkiego na jedną kartę. Ale jestem pewna, że moja hipoteza się obroni.

–Bardzo się cieszę, że to słyszę. Naturalnie jestem tylko prezesem muzeum… – Zaśmiał się

autoironicznie -…więc trudno mi oceniać twoje dzieło. Ale powiedziano mi, że jest całkiem dobre.

Melodie uśmiechnęła się wdzięcznie. Odchylił się do tyłu i położył ręce na kolanach.

–Odbyłem rozmowę z Komitetem Naukowym i chcielibyśmy ci zaproponować etat zastępcy

kustosza w Wydziale Paleontologii Kręgowców. To bardzo dobre stanowisko, stanowiące pierwszy krok

na drodze do uzyskania dożywotniego zatrudnienia, a z czasem, jeśli wszystko pójdzie dobrze, nominacji

na dziekana katedry Humboldta, którym być może zostałby doktor Corvus, gdyby żył. Naturalnie wiąże się

to z odpowiednią podwyżką wynagrodzenia.

Melodie odczekała dłuższą chwilę, nim się odezwała.

–To bardzo hojna propozycja – powiedziała. – Doceniam to.

–Dbamy o swoich – odparł pompatycznie prezes.

–Żałuję, że nie mogę jej przyjąć. Peale rozłożył ręce. Melodie czekała.

–Odrzucasz naszą ofertę, Melodie? – Peale patrzył z niedowierzaniem, jakby sama myśl, że ktoś nie chce zostać w muzeum, była czymś niedorzecznym, niemieszczącym się w głowie.

Melodie ciągnęła spokojnym tonem:

–Cushman, spędziłam ponad pięć lat w piwnicach, wykonując pierwszorzędnej jakości i wagi pracę dla muzeum. Ani razu nie doczekałam się choćby odrobiny uznania. Nigdy mi nie podziękowano, nie licząc zdawkowego klepnięcia po ramieniu. Zarabiałam mniej od sprzątaczek, które opróżniają kosze na śmieci w moim laboratorium.

–Przecież zostałaś zauważona… – Peale był kompletnie zaskoczony. – I wszystko się zmieni. Pozwól, że powiem, iż nasza oferta nie jest ostateczna. Może powinniśmy jeszcze raz zwrócić się do Komitetu Naukowego i sprawdzić, czy nie udałoby się zaproponować ci czegoś lepszego. Może się nawet okazać, że otrzymałabyś etat kustosza z gwarancją dożywotniego zatrudnienia.

–Już podziękowałam za dożywotnią posadę na Harvardzie. Peale uniósł brwi, kompletnie

zaskoczony, ale szybko ukrył zdumienie.

–Widzę, że nie zasypiają gruszek w popiele. – Zmusił się do uśmiechu. – Czy mogę zapytać, co zaproponowali?

–Katedrę Montcrieffa. – Starała się nie uśmiechnąć szeroko. Do diabła, coraz bardziej jej się to podobało.

–Katedrę Montcrieffa? Cóż, to… to dość niezwykłe. – Chrząknął, rozsiadł się wygodnie, poprawił krawat. – I odmówiłaś im?

–Tak. Przenoszę się z dinozaurem do… Smithsonian Institution.

–Do Smithsonian Institution? – Na sam dźwięk nazwy ich wielkiego rywala aż poczerwieniał na twarzy.

–Zgadza się. Do Narodowego Muzeum Historii Naturalnej. Rząd zamierza zbudować specjalne laboratorium o czwartej klasie bezpieczeństwa biologicznego na poligonie White Sands Missile Range w Nowym Meksyku, by badać dinozaura i cząsteczkę Wenus. Poprosili mnie, żebym została zastępcą dyrektora do spraw badawczych, co wiąże się z dożywotnim etatem kustosza w muzeum. Możliwość kontynuowania prac badawczych nad skamieniałością dinozaura dużo dla mnie znaczy. No i trzeba jeszcze rozwiązać zagadkę cząsteczki Wenus. Chciałabym tego dokonać.

–Czy to twoja ostateczna decyzja? – Tak. Peale wstał, wyciągnął rękę i zmusił się do bladego uśmiechu.

–W takim razie, doktor Crookshank, proszę mi pozwolić, że pierwszy pani pogratuluję.

Dzięki starannemu wychowaniu, pomyślała Melodie, Peale wykształcił w sobie jedną wspaniałą cechę charakteru: potrafił przegrywać z klasą.

DOM, MAŁY, parterowy, stał przy przyjemnej, bocznej uliczce w miejscowości Marfa w stanie Teksas. Wielki jawor rzucał cień na trawnik otoczony białym płotem. Na podjeździe stał ford fiesta rocznik 1989, a nad garażem wisiał ręcznie wymalowany szyld, głoszący PRACOWNIA.

Tom i Sally zaparkowali na ulicy i nacisnęli dzwonek przy drzwiach.

–Proszę – dobiegło ich z garażu.

Okrążyli dom i otworzyły się drzwi na tyłach, ukazując miłą pracownię artystyczną. Pojawiła się

kobieta w za dużej męskiej koszuli, poplamionej farbami; rude włosy związała chustką. Była niska, energiczna i atrakcyjna, miała mały, zadarty nos, chłopięcą twarz i wojowniczą minę.

–Słucham?

–Jestem Tom Broadbent. A to moja żona, Sally. Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

–Robbie Weathers. Bardzo dziękuję, że państwo przyjechali. Weszli za nią do zdumiewająco sympatycznej pracowni z przezroczem. Na białych ścianach

wisiały krajobrazy. Na stołach w głębi dziwne skały, wysuszone kawałki drewna, stare kości i zardzewiałe żelastwo ułożone były w taki sposób, że tworzyły rzeźbę.

–Proszę usiąść. Kawa? Herbata?

–Nie, dziękujemy. Usiedli na złożonym futonie, służącym za kanapę, a Robbie Weathers umyła ręce i ściągnęła z

głowy opaskę, uwalniając spod niej kręcone włosy. Przysunęła sobie drewniane krzesło i usiadła naprzeciwko nich. Do środka wpadało światło słoneczne. Zapanowało pełne skrępowania milczenie.

–A więc – powiedziała, patrząc na Toma – to pan znalazł mojego ojca.

–Zgadza się.

–Chcę, żeby mi pan wszystko o tym opowiedział: jak go pan znalazł, co panu mówił… Wszystko. Tom zaczął opisywać, jak usłyszał strzały, pojechał, żeby zobaczyć, co się dzieje, i znalazł jej ojca

umierającego na dnie kanionu. Kiwała głową, twarz jej spochmurniała.

–Jak… upadł?

–Na twarz. Strzelono do niego kilka razy w plecy. Odwróciłem go, zastosowałem sztuczne

oddychanie i masaż serca i otworzył oczy.

–Czy przeżyłby, gdyby go stamtąd w porę zabrali?

–Rany były śmiertelne. Nie miał szans.

–Rozumiem. – Tak mocno chwyciła poręcze krzesła, że aż jej pobielały kostki dłoni.

–W ręku ściskał notes. Poprosił mnie, żebym go wziął i oddał pani.

–Co dokładnie powiedział?

–Wyszeptał: To dla Robbie… Mojej córki… Proszę obiecać, że jej pan to odda… Będzie wiedziała, jak odszukać… skarb…

–Skarb – powtórzyła Robbie, uśmiechając się słabo. – Tak się wyrażał o swoich skamielinach. Nigdy nie używał słowa „skamielina", bo miał bzika na punkcie tego, że ktoś zgłosi pretensje do jego znalezisk. Dlatego udawał na poły zwariowanego poszukiwacza skarbów. Często nosił przy sobie sfałszowane mapy skarbów, żeby skłonić ludzi do błędnego wniosku, że jest wariatem.

–To tłumaczy jedno, co mnie w tej sprawie zastanawiało. Tak czy inaczej, wziąłem notes. Pani ojciec był… umierający. Zrobiłem, co mogłem, ale nie miał szans. Martwił się tylko o panią.

Robbie otarła łzę z oka.

–Powiedział: To dla niej… dla Robbie. Proszę jej to dać… Nikomu innemu… Nikomu innemu, a przede wszystkim nie policji… Musi mi pan… obiecać. A potem dodał jeszcze: Proszę powiedzieć Robbie, że ją kocham.

–Naprawdę to powiedział?

–Tak. – Nie dodał, że Weathers nie zdążył wypowiedzieć ostatniego słowa – śmierć zbyt szybko go zabrała.

–A potem?

–To były jego ostatnie słowa. Serce przestało mu bić i umarł. Skinęła głową i spuściła wzrok. Tom wyjął notes z kieszeni i podał go jej. Uniosła głowę, otarła oczy i wzięła go.

–Dziękuję. Otworzyła na ostatniej stronie, przewróciła kilka pustych kartek, spojrzała na dwa wykrzykniki,

uśmiechnęła się przez łzy.

–Wiem jedno: od chwili, kiedy znalazł dinozaura, do chwili, aż został zamordowany, był z

pewnością najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Wolno zamknęła notes i wyjrzała przez okno na skąpany w słońcu krajobraz południowego Teksasu, po czym powiedziała wolno:

–Mama odeszła od nas, kiedy miałam cztery latka. Trudno jej to mieć za złe, poślubiła człowieka,

który ciągał nas po całym Zachodzie, od Montany do Teksasu przez wszystkie stany, leżące pomiędzy

nimi. Zawsze szukał czegoś wyjątkowego. Marzył, że kiedy podrosnę, będę mu towarzyszyła, będziemy

razem pracowali, ale… Nie chciałam mieć z tym nic wspólnego. Nie chciałam koczować na pustyni i

szukać skamielin. Pragnęłam mieszkać w jednym miejscu i przyjaźnić się z kimś dłużej niż przez sześć

miesięcy. Winiłam za wszystko dinozaury. Nienawidziłam

dinozaurów.

Wyjęła chusteczkę, znów otarła oczy, położyła chusteczkę na kolanach.

–Już nie mogłam się doczekać, kiedy wyjadę na uczelnię. Musiałam pracować w czasie studiów…

Tata zawsze był bez grosza. Pokłóciliśmy się. Rok temu niespodziewanie zadzwonił, poinformował, że jest na tropie czegoś wielkiego, dinozaura nad dinozaury, i że znajdzie go dla mnie. Już wcześniej słyszałam podobne teksty. Wściekłam się. Powiedziałam kilka słów, których nie powinnam była powiedzieć, a teraz już nigdy nie będę miała okazji tego cofnąć.

Pomieszczenie wypełniło światło i cisza.

–Ogromnie żałuję, że go tutaj nie ma – dodała cicho i umilkła.

–Napisał coś do pani – powiedział Tom, wyjmując paczuszkę listów. – Znaleźliśmy je zakopane w blaszanej puszce w piasku w pobliżu dinozaura.

Wzięła listy drżącymi dłońmi.

–Dziękuję.

–Smithsonian Institution dokona odsłonięcia dinozaura w nowym, specjalnie wybudowanym

laboratorium w Nowym Meksyku. Chcą mu nadać imię. Czy chciałaby pani być przy tym obecna? –

spytała Sally. – My z Tomem jedziemy.

–Cóż… sama nie wiem.

–Uważam, że powinna pani pojechać… Nadadzą jej pani imię. Robbie uniosła wzrok.

–Co?

–Naprawdę – zapewniła Sally. – Smithsonian Institution chciał nadać dinozaurowi imię pani ojca, ale Tom przekonał ich, że pani tata zamierzał nazwać go

„Robbie'' na pani cześć. Poza tym to samica tyranozaura. Mówią, że samice były większe i groźniejsze od samców. Robbie się uśmiechnęła.

–Nazwałby ją na moją cześć bez względu na to, czybym tego chciała, czy nie.

–A jak jest? – spytał Tom. – Chce pani? Zapanowało milczenie, w końcu Robbie się uśmiechnęła.

–Tak. Chyba tak.

EPILOG

DEL MUERTO

Po czterech godzinach zapanowały całkowite ciemności. Kucała w swoim bajorze, z na pół przymkniętymi oczami. Jedynym źródłem światła były wstęgi ognia płonącego tu i tam między cyprysami. Bagno wypełniło się dinozaurami i małymi ssakami. Pływały, rzucały się, unosiły na powierzchni, oszalałe ze strachu, wiele umierało i tonęło.

Obudziła się i najadła do syta.

Powietrze było jeszcze gorętsze. Kiedy oddychała, raniło jej płuca, obolałą dusił kaszel. Stanęła w wodzie, by walczyć z nieznośnym skwarem, machała łapami i kłapała paszczą.

Upał narastał. Ciemności się pogłębiały.

Weszła do głębszej, chłodniejszej wody. Wokół niej unosiła się padlina, ale nie zwracała na nią uwagi.

Zaczął padać czarny deszcz, pokrywając jej grzbiet warstwą jakby smoły. Powietrze stało się gęste od oparów. Zobaczyła czerwone światło między drzewami. Olbrzymi pożar pustoszył obszary górskie. Obserwowała, jak się przesuwa, strzela ponad korony drzew, zasypując ziemię gradem iskier i płonących gałęzi.

Pożar przeszedł bokiem, omijając bagnistą enklawę, gdzie się skryła. Rozgrzane powietrze stało się nieco chłodniejsze. Pozostała w wodzie, otoczona przez unoszące się wokół rozdęte trupy zwierzyny. Mijały dni. Ciemności stały się absolutne. Opadła z sił i zaczęła konać.

Śmierć była dla niej czymś nowym, czego do tej pory jeszcze nie doświadczyła. Czuła, jak ją pożera od środka, jak podstępnie atakuje narządy. Wypadły jej delikatne, małe pióra, przypominające puch. Ledwo mogła się poruszać. Ziała, ale i tak nie mogła zaspokoić głodu tlenu. Oczy podrażnione przez wysoką temperaturę zaszły mgłą, powieki spuchły.

Umierała przez kilka dni. Instynktownie walczyła ze śmiercią, opierała się jej. Dzień po dniu ból się nasilał. Gryzła i kopała,

wyrywała płaty własnego mięsa, starając się dosięgnąć wroga, który się skrył w środku. W miarę jak narastał ból, potęgował się też jej gniew. Na oślep

skierowała się na suchy ląd, stąpając ciężko. Pozbawiona siły wyporności wody, zachwiała się i upadła na płyciźnie. Tam ryczała, kopała i gryzła ziemię, w złości rozgrzebując błoto. Jej płuca zaczął wypełniać płyn, serce nadal starało się pompować krew w ciele. Spadł gorący czarny deszcz.

Program biologiczny, który pozwolił jej przeżyć czterdzieści lat, zaczął zawodzić. Umierające

neurony zdobyły się na ostatni orgiastyczny wysiłek, który okazał się daremny. Natura nie miała odpowiedzi, oprogramowanie nie przewidywało podobnej sytuacji, nie istniał schemat, jak postępować w obliczu takiego kryzysu. Jej bezsilny ryk uwiązł w mokrym, obolałym ciele. Lewa półkula jej mózgu uległa zniszczeniu podczas serii elektrycznych wyładowań, prawa noga wykonała kilka dzikich, epileptycznych konwulsji, nim wpadła w drgawki. Rozwarła szpony, ścięgna oderwały się od kości. Otwierała i zamykała paszczę. Rozdziawiła ją szeroko i już tak została z groźnie wyszczerzonymi zębami.

Przez całe jej ciało przebiegł dreszcz. Uderzała ogonem o ziemię, w końcu jedynie jego koniuszek drżał – a potem ustała cała aktywność układu nerwowego.

Organizm wykonał ostatnią linijkę programu. Czarny deszcz wciąż padał. Stopniowo pokryła ją maź. Poziom wody się podniósł za sprawą olbrzymich burz w górach. Nim minął dzień, została pogrzebana pod grubą warstwą błota.

Zaczęło się jej trwające sześćdziesiąt pięć milionów lat spoczywanie w grobie.

EPILOG

FURGONETKA PODSKAKIWAŁA na drodze gruntowej, biegnącej jak strzała przez rozległą pustynię Jornada del Muerto w Nowym Meksyku. Kraina była płaska i pusta jak ocean, jedyne jej urozmaicenie stanowiło pasmo czarnych wzgórz w oddali. Byli w samym środku White Sands Missile Rangę, liczącym sobie prawie osiem tysięcy kilometrów kwadratowych poligonie najnowocześniejszego uzbrojenia w kraju. W miarę jak jechali, ciemne wzgórza zyskiwały kształty. Na szczycie środkowego, wulkanicznego stożka z tufu wznosił się szereg wież radiowych i anten.

–Jesteśmy prawie na miejscu – powiedziała Melodie Crookshank siedząca z przodu, obok kierowcy

w mundurze.

Minęli skupisko wypalonych budynków o oknach zabitymi deskami, okolonych podwójnym parkanem; poza nim stał błyszczący, nowy gmach, wyłożony płytami tytanu, otoczony własnym ogrodzeniem.

–Kiedyś były tutaj jakieś laboratoria inżynierii genetycznej – poinformowała Melodie Crookshank -ale po pożarze je zamknięto. Smithsonian Institution podpisało umowę na wydzierżawienie ich części. Ponieważ kiedyś był to budynek posiadający czwartą klasę bezpieczeństwa biologicznego, wiele tego, czego potrzebowaliśmy, było już na miejscu – przynajmniej pod względem odosobnienia i bezpieczeństwa. To będzie doskonałe miejsce do badania dinozaura, chronione przez strażników poligonu, ale zarazem łatwo dostępne. Jednym słowem, idealne rozwiązanie.

–Odnoszę wrażenie, że dość tu odludnie – zauważyła Robbie Weathers.

–Wcale nie! – odparła Melodie. – Na pustyni panuje czystość mająca w sobie coś z filozofii zen. To ciekawe okolice, jest tu do oglądania wiele interesujących rzeczy: prastare indiańskie ruiny, zastygnięte potoki lawy, jaskinie, zamieszkane przez miliony nietoperzy. W pobliżu biegnie stary, hiszpański szlak. Mają tu stajnie, basen kąpielowy.

–Uczę się jeździć konno. To z pewnością znacznie lepsze od pozbawionego okien laboratorium w piwnicy w Nowym Jorku.

Furgonetka podskoczyła na rowie nakrytym kratownicą. Strażnik dał znak, żeby jechać dalej. Zaparkowali na wysypanym żwirem placyku przed budynkiem, gdzie już stało mnóstwo aut, wozów transmisyjnych z antenami satelitarnymi na dachach, samochodów terenowych, dżipów i innych pojazdów wojskowych.

–Nieźle się zapowiada – mruknął Ford.

–Powiedziano mi, że odsłonięcie będzie oglądało na żywo tyle samo ludzi co Puchar Świata: miliard.

Ford gwizdnął.

Wysiedli z furgonetki na gęsty, lipcowy skwar, typowy dla południa Nowego Meksyku. Gorące powietrze unosiło się nad ziemią, jakby sam grunt parował.

Przeszli przez parking do budynku z elewacją z tytanu. Strażnik otworzył im drzwi i znaleźli się w przestronnym, klimatyzowanym atrium. Umundurowany mężczyzna z dwiema gwiazdkami na epoletach podszedł do nich z wyciągniętą ręką.

–Generał Miller – przedstawił się, ściskając dłonie wszystkim po kolei. – Dowódca poligonu White Sands Missile Rangę. Witam państwa. – Skinął Tomowi. – Już się spotkaliśmy, ale był pan wtedy bardzo poturbowany.

–Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć, że pana pamiętam. Generał się uśmiechnął.

–Teraz wygląda pan ździebko lepiej.

Grupa reporterów czekających z jednej strony atrium podbiegła, zaczęły błyskać flesze,

dziennikarze podsunęli im mikrofony pod nosy.

–Doktor Crookshank! Doktor Crookshank! Czy to prawda, że?… Pytania poszczególnych

reporterów ginęły w panującym zgiełku, kiedy dziennikarze tłoczyli się wokół nich. Melodie podniosła w

górę ręce.

–Proszę państwa, proszę wstrzymać się z pytaniami. Po odsłonięciu będzie konferencja prasowa.

–Pytanie do panny Weathers!

–Proszę się z nim wstrzymać do konferencji prasowej! – krzyknęła Robbie. Kierowali się do kompleksu laboratoryjnego – długiego białego korytarza z szeregiem drzwi z

nierdzewnej stali. Skręcili w stronę dużych podwójnych drzwi na samym końcu holu. Za nimi było coś w rodzaju sali konferencyjnej, z rzędami krzeseł zwróconych w stronę długiej białej kurtyny, przesłaniającej jedną ścianę. W sali zebrali się naukowcy w fartuchach, przedstawiciele władz w szarych garniturach, kustosze i wojskowi; dla dziennikarzy wydzielono część sali, odgradzając ich od pozostałych, z czego byli wyraźnie niezadowoleni.

–To za tym? – spytała Robbie, wskazując głową zasłonę.

–Tak. Całe laboratorium zostało tak zaprojektowane, żebyśmy mogli pracować przez nikogo

nieniepokojeni i przy zachowaniu czwartej klasy bezpieczeństwa biologicznego, ale otwarcie, nie w

tajemnicy. Takie jest podstawowe założenie. A wyniki będą ogłaszane w Internecie, żeby każdy mógł się z

nimi zapoznać. To odkrycie jest… no cóż… doniosłej wagi, skromnie mówiąc.

Melodie witała się z różnymi osobami. Pojawiło się więcej dygnitarzy, w końcu wszyscy na prośbę organizatorów zajęli miejsca.

–Czas na mnie – powiedziała Melodie.

Zapadła cisza, kiedy weszła na podwyższenie i nerwowo rozłożyła kilka kartek. Włączono baterię

reflektorów telewizyjnych, które ją oślepiły, więc kilka razy zamrugała powiekami. Wciąż panowała cisza.

–Witam – powiedziała – w nowej Pustynnej Paleontologicznej Stacji Badawczej Smithsonian

Institution.

Zerwały się oklaski.

–Nazywam się Melodie Crookshank, jestem zastępcą dyrektora i przypuszczam, że wszyscy

wiedzą, dlaczego się tu zebraliśmy. – Nieco nerwowo przesunęła kartki. – Za chwilę pokażemy coś, co

niewątpliwie jest największym odkryciem paleontologicznym, jakiego dokonano do tej pory. Niektórzy

nazywają to nawet największym odkryciem naukowym wszech czasów. Ale zanim to nastąpi, chciałabym

skorzystać z okazji i powiedzieć państwu kilka słów o człowieku, który znalazł ten niesłychany okaz:

świętej pamięci Marstonie Weathersie. Wszyscy znają historię odkrycia skamieliny przez Weathersa i jego

tragicznej śmierci. Ale niewielu wie, że Weathers był prawdopodobnie największym poszukiwaczem

dinozaurów od czasów Barnuma Browna i Roberta Sternberga, nawet jeśli jego metody uznamy za dość

niekonwencjonalne. Jest tu reprezentowany przez swoją córkę, Robertę. Robbie, proszę, pokaż się nam.

Zerwał się huragan braw, kiedy Robbie wstała i zaczęła się kłaniać, zapłoniona.

–Chciałabym podziękować jeszcze kilku osobom. Przede wszystkim Tomowi i Sally Broadbentom

oraz Wymanowi Fordowi, bez których ten dinozaur nie ujrzałby światła dziennego.

Znów huragan braw. Tom spojrzał na Forda. Mężczyzna nie nosił już brązowego mnisiego habitu ani sandałów. Był w eleganckim garniturze, brodę miał krótko przyciętą, niesforne włosy starannie zaczesał do tyłu. Choć jego grubokościstą twarz

pokrywała opalenizna, pozostawała tak samo szpetna jak zawsze. A jednak wyglądał, jakby był w swoim żywiole, zachowywał się swobodnie, a zarazem dystyngowanie.

Melodie recytowała listę osób, którym należały się podziękowania, i zebrani zaczęli się niecierpliwić. W pewnej chwili umilkła, ponownie spojrzała na swoje notatki i uśmiechnęła się nerwowo. Znów zrobiło się cicho.

–Fizyk z MIT, Philip Morrison, powiedział kiedyś, że albo istnieje życie poza Ziemią, albo nie, i

obie te ewentualności nie mieszczą się nam w głowie. Dziś jesteśmy tutaj, znając odpowiedź na to pytanie,

od dawna nurtujące naukowców. Rzeczywiście istnieje życie poza Ziemią. Na temat życia w kosmosie od

stuleci krążyły fantastyczne domysły i spekulacje, powstała niezliczona ilość książek i filmów. Teraz to

wszystko należy już do historii. Chociaż samego odkrycia dokonano w sposób najmniej spodziewany –

mikroba z kosmosu znaleziono pogrzebanego w skamielinie. Pisarze powieści science fiction przedstawili

niemal wszystkie możliwe scenariusze tego doniosłego odkrycia – z wyjątkiem właśnie takiego. Jeszcze

jeden dowód, jeśli go potrzebujemy, że nasz wielki, piękny wszechświat wciąż jest pełen niespodzianek.

Tutaj, w Pustynnej Paleontologicznej Stacji Badawczej Smithsonian Institution, będziemy mogli badać tę

nową formę życia w warunkach pełnego bezpieczeństwa, ale otwarcie, dzieląc się naszymi odkryciami z całym światem dla dobra ludzkości. Nie będzie żadnych tajemnic, okazji, by niewłaściwie spożytkować to odkrycie. Ma ono służyć wyłącznie dobru ludzkości. Ale sama skamielina powie nam również bardzo wiele o teropodach, a w szczególności o jednym z nich, największym tyranozaurze, jaki żył na Ziemi. Dowiemy się nowych rzeczy o ich budowie anatomicznej, biologii komórkowej, jak żyły, co jadły, jak się rozmnażały. A przy okazji dowiemy się znacznie

więcej o tamtym doniosłym wydarzeniu sprzed sześćdziesięciu pięciu milionów lat, kiedy spadła asteroida Chicxulub, powodując największy kataklizm, jaki do tej pory dotknął naszą planetę. Już wiemy, że te tajemnicze zarazki z kosmosu, te cząstki Wenus, przybyły na Ziemię razem z asteroida i rozprzestrzeniły się w wyniku impakcji, ponieważ fragment tej samej asteroidy znaleźli na Księżycu uczestnicy misji Apollo 17. Te pozaziemskie mikroby były ostatnim gwoździem do trumny dinozaurów. Dinozaury, które przeżyły następstwa upadku asteroidy, zginęły w wyniku pandemii, zarazy nad zarazami. Bez całkowitego wymarcia dinozaurów ssaki nigdy nie wykształciłyby się w organizmy większe od szczurów i nigdy nie doszłoby do powstania człowieka. Można więc powiedzieć, że te cząstki oczyściły pole dla nas. Asteroida i epidemia zapoczątkowały wielki łańcuch ewolucji, który doprowadził do pojawienia się człowieka. Doktor Crookshank zamilkła i wzięła głęboki oddech.

–Dziękuję państwu.

Salę wypełniły oklaski. Dyrektor Smithsonian Institution, Howard Murchison, podszedł do podium,

w jednej ręce trzymając butelkę szampana, i uścisnął dłoń Melodie Crookshank. Odwrócił się w stronę zebranych i kamer, uśmiechając się szeroko.

–Czy mogę poprosić do nas Robbie Weathers?

Robbie rzuciła uśmiech Tomowi i Sally i weszła na podwyższenie. Dyrektor ujął ją za rękę i

przekazał jej butelkę szampana.

–Proszę światła.

Rozbłysnął szereg reflektorów za nim, oświetlając ciężką kotarę, przesłaniającą ścianę w głębi sali.

–Przedstawiam Robbie Weathers, córkę Marstona Weathersa, człowieka, który znalazł dinozaura.

Poprosiliśmy ją, żeby poprowadziła uroczystość nadania imienia dinozaurowi.

Zerwała się burza oklasków.

–Nie możemy rozbić butelki szampana o dinozaura, ale możemy przynajmniej wznieść toast za

niego. A któż byłby godniejszy, by to zrobić? – Zwrócił się w stronę Robbie. – Czy chciałaby pani

powiedzieć kilka słów?

Robbie uniosła w górę butelkę.

–To na twoją cześć, tato. Kolejna fala oklasków.

–Proszę werble – powiedział dyrektor.

Z głośników popłynęło nagranie werbli, jednocześnie kotara w głębi sali rozsunęła się, ukazując jasno oświetlone laboratorium za grubą taflą szkła. Na szeregu mocnych, stalowych stołów wyłożono fragmenty zdumiewającej skamieliny, częściowo tkwiące wciąż w skale macierzystej. Naukowcy już odsłonili znaczną część czaszki dinozaura, rozdziawioną paszczę, skręconą szyję, kończyny przednie i nogi zakończone szponami. Odnosiło się nieodparte wrażenie, że dinozaur, atakując pazurami, chce się wydostać ze skały.

Dyrektor podniósł rękę i werble umilkły.

–Pora otworzyć szampana, Robbie.

Robbie zmagała się z korkiem, poruszając nim w jedną i w drugą stronę. Wreszcie korek wystrzelił z hukiem i przeleciał nad głowami zgromadzonych, szampan trysnął z butelki. Rozległy się wiwaty i oklaski. Murchison podstawił kieliszek pod strumień szampana, wzniósł go i powiedział:

–*Tyrannosaurus rex,* nadaję ci imię Robbie.

Rozległy się głośne wiwaty. Z kulis wyłonili się kelnerzy ze srebrnymi tacami, na których stały smukłe kieliszki z szampanem. Wmieszali się w tłum.

–Zdrowie! Zdrowie!

Salę wypełnił gwar rozmów, śmiech i dzwonienie szkła, kiedy wznoszono toast za wielką bestię. Wszędzie rozbrzmiewały okrzyki: Za Robbie, *Tyrannosaurus rex!,* z głośników popłynęła muzyka Johna Williamsa, skomponowana do filmu „Park

jurajski".

Kilka minut później Melodie podeszła do Toma i towarzyszących mu osób. Stuknęli się kieliszkami.

–Rozwiązywanie tajemnicy tej skamieliny to będzie wielka frajda

–powiedziała kobieta.

–To musi być marzenie twojego życia – zauważył Ford. Melodie się roześmiała.

–Zawsze byłam marzycielką, ale w najbardziej szalonych snach nie wyobrażałam sobie czegoś takiego.

–Zycie jest pełne niespodzianek, prawda? – odparł Ford, puszczając oko. – Kiedy wstąpiłem do klasztoru, nie przypuszczałem, że trafię tutaj.

–Niezbyt przypomina pan mnicha – zauważyła Melodie. Ford się roześmiał.

–Nie jestem mnichem, nigdy nim nie byłem i już nie będę. Dzięki poszukiwaniom tego dinozaura zrozumiałem, że nie jestem stworzony do życia wypełnionego kontemplacją. Klasztor był mi potrzebny w pewnym okresie mego życia, ale nie na zawsze.

–Co zamierzasz robić? – spytał Tom. – Wrócić do CIA? Ford pokręcił głową.

–Zamierzam założyć firmę detektywistyczną.

–Co takiego? Będziesz detektywem? Co na to opat?

–Brat Henry z całego serca pochwala mój pomysł. Mówi, że od początku wiedział, że nigdy nie zostanę mnichem, ale że sam musiałem dojść do takiego wniosku. I tak się stało.

–Czym będziesz się zajmował? – spytała Sally. – Będziesz ganiał z aparatem fotograficznym za mężami zdradzającymi swoje żony?

Ford się roześmiał.

–Nie. Zajmę się szpiegostwem przemysłowym i międzynarodowym, kryptografią, kryptoanalizą, nauką i techniką. Będę robił podobne rzeczy jak w CIA. Szukam wspólnika. –

Mrugnął do Toma.

–Co ty na to?

–Ja? Co ja wiem o szpiegostwie?

–Nic. I właśnie tak powinno być. Poznałem twój charakter, i to mi wystarczy.

–Zastanowię się nad tym.

Rozległy się kolejne okrzyki, kiedy dyrektor otworzył następną butelkę szampana i zaczął krążyć

wśród przedstawicieli prasy, napełniać kieliszki dziennikarzy i słuchać ich narzekań.

Ford wskazał ruchem głowy łeb dinozaura o wyszczerzonych zębach i pustych oczodołach.

–Ten tyranozaur nie wszedł łagodnie do tej dobrej nocy.

–Buntuj się, buntuj, gdy światło się mroczy – mruknęła Melodie. Ford pociągnął łyk szampana.

–Melodie, kiedy wygłaszałaś swoją mowę, przyszedł mi do głowy dość niezwykły pomysł.

–To znaczy? Ford spojrzał na potwora, a potem znów na Melodie.

–Pozwól, że cię zapytam: dlaczego sądzisz, że cząsteczka Wenus stanowi formę życia? Kobieta się uśmiechnęła i pokręciła głową.

–Cóż, prawdę mówiąc, nie spełnia wszystkich warunków, zawartych w obowiązującej definicji życia, ponieważ nie powstaje w oparciu o DNA. Ale ma pozostałe cechy żywego organizmu, to znaczy rozmnaża się, rozwija, potrafi się przystosować do panujących warunków, czerpie energię z pożywienia, wydala produkty zbędne.

–Nie wzięłaś pod uwagę jednej ewentualności.

–Jakiej?

–Że cząsteczka Wenus to maszyna.

–Maszyna? W rodzaju nanomaszyny? W jakim celu skonstruowana?

–W celu zagłady dinozaurów. Może to maszyna stworzona do manipulowania lub kierowania ewolucją, specjalnie umieszczona na asteroidzie zmierzającej w stronę Ziemi… Może nawet na asteroidzie skierowanej ku Ziemi.

–Ale dlaczego?

–Sama to powiedziałaś. By doprowadzić do powstania człowieka. Zapanowała krótka chwila

milczenia, a potem Melodie roześmiała się zmieszana.

–To rzeczywiście niezwykły pomysł. Tylko były mnich mógł wpaść na coś tak szalonego.

PODZIĘKOWANIA

JESTEM OGROMNIE wdzięczny swojemu redaktorowi w wydawnictwie Tor/Forge, nieocenionemu Robertowi Gleasonowi, za jego pomysły, błyskotliwość i cenne wskazówki redaktorskie. Chciałbym również podziękować Tomowi Doherty'emu, Lindzie Quinton, Elenie Stokes, Ericowi Raabowi i Danie Giusio z Tor. Dziękuję Lincolnowi Childowi, mojemu wspólnikowi w dziedzinie zbrodni literackich, za jego liczne wspaniałe sugestie. Jestem niezwykle wdzięczny Ericowi Simonoffowi, Matthew Snyderowi, Johnowi Javnie, Bobby'emu Rotenbergowi, Niccoló Capponiemu, Barbarze Peters i Sebastianowi Pritchardowi.

Wiadomości o dinozaurach, upadku Chicxulub, granicy kredy i trzeciorzędu oraz wymarciu dinozaurów zaczerpnąłem z licznych źródeł, najważniejsze z nich to „Dzień, w którym spłonął świat" Davida A. Kringa i Daniela D. Durdy, opublikowany w numerze „Scientific American" w grudniu 2003 roku, „The Dinosaur Heresies" dr. Roberta T. Bakkera oraz „The Complete T. Rex" Johna R. Homera i Dona Lessema. Jeśli ktoś chciałby poczytać coś więcej na ten temat, polecam powyższe pozycje, jak również moją książkę, „Dinosaurs in the Attic", w której opowiadam o niektórych pierwszych poszukiwaczach dinozaurów i ich znaleziskach.

Abiquiü, rzeka Chama, klasztor Chrystus na Pustyni oraz Płaskowyż Przodków istnieją naprawdę, wiele krajobrazów, przedstawionych w powieści, jest albo zmyślonych, albo przeniesionych do północnej części Nowego Meksyku z innych rejonów kraju. W szczególności pozwoliłem sobie przenieść położony na odludziu i naprawdę zdumiewający kanion Wielkiego Zakola w Teksasie, zwany Diabelskim Cmentarzyskiem, do Nowego Meksyku, by mi posłużył jako miejsce ostatecznej konfrontacji bohaterów mojej powieści. Jeśli to kogoś zainteresowało, niedawno wydany album fotografii prawdziwego Diabelskiego Cmentarzyska, zatytułowany „Ribbons of Time", zawiera zdjęcia okolic opisanych w powieści.

„KB"

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-01-08

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/